

---

**Pryzmat**  
**Literacki**

---

**2022**

Pryzmat Literacki nr 3/ 2022

**Wydawca:**

Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie  
al. Wojska Polskiego 90  
70-482 Szczecin

ISSN 2719-6895

**Redakcja:**

*Leszek Dembek* (redaktor naczelny), *Danuta Sepuco* (sekretarz redakcji)

**Projekt okładki:**

*Do okładki wykorzystano obraz „Astral simulacra” Karoliny Dryps.*

*Zdjęcie obrazu i projekt okładki: Karolina Dryps.*

*Projekt plakatu „Antywojenny Manifest Literatów”: Zbigniew Jahnz.*

Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania zmian w tekstach zamówionych.

Niezamówionych artykułów nie drukujemy.

**Kontakt:**

[kontakt@zlpszczecin.pl](mailto:kontakt@zlpszczecin.pl)

**Druk:**

[printshop.szczecin.pl](http://printshop.szczecin.pl)

Rocznik „Pryzmat Literacki” współfinansowano ze środków

**Infra-Port sp. z o.o.** oraz **Towarzystwa Miłośników Doliny Rzeki Płoni**

Infra-Port | **sp. z o.o.**

## **Szanowni Czytelnicy!**

Trzecia edycja „Pryzmatu Literackiego” to swoiste preludium zasadniczego kierunku tego rocznika. Od początku jego istnienia zapowiadaliśmy, że głównym celem tego periodyku będzie prezentacja poezji i prozy naszego środowiska, więc w tym dziale zaczynamy od wierszy najmłodszych rocznika poetów, tj. od Anny Jakubczak, Edyty Rauhut oraz Sebastiana Rosy, to nasza utalentowana literacka młodzież.

W dziedzinie prozy przedstawiamy teksty nestora sceny literackiej Szczecina, Janusza Krzymińskiego, gościnnie Andrzeja Dzierżanowskiego z Wrocławia (współzałożyciela Grupy Poetyckiej Metafora – Szczecin 1956-1958), Róży Czerniawskiej-Karcz, Krystyny Rodzewicz (esej), Artura Justyńskiego oraz Roberta Artura Florczyka. Należy przy tym zaznaczyć, że to wytrawni nasi szczecińscy prozaicy. Nasze łamy są też otwarte dla prozatorskich debiutów, jak to jest w przypadku Andrzeja Połudzenia.

Wspominamy też ważnych dla naszego środowiska poetów i prozaików, Stanisława Nyczaja z Kielc oraz Aleksandra Nawrockiego z Warszawy.

*To nasi Literaccy Przyjaciele!*

*Przyjaźń nie gaśnie, nawet jeśli już ich nie ma razem z nami!*

Akcentujemy również ważne w tym roku jubileusze pracy twórczej – 70-lecia Janusza Krzymińskiego oraz 60-lecia kpt. ż.w. Józefa Gawłowicza. To ważni autorzy dla naszego miasta, i nie tylko. Pierwszy z nich to współzałożyciel słynnej Grupy Poetyckiej Metafora. Z kolei kapitan to znakomity marynista szczeciński, obok takich pisarzy (tworzących środowisko marynistyczne w oddziale ZLP) w ostatnim półwieczu, jak: Wiesław Andrzejewski, Eugeniusz Andrzej Daszkowski, Włodzimierz Grycner, Jerzy Pachlowski, Zbigniew Kosiorowski czy panowie Jerzy Jasiński oraz Wojciech Benon Jasiński.

Zamieszczony „Manifest Antywojenny”, który powstał z inspiracji szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich, to wyraz świadczący o tym, z jaką uwagą odnosimy się do wojny w Ukrainie. W tym kontekście polecamy interesujący tekst Wojciecha Czaplewskiego pt. „Dzień szczura”, który również odnosi się do kwestii wojny w kontekście literatury.

Podkreślamy, że Sejm ustanowił rok 2022 Rokiem Romantyzmu Polskiego. O tym „duchowym depozycie, jaki pozostawili nam romantyczni bohaterowie, artyści i myśliciele” pisze Wojciech Kral w swoim tekście „Utwory Stanisława Moniuszki do słów

Adama Mickiewicza – próba analizy”. Tekst zawiera też aspekty szczecińskie, odnoszące się do polskiego romantyzmu.

Polecamy także wywiad z reżyser Ewą Grabowską, asystentką Józefa Szajny, która przeprowadziła Danuta Sepuco. Nie może też ujść uwadze czytelnika wywiad Anny Jakubczak z poetką Anną Frajlich, aktualnie mieszkającą w Stanach Zjednoczonych.

W szkicu literackim autorstwa Roberta A. Florczyka na nowo odkrywamy postać Tymoteusza Karpowicza, który przebywał i tworzył w naszym mieście w latach 1946–1949.

Nie zapominamy też o naszej serii:akcent, o której pisze Edyta Rauhut w artykule podsumowującym 10-lecie istnienia naszego wydawnictwa.

Polecamy też uwadze Państwa inne interesujące teksty, a także te, których treści oscylują nie tylko wokół literatury.



Prezes ZLP O. Szczecin

## Spis treści

<i>Leszek Dembek</i> Światło literatury.....	9
---	---

---

### POŻEGNANIA

---

<i>Małgorzata Hrycaj</i> PRO MEMORIA.....	12
<i>Andrzej Walter</i> Odszedł Aleksander Nawrocki .....	15
<i>Anna Zielińska-Brudek</i> Pożegnanie Stanisława Nyczaja .....	17

---

### HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ

---

<i>Edyta Rauhut</i> 10 lat serii:akcent.....	21
<i>dr Wojciech Kral</i> Utwory Stanisława Moniuszki do słów Adama Mickiewicza – próba analizy.....	27

---

### PORTRETY

---

<i>Róża Czerniawska-Karcz</i> Jubileuszowo o kapitanie żeglugi wielkiej, Józefie Gawłowiczu stron kilka.....	33
--	----

<i>Artur D. Liskowacki</i>	
<b>Stanisław Wit Wiliński (1939-2007). Płomień i cień . . . . .</b>	<b>45</b>
<i>Robert Florczyk</i>	
<b>Nakarmcie ptaki w Szczecinie. O Tymoteuszu Karpowiczu. . . . .</b>	<b>51</b>
<i>Sandra Oszema</i>	
<b>Heinrich Ludwig Theodor Giesebrecht zapomniany poeta, filozof, historyk i nauczyciel ze Szczecina . . . . .</b>	<b>74</b>
<i>Roman Szymański</i>	
<b>Nim stał się Budyń . . . . .</b>	<b>84</b>

---

## WYWIADY

---

<i>Anna Jakubczak</i>	
<b>[Anna Frajlich] Poezja była mi zawsze bliska na swój sposób. . . . .</b>	<b>94</b>
<i>Danuta Sepuco</i>	
<b>[Ewa Sowiakowska-Grabowska] Moją inspiracją była i jest wolność. . . .</b>	<b>99</b>

---

## FELIETON

---

<i>Andrzej Maria Dzierżanowski</i>	
<b>Własny felieton . . . . .</b>	<b>111</b>

---

## REFLEKSJE

---

<i>Wojciech Czaplewski</i>	
<b>Dzień szcztura . . . . .</b>	<b>117</b>
<i>Andrzej Maria Dzierżanowski</i>	
<b>RABKA `38, `39... . . . .</b>	<b>125</b>

<i>Magdalena Bukowska</i>	
<b>Czerwonym długopisem</b> .....	132
<i>Leszek Dembek</i>	
<b>Januszowe, poetyckie smakowanie moreli</b> .....	136
<i>Anna Stankiewicz</i>	
<b>Z pamiętnika praktyka literatury 2</b> .....	144
<i>Andrzej Maria Dzierżanowski</i>	
<b>ZDARZENIA TRUDNE DO WYTŁUMACZENIA</b> .....	153
<i>Elżbieta Jusiewicz</i>	
<b>Fotoplastykon</b> .....	158

---

## POEZJA EKSPERYMENTALNA

---

<i>Sebastian Rosa</i>	
<b>(NIE)CZUŁY ALGORYTM</b> .....	169

---

## ESEJ

---

<i>Krystyna Rodzewicz</i>	
<b>Meandry</b> .....	173

---

## PROZA

---

<b>Janusz Krzymiński</b> .....	182
<b>Róża Czerniawska-Karcz</b> .....	189
<b>Artur Justyński</b> .....	198

---

## POEZJA

---

Anna Jakubczak .....	204
Edyta Rauhut .....	207
Sebastian Rosa .....	211

---

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

---

*Robert Rudiak*

Poetyckie zatrzymanie świata niezatrzymanego według Leszka Dembka .....	216
--	-----

XI edycja książek w serii: akcent, wydanych nakładem Związku Literatów Polskich Oddział w Szczecinie, w roku 2022 Redakcja i wstęp Róża Czerniawska-Karcz .....	223
---	-----

---

## DEBIUTY

---

*Andrzej Połudzień*

Ballada o Poranku .....	256
-------------------------	-----

---

## WYDARZENIA

---

*Danuta Sepuco*

Literaci objawiają wojnę .....	258
--------------------------------	-----

ANTYWOJENNY MANIFEST LITERATÓW! .....	261
---------------------------------------	-----

*Danuta Romana Słowik*

Nocne poetów spotkanie.....	263
-----------------------------	-----

*Małgorzata Hrycaj*

Galeria Jednego Wiersza .....	265
-------------------------------	-----



---

## Światło literatury...

---

Literatura nie może nie dostrzegać prób manipulowania, sterowania życiem ludzkim, jego prawem do wolności, samostanowienia, prawem wyboru. Musi również w swojej funkcji wcześniej rozpoznawać tendencje do odchodzenia od zasad podstawowych wartości przyjętych w cywilizowanym, demokratycznym świecie. Warto tu wspomnieć o dziele Platona „Państwo”, w którym został zaprezentowany „pierścień Gygesa”: *historia, która miała na celu zakwestionować wzniosłe i idealistyczne poglądy Sokratesa na temat uczciwych i sprawiedliwych ludzi*. Człowiek nie może stawać się ubezwłasnowolnionym, to narusza jego godność, poszanowanie jego wolności. Słowa muszą reagować, powinny dawać świadectwo niezgody na..., choćby to miało być najcichszym drżeniem mowy. Inaczej cała twórczość będzie miała (nosiła w sobie cień) zadkę przyzwolenia, chociażby była najbardziej doskonała, czego mieliśmy przykłady w historii nie tylko literatury. Grzechem ciężkim jest już milczenie, które równa się obojętności, a ta w konsekwencji staje się niebezpieczna. Wolności nie można nikomu zabierać, gdyż w swojej istocie rodzimy się wolnymi ludźmi. I każdy też ma prawo do reakcji, w ramach poszanowania innej osoby, gdy spotyka się z inklinacjami do ograniczania swobód obywatelskich. Ważne jest jednocześnie, aby nie bać się prawdy, która często nie do końca jest ukazywana, a wręcz zatajana. To powoduje lawinę niedomówień, powolnego staczania się w obszary dalekie od klarowności, od właściwego rozumienia istoty rzeczy. Słowa powinny oddawać właściwy sens, zgodny z ich znaczeniem, przypisanym do ich semantycznych źródeł, nie można zatem uprawiać sofistyki, która w konsekwencji prowadzi do niezrozumienia, powikłań znaczeniowych.

Literatura musi też nieustannie poszukiwać rozwiązań, które nie powinny powodować podziałów. Jej zadaniem jest dążenie do ich niwelowania, rozpoznawania zbieżnych punktów. Powinna nieść idee dialogu, wyrzekając się własnych, ludzkich uprzedzeń, kierować się empatią. Oświeclania innej perspektywy widzenia, niezrozumiałej w danym obszarze kulturowym, zwyczajowym i obyczajowym. To wymaga wysiłku, odporności i jednocześnie dużej empatii

wobec drugiego człowieka. Nie zawsze człowiek sam w sobie może znaleźć taką siłę, dlatego musi szukać oparcia na znanych sobie wzorcach, ideałach. Poeta, pisarz powinien stawać po stronie słabszego, reprezentować jego strefę wolności, która jest godnością, fundamentalną wartością, ale nieustannie zagrożoną. Jednocześnie jeden obszar wolności nie może ograniczać drugiej strefy wolności. I wielką w tym rolę literatury, twórcy, by znajdować takie drogi, ścieżki, przesmyki, które by prowadziły do wzajemnego zrozumienia złożonej rzeczywistości, niezależnie od wyznawanych wartości i światopoglądów. Tylko głęboka refleksja, w tym z udziałem literatury, przed którą stoi ogromne wyzwanie, może prowadzić do poszanowania różnych opcji w wielu trudnych kwestiach. Złożony problem wolności w rezultacie musi się równać tolerancji (dobrze pojętej) innych racji, aby zaistniała możliwość chociaż względnej koegzystencji różnych poglądów. Rolą nadrzędną jest tutaj poszanowanie humanistycznych ideałów, których naczelną wartością jest *piękno* (związane z teorią estetyki, prawdy i dobra). Nie możemy pozwolić na doprowadzanie do rozchwiania, destrukcji podstawowych wartości ludzkiej egzystencji, gdyż grozi to destabilizacją, a wręcz nieobliczalnymi skutkami, czego możemy tu i teraz doświadczać, patrząc na współczesną, globalną sytuację. Prawda musi znaczyć prawdę, chociaż w wielu wypadkach *cała prawda boli*. Inaczej będziemy błędzić, kiedy słowa nie będą aż do ostatniej litery znaczyły tego, co mają znaczyć! Dobro będzie odchodziło, a obszar piękna będzie się systematycznie zmniejszał, powoli zanikał.

Humanizm będzie się o d c z ł o w i e c z a ł!

Warto w kontekście tych rozważań przywołać dwie wypowiedzi:

Jean-Paul Sartre: *Pół wieku temu na pytanie, czym jest literatura, Sartre odpowiadał, że zaangażowaniem społecznym. Każdy utwór literacki według niego kryje w sobie nakaz kształtowania rzeczywistości. Jeśli autor wyraża treści utrwalające status quo lub głosi absolutną niezależność wobec historii i społeczeństwa, to opowiada się za całkowitą bezużytecznością literatury. Zadaniem literatury jest ukazywanie świata wraz z jego niesprawiedliwościami, konfliktami o charakterze politycznym, rasowym itp., i uświadomienie człowiekowi możliwości tworzenia historii w perspektywie „Królestwa Celów”. Stąd też pisarz, który działa przez odświeżanie, winien uczynić je działaniem świadomym – zaangażowaniem. „Literatura zaangażowana” to literatura odnosząca się do konkretnych problemów współczesności i współczesnego człowieka.*

*Pisarz winien pisać dla swojej epoki.*<sup>1</sup>

Daniele Giancane, „Dziennik Poety”:

*Otóż właśnie, dlatego poeta nie może być niczym innym jak tylko nieprzyjacielem ideologii. Wszystkich ideologii. Ideologia schematyzuje, kategoryzuje, oferuje za niewielką cenę interpretację świata.*

*(...) Poeta musi zademonstrować, że każdy człowiek jest światem, misterium, wobec którego należy się pochylić, niemal modlitewnie.*<sup>2</sup>

Światło literatury w swojej istocie winno wskazywać właściwe drogi, ścieżki, przestrzenie, których celem jest ocalenie człowieka i jego świata. Pisarz musi bowiem pamiętać o trzech przymiotach: mierze, formie i porządku (*modus, species, orda*), pomiędzy którymi zachodzi bardzo ścisła zależność.

---

1 <https://lubimyczytac.pl/ksiazka/104205/czym-jest-literatura>

2 Daniele Giancane, „Dziennik Poety”, s. 6-7, Wydawnictwo książkowe IBIŚ, Warszawa 2017.

---

## POŻEGNANIA

---

*Małgorzata Hrycaj*

---

## PRO MEMORIA

---

1 maja 2022 roku w wieku 81 lat odszedł Aleksander Nawrocki (ur. 1940 r.), polski poeta, pisarz, wydawca, tłumacz, wiele znaczący dla polskiej i światowej Kultury Słowa, zasłużony zwłaszcza w dziedzinie Poezji.

Absolwent filologii polskiej, węgierskiej i etnografii na Uniwersytecie Warszawskim, studiował także filozofię, socjologię, historię i archeologię; pogłębiał studia również na Węgrzech i w Rumunii.

Autor 18 tomów wierszy, 20 tomów wyborów wierszy oraz prozy wydanych za granicą, 2 tomów opowiadań, powieści „Cień jego anioła”, książki popularnonaukowej o szamanizmie syberyjskim, książki reportażowej „Jak zamordowano Imre Nagya (powstanie węgierskie 1965r.)” i razem z żoną Barbarą zbioru reportaży o Syberii „Jakucja i ja”.

Tłumacz z literatur: rosyjskiej, bułgarskiej, rumuńskiej, ukraińskiej, serbskiej, węgierskiej, fińskiej, angielskiej, francuskiej.

Uczestnik wielu prestiżowych międzynarodowych festiwali literackich: Struga (Macedonia), Warna (Bułgaria), Belgrad (Serbia), Izmir (Turcja), Kair (Egipt), Tver (Rosja), Kijów (Ukraina), Ryga (Łotwa), Wilno (Litwa), Bonn (Niemcy), Londyn (Wielka Brytania).

Aleksander Nawrocki z Małgorzatą Hrycaj (zdj. archiwum ZLP Szczecin).



Od r. 1992 właściciel Wydawnictwa Książkowego IBiS, od r. 1998 redaktor naczelny pisma „Poezja Dzisiaj”, w latach 2013 -2018 wydawca kwartalnika „Liry Dram”.

Wydawca głównie literatury współczesnej polskiej i zagranicznej, w tym antologii poetyckich: greckiej, hiszpańskiej, węgierskiej, fińskiej, rosyjskiej, ukraińskiej.

Autor i wydawca dzieła „Poezja Polska – Antologia Tysiąclecia” (3 tomy, 275 poetów, od „Bogurodzicy” do dzisiaj, 1800 stron). Współredaktor dwujęzycznej antologii poezji polskiej, wydanej w Rosji w serii „Iz wieka w wiek”, prezentującej antologie poetyckie 14 krajów słowiańskich.

Organizator Światowych Dni Poezji UNESCO (na których wybitnym poetom polskim, wręczana jest Nagroda „Laur UNESCO”, a zagranicznym Nagroda „Poezji Dzisiaj”, za przekłady poezji polskiej), współorganizator Warszawskiej Jesieni Poezji. Od 2008 r. organizator Festiwalu Poezji Słowiańskiej.

Odnaczony Złotym Krzyżem Zasługi; uhonorowany wysokimi odznaczeniami przez czterech prezydentów: Rzeczypospolitej Polskiej, Republiki Czeskiej, Węgierskiej i Republiki Jakuckiej. Łącznie laureat 22 prestiżowych nagród i odznaczeń krajowych i zagranicznych.

To tylko krótki zarys dokonań Aleksandra Nawrockiego.

My, literaci ze szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich, szczególnie odczuwamy jego odejście, jako Przyjaciela po piórze, należącego do

naszej związkowej „rodziny”, bowiem był on wieloletnim członkiem władz warszawskiego oddziału ZLP oraz Zarządu Głównego ZLP. Dzięki jego staraniom powstał Oddział Związku Literatów Polskich w Ciechanowie.

Owocnie układała się współpraca Aleksandra Nawrockiego z prezesem Związku Literatów Polskich Oddział w Szczecinie, Leszkiem Dembkiem, który był jego gościem podczas kilku edycji Warszawskiej Jesieni Poezji. Pan Aleksander żywo interesował się naszym Oddziałem, niejednokrotnie publikował wiersze szczecińskich poetek i poetów w „Poezji Dzisiaj”. W 2016 roku, w zorganizowanym, w ramach I Zachodniopomorskiej Wiosny Poezji, I Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Józefa Burszewicza „O Żółtą Metaforę” i „O Metaforę Szczecińską” został przewodniczącym jury tego konkursu. Natomiast w 2018 roku uświetnił inaugurację IV Zachodniopomorskiej Wiosny Poezji, która miała miejsce w Resku i była jednocześnie prapremierą XIX Światowego Dnia Poezji UNESCO w Polsce. W tym dniu odbyła się też promocja pisma „Poezja Dzisiaj”, które patronowało Spotkaniu i zawierało m.in. prezentację środowiska literackiego współdziałającego z ZLP w Szczecinie.

W 2009 roku Aleksander Nawrocki pisał w wierszu „Nie tylko o Stachurze”:

*Trzeba umrzeć, żeby usłyszeli twój oddech.  
Trzeba zamilknąć, by mogli powiedzieć:  
jak pięknie mówił.  
Zakpić z bólu i głóg objąć jak matkę,  
śmierci mówić miękko o przyjaciółach  
i mieć swoją gwiazdę, nieobecną w żadnym czasie,  
cudowną jak imię kochanki;  
biec za nią, poprzez gapiów,  
poprzez konsekwencję maszyn,  
do jednego słowa – ciepłego zbawienia  
od zbyt trywialnej trumny wszystkiego co fizyczne.”*

I dalej, w tym samym wierszu:

*„Śmierć jest modlitwą lękliwej nadziei.  
Ona twoją gwiazdę urzeczywistni,  
poza żartoczną obecnością ludzi  
w steranym Bogu.*

Aleksander Nawrocki zawsze mówi pięknie, szerzył szeroko pojętą Kulturę Żywego Słowa, nazywany był Ministrem Poezji. Wiemy, że miał swoją

Gwiazdę, tak nazywał zmarłą w 2020 roku ukochaną żonę – Barbarę Jurkowską, której nieobecność położyła się na jego życiu i działalności bolesnym cieniem. Wierzymy, że pobiegł za nią i rozmawiają o nas teraz miękko, czekając na nasze przybycie na Wieczystą Poetycką Ucztę.

Niech odpoczywają w Pokoju!

Pogrążeni w smutku Literaci ze szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich

*Andrzej Walter*

---

## **Odszedł Aleksander Nawrocki**

---

Zelektryzowała nas hiobowa wieść o odejściu Aleksandra Nawrockiego. Jak każda śmierć nadeszła ona: zbyt szybko, zbyt pochopnie, niespodziewanie i znienacka. Zaskoczyła nas, zaszokowała, dlaczego już teraz. Dla polskiej poezji to wielka, przeogromna strata. To strata dla jej: propagowania, uwielbienia, wdzierania się w jaźń i przestrzeń publiczną, dla jej wręcz uświęcania. Aleksander Nawrocki to właśnie z poezją czynił. Uświęcał Ją. Obwieszczał odważnie światu wszelkie odcienie Jej sacrum. Podnosił ją do rangi siły sprawczej wszelkiego Przemienienia, do ideału nad ideałami, do mocy zdolnej unicestwić marazm i zastój tego świata.

Tak, nie przesadzam. Aleksander poświęcił Jej całe swoje życie w czasie aktywności i w czasie snów. Sny przemieniał w rzeczywistość. Organizował spotkania, konkursy, festiwale. Zawsze prowokował do wzbudzania dialogu, zaangażowanej dyskusji i polemiki sprawczej. Pobudzał do szukania rozwiązań i kluczy do naprawy tego, co się jeszcze dało naprawić, a nawet jeśli się nie dało, to chciał abyśmy my nadal mieli marzenia co do roli i znaczenia poezji na świecie. Aleksander Nawrocki podpisał cyrograf. Swoisty pakt ze słowem i jego przemianą w piękno poezji. Nauczył mnie, że jej okrucichów, przejawów

i sygnałów można doszukać się wszędzie, że nie wolno być zamkniętym na jeden timbre i stylistykę, którą się lubi i rozumie, ale i na wszelkie inne, obce i trudne w odbiorze językowe i uczuciowo-emocjonalne odmienności. Z jednym wszakże zastrzeżeniem, że całość musi zawsze posiadać jakiś sens i znaczenie, jakiś przekaz dla ludzi i świata. Poezja była bowiem dla nas, ludzi, przez nas tworzona i do nas skierowana. Nas miała przecież ocalić. Chciałem tu i teraz, niejako na gorąco, oddać hołd Panu Aleksandrowi, Aleksandrowi, człowiekowi, który opiekował się nami wszystkimi, w tym nawet tymi, których nie lubił. Jeśli pisali, dobrze pisali, zawsze musieli wpaść w sieci Aleksandra. Aleksander Nawrocki był w poezji Wielkim Rybakim i prawie jak Święty Piotr prowadził nas w dzisiejszym świecie w te wszystkie katakumby nieistnienia. Poruszały niebo i ziemię, żeby tylko ktoś się poetą zainteresował, żeby tylko ktoś poetę nakarmił, żeby tylko ktoś go wydał. Nie było dla niego rzeczy i spraw niemożliwych.

Często się spieraliśmy, warczeliśmy do siebie, burczeliśmy pod nosem, ale zawsze jednoczył nas ten jeden cel. Po latach zespoliło nas to i umocniło. Taka święta polemika i zakochanie w jednym świecie. A teraz pozostał tylko żal, żal że już się nie spotkamy, że nie wręczymy żadnej Nagrody, że nie będzie już komu tak walczyć dla Poezji. Żal i pustka. Taka kolej rzeczy. Życie i śmierć. Splecione nieodwołalnie.

Aleksandrze Nawrocki – cześć Twojej Pamięci i dziełu, któremu poświęciłeś Wszystko. Obaj wiemy, że było warto, chyba nie warto (?), ech, jednak warto...

Materiał wspomnieniowy Andrzeja Waltera był publikowany pierwotnie na łamach „Gazety Kulturalnej” [www.gazetakulturalna.zelow.pl/index.php?start=63](http://www.gazetakulturalna.zelow.pl/index.php?start=63)



## Pożegnanie Stanisława Nyczaja

---

### Być razem to pamiętać

---

Ostatni telefon ode mnie odebrał kilka dni przed śmiercią. Wiedziałam, że zмага się z ciężką chorobą. Pomagałam w miarę możliwości ją przetrwać, nie dopuszczając myśli, że to już ostatnie godziny mojego przyjaciela. Znam to uczucie, bo doświadczyłam go przy łóżku ojca, wiem jak jest osobiste i bolesne. Targały mną sprzeczności – odwiedzić go po raz ostatni, czy swoją osobą nie zagłuszać tajemnicy umierania. Rozpoczął od pytania: „Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?”. Tak, to było latem w 1984 roku w Gdańsku. To jego autorski pomysł literackich warsztatów dla nauczycieli piszących wiersze. Ze strachem poddawałam się ocenie, która nie była totalną krytyką lecz przyjazną i trafną wskazówką oraz zachętą do pracy nad sobą. Staszek oceniał wartość dorobku wszystkich uczestników twórczego zlotu. Może jego subtelne i celne uwagi spowodowały, że pokochałam wierszowane strofy? A może słowa, które noszę do tej pory w sercu „Poczekaj Aniu! Jeszcze te najlepsze wiersze przyjdą tłumnie i Cię nie opuszczą”. Choć jako pomysłodawca spotkania oblegany przez chętnych do oceny swoich prac, to ze mną prowadził długie rozmowy.

### CIĄGLE WYCIĄGNIĘTE RĘCE DO DRUGIEGO

---

Opowiedział dramatyczną historię czasów wojny. Operację oczu, która uratowała mu wzrok tylko dlatego, że matka Kazimiera nadludzkim wysiłkiem starała się o chleb, masło, cukier, bo to one, a nie pieniądze miały wtedy największą wartość. Podziękowaniem za to są dla niej dwa wiersze „Najcichsza odwaga” oraz „Ocaleni”, które mogą służyć jako dziękczynny wzór złożony kochanej osobie. Fragmenty: – *Nie pamiętam już synu – mówiłaś po latach /-jak, zmarznięta, zmęczona dobrnęłam do naszych / i świt ozłocił radość, że ocaleliśmy/. Zaciskam los mój w dłoni, Mamo, obłaskawiam/ lęki, bo wart wszystkiego, co byś*



Stanisław Nyczaj i Anna Zielińska-Brudek (zdj. autorka)

*mi życzyła. /Oto świat pomniejszony do jednego tylko Twojego pragnienia Matko bym przejrzał/.* Operacja, którą przeszedł wryła się w jego mózg wyciem silników niemieckich bombowców. Opisał to w wierszu „Gruzy” /gruzy wokół nas i w nas/.

Dwa lata później spotkaliśmy się na kolejnym seminarium w Kazimierzu Dolnym. Utkwiła mi mocno w pamięci wizyta u Marii Kuncewiczowej. Szybko się zorientowałam, że Staszek nie po raz pierwszy przekraczał kroki tego domu. Luz, dowcipy, aforyzmy i ciągle wyciągnięte ręce do drugiego. Jego radość emanowała na każdym kroku.

Po tym spotkaniu nasze drogi rozeszły się na ponad dwadzieścia lat. Przebieżyły w Pałacyku Zielińskich w Kielcach, gdzie szukałam odskoczni od policyjnego drylu, zanurzając się w klimaty literackich i poetyckich spotkań. Powitaliśmy się jak starzy znajomi, rozmowom o minionych latach i twórczym dorobku nie było końca. Wtedy to, po kolejnym spotkaniu w domu Ireny i Stanisława Nyczajów, postanowiłam pogodzić dwa odległe światy i służąc w policji otworzyć drzwi do poezji. Otworzyć w sensie dosłownym: szufladę, w której nagromadziłam mnóstwo wierszy, były wśród nich nagradzane i publikowane. Kiedy je przeczytał powiedział: „W sam raz na wydanie tomu poezji”. Poczułam ogromną ulgę, bo powrót do pisania zaspokoił moją wewnętrzną potrzebę wolności i uwolnił ze złych emocji. Dzięki niemu znalazłam odskocznnię od nietrzeźwych kierowców, karnych punktów i postawie na bacność. Mobilizowana przez Staszka wydawałam kolejne tomiki poezji.

W 2015 roku zostałam przyjęta do Związku Literatów Polskich, jako jedyna w Polsce policjantka. Nie bez satysfakcji i radości, bo spośród ponad 30 rekomendacji znalazłam się w gronie 11 przyjętych w poczet literatów polskich. Powiedział „Widzisz, Aniu, cierpliwość i upór jest cnotą, za talent nagroda”. To była tylko niewielka cząstka jego mądrości i dobroci. Nie byłam jedyna, którą kierował i uruchomił twórczy proces i literacki niepokój. Uta Przyboś, córka Juliana Przybosa, wybitnego Polskiego poety, także nie kryje, że to Staszek zainspirował ją do pisania. Bolesnie przeżywała jego chorobę. W ostatnich dniach dzwoniła wielokrotnie do mnie z pytaniem o zdrowie z chęcią niesienia pomocy. Śp. Bogdan Gumowski, z którym wielokrotnie rozmawiałam, często podkreślał, że pisanie stało się jego pasją dzięki Nyczajowi. Podobnie jak znany kielecki pisarz Grzegorz Kozera, którego dramat śmierci w metafizyczny sposób połączył ze Staszkiem, bo dwie godziny przed jego pogrzebem, na tym samym cmentarzu złożył ostatni hołd ukochanej żonie.

---

## CZUŁAM W NIM BRATNIĄ DUSZĘ

---

Wracając do wspomnień – pamiętam, że podążałam za jego myślami, bo to dawało odskocznię od policyjnych zależności i wprowadzało w niezależny świat wartości i uczuć, które były mi bliskie i ponad wszystko ceniłam. Coraz częściej biegłam po służbie na rozmowy z nim, z Irenką i ich synem Pawłem, zawsze ciepło przyjmowana, w trudnych chwilach, pocieszana, dzieląc się przeżyciami jak z rodziną. Zdziwiona słuchałam muzycznych akordów, jakie wydobywał ze stojącego w rogu pianina. Ukończył siedem klas szkoły muzycznej. Posiadał niewątpliwie talent, jednak ze względu na wadę wzroku musiał zaniechać dalszej nauki. Bardzo to przeżył. Częste rozmowy z nim pozwalały poznać tajniki pracy Staszka, tytanicznej pracy. Oddział kielecki ZLP stał się dzięki niemu jednym z najliczniejszych w kraju, a ze względu na atmosferę dołączały do niego osoby z Warszawy, Krakowa czy Nowego Sącza. Pierwiastkami swojej twórczości zapełniał dziesiątki miejsc: Szklany Dom w Ciekotach, Festiwal Poezji Słowiańskiej, Centrum Władysława Hasiora w Zakopanem, a nawet historyczne miejsce w Jałcie nad Morzem Czarnym. To tylko niektóre z miejsc, gdzie słuchano i podziwiano jego poetycko-literacki talent. Nie można nie wspomnieć o szczególnej opiece, jaką otoczył ludzi niedowidzących, a jednocześnie pragnących przekazać swoją wrażliwość anonimowemu dla nich otoczeniu. Wraz z Arkiem Szostakiem organizował dla nich cykliczne spotkania, a ciepłem i uczuciem zachęcał do pisania, za co byli mu dozgonnie

wdzięczni. Osoby, których los pozbawił najwspanialszego daru poznawczego opisywały świat na podstawie swoich wyobrażeń! Czy może być coś bardziej wzruszającego jak opis rzeczywistości, której się nigdy nie widziało? Której się nie zna? Nazywał ich „Braćmi w biedzie”. Może dlatego, że sam miał podobne doświadczenia? Miałam wielkie szczęście uczestniczyć w corocznych, wigilijnych spotkaniach w WDK w Kielcach. To tutaj zorganizował rzecz bez precedensu, jaką były prezentacje audiowizualne poświęcone literaturze, nagrywane w najgorszych czasach niedawnej pandemii, rozsyłane do szkół w nadziei, że wielka pustka w kontaktach zostanie przerwana, bo daje możliwość medialnego zbliżenia. To tylko mały wycinek jego pracy i pasji. Kiedyś podczas rozmowy zapytałam go: Powiedz mi szczerze skąd w tobie tyle nadludzkiej siły, dlaczego to wszystko robisz? „Z obowiązku wobec mądrości, a wbrew tandecie i pospolitej głupocie” – usłyszałam. Kolejne credo, które mocno zapadło mi w pamięć. Może to postępowanie spowodowało, że kielecki oddział ZLP stał się jednym z najliczniejszych w kraju i przyciągał ludzi pragnących oddychać jego atmosferą? Zgromadził ludzi wrażliwych, indywidualistów krańcowo różnie oceniających rzeczywistość, jej obraz, różnych form przekazu rozpiętego nieomal na sprzecznościach. Jednak pomimo różnic tworzą dzisiaj rodzinny zespół potrafiący się jednoczyć w trosce o dobro szeroko pojętej kultury. Tradycyjnie niedocenianej, a w ostatnim czasie szczególnie. To na naszych oczach odbywa się przecież szukanie nowych elit, najczęściej spośród posłusznych. Posłuszni to przecież bezwolni, a bezwolni to – niestety – bezmyślni.

Dlatego szczególnego znaczenia nabiera słowo BYĆ, które jest tytułowym wierszem Stanisława. Nigdy jak dotąd potrzebujemy Nyczajowskiego przesłania, aby w tym świecie „nie poddać się”, „nie ugiąć”, „przejąć samego siebie” i „ratować ten świat tonący we łzach”.

*Nigdy nie wiadomo, kiedy najlepiej przyjść na ten świat, by potem zeń odejść  
z wycięsko  
(z tomu poezji „Żarliwy niepokój” Stanisława Nyczaja)*

Materiał wspomnieniowy Anny Zielińskiej-Brudek został opublikowany pierwotnie na łamach „Gazety Wyborczej” Tygodnik Kielce, 8 kwietnia 2022 r.

---

# HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ

---

*Edyta Rauhut*

---

## 10 lat serii:akcent

---

**W 2022 roku mija dziesięć lat od pierwszej, opublikowanej książki w serii:akcent, nakładem szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich – „Poezją most buduję” Barbary Teresy Dominiczak. (...) myśleliśmy, że może kilka książek uda nam się wydać... (...) – wspomina Róża Czerniawska-Karcz, poetka, prozatorka, publicystka, animatorka kultury i redaktorka serii.**

I udało się! Na samym początku, w 2012 roku nie zakładano jeszcze, że projekt wydawniczy będzie taką wieloletnią działalnością, a jednak. Seria miała 11 edycji, ukazało się osiemdziesiąt jeden książek, a redaktorze serii, Róży Czerniawskiej-Karcz nadal pracy nie brakuje. Nie tylko opracowuje redakcyjnie książki autorek i autorów, dokonuje korekty i pisze wstępy, ale też współpracuje z wydawcami: Wydawnictwa „Akcydens” od 2012 do 2014, a od 2014 r. już nieustannie z Arturem Piskatą w Wydawnictwie hogben. Do niej należy również organizacja i realizacja promocji wychodzących książek.

Prezentacje odbywają się najczęściej w INKU Inkubatorze Sektorów Kreatywnych (dawniej: Szczecińskim Inkubatorze Kultury) i w murach Pałacu Młodzieży – Pomorskiego Centrum Edukacji w Szczecinie, w ramach cyklu spotkań W PAŁACU *literacko* (85 spotkań), także w Książnicy Pomorskiej, w Promediach, w Kubryku literackim na Łasztowni (antologia marynistyczna),

w Klubie 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej, w bibliotece w Policach, kilka spotkań w kawiarnioksięgarni „Między wierszami”.

---

## Pierwsze kroki w serii:akcent

---

Pomysł na serię wydawniczą wziął się... z przypadku. Jak opowiadała Róża Czerniawska-Karcz w rozmowie z Rafałem Podrazą, która została opublikowana na łamach *Prestiżu* w maju 2013 roku: (...) *Pozyskaliśmy niewielkie fundusze z Urzędu Miasta na projekt literacki, który okazał się nie do zrealizowania. Należało więc szybko wymyślić coś zastępczego. A ponieważ w szczecińskim oddziale Związku Literatów Polskich, jak w każdym innym środowisku literackim, cierpi się na niedosyt wydawniczy dzieł swoich autorów, to taka inicjatywa była olśnieniem.*

W pierwszej edycji serii, czyli w 2012 roku ukazało się pięć tomów poezji. Dwa z nich są autorstwa twórców z dorobkiem – *Poezją most buduję* Barbary Teresy Dominiczak, poetki, publicystki, polonistki i animatorki kultury i *bilans. 1987-2012* Rafała Podrazy, poety, dziennikarza, biografą i animatora kultury. Warto zaznaczyć, że z dofinansowania Miasta Szczecin wydano pierwszy z wymienionych. Trzy pozostałe tomy, to debiuty twórców, którzy w tamtym czasie byli kandydatami do szczecińskiego ZLP: *Krzyk światła* Magdaleny Sowińskiej, poetki, malarki, autorki etiud, pedagogożki i technika organizacji reklamy, *Klamra czasu* Zbigniewa Jahnza, poety, fotografika, plastyka, byłego żołnierza zawodowego i *Zdążyć przed ciszą* Janusza Kowalkowskiego, poety. Z tych – dwie pierwsze w ramach wspomnianego wcześniej dofinansowania także.

Jak przyznaje Róża Czerniawska-Karcz w rozmowie ze mną, na początku nie wiedziała, że powstanie seria wydawnicza: (...) *myśleliśmy, że może kilka książek uda nam się wydać... (...)* Jednak kolejny rok pozwolił na kontynuację projektu i ukazały się kolejne książki. Decyzją Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Szczecinie zdecydowano, że w serii będą wydawani poeci i prozaicy spośród członków rzeczywistych i kandydatów działających na rzecz środowiska.

---

## Dalsze losy na szczecińskim rynku wydawniczym

---

W rozmowie we wspomnianym już *Prestiżu*, redaktorka zapowiadała kolejne tomy-debiuty: Katarzyny Chabowskiej *Rozbłąski posenne*, Zdzisławy



(zdj. Adrianna Rauhut)

Gierszał *Pomiędzy* i Piotra Pawłowskiego *Po co komu poezja?* oraz swój, już 8. tomik wierszy *Skrawki Czasu*. Do dziś wydano w serii:akcent osiemdziesiąt jeden książek. Twórcą graficznym serii był Zbigniew Jahnz, który pozostaje grafikiem edycji i projektantem wielu okładek. W kolejnych latach zmieniały się szczegóły edytorskie, okładka uzyskała skrzydełka z autorską notą biograficzną i zdjęciem, wiele tomów jest ilustrowanych przez autorki czy autorów obrazami własnymi lub przez zaproszonych artystów.

*(...) wcześniej zdążyłam nabrać doświadczenia w sprawach wydawniczych. Przez 10 lat razem z koleżanką realizowałam i wydawałam przy okazji projektów kulturalnych w szkole, poetyckie arkusze pokonkursowe. Potem były konkursy „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”. Także zlecane sporadycznie redakcje i korekty różnych książek. Te doświadczenia dodały mi odwagi do poruszania się w przestrzeni redaktorskiej, korektorskiej i wydawniczej (...)* – opowiadała o swoich początkach Róża Czerniawska-Karcz w rozmowie opublikowanej w 2018 roku na blogu *Edis Anonima Art*.

Seria:akcent powstała w trakcie kadencji Róży Czerniawskiej-Karcz na stanowisku prezeski i Rafała Podrazy na stanowisku wiceprezesa w latach

2011-2015 w oddziale szczecińskim ZLP. W tym czasie wydano trzydzieści sześć książek. Wśród nich były zbiory wierszy, prozy poetyckiej, powieści, a nawet dwie antologie. Książki ukazują się po dziś dzień. W 2022 r. książki wydawane są w ramach jedenastej edycji serii:akcent. Należy podkreślić, że w omawianym czasie kolejne zarządy szczecińskiego oddziału właściwie kształtowały działalność wydawniczą i dalej to czynią.

---

## Co znajdziemy w zbiorach wydawnictwa?

---

Do tej pory swoje książki w serii:akcent wydało trzydziestu pięciu autorów: Barbara Teresa Dominiczak, Rafał Podraza, Magdalena Sowińska, Zbigniew Jahnz, Janusz P. Kowalkowski, Zdzisława Gierszał, Katarzyna Chabowska, Piotr Pawłowski, Róża Czerniawska-Karcz, Wojciech B. Jasiński, Bartosz Karcz (współautor), Leszek Dembek, Edward Siekierzyński, Robert A. Florczyk, Adam W. Siedlecki, Tadeusz Szklarski, Sebastian Rosa, Krystyna Wajda, Małgorzata Goluda, Sławomir Kokorzycki, Krystyna Rodzewicz, Zenon Lach-Ceraszyński, Bogusław Janiczak, Helena Pilarska, Danuta-Romana Słowik, Mirosław Strągowski, Edyta Rauhut, Eugeniusz A. Daszkowski, Małgorzata Hrycaj, Barbara Moraczewska-Jankowska, Anna Słowińska, Anna Jakubczak, Artur Justyński.

W serii ukazywały się również zbiory wierszy poetów, których w czasie wydawania książek z nami nie było. Na uwagę zasługuje przygotowany przez Adama Wiktora Siedleckiego, poetę i inżyniera, zbiór wierszy *W czótnie Słowa*. Znajdują się w nim utwory Mariana Yopha-Żabińskiego, poety, prozaika, dziennikarza, krytyka literackiego i redaktora. Jak pisze Siedlecki: (...) *Niniejsza książka, tak jak wykonana i odstonięta tablica pamiątkowa w Policach, jest kolejnym osobistym podziękowaniem Nauczycielowi oraz dobrym trafem wpisuje się w okoliczność uczczenia 70. rocznicy jego urodzin* (...) Autorką wstępu – jak w wielu wcześniejszych i późniejszych publikacjach – jest Róża Czerniawska-Karcz.

W serii:akcent została wydana też inna książka – jedyny tom wierszy poety, który nie zdążył już wziąć go do rąk – *Koncert na deszcz i wiatr* wydany w 2015 roku. To zbiór wierszy Janusza Kondratowicza. Pomysł na wydanie jego poezji zrodził się podczas rozmowy-rzeki do publikacji *Wieczór nad rzeką zdarzeń*. W lutym 2014 roku Rafał Podraza w archiwach swojego rozmówcy odnalazł teczkę pożółkłych maszynopisów i wycinków prasowych z wierszami. Za zgodą poety i jego żony, Anny Kondratowicz, zabrał je do redakcyjnego opracowania



w serii. Tomik miał się ukazać dla uczczenia siedemdziesiątych piątych urodzin poety, jednak autor zmarł 2 lipca 2014 roku. Książkę ilustrują obrazy Vincenta van Gogha. Jak pisze we wstępie Czerniawska-Karcz (...) *Wśród setek wierszy satyrycznych, ballad i tekstów piosenek, wśród fraszek i poematów, liryków i erotyków było w czym wybierać. Postanowiłam pokazać Janusza Kondratowicza jako poetę liryka, poetę wśród grona jemu podobnych, z którymi lubił obcować, miał za mistrzów albo przyjaciół (...).*

Jedną z dwóch antologii, które się ukazały w opisywanej serii była ta podsumowująca konkurs *O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej*. Rafał Podraza, w styczniu 2010 roku, zainicjował zorganizowanie dla młodzieży Regionalnego Konkursu Poetyckiego *O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej*. Zrealizowano go w tym samym roku. Współorganizował go razem z Różą Czerniawską-Karcz pod patronatem Pałacu Młodzieży i czasopisma Miesięcznik Pedagogiczny DIALOGI. W następnych latach odbyły się jeszcze cztery edycje tego projektu, ale już ogólnopolskie i z dofinansowania ze środków Miasta Szczecin. Rozstrzygnięciom towarzyszyły wydarzenia kulturalne związane z twórczością patronki konkursu. W przypadku pierwszych czterech edycji wydawano almanachy, a to właśnie po piątej ukazała się w serii: akcent: *Antologia „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”* z nagrodzonymi wierszami laureatów ze wszystkich edycji.

W szczecińskim oddziale ZLP jest również wielu marynistów. Nie ma więc co się dziwić, że w serii: akcent ukazała się antologia marynistyczna ...z *Ziemi i z Morza* w 2015 roku. Na 60-lecie oddziału w Szczecinie ZLP wydano *Szczecin Literacki 1950-2015*, informator, który stanowi źródło informacji na temat działalności Związku na przestrzeni wspomnianych lat.

---

### Pomimo sporów...

---

Pominiemy etap pisania, bo ten należy do piszącej autorki lub autora... A proces wydawniczy zaczyna redaktorka, czyli Róża Czerniawska-Karcz. Po zapoznaniu się z tekstem zazwyczaj następują pierwsze rozmowy z autorem i korekty tekstu. Na pytanie, czy zdarzały jej się spory z autorami odpowiada: (...) *Niektórzy nawet „bronili swoich racji, jak niepodległości”. Ale nie było żadnych zażartych sporów, raczej byliśmy zgodni, że chcemy wydać te dzieła jak najlepiej, najpiękniej, najpoprawniej. Wszystko odbywało się w życzliwej atmosferze.*

Oczywiście, ze swojej strony przekonywałam do jakichś drobnych poprawek, ale najczęściej były to rzeczy formalne, typu ujednolicenie pisowni, czy interpunkcji. (...)

Efektom długich rozmów, pracy autora, ilustratora i redaktorki są książki, których już jest cały zbiór. A w perspektywie są kolejne. Książki z puli promocyjnej, dofinansowanej przez Miasto Szczecin trafiają do bibliotek szczecińskich, w tym szkolnych, i polickich. Ale nie tylko – są nagrodami w konkursach, w tym PARNAS SZCZECIŃSKI we współpracy ze Stowarzyszeniem Nauczycieli Polonistów oraz „Na List Pisany Odręcznie” w Kruszynie/Bolesławcu. Recenzje o książkach i promocjach ukazują się w prasie, w „Dialogach”, na portalu SzczecinCzyta.pl, przez pięć lat były promowanie w TVP Szczecin w *Kąciku literackim*.



Książki wydawane w serii:akcent są zgłaszane do nagród literackich, między innymi tomy poezji do Nagrody Poetyckiej im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, na najlepszy tom roku – ORFEUSZ. Nagroda jest przyznawana za wybitne osiągnięcia współczesnej polskiej liryki. Wydawane książki zgłaszane są również do Nagrody Literackiej *Gryfia* organizowanej przez „Kurier Szczeciński”. Kolejną nagrodą, do której zgłaszane są publikacje jest Nagroda Literacka *Jantar*, która przyznawana jest autorom z województwa zachodniopomorskiego i związanym z regionem od roku 2019. Publikacje książkowe proponowane są także członkom jury Nagrody im. Wisławy Szymborskiej, która ma już charakter międzynarodowy. Przyznawana jest w kategoriach za książkę poetycką napisaną w języku polskim i za książkę tłumaczoną z języka obcego (co dwa lata).

Zaletą książek wydawanych w serii:akcent jest niewątpliwie nieszabloność, która wynika z różnorodności stylów autorów. Dzięki temu wyróżniają się one na tle publikacji ukazujących się na rynku komercyjnym. Jak mówił Rafał Podraza w rozmowie o książce *Tango Notturmo ... z gramofonowej płyty*, o współpracy z Różą Czerniawską-Karcz i Arturem Piskatą: (...) *padła propozycja, podjąłem wyzwanie – narodziła się książka. Lubię pracować z profesjonalistami, tutaj ich mam. (...) Książki wiele wnoszą do świata literackiego Szczecina.*

---

## Utwory Stanisława Moniuszki do słów Adama Mickiewicza – próba analizy

---

W bieżącym roku mija dwieście lat od wydania pierwszego dzieła poetyckiego Adama Mickiewicza *Poezje*, które zawierało *Ballady i romanse*, a także przedmowę *O poezji romantycznej*. Wydarzenie to wyznaczyło nowe drogi dla polskiej literatury, ale i muzyki. Mimo dość niewielkich rozmiarów (14 utworów poetyckich) ukazanie się tego tomiku w Wilnie w roku 1822 jest uznawane za datę przełomową i początek polskiego romantyzmu. Urodzony trzy lata wcześniej Stanisław Moniuszko mógł poznawać więc poezję Mickiewicza już od dzieciństwa i był z nią zaznajamiany przez swoich rodziców i bliskich.

Teksty Mickiewicza wzbudzały w XIX-wiecznej, podzielonej przez zaborców Polsce uczucia patriotycznego uniesienia i entuzjazmu. Warto jednak zauważyć, że Moniuszko, wybierając teksty do swych pieśni w poezji Mickiewicza, unikał tematyki silnie politycznej. Z pewnością było to związane z ostrą cenzurą, która mogła utrudnić kompozytorowi dotarcie do publiczności. Mimo tego wiersze Mickiewicza były czytane, recytowane, przepisywane, pisano do nich muzykę, stawały się fermentem



(zdj. <https://zpe.gov.pl/spiewniki-domowe>)

ruchów narodowych i społecznych. Oczywiście, wiele tematów nie mogło być poruszanych bezpośrednio. Sprawiało to jednak, że wielkiego znaczenia nabierała symbolika, podtekst, treści zawoalowane. Mogła to być też muzyka o charakterze narodowym – Moniuszko często nadawał swoim pieśniom rytmy polskich tańców lub stosował po prostu stylizacje ludowe. Do słuchacza przemawiał też tekst poetycki, czasem w romantyczny sposób opisujący przyrodę, przywołujący postacie legendarne lub baśniowe. Oczywiście pieśni Moniuszki można podzielić na wiele grup i podgrup, jednak skupimy się teraz na podziale na dwa główne typy. Pieśń romantyczna na głos solowy (czasem dwa głosy) z towarzyszeniem fortepianu to u Stanisława Moniuszki 1) pieśń epicka, balladowa, o dramatycznym charakterze, zaprojektowana jako dłuższe dzieło, z częstymi zmianami tempa, rytmiki, tonacji albo też 2) pieśń liryczna, skupiająca się bardziej na nastroju niż na akcji, czasem krótka, zwrotkowa bądź też refrenowa.

Trzy pieśni do słów Mickiewicza wydane w Berlinie przez dziewiętnastoletniego Stanisława można uznać za debiut kompozytorski Moniuszki. Kompozytor wydał je w 1838 roku w oficynie Bote&Bock dzięki protekcji swojego nauczyciela, Carla Friedricha Rungenhagena. Są to pieśni: *Niepewność*, *Sen* i *Moja pieszczotka*<sup>3</sup>. Należą one do typu pieśni lirycznej i nie posiadają charakteru epickiego. Niekiedy Moniuszko w takich pieśniach usuwa niektóre zwrotki, w których następują zmiany nastroju, co wymagałoby użycia bardziej skomplikowanych środków muzycznych (tak jest np. w pieśni *Niepewność*). Co ciekawe, pieśń pt. *Moja pieszczotka* skomponował też Fryderyk Chopin, ale później niż Moniuszko, bo w roku 1847. Była to ostatnia pieśń skomponowana przez Chopina, wydana pośmiertnie jako opus 74. Wreszcie to pełny tekst *Niepewności* Mickiewicza opracowany został muzycznie w bliższych nam czasach przez Marka Grechutę.

Pieśni epickie, balladowe w twórczości Moniuszki są rzadsze, ale ich znaczenie jest ważne. Są zwykle dłuższe, zróżnicowane muzycznie. Taka jest pierwsza pieśń, otwierająca pierwszy zbiór pieśni, czyli *I Śpiewnik domowy*, w której użył Moniuszko również tekstu Mickiewicza. Jest to *Świtezianka* – rozbudowana ballada i najdłuższa pieśń na głos z fortepianem w twórczości Moniuszki. To tekst bardzo rozbudowany i obszerny, sam wiersz Mickiewicza ma 38 strof, napisany strofą stanisławowską, o charakterystycznym układzie wersów i sylab (10+8+10+8). Dla uniknięcia monotonii kompozytor musiał

---

3 T. Baranowski, *Moniuszko 1819-1872*, s. 27, w: *Moniuszko Kompendium – Osoba i dzieło Stanisława Moniuszki we współczesnej perspektywie*, red. R.D. Goliańek.

zastosować cały wachlarz środków muzycznego wyrazu. Ballada wymaga dramatyzmu, zmian tempa, modulacji, rytmiki. Rozpoczyna się akompaniamentem, wprowadzającym w nastój tajemniczego jeziora. Młody Moniuszko postawił sobie ambitne zadanie, opracowując całość Mickiewiczowskiego wiersza. Zpełnym kontrastem do tak rozbudowanej i dramatycznej ballady rozpoczynającej *I Śpiewnik* jest pieśń nr 9 – *Panicz i dziewczyna*. Ta żartobliwa piosenka miłosna napisana została do tekstu ułożonego przez Adama Mickiewicza, gdzie jednak autorem pierwszych dwóch zwrotek jest inny poeta-filareta, Antoni Edward Odyniec.

W *III Śpiewniku domowym* znalazło się napisane do tekstu z *Dziadów* Mickiewicza *Duettino (Naprzód ciebie wspomina co chwila)*. Dalsze kompozycje do słów Mickiewicza to *Zosia (Tu niegdyś w wiosny poranki)* [IV ŚD, nr 2] i kolejne duettino (*Na głowie mam kraśny wianek*, V ŚD) świadczyć mogą, że Moniuszko był zafascynowany postacią Zosi, tajemniczej, pierzchliwej dziewczyny, portretowanej przez Mickiewicza w *Dziadach*. Jest to jednak portret, ilustracja, a nie utwór epicki, jakim jest *Świtezianka*. Tak powstała pieśń refrenowa, gdzie sam refren nie wyraża dosłownie nic, jest tylko idylliczną przyśpiewką (*La, la, la lala*), pokazuje beztroskę bohaterki. Utwór nie ma własnej akcji, jest krótki, cztery zwrotki są tylko przyśpiewkami, kupletami śpiewanymi na tę sama melodię.

W czwartym *Śpiewniku domowym* znajduje się też jedna z najstynniejszych pieśni Moniuszki, mianowicie *Znasz-li ten kraj*, napisana do wiersza Johanna Wolfganga Goethego, przełożonego na język polski przez Adama Mickiewicza. Ten kongenialny przekład stał się kojarzony z twórczością Mickiewicza, ale też z muzyką Moniuszki. Jest to też przykład typowej dla Moniuszki pieśni lirycznej, opisującej pewnego rodzaju krajobraz. Tu jest to obrazek rodzajowy, przedstawiający Italię, cyprysy, porośnięte bluszczem rzymskie ruiny. Do wierszy Mickiewicza powstały również dwa swojskie obrazki rodzajowe – pieśni, w których tytułach znalazły się dwie litewskie rzeki – Niemen i Wilia. W obu pieśniach akompaniament naśladuje szmer rodzącej się rzeki, jednak w Wilii jest on drobniejszy. Moniuszko zamieścił je w *VI Śpiewniku domowym*.

Szósty *Śpiewnik domowy* złożony jest wyłącznie z pieśni do tekstów Mickiewicza. Rozpoczęty jest trzema długimi balladami. Pierwsza z nich to *Powrót taty*, ballada napisana do znanego wiersza Mickiewicza. Druga to *Rybka*, napisana do wiersza, którego treść została zaczerpnięta przez Mickiewicza „ze śpiewu gminnego” i zawiera elementy fantastyczne. Bohaterka pieśni to Krysia, uboga dziewczyna, którą porzucił bogaty mężczyzna. Krysia w rozpacz poszukuje

swego dziecka, krąży po lesie i nad wodą, okazuje się być świtezianką. Z lasu przychodzi nieznajomy człowiek, który przynosi dziecko Krysi i wzywa jej matkę. Ze strumienia wyskakuje rybka, która później okazuje się być świtezianką pół-kobietą, pół-rybą. Zwraca dużą uwagę podobieństwo Krysi z tytułową bohaterką Halki Moniuszki, która również, zdradzona przez bogatego ukochanego, ma z nim dziecko. Następną pieśń z VI *Śpiewnika domowego* to świetna, dramatyczna ballada *Czaty*. Kolejne pieśni w VI *Śpiewniku* to napisane do słów Mickiewicza pieśni o charakterze lirycznym, w tym dwa wymienione już portrety litewskich rzek – *Do Niemna* (nr 4) i *Wilija* (nr 8). W tym *Śpiewniku* znajduje się też napisana do tekstu zaczerpniętego z poematu *Konrad Wallenrod* Mickiewicza *Pieśń z wieży* (nr 5) oraz dwie z wydanych już w 1838 w Berlinie trzech pieśni młodzieńczych: *Sen* (nr 6) oraz *Moja pieśzcotka* (nr 7). Trzecia z młodzieńczych pieśni, *Niepewność*, wydana została powtórnie w VII *Śpiewniku domowym* (nr 9) już po śmierci kompozytora. W tymże *Śpiewniku* została wydana, też napisana do tekstu wziętego z *Dziadów*, *Pieśń pustelnika* (nr 19). To niestety chyba najrzadziej wykonywana z moniuszkowskich pieśni do tekstów Mickiewicza. Sam tekst *Pieśni pustelnika* został też zaopatrzony w muzykę jeszcze przez co najmniej dwóch innych kompozytorów – Stanisława Niewiadomskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. W następnych, wydanych już jako pośmiertne, *Śpiewnikach domowych*, znalazły się jeszcze trzy pieśni. Są to dwie krótkie pieśni liryczne zamieszczone w XI *Śpiewniku: Improwizacja – Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą* (nr 3) i *Rozmowa* (nr 9) oraz wielka ballada, jedna z najpiękniejszych pieśni Mickiewicza – *Trzech Budrysów* (nr 22). Obie ostatnie pieśni (*Rozmowa* i *Trzech Budrysów*) zostały wydane tu również powtórnie. Po raz pierwszy wydał je Moniuszko w Berlinie w 1840 roku, więc też można je uznać jeszcze za kompozycje okresu młodzieńczego, choć niezwykle dojrzałe. *Rozmowa* (*Kochanko moja, na co nam rozmowa*) została napisana do popularnego wiersza miłosnego Mickiewicza i, jak pisze Witold Rudziński, „była należnym trybutem i własnej miłości, i modzie, jaka panowała w Wilnie – napisano bowiem do tych słów parę pieśni”<sup>4</sup>.

Podsumowując w dwunastu zbiorach *Śpiewników domowych*, gdzie znalazła się większość pieśni Moniuszki, wydanych zostało 19 pieśni do słów Adama Mickiewicza. Pięć z nich to ballady, pieśni o charakterze epickim, z rozbudowaną narracją. Ze strony kompozytora widać udane starania opracowania romantycznego dramatyizmu warstwy muzycznej. Pozostałe pieśni to obrazy liryczne, opisujące w poetycki sposób krajobraz, uczucia, myśli. Są one krótsze

---

4 W. Rudziński, *Moniuszko*, Kraków 1978, s. 42.

niż ballady, zwykle to pieśni zwrotkowe lub refrenowe, jednak niektóre z nich to dzieła niezwykle udane, które często zyskały dużą popularność (np. *Znasz-li ten kraj*).

Utwory na głos z fortepianem to jednak nie wszystkie utwory Stanisława Moniuszki do tekstów Mickiewicza. Oprócz nich napisał Moniuszko do tekstów Mickiewicza jeszcze dzieła wokalnie-instrumentalne z towarzyszeniem chóru i orkiestry. Dzieła te wymagają większej obsady, co sprawia, że rzadziej bywają wykonywane. Są to trzy kantaty. Kantata *Widma* została napisana do tekstu Mickiewicza z *Dziadów części II*. Znajduje się tam oczywiście scena ludowego obrzędu *Dziadów*. Kantata zaprezentowana publiczności we Lwowie 22 stycznia 1865 roku, więc w drugą rocznicę wybuchu powstania styczniowego. Utwór zyskał duże powodzenie. Lwowska krytyka jednoznacznie pozytywnie oceniła dzieło Moniuszki, a koncert Moniuszki we Lwowie został powtórzony trzykrotnie. Kompozytor był zapraszany do salonów muzycznych, a jego utwory na terenie całej Polski zyskały, po sukcesie *Widm*, większą popularność<sup>5</sup>. Dwa lata później powstała następna kantata Moniuszki do słów Mickiewicza – *Sonety krymskie*, a jej premiera w Warszawie odbyła się w lutym 1867 roku. To piękne opracowanie mickiewiczowskich strof stało się jednym z najlepszych przykładów malarstwa dźwiękowego u Moniuszki. Kompozytor miał tu do dyspozycji chór mieszany i orkiestrę symfoniczną. Delikatne cieniowanie, subtelna instrumentacja, dynamika, agogika i rytmika pozwoliły Moniuszce odtworzyć nastroje orientalne, które przeżywał Mickiewicz podczas swojej podróży u wybrzeży Krymu. Jednak podkreśla się, że kompozytor mógł zawrzeć w tym swoim dziele również własne odczucia i wspomnienia z podróży nad Morze Bałtyckie, kiedy odwiedził wyspę Rugię<sup>6</sup>.

Jako niewielką kantatę można też zaklasyfikować inny utwór Moniuszki. Jest to powstała w 1869 roku *Pani Twardowska* – właściwie komiczna ballada, rozpisana jednak na chór mieszany, tenor, baryton i orkiestrę symfoniczną. W niektórych miejscach kompozytor wprowadza nawet nieznaczne modyfikacje tekstów poetyckich w celu dopasowania do rytmu muzycznego.

Mickiewicz był ulubionym poetą Stanisława Moniuszki. Był też wieszczem narodowym i romantykiem. Do jego tekstów napisał Moniuszko 19 pieśni na głos solo (lub dwa głosy) z towarzyszeniem fortepianu, zamieszczonych w dwunastu *Śpiewnikach domowych*. Nie jest to jednak liczba pewna i ostateczna, ponieważ niektóre pieśni Moniuszki wciąż pozostają w rękopisach i czekają

---

5 W. Rudziński, tamże, s. 205-206.

6 W. Rudziński, tamże, s. 55.

na odkrycie. Oprócz pieśni z fortepianem napisał Moniuszko trzy kantaty na głosy solowe, chór i orkiestrę do słów Mickiewicza – *Widma* (do *Dziadów części II*), *Sonety krymskie* oraz *Panią Twardowską*. Wiadomo również, że do słów Mickiewicza skomponował Moniuszko *Elegię* na chór męski i orkiestrę. Nie powstała wprawdzie żadna opera Moniuszki inspirowana dziełem Mickiewicza, jednak sarmacki nastrój „Pana Tadeusza” został przeniesiony do *Strasznego dworu*, a częściowo też do *Hrabiny* i *Halki*. Związek muzyki Moniuszki z poezją Mickiewicza okazał się na tyle silny, że chyba żaden z kompozytorów piszących muzykę do tekstów Mickiewicza nie jest obecnie tak bardzo z mickiewiczowską poezją kojarzony. Dziś, po 200 latach od wydania *Ballad i romansów* oraz 150 lat po śmierci Stanisława Moniuszki, powinniśmy pamiętać o ważnej, wspólnej, literacko-muzycznej spuściźnie tych dwóch wybitnych romantyków i starać się przybliżyć ją publiczności.



---

## PORTRETY

---

Róża Czerniawska-Karcz

---

### **Jubileuszowo o kapitanie żeglugi wielkiej, Józefie Gawłowiczu stron kilka...**

---

w rejs

*kpt. Józefowi Gawłowiczowi*

*i wypłynąłem nareszcie  
w swój dziewiczy rejs  
wszystko było przede mną  
jak najczystsza karta  
dziennik pokładowy zaczął spisywać  
życie kapitana*

*i popłynęły wielkie przygody  
morskie awantury  
a w nich tysiące twarzy  
moich marynarzy  
odbitki dni sztormowych  
i cichych w zenicie*

*i smakowałem przez te lata  
dni najczęściej słone*

*gdym nie mógł uratować  
swoich towarzyszy  
z objąć Posejdona bo na trytonach  
był szybszy*

*i wytyczałem szlaki sekstantem  
na nieba oceanie  
i okrążałem na niejednej łajbie  
dokoła ziemię  
by dotrzeć do portu przeznaczenia  
tutaj w Szczecinie*

3.12.2010

Tak można by zacząć gawędę o szczecińskim Kapitanie, Józefie Gawłowiczu, który swoją przygodę z morzem rozpoczął ponad 60 lat temu, gdy przybył do Gdyni z odległego, małopolskiego miasteczka koło Mielca i został studentem Państwowej Szkoły Morskiej. Zapewne lektury Conrada, Melville'a czy Borchardta miał już za sobą, a może ze sobą też, bo cóż by go do tejże szkoły przyciągnęło, jak nie marzenie o marynarskiej przygodzie. Czy już wtedy wiedział, że pójdzie też w ślady swoich mistrzów i chwyci nie tylko za ster, nie tylko wiatr w żagle, ale też posmakuje marynarskiej historii i żywiołu, by piórem ją i... go na kartach uwiecznić?

I tutaj wydarzenia z biografii Kapitana poświadczają taką wersję właśnie, gdyż debiut pisarski (1962) niemal zbiega się z nauką w Szkole pod żaglami w Gdyni, a wkrótce (1964) w Szczecinie.

Tak to się zaczęło.

Żeglowanie, pływanie, pisanie... a że jeszcze czas ówczesnego pokolenia wpisany był w niezbyt chwalebny rozdział historii ojczyzny, opisywany skrótem epoka PRL-u, to i los, najpierw marynarza, potem kapitana, ale równocześnie już młodego pisarza marynisty, został naznaczony... konspiracją.

To jedyna zresztą, napisana autobiografia, przemytnicza 26-letnia działalność kolportażu literatury na taką skalę, której żaden inny pływający nie doświadczył.

Był rok 1963. Podczas jednego z rejsów młody marynarz, jeszcze student, nawiązał korespondencję z Jerzym Giedroyciem z „Kultury” paryskiej. I tak

Kpt. Józef Gawłowicz prezentuje swoją wystawę (zdj. Zbigniew Jahnz)



to się zaczęło... korespondencja trwała latami, a wkrótce, już kapitan żeglugi wielkiej (1976), ale też rozwijający bardzo aktywnie swoje rzemiosło pisarskie – marynista, pojawiał się regularnie, tak na łamach „Kultury” jako autor opowiadań, jak i kolporter nielegalnej literatury z drugiego obiegu. Perypetie, ryzyko dekonspiracji, ale też dreszczyk przygody i zwodzenia ówczesnej komunistycznej władzy, utrzymywały adrenalinę Kapitana na najwyższym poziomie. Skąd taka sugestia. Otóż z Jego własnych relacji i... zapisanych jak dziennik, wydarzeń z tamtych lat. W 1998 roku wyszło pierwsze wydanie książki *Byłem kurierem Giedroycia*, a w roku 2016 ukazało się jedyne w swoim rodzaju dzieło z pełną dokumentacją epistolograficzną Giedroyc-Gawłowicz, *Morski kurier Giedroycia*.

Dlaczego to takie ważne wydarzenie? I taka ważna pozycja literacka, nie tylko w literaturze marynistycznej, ale i w biografii samego Pisarza?

Otóż – moim zdaniem, jest to jedyna w swoim rodzaju publikacja, zamykająca w pojemnym wnętrzu wielorakość tematów i form. Może zaspokoić oczekiwania każdego, nawet najbardziej wybrednego, czytelnika. Kapitan Józef Gawłowicz znany jest bowiem w środowisku literackim Szczecina (i poza nim) jako pisarz marynista, promotor poezji i prozy nie tylko z morzem w tle. Był przez dwie kadencje prezesem szczecińskiego ZLP, wtedy też aktywnie i skutecznie promował literacką twórczość studenckiej młodzieży. Nieustannie promuje w swoich kapitańskich i pisarskich działaniach nasze Miasto.

Jednak wydaje mi się, że Jego najlepszą wizytówką i rekomendacją jako artysty, pisarza i patrioty, a to warte podkreślenia, gdyż nie jest tutaj tylko pustym dźwiękiem to słowo, jest właśnie, wydana przez szczeciński oddział IPN w 2016 roku, książka – *Morski kurier Giedroycia*.

Obszerny objętościowo tom (565 stron), estetyczny edytorsko, bogaty w kolorowe zdjęcia z archiwum Autora, ilustrujące nie tylko znanych ludzi, miejsca, ale też niezwykle przedmioty znajdujące się w unikatowych zbiorach kolekcjonera-artysty. Jest bowiem Kapitan Gawłowicz także kolekcjonerem sztuki, który dzieli się owym bogactwem, używając eksponaty na wystawy w Szczecinie i w Polsce, dokumentując nimi swoją barwną biografię.

Wracając do Książki. Niewątpliwie jest ona zwięźczeniem ponad 15 prac literackich i setek publicystycznych Pisarza, zamknięciem i podsumowaniem oraz rozliczeniem pewnej epoki, nie tylko w osobistym życiu. *Morski kurier Giedroycia* jest bowiem książką dokumentem, która nosi znamiona publikacji popularnonaukowej, traktującej o, wspomnianej wyżej, 26-letniej, nielegalnej w ówczesnej PRL, działalności Kapitana, który już w swoim pierwszym rejsie, jeszcze jako student Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, a następnie WSM w Szczecinie, został kurierem współpracującym z Instytutem Literackim w Paryżu i z jego redaktorem Jerzym Giedroyciem. Książka jako dokument zawiera obszerną i bogatą w informacje o latach 60., 70. i 80. korespondencję z Redaktorem z Maison Laffitte. Interesujące dla czytelnika jest śledzenie rozwijania się tej znajomości. Z jednej strony młody człowiek, niecierpliwy życia, pełen brawury i temperamentu, odkrywający i poznający świat (nie tylko na morzach i oceanach, w obcych egzotycznych krajach), ale też poprzez lekturę odbieranej w 76 portach świata literatury zakazanej w kraju. Z drugiej zaś dojrzały i doświadczony mentor, autorytet moralny i wzór – Jerzy Giedroyc. W tym miejscu oprócz dokumentu pojawia się literatura, a za nią walory artystyczne książki. Józef Gawłowicz, z wielkim talentem, snuje opowieść marynarza i kuriera, człowieka balansującego na granicy obowiązującego prawa i patriotycznego obowiązku, wręcz misji. Dokumentalna korespondencja z Mentorem, gruntuje nie tylko światopogląd, utwierdza postawy – moralną, społeczną czy polityczną młodego Autora, wpływa też na formowanie się Pisarza. Widać to doskonale w relacjach opisywanych z rozmachem epickim, uporządkowanych chronologicznie wydarzeń politycznych podczas pobytu w kraju, widać w bystrej ocenie sytuacji społecznych, w przepysznej galerii portretowanych postaci, z którymi stykał się, a czasem zaprzyjaźniał Autor. Ujęcia pozytywne i negatywne, bohaterowie i... odszczepieńcy, aktywiści z ZMS-u czy kanalie z SB. Wybitni pisarze i artyści, ludzie kultury w kraju i na świecie. Poznani z lektur, jak młodzieńczy idol – Witold Gombrowicz (a dzięki niemu i Giedroyciowi wynikała znajomość z kuzynką Gombrowicza, znaną w Szczecinie Heleną Kurcyszową). Także Stefan Kisielewski (i późniejsza znajomość, przyjaźń z jego

synem Jerzym). W znacym gronie pisarzy Leopold Tyrmand, poznani poza krajem Juliusz Mieroszewski czy mniej znany w Polsce Jan Minkiewicz. Grono działaczy KOR-u i Solidarności czy Radia Wolna Europa; przyjaźnie: z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, z bohaterami czasu przełomu – mecenasem Jerzym Zimowskim czy dr. Michałem Paziewskim. Znakomita plejada kapitanów, z nazwiskami znanymi nie tylko z literatury...

Można bez nadużycia powiedzieć o (...) książce Józefa Gawłowicza, że spełnia definicyjne warunki epepei – narracja przedstawia bowiem dzieje narodu w momencie przełomu (zmiany ustrojowe), prezentuje grupy społeczne: tu zawodową – marynarzy oraz inteligencji polskiej w kraju i na emigracji, barwnie maluje obrazki z życia na statkach, obyczaje w różnych zakątkach świata, charakteryzuje galerię barwnych postaci, z bohaterami głównymi włącznie. Zawiera wątki sensacyjne (kontrabanda), polityczne (walka z ustrojem), obyczajowe (czasy PRL, świat za „żelazną kurtyną”), kulturowe (polska i emigracyjna inteligencja, środowiska literackie i artystyczne). Książka nosi znamiona różnych rodzajów literackich, liryki, epiki czy dramatu. Żeby dopełnić definicji, ma budowę szkatułkową (opowieść w opowieści), zawiera bowiem samodzielne utwory literackie w postaci trzech opowiadań rodem z Kuby, Chin i... z PRL-u, publikowanych u Giedroycia na łamach „Kultury Paryskiej”.

Zatem... dzieło wielogatunkowe – dokument historyczny, świadectwo czasu – roku 1968, stanu wojennego 1981, czy przełomu 1989 roku. Popularnonaukowa publikacja, także o Szczecinie i środowisku literackim czy zawodowym skupionym przy WSM (już była Akademia Morska, obecnie Politechnika Morska). Opowieść autobiograficzna. Reportaż, a jednocześnie świetna gawęda o życiu na morzu prawdziwego „wilka morskiego”, nasycona anegdotami, cytataami, humoreskami. Przypuszczam, że żadne środowisko literackie w Polsce nie może pochwalić się podobnym dziełem, nie mówiąc o Autorze.

Przytoczyłam, nie bez kozery, moją obszerną recenzję *Morskiego Kuriera Giedroycia*, gdyż właśnie na kanwie odczytania tej książki, mogłam prześledzić niezwykle bogate życie prezentowanego obecnie Jubilata – Kapitana Józefa Gawłowicza. To ta pozycja literacka w dorobku Pisarza marynisty pozwala dopiero obejrzeć w pełni biograficzną panoramę tego osiemdziesięciolecia.

Od 2016 roku Kapitan Gawłowicz nieustannie pozostaje aktywnym tak pisarzem jak i animatorem literackiego życia w Szczecinie, regionie i w kraju oraz poza jego granicami. Tą działalnością domalowuje kolejne obrazy, uzupełniając biograficzny kalendarz. Wystawy, spotkania, działalność dydaktyczna

w Akademii Morskiej, promowanie tejże w Polsce na licznych spotkaniach z młodzieżą. Jest przecież przewodnikiem wycieczek dla młodzieży szkolnej po Akademii Morskiej i Planetarium, wprowadza młodych ludzi w tajemnice astronomii i... mitologii. Inicjuje spotkania w szkołach z gawędami o morzu i jego bohaterach od starożytności do współczesności.

Jest organizatorem wydarzeń literackich, a należą do nich: promowanie pisarzy nie tylko szczecińskich na spotkaniach w Klubie „Pod Masztami” w Akademii Morskiej, spotkania w Książnicy Pomorskiej i Zamku Książąt Pomorskich, na żaglowcach „Dar Pomorza” czy „Fryderyk Chopin”; w Klubie 12. Dywizji Zmechanizowanej, gdzie na stałe eksponuje swoje kolekcje sztuki japońskiej i kałamarze. Jego eksponaty sztuki islamu wystawione były też we Wrocławiu, w centrum Dialogu, następnie w Janikowie k. Inowrocławia. Kolekcja z czterech kontynentów ma stałą ekspozycję w Kołobrzegu (w sanatorium „Verano”), a kolekcja przyrządów nawigacyjnych jest wypożyczona do Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu.

Z IPN w Szczecinie zorganizował spotkania z dyrektorem Instytutu Literackiego w Paryżu, Wojciechem Sikorą oraz z red. Jerzym Kisielewskim, które miało miejsce w Książnicy Pomorskiej w 2012 roku.

Promuje literaturę marynistyczną i Szczecin jako miasto z morskimi tradycjami w swojej twórczości publicystycznej i prozatorskiej – na spotkaniach autorskich podczas podróży po Polsce.

Bierze udział w krajowych i międzynarodowych targach książki. Promował z wielkim powodzeniem czeskie wydanie „Opowieści Nawigacyjnych” w Pra-dze, zachęcając i zapraszając młodych Czechów do studiów w Szczecinie na Akademii Morskiej oraz innych uczelniach naszego miasta.

Jako melvillista zorganizował sympozjum w Muzeum Morskim w Szczeci-nie we wrześniu 2011 roku; a w roku 2015 kolejne, pod hasłem: *Morze jest podróżą, która prowadzi do domu*. Cytat z Hermana Melville’a był mottem nie-codziennego wydarzenia na żaglowcu „Fryderyk Chopin”, który 18 września 2015 roku przycumował przy nabrzeżu Wałów Chrobrego, a po południu na Łasztowni. Organizatorzy ze Związku Literatów Polskich Oddział w Szczeci-nie oraz Senatu Obywateli Szczecina przy wsparciu sp. z o.o. CALBUD zaprosi-li na pokład żaglowca liczne grono sympatyków marynistyki, muzyki Chopina jak i żeglowania. Na niewielkim pokładzie odbyła się inauguracja wydarzenia, czyli spotkanie poświęcone Hermanowi Melville’owi i jego twórczości, pod-czas którego prezes ZLP, Leszek Dembek wręczył Armatorowi, Piotrowi

Kulczyckiemu, statuetkę i dyplom z podziękowaniem za goszczenie nas na pokładzie STS „Fryderyk Chopin” oraz za możliwość rozpoczęcia marynistycznego cyklu pod patronatem Melville’a, z prezentacją szczecińskich marynistów.

Szacowne grono znakomitych gości, prezesów, kapitanów, dyrektorów, dziennikarzy, młodzieży... za kapitanem Józefem Gawłowiczem, który modelował całe wydarzenie, zeszło z pokładu i udało się do Kubryku Literackiego w Starej Rzeźni, gdzie już na stałym lądzie i pod dachem, a nie pod masztami i przy zmiennej pogodzie, do której żeglarze są przyzwyczajeni, a mieszkanie – nie, odbyło się literackie spotkanie. Kapitan Gawłowicz ze swadą gawędziarza, słusznie nominowanego do tytułu ogólnopolskiego oratora roku, poprowadził nas po morskich szlakach melvillowskich. Prezes Dembek obszernie wyprowadził temat amerykańskiego pisarza i jego biografii w swoim eseju. Z kolei Róża Czerniawska-Karcz zaprezentowała własne interpretacje poetyckie inspirowane twórczością Melville’a, poety filozofa. Dopełniły literacką aurę wiersze Aleksandry Petruszewicz o Chopinie. Muzycznie uświetniali spotkanie muzycy z duetu Mirosław Kasperski – skrzypce i Andrzej Prus-Walkulski – fortepian. To było jedno z ważniejszych marynistycznych wydarzeń w Szczecinie.

Na przełomie 2018 i 2019 przygotował i wydał monografię o słynnym szczecińskim artyście Andrzeju Działliku, *Niezwykły ANDRZEJ DZIATLIK • Twórczość • Morze • Jego czasy (wyd. II)*. Miałam niewątpliwą przyjemność poprowadzić rozmowę z Kapitanem podczas promocji książki w Pałacu Młodzieży na wieczorze z cyklu W PAŁACU *literacko*. Podczas promocji Kapitan zaprezentował słynny kalendarz Andrzeja Działlika z Rudym Bosmanem. Monografia stanowi przykład jak rozległe są zainteresowania Autora Gejszy z *Osaki* i jaką wagę przywiązuje do ocalenia od zapomnienia znaczących artystów związanych nie tylko z morzem i Szczecinem. Obszernie można by rozwijać ten i inne wątki, opowiadając o Jubilacie jako duchowym mecenasie zapomnianych, a znamienitych Polaków ze świata kultury, nauki czy sztuki. I dlatego nie wypada nie podkreślić chociaż to, że działalność Józefa Gawłowicza dla środowiska szczecińskiego jest nie do przecenienia. Nie będzie przesadą, gdy stwierdzę, iż jest postacią charyzmatyczną, to z jednej strony prawdziwy „wilk morski”, gawędziarz, z ogromnym poczuciem humoru, z nieprawdopodobnym doświadczeniem życia na morzu, jednocześnie z dystansem do rzeczywistości, co wyraźnie można odczytać w jego opowieściach, a z drugiej strony to pisarz o wysokiej kulturze, człowiek wysoce wykształcony, erudyta, posługujący się wspaniale literackim językiem, nie tylko ojczystym. Swobodnie cytujący

najwybitniejszych mistrzów światowego pióra po angielsku, hiszpańsku czy francusku. Znany i uznany, a także lubiany, co nie jest bez znaczenia, w środowisku nie tylko szczecinian, ale w regionie, w kraju i poza jego granicami. Dowodem jego kunsztu oratorskiego jest nominacja do tytułu Mistrza Mowy Polskiej XV jubileuszowej edycji w czerwcu 2015 r.

Ostatnie lata z przełomu drugiej dekady naszego wieku nie wyłączyły Kapitana z jego aktywnej działalności, może mniej się działo w mieście czy w kraju, bo to pandemia oraz towarzyszące jej lockdown'y, brak spotkań literackich... ale za to czas sprzyjał pisaniu. Kapitan opublikował więc w ostatnim czasie trzy książki: powieść *Policjantka z Singapuru* (2020) oraz dyptyk *ASTROLABIA* i *SEKSTANTY* (2021,2022), książki łączące w sobie wszystkie pasje pisarza, naukowca-wykładowcy, kolekcjonera, ale wydaje mi się, że przede wszystkim gwędziarza, którym zawsze i o każdej porze jest Autor *Opowieści nawigacyjnych*.

Dotarłam do punktu kulminacyjnego mojej opowieści o Kapitanie.

Wiosna 2022, kwiecień i dzień 80. urodzin Józefa Gawłowicza, więc pisze się wiersz... a raczej wiersza ciąg dalszy:

W rejs...

*i przyszedł czas spoczynku  
w Mieście Gryfa  
bez przygód bez podróży  
od lądu do lądu  
czas spisywania myśli...  
odtworzenia zdarzeń...*

\* \* \*

*i wyływasz samotnie w rejsy  
tylko śnione po bezdrożach pamięci  
pod żaglami wspomnień  
a astrolabia i sekstanty  
zamieniasz w historię dla studentów  
oddających swe serca NAWIGACJI*

7.04.2022

Jednak uroczystości jubileuszowe czekają... koledzy ze środowiska szczecińskiego Związku Literatów Polskich muszą się przygotować. Umawiają się więc z Szanownym Jubilatem co do miejsca i dnia. Wypada na 20 września 2022

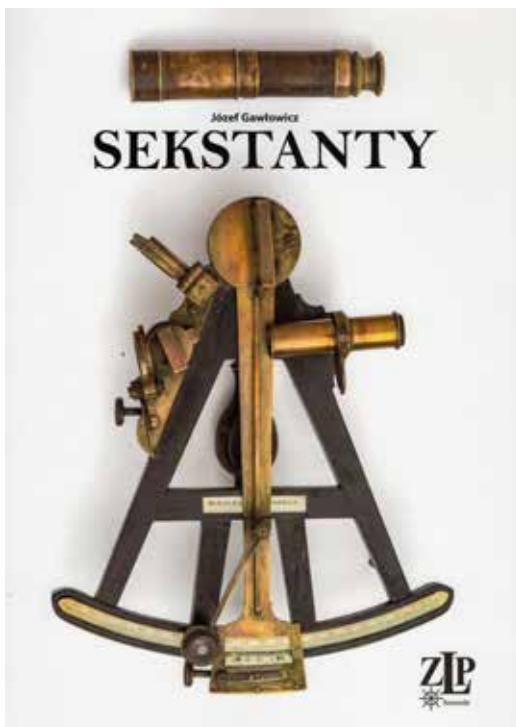


(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

roku... w Sali Zbigniewa Herberta w Książnicy Pomorskiej. Miejsce najzaciejsze w Szczecinie, szczególnie dla Kapitana, który z Książnicą współdziała od lat, w której nie tylko składa swoje książki, ale też je promuje na spotkaniach. Było tych spotkań przez ostatnie 20 lat... Tymczasem Edward Sierkierzyński w swojej stargardzkiej pracowni wykonuje rękodzieło, statuetkę kurosa, mającą symbolizować Jubilatą w jego niewyczerpanej, młodzieńczej aktyw-

ności na rzecz literatury, a więc i kultury też. Prezes Leszek Dembek zabiega o uhonorowanie Pisarza, które skutkuje Złotą Odznaką ZLP, przyznawaną przez Zarząd Główny ZLP w Warszawie z życzeniami od Marka Wawrzkiwicza. Także Prezydent Miasta Szczecina śle list gratulacyjny z podpisem pani wiceprezydent Lidii Rogąś. Sam prezes Dembek wygłasza laudację w imieniu pisarzy oddziału. Nie brakuje kapitanów z niezastąpionym Włodzimierzem Grycnerem oraz redaktor Krystyną Pol. Laudację wygłasza trzynastozgłoskowcem pisaną – poetka, Aleksandra Petruszewicz.

Jednak to spotkanie jubileuszowe ma też, według zamiaru Jubilatą, swój nadrzędny cel... Ma nie tylko zaprezentować Osobę Kapitana Józefa Gawłowicza w 80-lecie urodzin, uczcić Jego 60 lat pracy twórczej i działalności kulturalnej na rzecz literatury, podkreślić 35 lat mijających od debiutu wydawniczego – czyli ukazania się zbioru opowiadań „Awantury afrykańskie” (1987), ma zauważyć 27 lat obecności w ZLP, która zaczęła się przyjęciem do grona literatów szczecińskich w 1995 roku, docenić dwie kadencje prezesa oddziału w latach 2004-2011!





**Szanowny Pan  
Józef Gawłowicz**

*Szanowny Panie*

*Doceniając Pańskie starania, proszę przyjąć moje najserdeczniejsze podziękowania za 60 lat pracy twórczej dla szczecińskiej kultury, nauki i edukacji. Funkcja wykładowcy Akademii Morskiej oraz 27 lat działania w szczecińskim oddziale Związku Literatów Polskich jest ogromnym wkładem i historią, którą Pan stworzył dla Szczecinian. Doświadczenie kapitana żeglugi wielkiej, którym dzieli się Pan z czytelnikami jako pisarz – staje się naszym wspólnym dziedzictwem.*

*Dziękuję Panu także za nieocenioną działalność publicystyczną, od dwudziestu lat w Radio Szczecin i Szczecińskiej telewizji. Pańskie gawędy morskie stały się inspiracją do odkrycia tajemnic morza, zachwycenia się podróżami, a także poznania wielu bohaterów morskich od starożytności do współczesności.*

*Szczególne podziękowania składam Panu za spotkania z młodzieżą i wkład w krzewienie wiedzy morskiej wśród młodego pokolenia. Poczucie humoru, ogromna charyzma i dystans do trudnej rzeczywistości wpływa na budowanie wyobraźni i motywacji do dalszych życiowych wyborów młodych ludzi.*

*W imieniu swoim i mieszkańców Szczecina gratuluję Panu tak pięknej biografii i składam najserdeczniejsze życzenia zdrowia, spełnienia marzeń i wszelkiej pomyślności zarówno w życiu osobistym jak i zawodowym, a także dalszej weny pisarskiej i edukacyjnej.*

*Z wyrazami szacunku*

ZASTĘPCA PREZYDENTA MIASTA  
Lidia Rogas

stj'e'tjin floating garden project

(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

To było zebranie okrągłych rocznic Jubilata, w które wpisała się Jego najbardziej znacząca działalność, i OWE! 26 lat bycia kurierem Giedroycia, a z teŹe znajomości wynikająca fascynacja twórczością i samą postacią innego pisarza, a mianowicie Witolda Gombrowicza. I tutaj ujawnił się – ten równorzędny z jubileuszem – cel spotkania w Książnicy Pomorskiej. Witold Gombrowicz!

Józef Gawłowicz tego dnia stał się nie tylko obdarowanym, ale teŹ darczyńcą. Okazało się, Źe ma w swojej przebogatej kolekcji unikatowe wydania dzieł Witolda Gombrowicza, nabyte w czasie wieloletnich podróŹy. I postanowił je przekazać w darze Książnicy Pomorskiej. Na ręce dyrektora Lucjana Bąbolewskiego złoŹył wydane przez „Kulturę” w oryginalnej oprawie dzieła: *Transatlantyk*, *Pornografia*, *Kosmos*, *Teatr*, *Dzienniki (I, II, III)*.

Podziękowania Dyrektora Książnicy Pomorskiej uświetniono oklaskami publiczności. Spotkanie jubileuszowe dopełniła ostatecznie część promocyjna najnowszej książki Autora *Białej fregaty*, to jest *SEKSTANTÓW*, drugiej części dyptyku.

Podczas spotkania nie mogło zabraknąć głosu, tak przywoływanego przez Jubilata autorów, jak i głosu Stanisława Heropolitańskiego, który tychŹe autorów w ich dziełach animuje, tak więc wybrzmiały fragmenty *Transatlantyku* i *Dzienników* Witolda Gombrowicza, a takŹe fragment z *SEKSTANTÓW* Józefa Gawłowicza.

Mija jubileusz, nadal się pisze codzienność, którą pisarz ma zamienić w kolejną historię niezwykłą... A tymczasem niech się spełniają Źyczenia jubileuszowe:

KAPITANIE!

*Przyjmij, proszę, ten ślad pamięci  
i dobrych myśli o Tobie i dla Ciebie.  
Szczególnie na dzień urodzin,  
zamykający się w tak okrągłym  
Jubileuszu... Osiemdziesiątym!  
Niechaj Fortuna nadal  
darzy Cię zdrowiem oraz  
wszelkimi przyjemnościami,  
które może ofarować Ci jeszcze Przeznaczenie.  
Wszystkiego, co najlepsze dla Ciebie,  
KAPITANIE!*

RK

## **JÓZEF GAWŁOWICZ**

Szczecinianin z wyboru od 1964 roku. Urodzony w Rudzie koło Mielca 7.04.1942 roku; kapitan żeglugi wielkiej (1976), dowodził statkami pod polską i obcymi banderami. Wykładowca Akademii Morskiej w Szczecinie, naukowo zajmujący się problemami powiązań geometrii i nautyki oraz regulacji Odry celem włączenia jej do europejskiego systemu transportu wodnego, opublikował m.in.: *Nakresy radarowe, Astronawigacja* (t.1-2). Jako starszy wykładowca w latach 1988-1992 wykładał astronawigację w WSM w Szczecinie, a w latach 1993-1995 geografę szlaków morskich na Wydziale Nauk o Morzu Uniwersytetu Szczecińskiego. W dorobku posiada liczne publikacje naukowe. Kapitan portu Szczecin-Świnoujście; dyrektor naczelny Urzędu Morskiego w Szczecinie; dyrektor urzędu Morskiego w Słupsku. Pisarz marynista, publicysta; kolekcjoner dzieł sztuki. Tajny kurier paryskiej „Kultury” na kraj (1963-1989). Prezes szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich dwóch kadencji (2004-2011); członek Stowarzyszenia „Dom Nobla”; dyrektor generalny Fundacji Ratowania Życia na Morzu „May-Day” (1994-2003). Należy do Międzynarodowego Towarzystwa im. Hermana Melville’a oraz do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Arabskiej. Działa w Międzynarodowym Związku Marynarzy.

Odznaczenia:

Srebrna i Złota Odznaka Zasłużony Pracownik Morza, Srebrny Krzyż Zasługi, Gryf Pomorski, Zasłużony dla Transportu, Zasłużony dla Obronności Kraju.

Szczeciński oddział ZLP uhonorował Pisarza Nagrodą literacką im. Niny Rydzewskiej „Galeon Smuga Cienia” z okazji 50-lecia pracy twórczej w 2012, a także Medalem ZLP „Gloria Cultura” oraz Medalem 70-lecia ZLP w Szczecinie.

Publicysta i animator kultury – po raz pierwszy publikował w „Tygodniku Morskim” w 1962 r., następnie szereg lat w „Przekroju”, w miesięczniku „Morze”, w „Bryzie”, „Morzu i Ziemi”, „Urodzie”, ogólnopolskim miesięczniku „Miejsca Święte”, w „Tygodniku Powszechnym”, w kwartalniku „Zeszyty Literackie” i „Ocean Nawigator” w USA oraz wielu innych. Od ponad dwudziestu lat na falach Radia Szczecin prezentuje w audycjach morskie gawędy; w TVP Szczecin miał stałe programy; jako autor na spotkaniach literackich promuje literaturę, w tym marynistyczną i własną.

Autor 17 książek:

*Awantury afrykańskie*, 1987, 1994;

*Opowieści nawigacyjne*, 1988,1994, wyd. III 2007, książka wyróżniona Nagrodą im. J. Conrada; wyd. czeskie i promocja książki w Pradze w 2009, wyd. I w edycji ZYSK i S-KA 2019;  
*Nawigacja wczoraj i dziś* – leksykon, 1994;  
*Byłem kurierem Giedroycia*, 1995, 1998;  
*Awantury u Neptuna*, 1996;  
*Gejsza z Osaki*, 2000, wyd. II 2012;  
*Biała Fregata*, 2002, 2013;  
*Na statkach ruszyli w morze (morze i żegluga w Biblii)*, opracował i wydał zbiór esejów kapitana Józefa Miłobędzkiego, 2002;  
*Strzał w skroń*, 2010;  
*Dzieje nawigacji morskiej*, 2010;  
*Światłocienie Kopernika*, współautor z Adrianem Pozarzyckim, 2013;  
*...z Morza i z Ziemi*, Antologia Marynistyczna, 2015;  
*Morski kurier Giedroycia*, 2016;  
*Niezwykły ANDRZEJ DZIATLIK • Twórczość • Morze • Jego czasy*, 2018, 2019;  
*Policjantka z Singapuru*, 2020;  
*Astrolabia*, 2021, *Sekstanty*, dyptyk, 2022.

*Artur D. Liskowacki*

---

## **Stanisław Wit Wiliński (1939-2007)**

### **Płomień i cień**

---

*Poczęty w cieniu*. Tytuł debiutanckiego arkusza wierszy (1965) mówił o jego autorze wiele, a to, co mówił, pozostało właściwie aktualne do końca.

Stanisław Wit Wiliński urodził się 1 września 1939 roku, dokładnie w dniu wybuchu II wojny światowej. I cień tej wojny zdaje się kłaść na całej jego twórczości. Poety i prozaika, równie sugestywnego w obu gatunkach. Nie był jednak Wiliński związany z wojną jako tematem. W jego książkach jest ona



Stanisław Wit Wiliński ([http://pomeranica.pl/wiki/Stanis%C5%82aw\\_Wit\\_Wili%C5%84ski](http://pomeranica.pl/wiki/Stanis%C5%82aw_Wit_Wili%C5%84ski))

przede wszystkim cieniem właśnie – odległym znakiem i żywym symbolem. Zła i brutalnej siły, która miażdży człowieka. Od zarania dziejów wpisana w ludzką naturę. Dlatego życie to nieustanna, dramatyczna próba przeciwstawiania się jej. A i walki z nią, już nie o życie samo, ale o jego godność.

Znamienny jest tu wiersz *Pusta noc – czuwanie* z tomu *na cierniu słowik* (1993) w którym odwrócony zostaje mityczny początek: to Abel zabija Kaina. Co biegu dziejów jednak nie zmienia, za to naznaczony cieniem zbrodni i wyrosły z krwi los człowieka staje się przez to doświadczeniem tyleż powszechnym, co każdego z nas, synów Abła, osobno.

Stanisław Wit Wiliński urodził się w wielkopolskim Sompólnie, niewielkiej miejscowości nad Notecią – w rodzinie rolniczej. W Szczecinie zjawił się już jako młody człowiek (1959); ucząc się (Technikum Samochodowe) i pracując równocześnie (najpierw jako konserwator taśm filmowych w Centrali Wynajmu Filmów, potem w Wydziale Finansowym Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Stargardzie Szczecińskim, a głównie jako inspektor w rozmaitych urzędach). Potem były studia polonistyczne na Uniwersytecie w Poznaniu (1966-1969), a po powrocie do Szczecina – przez lat wiele – dziennikarstwo (zapoczątkowane rocznym stażem w „Głosie Szczecińskim”); choć mocno sprzęgnięte z literaturą, przede wszystkim w redakcji literackiej Polskiego Radia, z którą był związany już wcześniej (od roku 1960) jako młody literat. I to również radio, w którym pracował do 1986, dało mu okazję do wielu pisarskich spełnień (w PR Szczecin powstało ponad 20 słuchowisk jego autorstwa – na ogół według własnych tekstów poetyckich). Z radiem też identyfikował się mocno, nie tylko jako pisarz.

Dorobek Stanisława Wita Wilińskiego – w środowisku zwanego po prostu Staszkiem – nie jest przesadnie bogaty. To jedenaście ksiązek: siedem tomów wierszy (po wspomnianym debiucie były to *Trzask płomienia*, 1967 i *Łuskanie kłósów*, 1971 – a potem aż dwadzieścia dwa lata poetyckiej przerwy, aż pojawił się *na cierniu słowik*) oraz cztery niezbyt obszerne powieści. Jak na ponad 40 lat pracy twórczej – niezbyt wiele. Jednak o żadnej z tych ksiązek nie można powiedzieć, że była nieważna, nieważka, tak dla czytelników czy krytyków (przynajmniej do pewnego czasu), jak i dla autora.

Początkowo – a zwłaszcza w latach 70. – sytuowano je w modnym wówczas „nurcie wiejskim”; są w nich bowiem wiejskie rodowody i realia (choć Wiliński unika tu łatwej rodzajowości i „cepeliowskich” ozdobników), a ich główne motywy to ziemia i praca na niej, przyroda i żywioły – zderzane z rzeczywistością miasta. Doceniono w tej mierze ich oryginalny język i autentyczność surowego wyrazu. Ale po czasie, gdy owa moda przygaśła, o Wilińskim jakby zapomniano. A że sam się nowymi książkami długo nie przypominał – po ostatniej powieści *Zawzięte trawy* (1981) była ponad dekada milczenia, którą przerwały dopiero wiersze – w czytelnicznym odbiorze pozostał „poetą ziemi”, prozaikiem umarłego nurtu, który nie bez kozery zamilkł wtedy właśnie, gdy ów nurt – wiejski, chłopski – ukazał swe jałowe dno.

Było to jednak odczytanie powierzchowne. Owszem, wygodne dla krytyki, szufladkującej Wilińskiego jako autora o chłopskich korzeniach i „plebejskim” widzeniu świata, ale odwracające uwagę od tego, co w jego twórczości istotniejsze. Od jej etycznych napięć – między dobrem i złem, życiem i śmiercią, prawdą i fałszem – oraz ekspresyjnej symboliki, widocznej już choćby w tytułach ksiązek (*płomień*, *ziarno*, *las*, *ziemia*, *trawa*, *cień*).

Co każe widzieć i czytać ją poprzez dramatyczny konflikt między Naturą a Kulturą, Człowiekiem a Cywilizacją. Nie jest to zresztą relacja prosta, siełankowa, co obrazuje metaforyczny i emocjonalny zarazem, jak często u Wilińskiego, tytuł pierwszej powieści *Nosiciele piętna* (1968).

Utwory Stanisława Wita Wilińskiego – od debiutu, aż po książki ostatnie (trzy tomy wierszy – *Cień, przystanek światłości*, 1999, *Litania ślepeca*, 2003, *Ozimina*, 2007) – świadczą zresztą nie tylko o rozległej i wyrazistej wyobraźni poetyckiej, ale i o emocjach, którymi są nasycone. Jest w nich ekstaza i lęk, napięcie i drżenie, pragnienie i głód, a i gwałtowność. To, co widoczne w poezji, interesująco wpływa też na prozę – bujną, śmiałą formalnie, aż

po granicę eksperymentu (powieść *Las kwitnie*, 1971, drugie wyd. 2001), ale przede wszystkim niezwykle metaforyczną, budowaną obrazami, dynamiką frazy.

Czego przykładem był już wspomniany debiut prozatorski, powieść *Nosiciele piętna*, utrzymana jeszcze w ryzach formy, choć i w niej pojawia się swobodna narracja oraz często stosowany „strumień świadomości”. Opowiada ona (z autobiograficznym podtekstem) o życiu młodego bohatera (o jakże znaczącym imieniu i nazwisku Jakub Żyto), patrzącego wokół z perspektywy szpitala gruźliczego (bardzo skądinąd konkretnym – przy ul. Arkońskiej), którego jest pacjentem, więc można by ją nazwać – oczywiście: z wartościującą przesadą – *Czarodziejską górą* w wydaniu „ludowym”. Już w niej widać jednak podstawowy motyw, a i obsesję tego pisarstwa. Noszenie piętna – diagnozowane tu po trosze jako obecność choroby, którą człowiek w sobie „nosi” – ma też bowiem, jak już wspomniałem, znaczenie głębsze. I nie tylko ze społecznym rodowodem, w tym wypadku wiejskim, jest związane. Piętnem jest bowiem u Wilińskiego cała przeszłość człowieka. Jego korzenie, jego krew i traumy.

Bo też i całe „życie jest jak noszenie piętna – dopowiadał myśl pisarza Bogdan Twardochleb, przedstawiając jego sylwetkę w *Literaturze na Pomorzu Zachodnim. Przewodnik encyklopedyczny* (2003) – przodków i przeszłości”.

Ciekawie, choć trochę zgrzytliwie współbrzmi to z ważnym dla Stanisława Wilińskiego epizodem życiowym: wojna rozdzieliła go z ojcem, którego odnalazł dopiero wiele lat później w Kanadzie, co zresztą wykorzystał i praktycznie (m.in. pracując zarobkowo), wydłużając swój pobyt za oceanem do kilku lat.

Ale na polu literatury najdobitniej wpisze te doświadczenia w powieść *W ziemi powróż* (1978), w której ziemia to przeznaczenie człowieka wsi, ale i człowieka w ogóle. Przeznaczenie, ale i kamień młyński, z którym jesteśmy związani. Powieść utrzymana w klimacie groteski z ducha prozy i poezji Tadeusza Nowaka – autora bardzo bliskiego Wilińskiemu poprzez spiętrzenie okrucieństwa i szaleństwa, brzydoty i pospolitości – stanowi w gruncie rzeczy wielogłosowy monolog o śmierci, ma też w sobie wielką siłę witalną oraz literacką urodę.

Najgłośniejszą, obdarzoną też pewną (choć przebrzmiałą dziś) legendą powieścią Wilińskiego są jednak *Zawzięte trawy* (1981). Ich główny bohater – alter ego autora – dziennikarz Piotr Szydło, otrzymujący – tak właśnie jak Wiliński – roczne stypendium, by napisać książkę o szykującej się do jubileuszu fabryce (powieściowy kombinat chemiczny Biała Góra to w rzeczywistości



– co łatwo rozpoznać – ZCh Police), zjawia się w niej w tym celu właśnie, ale zderza się z rzeczywistością zupełnie do jubileuszowego projektu niepasującą. Korzysta jednak z okazji i wykorzystuje propagandowy punkt wyjścia do demystyfikacji całego przedsięwzięcia, ale i ówczesnego systemu. Politycznego i społecznego. Opartego na karierowiczostwie, kłamstwie i bezduszości, a mimo socjalistycznej ideologii – gardzącego robotnikiem. Mocnym akcentem powieści jest też wątek szczecińskiego Grudnia '70. (i jego polickich refleksów). Nic dziwnego, że pisana przed rokiem 80. miała problemy z cenzurą, a ukazała się dopiero na fali chwilowych, za to burzliwych zmian.

Nagroda „Złotego Ex Librisu” przyznana przez Książnicę (ówcześnie WiM-BP) za najlepszą, szczecińską książkę roku utrwaliła wprawdzie zasłużoną opinię, iż jest to książka wysokiej rangi, ale nie przyczyniła się do głębszej refleksji ani nad nią samą, ani nad twórczością Wilińskiego w ogóle.

Tymczasem zasłużyła ona na to – i powieść, i cała twórczość – nie tylko jako intrygujący przypadek przenikania poezji do prozy – zaryzykowałbym tezę, że u Wilińskiego najwięcej poezji w prozie właśnie, bo sama poezja, dźwigająca ciężar „rodzinnej” narracji, a i publicystyki, bliższa bywa czasem... prozie – ale też po prostu jako literatura wysokiej rangi artystycznej, naznaczona bardzo osobistym – wspomniany tu już wcześniej – piętnem.

Staszek Wiliński – z charakterystyczną, okalającą twarz brodą (chyba tylko na zdjęciu z prozatorskiego debiutu bez niej) i coraz wyższym czołem – niepokojny, impulsywny, pełen lęków, czasem agresywny, czasem mroczny, jakby wciąż zanurzony w swej twórczości, a zarazem nieustannie szukający obok siebie bratnich dusz, równie mocno przeżywających życie i tworzenie – był wyrazistą postacią szczecińskiego świata literatury.

Nim jeszcze przyjęty został do ZLP (1968), działał w Kole Młodych Związku (z Adolfem Momotem współtworzył wtedy efemeryczną grupę „Dwie twarze”), chętnie przebywał wśród twórczej młodzieży – należał m.in. do środowiska „piwnicy literackiej” Rak – był także członkiem indoktrynowanego ideologicznie Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy przy Związku Młodzieży Wiejskiej (jego wiersze znalazły się później w Antologii KKMP *Wyjść z cienia drzewa*, 1969), współuczestnicząc w młodoliterackim, klubowym ruchu.

Był też aktywnym przedstawicielem i „łącznikiem” sztuki w ogóle. Wrażliwy na malarstwo (sam też malował) – obdarowywał przyjaciół rękopiśmieniami, oryginalnymi plastycznie, bibliofilskimi arkuszami poezji (tworzonymi – czasem w jednym egzemplarzu! – z pomocą zaprzyjaźnionych artystów),

poszukiwał też bliźnich w innych twórcach – zwłaszcza poetach – choćby jako tłumacz. Z tego też powodu przekładał wiersze szczecińskiego, piszącego w jidisz Eliasza Rajzmana (korzystając z filologicznego, a czasem i podawanego mu w rozmowie „na żywo” filologicznego tłumaczenia autora).

W latach 70. aktywny w profesjonalnym środowisku literackim (również politycznie – m.in. jako radny Wojewódzkiej Rady Narodowej – co nie zawsze owocowało przemyślanymi decyzjami, przykładem: publiczne poparcie projektu zmian w Konstytucji 1976 roku) – sekretarz i członek Zarządu Oddziału ZLP w Szczecinie – później (od roku 1968 do 1998) członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (od 1998), z trudem znajdował sobie jednak miejsce w nowej rzeczywistości. Również jako pisarz.

Można by rzec, że odplaciła mu ona tym samym, spychając go na margines życia literackiego. Również tego rozumianego towarzysko, koleżeńsko. Na jednym z ostatnich spotkań autorskich – w Książnicy Pomorskiej – skarżył się z cierpką ironią, że choć wysyła przyjaciółom i znajomym tomiki swoich wierszy, nie odpowiadają mu oni choćby prostym „dziękuję”, a gdyby wysłał im kilogram kiełbasy, z pewnością dziękowaliby wylewnie.

W życiu codziennym starał się jednak znajdować sobie zajęcia tyleż rekompensujące marny los literata w III RP, co i dające satysfakcję, płynącą nie tylko z zysków, ale i ze spełniania się w nowej pasji. Takim zajęciem była na przykład renowacja mebli, w której stał się prawdziwym fachowcem.

Dobrze byłoby przypomnieć twórczość Stanisława Wita Wilińskiego. Na przykład ważną dla Szczecina powieścią *Zawzięte trawy*. Albo wyborem najlepszych wierszy. Niektóre z nich – na przykład programowa i „testamentowa” *Litania do synów* – wciąż brzmią niezwykle i mają w sobie tę ciemną energię i zachłanność uczuć, które kreowały Wilińskiego-poetę.

Przytoczę tylko ostatnią strofę z powtarzającym się na końcu sugestywnym refrenem całości: „Prawda jest twoja i moja, i wasza / Lżejszy sen w ziemi niżli poniewierka, / wolałbym umrzeć niż zabić Judasza // synu mojego serca”.

Radakcja dziękuje Wydawnictwu FORMA za możliwość wykorzystania tekstu.

Tekst publikowany był pierwotnie w: Artur Daniel Liskowacki, Bogdan Twarochleb „Przybysze i przestrzenie. Szkice o pisarzach szczecińskich”, Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezrzecze, 2021.

## Nakarmcie ptaki w Szczecinie O Tymoteuszu Karpowiczu

---

### Wstęp

---

Kiedy w Szczecinie mówimy o szczecińskim życiu literackim, to wymieniając naszych poetów i literatów – owszem – dostrzegamy, że w Szczecinie był, czy tworzył Tymoteusz Karpowicz, ważny i poważny poeta, późniejszy redaktor *Odry* i *Poezji*, potem wykładowca na amerykańskich uczelniach. Ale brakuje większego zaznaczenia, na ile był zdomowiony w Szczecinie. Nieco więcej mówią już tylko bibliografie i rzadkie publikacje – jednak ograniczające się do podstawowych faktów wydania książki „Legendy pomorskie” i tomiku poezji „Żywe wymiary”, i redagowania audycji w Radio Szczecin.

Postawmy zatem pytanie: czy w dzisiejszych czasach o Tymoteuszu Karpowiczu możemy mówić jako o „poecie ziemi szczecińskiej”, skoro tak jest podpisane gazetowe zdjęcie z lat czterdziestych ubiegłego wieku?

I co ważne, czy także powinniśmy wspomnieć o awangardowym wymiarze jego ówczesnej, szczecińskiej twórczości poetyckiej?

Szczeciński oddział Związku Literatów Polskich podjął się wydawania wznówień tomików poetyckich, jak *Kroki we mgle* Józefa Bursewicza i Janusza Krzymińskiego *Smak moreli&List w butelce* w celu przybliżenia ich twórczości i przywrócenia jej w obiegu ludzi ceniących poezję. Podobnie powinniśmy podjąć się wznowienia pierwszego poetyckiego tomu poezji, powstałego w Szczecinie i wydanego w Szczecinie autora, który określany był mianem poety ziemi szczecińskiej i nie tylko ze względu na ową historyczność, ale także na walory poetyckie.

A może powinniśmy – żeby uznać ten fakt sprzed lat – mówić o nim w nowy sposób, wydobywając to, co zapomniane, zasypane dniami, miesiącami, w końcu dekadami lat, które minęły od jego wyjazdu ze Szczecina w 1949 roku. I podjąć się zbadania, czy rozpoczęta ścieżka w Szczecinie, która go doprowadziła



(zdj. Tygodnik „Szczecin”, nr 21, 1948r.)

przez Wrocław do Chicago i do *Stojów zadrzewnych* – poniekąd opus magnum poety, jest ważna w jego twórczości?

Jeśli jednak czas pokaże, że może być kimś na kształt Norwida naszych czasów, to musimy sami sobie odpowiedzieć, czy my w Szczecinie zrobiliśmy wszystko, by pamiętać o poecie, który o naszej ziemi pisał tak:

*...na niebie naszych dwóch wiosen przesuwa się od dawna jakiś uporczywy,  
chłodny obłok... Wiosna nasza, bruk szczeciński, ziemie nadodrzańskie  
domagają się własnego piewcy.  
...literaci muszą przyjechać już chociażby dlatego, że nigdy tutaj nie byli...  
I jedno jest jasne! Muszą osiedzić się na stałe. Ptakom przelotnym ziemia  
nasza nie zdradzi całego piękna...*

(Tygodnik „Odra”, 1947 r., nr 25)

Przypomnijmy, że Tymoteusz Karpowicz nie ma w Szczecinie żadnej tablicy, żadnej nazwanej ulicy swoimi imieniem – jest kimś blado znanym dla młodych w Szczecinie...

Tymoteusz Karpowicz w swoim wierszu *non omnis moriar* (tom *Stoje zadrzewne*) wypowiada, co chciałby rozjaśnić w chwili swojej śmierci :

*kiedy będę umierał chciałbym  
by de la tour nachylił się  
nade mną ze swoją świecą  
niech ona rozjaśni tę część mojej  
twarzy która była prawdziwa  
lecz nikt nie mógł jej dojrzeć  
w ciemnościach...*

Jaka zatem była szczecińska twarz Tymoteusza Karpowicza, którą oddziela już okres 73 lat, odkąd opuścił nasze miasto? I czy można powiedzieć, że istnieje szczecińskość Karpowicza w wymiarze literackim? Czy w szczecińskim okresie widać jego dalsze losy i prace?

Stawiam tezę, że na to ostatnie pytanie odpowiedź jest twierdząca, a dorobek tego okresu w pracy i twórczości Tymoteusza Karpowicza już wskazuje kierunek, jak przebiegał jego dalszy rozwój zawodowy, jak i literacki zarówno w czasach wrocławskich, jak i podczas pobytu w USA.

Także ważne jest – i to jest nowe spostrzeżenie – że dostrzegaliśmy także innych, młodszych w literaturze, czy to wiekiem, czy to dorobkiem literackim już w Szczecinie, bowiem w ramach szczecińskiego oddziału ZLP zajmować się miał młodymi poetami. W przyszłości Karpowicz opiekuje się Rafałem Wojaczkiem – wielkim, niepokornym polskiej poezji... ale to już we Wrocławiu.

Biorę, więc świecę literackiej podróży, rozjaśniając pobyt w Szczecinie i ustalając podstawowe fakty.

---

## Przylot

---

Patrzę na fotokopię karty ewakuacyjnej autora *Żywych wymiarów* – zapewne któraś to kopia z kolei powielana po wielokroć, ze zdjęcia w lewym, górnym rogu widzę, że wyłaniają się na wpół poczerńnięte kontury twarzy poety, jest ona rozświetlona z lewej strony i ukryta w czerni prawa strona – symboliczne użycie świecy De La Toura pasuje tu akuratnie. W karcie ewakuacyjnej obywatela Karpowicza Tymoteusza, syna Mateusza, urodzonego 15.12.1921 r., wystawionej na Litwie 15.02.1945 r. czytamy, że przesiedla się wraz z nim żona Karpowicz Maria, córka Stanisława, urodzona 01.07.1922 r. Opisano ich przewożony majątek: 800 kg produktów żywnościowych, w tym krupę, mąki 400 kg, ponadto 1200 kg sprzętów użytku domowego; bez zwierząt czyli świń, kóz, owiec, koni, rogacizny. Jest także stempel potwierdzający wydanie zapomogi pieniężnej w Punkcie Etapowym Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. O przewożonych wierszach młodzieńczych i wojennych nie ma żadnej informacji... Natomiast na środku dokumentu widnieje adnotacja: *Zameldowano na pobyt stały 8.7.46* i stempel miasta Szczecina.

Tak rozpoczyna się okres szczeciński Tymoteusza Karpowicza.

Datę zamieszkania – zgodnie z zapisem na karcie ewakuacyjnej – w Szczecinie 8.07.1946 r. potwierdzają zapisy z karty rodzinnej – meldunkowej wystawione przez szczecińskie władze miejskie, jest to data zameldowania Tymoteusza Karpowicza przy ulicy Pocztowej 16, ale już 17 października 1946 r. wraz z żoną zameldowany zostaje przy ulicy Garncarskiej 3, nieopodal dzisiejszej popularnej tawerny *Cutty Sark*.

Obecnie budynek przy ulicy Pocztowej to odnowiona, zadbane kamienica tynkowana na seledynowo, szczęśliwie bez zamazów i rozmazów domorodnych artystów street-artu, na ulicy stoją rzędy samochodów, wokół panuje spokój i czystość, chociaż bez zieleni.

Za to zielona jest ulica Garncarska z rzędem drzew akacjowych po jednej stronie, znalazł się też i jeden świerk oraz grupa krzewów, całkiem przytulnie i szpaler zieleni sprawia, że czujemy tę charakterystyczną dla Szczecina atmosferę zieleni w miejskich murach – odnajdziemy to także w twórczości poety.

---

## Budowa gniazda

---

Przypomnijmy pierwszy meldunek Karpowicza na Pocztowej do 8.07.1946 r., przeprowadzkę na Garncarską niecałe trzy miesiące później i posiłkując się załączonym do almanachu „Szczecin Literacki” dodatku pod redakcją I.G. Szmida „Notatnik kulturalny Szczecina 1945 – 1958”, z którego pod datą 30 grudnia 1946 r. dowiadujemy się co następuje:

„Na podstawie materiałów literackich, publikowanych w tygodniku »Szczecin«, stwierdzić można, iż krystalizuje się tutejsze środowisko pisarskie. Najaktywniej występują: Stanisław Ostrowski – wiersze, Tymoteusz Karpowicz – proza i wiersze, Stanisław Szydłowski – fraszki i tłumaczenia poezji rosyjskiej, Stanisław Telega – krytyka literacka i teatralna, Walerian Lachnitt – felietony historyczne.”

Jak widać w ciągu czasu krótszego niż pół roku, Tymoteusz Karpowicz staje się „krystalizatorem tutejszego środowiska pisarskiego”, to że następuje to tak szybko, to dzięki jego cechom charakteru – niesamowitej pracowitości i uporowi. To cechy właściwe pracowitemu chłopu z Wileńszczyzny, który w trudzie musi pracować na chleb. Jak się później okaże, także zamiłowanie do uprawy ziemi, czy urządzania ogrodów także będzie towarzyszyć mu w dalszej drodze życia.

Czym zajmuje się Tymoteusz Karpowicz w Szczecinie, z czego się utrzymuje?

W swoim odręcznie pisanym życiorysie około roku 1954 sam tak to opisuje:

„Po powrocie do Polski (1946) rozpocząłem pracę w Radio w Szczecinie, najpierw jako referent informacji i propagandy, a potem redaktor audycji literackich, gdzie pracowałem do 1949. W tym czasie wydałem również dwie swoje pierwsze książki : »Legendy Pomorskiego« i »Żywe wymiary« (wiersze), które były podstawą przyjęcia mnie do Związku Literatów Polskich ( 1948).”

Karpowicz swoją obecność zaznacza szybko w życiu Szczecina (jak odnajdujemy po latach na stronie internetowej redaktora Marka Koszura), bo już w połowie sierpnia 1946 r., gdy opisuje, bądź tylko redaguje podróż statkiem po Odrze w audycji „U nas w Szczecinie...” dla Radia Szczecin. Dowiadujemy się z audycji, że zgodnie z reklamą w ogłoszeniu rozplakatowanym na mieście 18 sierpnia 1946 r., zapowiadano podróż statkiem po Odrze aż do lotniskowca. Zapewne chodziło o zatopiony wrak niemieckiego lotniskowca „Graf Zeppelin”, który jeszcze w 1945 r. został odholowany do Świnoujścia, a w 1947 r. został zatopiony na Bałtyku.

Relacja z rejsu jest dynamiczna, a i jak z czasem się dowiemy, reklama jest jednak dźwignią biznesu, bo z oględzin lotniskowca nic nie wyszło, o czym się zaraz dowiemy z relacji Karpowicza:

„W tej chwili mijamy pływające doki. Wśród dwóch potężnych, żelaznych ścian – okręt pasażerski »Kaliningrad«. Nieco dalej zrujnowane stocznie.

– Zaraz ma być lotniskowiec – pada podniecająca wiadomość. Wszyscy unoszą się z miejsca, penetrując wzrokiem najbliższe kształty.

– Nie tutaj! Trochę dalej – krzyczą od rufy.

Tymczasem jest Gołęcin. Potężne wzgórze zasiane domkami o czerwonych dachach, ujęte jest w obramowanie zwartej zieleni. Tylko ponad tą zielenią wystrella swobodnie jasna wieża tutejszego kościoła. Mijamy drugi pływający dok. Na brzegu – olbrzymie prowizoryczne zagrody.

[...]

– Gdzie jest lotniskowiec? Panowie, gdzie jest lotniskowiec? – niecierpliwą się pasażerowie.

– Widzę! Widzę! – woła posiadacz lornetki.

– Thalatta! Thalatta! – przedrzeźnia ktoś z boku.

– Nic, pan, nie widzisz – mówi jakiś sceptyk. – Mój kapelusz zasłania akurat pańskie szkła.

Wychodzi zza chmur słońce. Woda wypełnia się opalizującym blaskiem. Okrzyki radości tryskają nad pokładem. Równocześnie uwagę wszystkich przykuwa kulista budowla, wyglądająca jak kołpak bojarski na zielonej głowie wzgórza.”

(„U nas w Szczecinie. Ku ujściu Odry...”, audycja Radio Szczecin; redagowano 17.08.1946 r.)

Oczywiście do lotniskowca stateczek nie doptywa – bo ten jest w Świnoujściu – a niebawem zawraca do nabrzeża u stóp Wałów Chrobrego, ku nieukrywanemu niezadowoleniu i rozczarowaniu uczestników rejsu.

Ale zwróćmy uwagę na tę relację – swobodę i erudycję Karpowicza, która z pozoru może być niedostrzegalna... Wychwycenie okrzyku Thalatta! Thalatta! do pasażera, któremu wydaje się, że już widzi Morze Bałtyckie, a ledwo dopłynął do Gocławia, świadczy zarówno o wykształceniu przedrzeźniającego pasażera, jak i redaktora, który dostrzega kontekst. Otóż w opowieści „Anabaza” Ksenofont opisuje wydarzenia datowane na rok 370 p.n.e., gdy najemnicy greccy, walcząc po stronie Cyrusa w głębi Azji Mniejszej, wracają przez ląd aż do brzegu Morza Czarnego i dopiero ujrzanie morza – ich naturalnego środowiska – wywołuje w nich entuzjazm i krzyczą Thalatta! Thalatta!, czyli Morze! Morze!

*Thalatta* powraca dwukrotnie w późniejszej poetyce Tymoteusza Karpowicza – dwa wiersze o takim samym tytule, ale jeden dodatkowo posiada informację „z wileńskiego xenofonta”:

*z obsesji dali odmierzana bliskość  
ołowiem łockia nos spłaszczony  
o piętę Boga i ziarenko maku  
jako szalupa wszystkich okrągłości  
i na ratunek wypukane szybko  
czoło przy szybie wszechświata  
podwyższone spojrzenie matki  
z tratwy chaty z gołębia: thalatta!*

*kto wy płynął z brzoźowego progu  
masztem wyższym od trzciny brwi  
wywłókt szczęście z brzegów na prąd*



*ten ze skrzeli miał już tylko haust  
nadpowietrznych płuc a tymczasem*

*z żagli majtki robiły dziewczyny  
by się natrzeć wiatrem miłości  
dla rekina na kotwicy płci*

Przypomnijmy, jest to rok 1946, zniszczony Szczecin, Karpowicz jest od miesiąca zameldowany w Szczecinie, pochodzący z ubogiej rodziny wiejskiej, bez wykształcenia nawet średniego, jest tak intelektualnie odczytany, że rozumie konteksty, które obecnie mogłyby być niezrozumiałe dla współczesnych absolwentów studiów magisterskich.

W tygodniku *Szczecin* w numerze 15/16 z datą 1 października 1946 r. znajdujemy kolejny tekst Karpowicza „Wuj Anatol”, tym razem literacki – opowieść w formie humoreski; publikacja uznawana za debiut prozatorski Tymoteusza Karpowicza. Jest to opowieść osadzana w szczecińskich realiach mieszkaniowych, gdzie szczęśliwy lokator pięknej willi prowadzi całkiem udane życie:

„W tym czasie uzyskałem również właściwe miejsce na ziemi, zdobywałem coraz większą sympatię kolegów, słowem – otwierała się przede mną zawrotna perspektywa szczęśliwego bytu. U podstaw mego dobrego samopoczucia leżała nie jakaś idea, która ze zjadaczy chleba czyni bohaterów, lecz – willa. Znajdowała się ona przy jednej z najcudowniejszych ulic Szczecina. Willę tę okalał ogród owocowy z przeróżnymi gatunkami drzew”.

Jednak w sielance towarzyszą mu trudności z zakupem tańszego cukru w Szczecinie, co barwnie opisuje:

„Nie lubiłem jednak na wiatr rzucać pieniędzy. Z tego powodu penetrowałem wszystkie sklepy szczecińskie, by natrafić gdzieś na tańszy cukier. Trafiałem jednak tylko na czarodziejskie koło zaklętych, martwych cen, których twórców nie mogłem wzruszyć nawet biblijnymi cytatami o miłości bliźniego. Właściciele placówek handlowych z zasady byli wyznawcami chrześcijańskich postulatów, lecz uważali, że w pierwszym rzędzie trzeba miłować siebie. Przytaczałem więc urywki z Koranu, popierałem swe wywody słowami wielkiego Laozi, twórcy Tao, lecz bez najmniejszego skutku. Tutaj wyznawano religię szczecińską, a jej twórcami byli ci, którzy by się za siebie dali powiesić”.

Bohater humoreski spotkawszy na dworcu dalekiego krewniaka Anatola Wysiodzkiego, na swoje nieszczęście sprowadza go do swojego domu, a ten z czasem zamienia się w głównego najemcę (innymi słowy *wysiudał* narratora),

a dotychczasowy lokator na bruku, a jego żona w szpitalu. Jestem przekonany, że takie sytuacje mogły mieć miejsce, wówczas tak zapewne bywało z problemami mieszkaniowymi, mieszkania i atrakcyjne lokalizacje były przedmiotem pożądaniami wielu napływających repatriantów i przesiedlających się z innych dzielnic Polski, bądź powracających z zagranicy. Czasami we wspomnieniach pierwszych osiedlających się w Szczecinie słycać było takie zachowania i postawy jako opis tzw. Dzikiego Zachodu.

We wrześniu 1946 r. Tymoteusz Karpowicz opisuje przebieg Polskiego I Kongresu Autochtonów w Szczecinie, gdzie poznaje nietatwe życie Polaków w Niemczech, zarówno podczas wojny jak i przed wojną. Podczas tego kongresu ma miejsce odsłonięcie na Zamku w Szczecinie tablicy pamięci księdza Bolestawa Domańskiego, autora pięciu prawd Polaka. Ta tablica wisi na ścianie Zamku Książąt Pomorskich do dzisiejszego dnia. Z przejściem relacjonuje wypowiedzi uczestników Kongresu, mając świadomość, jak trudno było utrzymać polskość w czasach rządów Prusaków i Hitlera:

„Niekłórym słowa polskie wydobywają się z wiązadeł głosowych z takim trudem, jak dźwięki z rozbitych skrzypiec. Lecz treść i intencja jest jasna – byli i zostaną Polakami”.

Jakże ten szacunek dla polskiego słowa i twórczości będzie widoczny w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych, gdy Karpowicz zorganizuje międzynarodowe seminaria dotyczące twórczości Juliana Przybosia i C.K. Norwida. To właśnie zainspirowany seminarium Norwidowskim Stan Borys nagrywa płytę z utworami Norwida i zaprzyjaźnia się z autorem *Żywych wymiarów*.

Wracam do roku 1946. Tymoteusz Karpowicz w tym czasie niestrudzenie pracuje, przemierzając Szczecin i okolice, pracuje piórem oczywiście i zajmuje się różnymi tematami, od kulturalnych do gospodarczych. Jest przy elektryfikacji, ale także przy sportach żeglarskich, a to zajmuje się stoczniami i oczywiście nie może zabraknąć tematów związanych z zagospodarowaniem ziemi i orką traktorami, co znajdzie także odzwierciedlenie w poezji.

Obok działalności publicystycznej, Tymoteusz Karpowicz nadal pisze wiersze, rozwija się literacko także w poezji niemalże z miesiąca na miesiąc. Dzięki uprzejmości Jana Stolarczyka, wydawcy i przyjaciela Tymoteusza Karpowicza, możemy zaprezentować niepublikowany jeszcze nigdzie wiersz „Wyzwolenie czy śnieg”, który powstał w Szczecinie w roku 1946:

*...Śnieg niech zasypie, niech ciężko zawali  
olbrzymie łaki duszących konwalii,*

*niech niebo chmurną, wilgotną kądzielą  
zasnuje drogi nieprzebytą bielą.*

*Niech wichry spadną lawiną ze stoków  
i trup marzenia za włosy powłoką  
i niech ból wspomnień, w ten obrzydły ropień  
biją pięściami i nogami kopią.*

*Niechaj ich ramię żylaste wyżenie –  
uparcie w duszy zachowane cienie,  
niechaj wyszarpie, niechaj mnie wyzwoli  
z czarnych baletów wiecznej melancholii.*

*I w noc srebrzystą w puchowej otoce  
O! wyprowadźcie gwiazdami za noce  
I przyodziawszy odświętnie, godowo  
twarzą ku życiu postawcie na nowo !*

Możemy porównać ten wiersz z wierszem opublikowanym w końcu tego samego roku w tygodniku „Szczecin” nr 25/26 z dnia 15 grudnia 1946 r. i dostrzec postępy w rozwoju liryki Karpowicza, nie tylko tytuł jak najbardziej już kojarzy się ze Szczecinem –

„Noc szczecińska”

*Spać? Licho, sen nie bierze!  
Będę więc chyba gwiazdy liczył...  
Albo, jak to czyniłem nieraz  
– palcami bębnił po księżycu*

*Pode mną park rozdęty ciszą,  
w miękkiej poświacie jak w oposach.  
Widzę pożółkłe łapki liści  
Trzymają nikłe krople rosy.*

*Oziębły fronton kamienicy  
zatarasował wydech wiatru.  
Na moment – kroki trzy zawisty  
tuż pod balkonem i wygasty.*

*Na cement sptywa poszept sekund  
i cisza wymyka się spod rąk.  
- O blask miesiąca niedaleko  
trącają chłodne fale Odry...*

Widzimy, że *duszące konwalie* zamieniają się w *pożółkłe łapki liści*, pierwsza wiosna po wyzwoleniu jeszcze ma w sobie ropień śmierci i pamięci, ale jesień pierwsza w Szczecinie jest bezpieczna. Karpowicz ma dom, gdzie *oziębły front kamienicy/ zatarasował wydech wiatru* i w końcu jest upragniona cisza... i można *bębnić po księżycu palcami* pozbywszy się *czarnych baletów wiecznej melancholii*. Ten wiersz podobnie jak „Wieczorne zmęczenie” wyraźnie już nawiązuje do miejsca zamieszkania przy ulicy Garncarskiej, które staje się azylem, miejscem zadomowienia, miejscem gniazdowania ptaka, który szukał swojego miejsca i je znalazł. Po kilkakroć czytając te dwa powyższe wiersze widzę w nich powinowactwo liryczne i poprawiający się warsztat poety, szczecińskiego poety.

Patrzmy szerzej na obecność autora w szczecińskich przestrzeniach – ponadto przecież pisał teksty do „Kuriera Szczecińskiego” i uczestniczył w różnych wydarzeniach kulturalnych, czy teatralnych, co rozszerza jego obecność poza ten podstawowy krąg obrotów jego ścisłego świata.

Poza tym, że Karpowicz pisze wiersze i dużo wierszy publikuje, przyjdzie także czas debiutu poetyckiego w formie tomiku wierszy...

---

## Pierwsze wysokie loty

---

Nadchodzi rok 1947 i głośny spór, czy polemika z Franciszkiem Gilem, znanym reportażystą i także osobistością literacką w Szczecinie, rozpoznawalną w literackiej Polsce.

Franciszek Gil na łamach ogólnopolskiego pisma literackiego „Odrodzenie” narzekał na słabość środowiska literackiego w Szczecinie, brak odpowiedniego liczebnie i intelektualnie środowiska twórców, w gronie których można by rozwijać życie literackie, brak środków stypendialnych dla literatów i ogólnie mizerne frekwencje na spotkaniach w Klubie Artystyczno-Literackim przy ulicy Wojska Polskiego 42 w Szczecinie.

Polemika z tezami Franciszka Gila, jaką przeprowadził Tymoteusz Karpowicz na stronach tygodnika „Szczecin”, to w zasadzie potwierdzenie jego niezwykłej pracowitości, która mu towarzyszyła przez całe życie.

Nie sposób jednak nie podkreślić, że to było pierwsze odnotowane poruszenie w szczecińskim środowisku literackim o wymiarze szerszym niż regionalne. Na drugie takie poruszenie musieliśmy poczekać aż do powstania grupy literackiej *Metafora* na przełomie 1955/1956, która także miała różne postrzeganie – od entuzjastycznych po wypowiedzi typu „a kto na to pozwolił, kogo o to pytano”, ale to były czasy już po stalinizmie i doktrynie socrealizmu, który rozdzielił te dwa okresy ożywienia literackiego w Szczecinie.

Ten spór Karpowicz – Gil w zasadzie dotyczył dwóch spraw – działalności klubu Artystyczno-Literackiego przy ulicy Wojska Polskiego 42 i finansowania literatów. Franciszek Gil oczekiwał funduszu stypendialnego dla literatów, by mogli oni swobodnie się oddawać pracy twórczej. Jak zwykle pracowity Karpowicz, liczący tylko na swoją przedsiębiorczość w zakresie utrzymania, stanowczo twierdzi, że nie przeszkadza to twórczości literackiej. Przytacza przykłady, że działalność literacka często towarzyszy innym zajęciom. Takie zajęcia i tak są dość często związane z działaniami zbliżonymi do czysto literackich, jak bycie dziennikarzem, czy nauczycielem, czy w końcu wykonywanie inteligenckiego zawodu urzędniczego. Swady w wypowiedzi Karpowiczowi odmówić nie można, poczynając od tytułu polemiki „Szczecin literacki pod Gil-otyną”, poprzez dwie ważne uwagi, cytując z jednej strony wypowiedź Gila w reportażu o hucie Szczecin, że redaktor słyszy od pracowników, że by opisać rzeczywistość przybywa za późno, pyta się wprost:

„I cóż – będziemy dalej czekać na stypendia, czy też mając jedynie dach nad głową, pióro i stół zabierzemy się do roboty?”

W drugiej, odpowiadając na krytykę działalności Szczecińskiego Klubu Artystyczno-Literackiego informuje, że zaproponowano Gilowi wejście do zarządu Klubu, by mógł go wspierać. Ten odmówił, o czym wprost pisze Karpowicz, że w tej sytuacji o jego poglądach na działalność klubu możemy co najwyżej się dowiadywać z prasy, a przecież zamiast krytykować mógł mieć sprawczość w działaniu Klubu. Warto dodać, że polemika była utrzymana w merytorycznym tonie i Karpowicz zwracał uwagę, że ceni twórczość Gila, trzymał dobry poziom.

Należy tu zwrócić uwagę na te kwestie, wskazane przez autora „Żywych wymiarów”. Otóż owa przywołana pracowitość i rzetelność, i brak oczekiwania na dotacje czy stypendia towarzyszyła mu do końca życia. Na uniwersytecie

w Chicago, gdzie wyłatał jako profesor literatury, musiał zapewnić sobie utrzymanie – co, jak zwracano uwagę, na pewno było kosztem twórczości literackiej. Podobnie po okresie szczecińskim było we Wrocławiu, gdzie pracował na Uniwersytecie Wrocławskim i jako redaktor czasopism literackich.

Patrząc na wspomnianą pracowitość Karpowicza, rozpoznaną i docenianą przez całe jego życie, to już podczas pobytu Karpowicza w Szczecinie były te cechy widoczne. Działalność publicystyczna w prasie, jak i w Radio Szczecin, oprócz rzeczywistej pracy – jak to się określa na niwie kultury i literatury – także miała charakter źródła utrzymania, a jednocześnie Karpowicz pisał wiersze i przygotowywał tom „Legend pomorskich”.

5 listopada 1946 r. Tymoteusz Karpowicz zostaje przyjęty na członka Spółdzielni Wydawniczej „Polskie Pismo i Książka” z numerem 58. Wydawnictwo mieści się w budynku po dawnej fabryce produkującej torebki papierowe przy ulicy Wojska Polskiego 39. Budynek zachował się do dzisiaj. Wydawnictwo „Polskie Pismo i Książka” powstało z inspiracji Leona Królaka, który jako więzień niemieckich obozów koncentracyjnych dał sobie przyrzeczenie, że utworzy po wojnie wydawnictwo, które będzie promowało polski język i kulturę. Zdobywał wiedzę potrzebną do przyszłego prowadzenia wydawnictwa w obozie koncentracyjnym za cenę swoich porcji chleba! Nic dziwnego, że tutaj w wydawnictwie Tymoteusz Karpowicz się rozwinął, tu wyda swój tom prozy „Legendy pomorskie” i pierwszy w Szczecinie polski tomik poezji wydany przez szczecińskiego poetę w szczecińskim wydawnictwie. Tytuł tomiku „Żywe wymiary” podkreśla powrót do żywych ludzi skazanych na wojnę i śmierć, *ocalonych z pożaru*.

„Legendy pomorskie” wydane w grudniu 1947 r. przez wspomnianą oficynę wydawniczą „Polskie Pismo i Książka” zawierały 17 opowieści z Pomorza Zachodniego, napisane przez Karpowicza w oparciu o dostępne mu informacje pozyskane w różny sposób, często szcątkowe, i były inspiracją do rozwinięcia w tonie dydaktycznym – jak to zawsze bywa w legendach i baśniach – ale jednocześnie pozwalały użyc poetyckiej wyobraźni autora. Trafnie to dostrzegł Stanisław Telega w recenzji zwartej w tygodniku „Odra” (nr 15, 11.04.1948):

„Faktem natomiast bezspornym jest trafnie uchwycony ton tych legend, umiejętna ich dramatyzacja i poetyckie piękno. Karpowicz występuje z pierwszą książką jako prozaik, jednakże jest to prozatorstwo formalne. Każda bowiem strona tych legend zdradza poetę, obcującego z pięknem fantazji i wizji typowo poetyckich, z niezwykłą wrażliwością na piękno przyrody”.

Walory te w „Legendach pomorskich” dostrzegł także niedawny polemista – Franciszek Gil. Otóż pisze Gil-otyna w reportażu z Wolina tak:

„Spieraliśmy się tutaj już o ten historyzm, o te obrazki z życia szczecińskich książy i księżniczek, o legendy i wiersze o chrzycielu kraju – wysłanniku króla Krzywoustego – Ottonie z Bambergu. Uważaliśmy, że regionalizm Szczecina to nie tylko »uliczka klasztorna« i »dom Loytów«, bankierów naszych Jagiellonów; uważaliśmy, że to także praca robotnika portowego. [...] Nocą w Wolinie doświadczyłem jak trudno uwolnić się wśród tych zatok i zalewów, na tych wyspach i na tej ziemi od jej »historycznego nastroju«[...] Pokrzykiwaliśmy jak dzieci. Jumne! Julin! Wineta! Jomsborg! Wolin! Galnatoke!... popadliśmy na długo pośród wojenne łódzie słowiańskich wikingów, w ulice bogatego, niezależnego grodu, z szacunkiem wymienianego przez żeglarzy wczesnej Europy. Dziś ze Szczecina widzę, że tam w Wolinie byliśmy najbliższej jakiejś równowagi”. (Franciszek Gil „Opiszcie nasze życie”, 1948)

Warto zwrócić uwagę także na znaczenie tej książki w kontekście dbałości o zachowanie dziedzictwa kulturowego i ludowego Pomorza w szerszym wymiarze, może nawet wyraźnie dostrzeganym dopiero współcześnie.

Czytając dzisiaj „Legendy pomorskie” i zastanawiając się, czy mają one obecnie tylko znaczenie literaturoznawcze w badaniach twórczości Tymoteusza Karpowicza, czy współcześnie mogą być także odbierane i czytane, odpowiedź okazuje się zupełnie oczywista. Corocznie w Wolinie odbywa się Festiwal Słowian i Wikingów, pełne gwaru rekonstrukcje dawnego życia w legendarnej Jomsborg-Vinecie. Tysiące ludzi, różnojęzyczny tłum, średniowieczne stroje, inscenizowane boje wojów, pokazy dawnego życia. Jakże tutaj odnalazłby się „Legendy pomorskie” Tymoteusza Karpowicza w formie komiksu w różnojęzycznych wydaniach. Kiedyś krytykowano Karpowicza, i nie tylko jego, za tak zwaną regionalność, dzisiaj regionalność jest cenioną zaletą zarówno ze względów zachowania dziedzictwa kulturowego, ale także jako atrakcja turystyczna przyciągająca także w celach edukacyjnych i czysto rozrywkowych. Miałem okazję skorzystać z zaproszenia Pani Burmistrz Wolina na ten festiwal. Z kartą wstępu zgłosiłem się na bramie wioski Słowian i Wikingów i gdy okazałem zaproszenie wojom pełniącym straż, zostałem potraktowany przez nich jak ktoś posługujący się uprzywilejowanym giejtem książęcym i od razu wprowadzony zostałem w odpowiedni nastrój epoki. Podczas podpatrywania codziennego życia w zagrodach, pokazów walk i degustacji produktów sprzedawanych przez mieszkańców wioski, doszedł do mnie donośny okrzyk *Z drogi! Woje idą!* To był znak, że trzeba zejść z drewnianego traktu między domami,

słusznie ustępując przed siłą prezentowaną przez opancerzonych i uzbrojonych wojów, co sprawiło, że wrażenia stawały się autentycznym przeżyciem.

Wracamy do przeszłości, oto nadchodzi rok 1948, w którym Tymoteusz Karpowicz wydaje swój pierwszy tomik poezji „Żywe wymiary”, który jest zarazem pierwszym poetyckim tomikiem wydany w Szczecinie przez szczecińskiego poetę – „Żywe wymiary”. Jest to zbiór 34 wierszy podzielonych na 6 części tematycznych:

1. *Ziemia nadodrzańska* – liryki związane ze Szczecinem, na co wskazują już choćby tytuły wierszy: „Dom Lojców”, „św. Jakub”, ale także pełna ekspresji wypowiedź definiująca miejsce poety w nowym, szczecińskim świecie, która otwiera tomik:

*Wytrzeźwiałem ze słów wielkich. Nie mam różowych snów pod głowę.  
Są płaskie brzegi Odry, malowane w desenie szuwarów.  
Jestem tylko zajęty ojczyzną na co dzień -  
domem ocalałym z pożaru!*

(„Ziemia nadodrzańska”)

2. *Ścieżki morskie* – wiersze, które można odważnie uznać za prawdziwie marynistyczne, a utwór „Pieśń harpuniarzy” można określić mianem szantowej piosenki. Opis wzburzonego morza może wywoływać także chorobę morską u współczesnego czytelnika:

*Ostro szkwałem narzynasz imię swoje bure,  
chcąc nas w ogniu zielonym mętnych chlustów zwarzyć.  
I gniesz się przed rejsami nieprzebytą górą,  
a gromy wichur w fale wstawia jak lichtarze.*

*Przełkniesz gardłem wyziębłym niejedną kęs wraków.  
Opluwasz chmury pyzate, wypłuczesz ze słońca.  
I tańczący horyzont w błyskawic hamaku  
grzbietem ostrym, grzywiastym raz po raz odtrącasz.*

(„Na wzburzonym morzu...”)

3. *Wycieczka prasowa* – wiersze wyraźnie nawiązujące do awangardy kra-kowskiej, dedykowane wszystkim pracownikom PKP:

*Na wprost naszych notesów setka pneumatycznych młotów  
Wyrżnęła w płonące dyski.*



*Reje, walce i tłoki  
Pęk lin niosły w błyszczących pyskach.*

*Kotły biły jak baterie. W smugach niebieskich  
kadłuby lokomotyw przenosiły ramiona suwnic.  
- Tutaj – powiedział technik Majewski -  
Wykonujemy piętnaście napraw głównych  
(„Warsztaty w Troylu”)*

4. *Galeria rzemieślników* – opis ludzi pracy i technicznych elementów ich codziennego trudu:

*Deszcz liznął brzeg szyldu  
i mlaska w rynnie – smakuje blachę.  
Dekarz tkwiący w chmurze jak w grynszpanie  
strugi wody układa na dachu.*

*Ma płetwy żelazne u rąk.  
Nigdy wyżej nie wzleciał niż krokiew.  
Kiść wiatru u ogona rdzawego kogutka  
wciąż trąca o lecące krople.  
(„Błaszane strofy”)*

5. *Dojrzałe kłosa* – wrażliwość autora na uprawę roli i przyrodę na ziemi szczecińskiej znajduje tutaj swój mocny oddźwięk:

*Kłaniamy się łanom po piętękę kosy,  
po piach, kamyki i rosę.  
Uwalniamy je od wiatrów, upału i bydła,  
od bławatków, które sójka przyniosła na skrzydłach...*

*Wecujemy na promieniu sierpy.  
Ziemia dyszy gardzielą lasu.  
A dziewczęta obok snopów zakrzepły  
pełne blasku jak bryły masła.  
(„Żyjące ziarna”)*

6. *Wspólne i osobiste* – wrażliwy i osobisty opis otaczającej poetę codzienności:

*Wyżej nie podnoś smyczkiem mojego serca -  
runie w przepaść wydrążone dźwiękiem,  
bo z najwyższą nutą nie poradzę  
jak z szarotką całującą wierchy  
(„Koncert”)*

*Fala zorzy spłynęła za szybą. Okno poszerzam oddechem.  
Dzień wonny o głownie płonących kasztanów się wspiera.  
Za chwilę, jak kukułka ze starego zegaru, matka wyjdzie z kamienicy po  
mleko*

*i suchym kaszlem zapuka o ścianę emerytowany generał.*

*Kto się podźwignie, namaszczony kroplą porannej rosy,  
Pogodę dnia powszedniego żywym filarem wesprze.  
Matka – w czerwonych rękach białą flaszkę już przyniosła,  
a w ogrodzie staruszek nad grządką się schylił – istna wierzba na wietrze.  
(„Poranek”)*

O tym tomiku Tymoteusza Karpowicza mało się mówi, a jeszcze mniej się go czyta na głos, choć w wyborach wierszy o Szczecinie co prawda dostrzega się jego twórczość, ale czy nie powinna być bardziej żywa w naszej obecnej rzeczywistości? To przecież w nich pojawiają się nasze ulice, dzielnice, budowle, czytamy co autor pisał o Wałach Chrobrego, które oglądał. Być może pokutuje – a przecież niepotrzebnie – przypięta łatka łatwego regionalizmu i zbyt dokładnego, i literalnego opisywania otoczenia. Czy współcześnie nie pozwalamy, by poeta pisał i opisywał to co chce i czuje – byle jak najlepszym słowem? Nie tak dawno przecież został doceniony tomik wierszy Jarosława Marka Rymkiewicza „Zachód słońca w Milanówku” i nikt tu nie dostrzega niepotrzebnego regionalizmu, lecz zwraca się uwagę na wrażliwość w przeżywaniu obecności w małych ojczyznach.

Idąc tym śladem można przecież dostrzec z perspektywy ponad siedemdziesięciu lat zupełnie na nowo szczeciński krajobraz widziany oczami Karpowicza. Na przykład zastanawiałem się skąd wzięła się w wierszu „Wieczorne zmęczenie” Aleja Bohaterów Warszawy? Tyle ulic pięknych w Szczecinie, zwłaszcza reprezentacyjna Aleja Wojska Polskiego, której poświęcano wiersze i na której tyle się działo poetyckiego.

Przemierzając w różne strony Aleję Bohaterów Warszawy szukałem tropu, który mógłbym powiązać z wieczorem, który wchodzi do miasta. Rzeczywiście i dzisiaj zachodzące słońce rozświetla górne piętra kamienic i z pewnością zmrok wkrada się między mury, podnosząc się z bruku, ale czy to było wystarczające dla poetyckiej wypowiedzi? Rozwiązanie nadeszło z momentem ustalenia adresu zamieszkania Tymoteusza Karpowicza – przy ulicy Garncarskiej 3 i gdy dowiedziałem się, gdzie w Szczecinie mieszkał na podstawie udostępnionej karty rodzinnej-meldunkowej, stało się dla mnie jasne, jak mógł powstać wiersz zaczynający się :

*Aleją Bohaterów Warszawy  
wieczór wejdzie do miasta  
gasić wrzawę  
wiązać chude szyje latarni  
w supty blasku.*

Rekonstruuując ówczesny świat Karpowicza wiem już, że podstawowe obrotu swojego świata miał wokół ulicy Garncarskiej, czyli miejsca zamieszkania, miejsca pracy, czyli Radia, czyli ul. Wojska Polskiego 73, Klubu Artystyczno-Literackiego 42, jako działającego ośrodka kulturalnego, w którego zarządzie był także autor „Legend pomorskich” i Spółdzielni Wydawniczej „Polskie Pismo i Książka”, której był i członkiem, i autorem drukującym w tygodniku „Szczecin” przy ulicy Wojska Polskiego 39.

Powrót Aleją Bohaterów Warszawy do domu wśród *chudych szyi latarni* po tych wyczerpujących zajęciach, po skręceniu w ulicę Garncarską opisuje tak:

*Piętra mnie wyniosą  
ponad krzew bzu.  
Pewno zasną  
w pierwszej gwiazdzie  
pnącej się brzegiem wzroku  
jak raca.*

Karpowicz mieszkał na trzecim piętrze, a przed oknami miał zieleń – jak skrupulatnie to badam ze swoją świecą pożyczoną od De La Tour – i to rozwinęta, ale niestety nie ma już krzewów bzu – przeważają drzewa akacjowe.

*I księżyc wzędzie trzeźwiej  
niż myśl o Tobie –  
Boże ludzi zmęczonych pracą.*

Tak kończy się wiersz człowieka zwracającego się do Boga po całym dniu kolejnej pracy i ta pracowitość pozostanie z Karpowiczem aż do końca jego amerykańskich dni...

Lata później, Edward Balcerzan, wracając w swojej laudacji na rzecz Tymoteusza Karpowicza z okazji „Słojów zadrzewnych” do pierwszego, polskiego, poetyckiego tomiku w Szczecinie opisał go tak :

„[...] w gruncie rzeczy świat „Żywych wymiarów”, zbudowany z widoków powojennego Szczecina, z pogiętego żelastwa portowego, z pyłu odgruzowywanych domów, ze zrujnowanego gotyku, stanowił próbę renowacji wyobraźni wczesnoawangardowej. Był czymś w rodzaju nowego „Powojennego wezwania” Peipera, a zwłaszcza nowego „Oburącz” Przybosia. [...] ja w tych wierszach widzę prawdę mojego dzieciństwa, poznaję mój Szczecin...”

Poszukajmy zatem w tych wierszach prawdę Szczecina z tych lat pełnego gruzu i pogiętego żelaza :

*Tu cegłę rdzawo żyjącą czas skazał na wieczny niepokój,  
choć ślady dawnej świetności miejscami łopian porasta.*

(„Zmierzch”)

*Już nie czerpią młotami dźwięków budujący,  
Lecz w pustce – trwa nowe miasto jak w myśli.  
Jak przebłagamy ruiny i mlecz na żelazie rosnący?  
Patrzę – puszysty puchacz lotem niebo aż do gwiazd wyczyścił...*

(„Dzień”)

*W cierniach z prętów pogiętych założyłeś gniazdo,  
diamentowy słowiczku – gwiazdo.*

[...]

*W mokrym szumie dojrzewają gruzy  
do bezkształtu, do prostych popiołów.  
Tylko światła portowe nabrzmiały życiem.  
Obok wiatr na konturach byłego kościoła  
stawia stopę podbitą księżycem.*

(„Nad Odrą”)

*Święta wieża obłoki wyciąga z zanadrza,  
jak dziewczyna batystowe chustki,  
św. Jakub jednym ramieniem unosi  
ostrzy płomyk jaskółki.*

*Żebra gotyku, w których słońce jak serce się mieści,  
i mieszczan nagrobki – to dotkniesz.  
Strop i ołtarz uleciały w powietrze,  
jak spojrzenie przez otwarte okno.  
(„św. Jakub”)*

*Włosiste światło błądzi wśród ścian, jak tysiące puszystych główek.  
Trawki żują gryzący popiół, rośnie motyl na stopionym szkłe.  
Wchodzimy w zamarty pożar. Spod stóp nam nagle wyfrunął  
plac ratuszowy i utkwiał w klatce ulotnych rzęs.  
(„Praca”)*

Edward Balcerzan, profesor uniwersytecki, badacz literatury i absolwent szczecińskiego liceum „Poboźniaka”, wspominając swoje dzieciństwo i zabawy na zrujnowanym, szczecińskim starym mieście, odnajduje się w czytanych na nowo „Żywych wymiarach” – to chyba jeden z najbardziej przekonujących dowodów na autentyczności przekazu lirycznego Tymoteusza Karpowicza w jego szczecińskich czasach.

Ale wróćmy do owych wierszy, które są „próbą renowacji wyobraźni wczesnoawangardowej” i pojawiające się porównania do „Powojennego wezwania” Peipera czy „Oburącz” Przybosia.

Lektura tych wierszy, powstałych po pierwszej Wojnie Światowej, rzeczywiście wskazuje na wiele podobieństw. Wiersz Tadeusza Peipera zaczynający się słynną frazą:

*Świat krwią zmył twarz  
który nieco dalej kontynuuje tak:  
Niech się ramiona, kaplice w mięsie otworzą  
i niechaj tka się w nich modlitwa ciężarowych koni.  
Była niegdyś od morza do morza,  
dziś być musi od dłoni do dłoni.  
Słońce błaga byście je zaprzęgli do pługa;  
kopalnie są zalane gwiazdami po których płyną żagle bez łodzi;  
fabryki śnią jad dnia w którym je żar wasz zawęgli do uda;  
Bałtyk ziewa, potem nagle się płoni.  
Jest tak gorąco  
że można by świat zbudować z włosa,  
a cóż dopiero z dłoni.*

Na to Tymoteusza Karpowicza można przytoczyć w wierszu „Przeładunek”:

*Tranzyt, import, eksport! Aż błyska, aż oślepia!  
Taryfa, maklerka, spółka i tonaż.  
Przed tymi wyrazami dźwig czarnym czerepem  
bije pokłony.  
[...]  
Transportery – chude smoki z żelaza  
Walą ogonami o hałdy,  
aż drżą – wnętrza sztolni na Śląsku!  
Z lokomotyw, masztów i z twarzy  
można poznać bez trudu,  
Że Węglowa i Morska!*

Wspaniały, dynamiczny opis pracy portu, miejsca, gdzie dzieje się „eksport, import, tranzyt” pod wieczną presją statków-wielorybów z otwartymi brzuchami nienasyconych ładowni, Taki obraz i dzisiaj ma miejsce w morskim porcie, czy to w Szczecinie, czy w Gdyni, czy w Gdańsku.

Biorąc pod uwagę wskazówki Edwarda Balcerzana co do Juliana Przybosia – dla którego promowania twórczości Tymoteusz Karpowicz, w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych, przygotowuje międzynarodowe seminarium – w tomiku „Oburącz” z 1926 r. wydanym przez krakowską „Zwrotnicę” szukam adekwatnych analogii. Tutaj na pewno dobrym porównaniem byłyby wiersze „Warsztaty w Troylu” Karpowicza i „Warsztaty” Przybosia z „Oburącz”, ale wybrałem porównanie wiersza „Orka” Przybosia i „Pierwsza orka traktorem” Karpowicza, opublikowanego w roku 1949 – mają one już dostrzegalną różnicę w rozwoju technicznym na naszych polach:

*Zaprząg w grudzie i stali wołem ruchomym kroczy.  
Z pleców ryjących bruzdę łopatkami nawywrót,  
Z barków zapadłych w ziemię, muskulaturę wypruł,  
W cel – wytężony sobą jak drogowskaz sił, : orczyk*

*Nogi wzdłużone w ciągu, przekroczone oranem;  
W glinie porozwalanej skrzyżowane na sworzniu  
Stopy, krążąc ; postronkiem – wyróżnęły się z korzeni  
Żył, mięśniami przerósłszy : pęciny opętane.*

Tak awangardowo, poetycko opisuje orkę Julian Przyboś w tomiku „Oburącz” w 1926 r., natomiast Tymoteusz Karpowicz opowiada bardziej technicznie, już w jednym z ostatnich wierszy ze Szczecina:

*– my kopyta mamy z ognia i stali.  
Oprócz mięśni – instrukcje i plany.  
Zdejmujemy z pola suche miedze,  
jakby palce zaciśnięte na krtani.  
Pięć usuńcie! To właśnie na pomoc tej dłoni –  
nasze ściągna stalowe, krew, śmiech i benzyna.  
Wzrok podnieście podcięty gorącym żelazem  
by go traktor jak promień wyminął ...  
I szła orka, najgłębsza ze wszystkich  
jakie znały ugorne płaty,  
bo sięgały rozpalone lemieszce  
aż do głębi starego świata.*

(„Pierwsza orka traktorem”, 18.09.1949 r., Tygodnik „Odra” nr 35)

---

## Odlot

---

W końcu 1948 r. Klub Artystyczno-Literacki postanawia „podjąć i rozszerzyć inicjatywę starego zarządu w sprawie poradnictwa dla młodych poetów w Szczecinie. Prowadzone będzie systematyczne Studium Poetyckie”. Młodymi będzie zajmował się między innymi Tymoteusz Karpowicz, jako znany na wybrzeżu poeta.

„Na studium odczytywane będą i poddawane szczegółowej analizie wiersze młodych poetów. Studium odbywać się będzie w oznaczonych stałych dniach co miesiąc, w lokalu 13-tu Muz.”

Tak donosi „Tygodnik Wybrzeża” – dawny tygodnik „Szczecin” – w numerze 48. z 12 grudnia 1948 r.

Życzliwe zainteresowanie dla młodych poetów, często szukających opinii i porady będzie towarzyszyć Karpowiczowi także w późniejszych latach.

We Wrocławiu opiekuje się kaskaderem literatury – jak go później określiło – Rafałem Wojaczkim. Ten dedykuje mu swój tom wierszy słowami „Mistrzowi Mowy Polskiej Tymoteuszowi Karpowiczowi”. Jakże jasno widzimy tu w Studium Poetyckim dla młodych ze Szczecina przyszły, charakterystyczny,

wymagający, ale ciepły i dobry ton wobec innych poetów... bo przecież poświęcał na to swój czas. Wydawać się mogło, że z chwilą powstania Studium Poetyckiego, działalności w ZLP i w Klubie Literackim autor „Żywych wymiarów” okrzepł na ziemi szczecińskiej. Karpowicz staje się piewcą tej ziemi i to piewcą ważnym, wysokich lotów, mimo że sam raczej oczekiwał, że to ktoś inny tego zadania się podejmie, nawołując do przyjazdów do Szczecina, zapewniając, że ziemia ta jest gościnna. Staje się także mentorem i przewodnikiem młodych, jest członkiem Związku Literatów Polskich, ma uznany dorobek i cieszy się odpowiednim poważaniem, by rozpocząć opiekę na młodymi.

I nagle z końcem lata 1949 r. okazuje się, że ptak, wydawałoby się osiadły, szykuje się do odlotu. Z pewnością jakąś przesłanką mogła być informacja o przeniesieniu redakcji tygodnika „Odra”, w którym regularnie drukował Karpowicz, z Katowic do Wrocławia. Jak należy mniemać, prowadzono rozmowy i dyskusje – tutaj widocznym rozgrywającym może jawić się Wilhelm Szewczyk, którego wieczór autorski organizuje w Szczecinie wiosną 1949 r. autor „Legend Pomorskich”. W trakcie dyskusji zapewne rozważano różne propozycje, być może także przeniesienia „Szczecina” – na co być może liczył Karpowicz, ale zapadła decyzja, że przenosiny tygodnika będą do Wrocławia. Zdecydował o tym silny ośrodek humanistyczny, w tym Uniwersytet z gronem młodych polonistów.

Jak się dowiaduję, czytając kartkę pocztową przesłaną na adres Radia Szczecin, a nie domowy (sic!), do reprezentującego uczelnię wrocławską profesora Tadeusza Mikulskiego, Karpowicz wysyłał ciekawy list 6 sierpnia 1949 r., na który otrzymuje szybką odpowiedź datowaną na 8 sierpnia 1949 r. Tadeusz Mikulski, polonista Uniwersytetu Wrocławskiego, zapewnia Karpowicza o możliwości zdawania eksternistycznie matury podczas pierwszego roku studiów polonistycznych i wita go, jak to sformułował „na progu seminarium polonistycznego”.

W Szczecinie na uniwersytet będziemy jeszcze czekać dekady....

1 września 1949 r. Tymoteusz Karpowicz pracuje już w Radio Wrocław, formalności związane z wymeldowaniem z ulicy Garncarskiej w Szczecinie kończy 4 listopada 1949 r. O tym sucho po latach informuje wydobyta z archiwum karta rodzinno-meldunkowa.

Cóż więc zostało „szczecińskiego” z tego ptaka osiadłego, jak się wydawało w Szczecinie, lecz który odleciał do Wrocławia, a potem za Ocean, a teraz jest osiadły na ... Chmurze? Odpowiedź zdążył Karpowicz dać za życia, wiemy



o tym dzięki nieocenionemu Edwardowi Balcerzanowi, który kończąc wspomnianą już laudację na rzecz autora „Słojów zadrzewnych” (1999), opowiadając o pierwszym tomiku poezji Szczecina – czyli „Żywych wymiarach” powiedział i zanotował (!) w „Pochwale poezji”:

*a w tych wierszach... widzę prawdę mojego dzieciństwa, poznaję mój  
Szczecin...*

usłyszał odpowiedź:

*- Nasz - odezwał się Karpowicz. - Nasz.*

Przeczytajmy zatem na koniec wiersz „Obroty”, by się upewnić, że warto czytać Karpowicza, szczególnie, gdy jesteśmy ptakami osiadłymi w Szczecinie, a mówi do nas poeta z Chmury (za chwilę stanie się to jasne) – bo nie tylko tak mniemać chcę, ale tak czuję, że to do nas mówi:

*niefortunnie  
obrawszy królestwo  
na pękniętej chmurze  
przepłynę jeszcze dzisiaj  
jeden obrót ziemi*

*potem -  
napójdzie tylko złociste jelenie  
i nakarmcie ptaki  
które zostawiłem  
za ciężkimi drzwiami*

Ze świecą pożyczoną od De La Tour rozjaśniałem twarz Tymoteusza Karpowicza w Szczecinie.

---

## Heinrich Ludwig Theodor Giesebrecht zapomniany poeta, filozof, historyk i nauczyciel ze Szczecina

---

Heinrich Ludwig Theodor Giesebrecht urodził się 5 lipca 1792 roku w Mirowie (Mirow) w Meklemburgii-Strelitz, jako dziewiąty syn pastora Mirowa Benjamina Christiana Heinricha Giesebrechta (1741-1827) i jego żony Elisabeth, córki pastora Mirowa Johanna Ludwiga Leithäusera<sup>7</sup>. Był poetą, historykiem, filozofem i nauczycielem<sup>8</sup>. Słynął ze swojej „bogatej natury”, to znaczy, z szerokiego spektrum zainteresowań, znaczącej wiedzy historycznej i z dziedziny filozofii niemieckiej oraz obcokrajowej, i z faktu, iż był realistą<sup>9</sup>.

Podobno znaczny wpływ na jego całe życie miała utrata wzroku matki<sup>10</sup>. Heindich i jego brat bliźniak Friedrich (1792-1875) ukończyli szkołę w Mirowie, a później liceum Gymnasium Zum Grauen Kloster w Berlinie. Od 1812 roku oboje studiowali również w Berlinie. Heinrich studiował filologię oraz filozofię<sup>11</sup>. Przerwali studia w 1813 roku i jako ochotnicy wyruszyli na wojny wyzwolenicze z Napoleonem w pułku husarskim Meklemburgii-Strelitz<sup>12</sup>. Poeta walczył w bitwie nad Kaczawą [Katzbach]<sup>13</sup>.

Heinrich Giesebrecht na początku nie był w stanie kontynuować służby wojskowej z powodów zdrowotnych – zachorował na tyfusa<sup>14</sup>. Po odzyskaniu

---

7 Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 181.

8 Jak wyżej.

9 Georg Wandel: *Studien und Charakteristiken aus Pommerns ältester und neuester Zeit*, Buchhandlung bes Bughenagstistes, Anklam 1888, s. 289.

10 Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 181.

11 Jak wyżej.

12 Maciej Szukała: *Powstanie i działalność Towarzystwa Historii i Starożytności Pomorza w Szczecinie w latach 1824-1918*, Wydawnictwo Archiwum Państwowego „Dokument” w Szczecinie, Szczecin 2000, s. 60.

Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 181.

13 Reinold Kern: *Ludwig Giesebrecht als Dichter*, Weidmannsche Buchhandlung, Berlin 1914, s. 6.

14 Georg Wandel: *Studien und Charakteristiken aus Pommerns ältester und neuester Zeit*, Buchhandlung bes Bughenagstistes, Anklam 1888, s. 294.

Heinrich Giesbrecht (zdj. Stettiner Lebensbilder  
-Eckhardt Wendt)



zdrowia wrócił na studia na Uniwersytecie w Greifswaldzie w 1814 roku<sup>15</sup>. W tym czasie pracował naukowo jako historyk i tworzył utwory poetyckie oraz dramaty<sup>16</sup>. Zaciągnął się do wojska ponownie w 1815 roku podczas powrotu Napoleona<sup>17</sup>, ale nie walczył we Francji. Kiedy jego pułk dotarł do francuskiej granicy, wojna już została rozstrzygnięta. Po zawarciu pokoju paryskiego, pułk wrócił do domu<sup>18</sup>. Od 15 stycznia 1816 roku pracował jako nauczyciel w Marienstiftsgymnasium [Gimnazjum Mariackie] w Szczecinie, gdzie został do 1866 roku (przez 50 lat)<sup>19</sup> i uczył języków: niemieckiego, greckiego i łacińskiego, historii i religioznawstwa<sup>20</sup>. Jego własne prace naukowe w obszarze historii służyły jako materiał szkolny<sup>21</sup>. Historii uczył tylko do 1854 roku, gdyż nowy rektor, również historyk, przejął to stanowisko. To oznaczało, że nie uczył już historii,

---

15 Maciej Szukała: *Powstanie i działalność Towarzystwa Historii i Starożytności Pomorza w Szczecinie w latach 1824-1918*, Wydawnictwo Archiwum Państwowego „Dokument” w Szczecinie, Szczecin 2000, s. 60.

16 Eckhardt Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 181.

17 Jak wyżej.

18 Georg Wandel: *Studien und Charakteristiken aus Pommerns ältester und neuester Zeit, Buchhandlung bes Bugenhagenstistes*, Anklam 1888, s. 294.

19 Maciej Szukała: *Powstanie i działalność Towarzystwa Historii i Starożytności Pomorza w Szczecinie w latach 1824-1918*, Wydawnictwo Archiwum Państwowego „Dokument” w Szczecinie, Szczecin 2000, s. 60.

Eckhardt Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 181.

20 Georg Wandel: *Studien und Charakteristiken aus Pommerns ältester und neuester Zeit, Buchhandlung bes Bugenhagenstistes*, Anklam 1888, s. 289-290, 295-296.

*Allgemeine Deutsche Biographie*, Tom IX, Verlag von Dunder & Humblot, Leipzig [Lipsk] 1879, s. 160.

21 Georg Wandel: *Studien und Charakteristiken aus Pommerns ältester und neuester Zeit, Buchhandlung bes Bugenhagenstistes*, Anklam 1888, s. 290.

czego bardzo żałował<sup>22</sup>. Jako nauczyciel miał własne pedagogiczne podejście – opracowywania z uczniami tylko parę akapitów na raz<sup>23</sup>.

Został sekretarzem Towarzystwa Historii i Starożytności Pomorza w Szczecinie [Gesellschaft für pommersche Geschichte und Alterthumskunde] w 1824 roku i pełnił tę funkcję przez 50 lat<sup>24</sup>. W 1826 roku zdobył tytuł profesora<sup>25</sup> i od tego roku pełnił stanowisko współredaktora pisma literacko-naukowego „Pommersche Provinzial-Blätter<sup>26</sup>” oraz był jego głównym autorem<sup>27</sup>. W filozofii przyjmował niektóre poglądy Georga Wilhelma Friedricha Hegla<sup>28</sup>. W dziedzinie historii badał szczególnie historię regionalną Pomorza<sup>29</sup>, na której temat opublikował 26 artykułów w periodyku „Baltische Studien” oraz napisał trzy tomy *Wendische Geschichten*<sup>30</sup> [Historii Słowiańskich] obejmujących lata 780-1182<sup>31</sup>. Opierał się na źródłach niemieckich, polskich, czeskich i skandynawskich i zapoczątkował badania zachodniej słowiańszczyzny. Wiedzę dla swoich prac naukowych czerpał ze źródeł z Polski, Francji, Hiszpanii, Włoch, Grecji, Palestyny, a nawet z Indii oraz Arabii<sup>32</sup>.

Poza tym prowadził badania w zakresie historii pedagogiki, historii sztuki, historii nurtów mistycznych w filozofii oraz teologii, które opublikował w swoim czasopiśmie „Damaris” najpierw sam (1860-1865), potem z siostrzeńcem Eduardem Böhmerem<sup>33</sup>.

Giesebrecht był cenionym poetą w swoich czasach. Cieszył się uznaniem króla Prus Fryderyka Wilhelma IV<sup>34</sup>. Przykładał dużą wagę do formy, metryki, rymu,

---

22 Jak wyżej, s. 289-290.

23 Jak wyżej, s. 290.

24 Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 182.

25 Jak wyżej, s. 182.

26 Maciej Szukała: *Powstanie i działalność Towarzystwa Historii i Starożytności Pomorza w Szczecinie w latach 1824-1918*, Wydawnictwo Archiwum Państwowego „Dokument” w Szczecinie, Szczecin 2000, s. 58-61.

27 Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 182.

28 Georg Wandel: *Studien und Charakteristiken aus Pommerns ältester und neuester Zeit, Buchhandlung bes Bugenhagenstistes*, Anklam 1888, s. 300.

29 Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 182.

30 Heinrich Ludwig Theodor Giesebrecht: *Wendische Geschichten aus den Jahren 780 bis 1182*, Mecklenburg-Vorpommern. Digitale Bibliothek, <https://www.digitale-bibliothek-mv.de>, <https://www.digitale-bibliothek-mv.de/viewer/toc/PPN730568431/1/> (dostęp: 11.09.2022).

31 Georg Wandel: *Studien und Charakteristiken aus Pommerns ältester und neuester Zeit, Buchhandlung bes Bugenhagenstistes*, Anklam 1888, s. 290.

32 *Encyklopedia Polic*, red. nac.: prof. dr hab. Tadeusz Białecki, Gmina Police, Urząd Miejski w Policach, Police 2015, s. 58. *Ludwig Giesebrecht*, <https://pl.wikipedia.org/>, [https://pl.wikipedia.org/wiki/Ludwig\\_Giesebrecht](https://pl.wikipedia.org/wiki/Ludwig_Giesebrecht), (dostęp: 10.09.2022).

33 Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 183.

34 Reinold Kern: *Ludwig Giesebrecht als Dichter*, Weidmannsche Buchhandlung, Berlin 1914, s. 5.

konstrukcji zwrotek oraz deklamacji<sup>35</sup>. Johann Carl Gottfried Loewe, kompozytor, pisał oratoria do jego utworów, takie jak *Die sieben schläfer*<sup>36</sup> [Siedmiu śpiących], *Die eherne Schlange*<sup>37</sup> [Miedziany wąż], *Der Meister von Avis*<sup>38</sup> [Mistrz z Avis] (Szczecin 1844)<sup>39</sup>. W swoich wierszach Giesebrecht tematyzował własne doświadczenia życiowe<sup>40</sup>, życie rodzinne i krajobrazy Pomorza. Poeta pisał przede wszystkim obszerne poematy o treści politycznej, religijnej i społecznej<sup>41</sup>.

Opublikował między innymi wiersze<sup>42</sup>:

- *Als Weibesarm in jungen Jahren* [Jako ramię kobiety w młodym wieku],
- *Bienenweben* [Sieci pszczoł],
- *Das heilige Haus in Loretto* [Święty Dom w Lorecie],
- *Das Ziel* [Cel],

---

35 Georg Wandel: *Studien und Charakteristiken aus Pommerns ältester und neuester Zeit*, Buchhandlung bes Bugenhagenstistes, Anklam 1888, s. 291.

36 Heinrich Ludwig Theodor Giesebrecht, Johann Carl Gottfried Loewe: *Die sieben Schläfer: Oratorium in drei Abtheilungen*, Deutsche Digitale Bibliothek. Kultur und Wissen online, <https://www.deutsche-digitale-bibliothek.de>,

<https://www.deutsche-digitale-bibliothek.de/item/GC4WLFFJTJ5M5I2GWRJ4URMGAKOTRAGX2?isThumbnailFiltered=true&query=Die+sieben+Schlaefer&rows=20&offset=0&viewType=list&firstHit=HGZECXE5MVMCBKPIP66CNFBRRQJPHSE&lastHit=lasthit&hitNumber=2> (dostęp: 14.09.2022).

*Die sieben Schlaefer: Oratorium in drei Abtheilungen : gedichtet von Ludwig Giesebrecht : Op. 46*, PDF, ZBC, <https://zbc.ksiaznica.szczecin.pl>,

<https://zbc.ksiaznica.szczecin.pl/dlibra/publication/1428/edition/1189?language=pl> (dostęp: 14.09.2022).

37 *Die eherne Schlange: Vocal-Oratorium für Männerstimmen ; gedichtet vom Professor Giesebrecht ; 40tes Werk*, PDF, Deutsche Digitale Bibliothek. Kultur und Wissen online, <https://www.deutsche-digitale-bibliothek.de>, <https://www.deutsche-digitale-bibliothek.de/item/N4AAZ7ZGOWQIFSHKVPPhNA2QCJWJV4VW> (dostęp: 14.09.2022).

*Die eherne Schlange [Musikdruck] : Vocal-Oratorium für Männerstimmen ; 40tes Werk / gedichtet vom Professor Giesebrecht. Componirt von C. Loewe*, PDF, Goethe Universität Frankfurt am Main, <https://publikationen.ub.uni-frankfurt.de>,

<https://publikationen.ub.uni-frankfurt.de/frontdoor/index/index/year/2012/docId/24103> (dostęp: 14.09.2022).

38 Heinrich Ludwig Theodor Giesebrecht, Johann Carl Gottfried Loewe: *Der Meister von Avis: Oratorium in drei Abtheilungen*, PDF, ZBC, <https://zbc.ksiaznica.szczecin.pl>,

<https://zbc.ksiaznica.szczecin.pl/dlibra/publication/29558/edition/26976/der-meister-von-avis-oratorium-in-drei-abtheilungen-giesebrecht-ludwig-1792-1873?language=pl> (dostęp: 14.09.2022).

39 Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 182.

40 Jak wyżej.

Georg Wandel: *Studien und Charakteristiken aus Pommerns ältester und neuester Zeit*, Buchhandlung bes Bugenhagenstistes, Anklam 1888, s. 289.

41 Reinold Kern: *Ludwig Giesebrecht als Dichter*, Weidmannsche Buchhandlung, Berlin 1914, s. 4. *Encyklopedia Polic*, red. nac.: prof. dr hab. Tadeusz Białecki, Gmina Police, Urząd Miejski w Policach, Police 2015, s. 58.

42 *Gedichte von Ludwig Giesebrecht*, Die Deutsche Gedichtebibliothek. Gesamtverzeichnis deutscher Gedichte, <https://gedichte.xbib.de>, [https://gedichte.xbib.de/gedicht\\_Giesebrecht.htm](https://gedichte.xbib.de/gedicht_Giesebrecht.htm) (dostęp: 10.09.2022).

- *Der König auf dem goldnen Stuhle* [Król na złotym krześle],
- *Der Lotse* [Przewodnik],
- *Der Normann* [Norman],
- *Des Polus Taufe* [Chrzest Polusa],
- *Einsegnungslied* [Pieśń błogosławieństwa],
- *Es steht ein Kelch in der Kapelle* [W kaplicy jest kielich],
- *Gesang der Persis* [Pieśń Persisa],
- *Gesang des Bischofs nebst Kyrie* [Pieśń biskupa wraz z Kyrie],
- *Gesang des Kaisers* [Śpiew cesarza],
- *Gesang des Polus* [Śpiew Polusa],
- *Gott sei mit euch...* [Bóg z wami...],
- *Im Schacht der Adern und der Stufen* [W szybie żył i stopni],
- *Mut gefasst!* [Zdobyta odwaga],
- *Nun auf dem fremden Boden mehret...* [Teraz rozmnażaj się na obcej ziemi...],
- *Pfingstmorgen* [Poranek Zesłania Ducha Świętego],
- *Sang des Moses* [Pieśń Mojżesza],
- *Sankt Mariens Ritter* [Rycerz Najświętszej Marii Panny],
- *Spielt, Mägdlein, unter euer Weide...* [Baw się, mała dziewczynko, pod twoją wierzbą],
- *Tu', was deines Amtes!* [Rób swoją pracę!],
- *Unser Herzog hat...* [Nasz książę ma...],
- *Von meines Hauses engen Wänden* [Przez wąskie ściany mojego domu],
- *Was ist Liebe?* [Czym jest miłość?],
- *Wie früh das enge Pförtchen knarre...* [Jak wcześnie zaskrzypiała wąska brama?],
- *Wie wohnst du in des Reiches Städten...* [Jak żyjesz w miastach imperium...].

Trzy z nich: *Mut gefasst*, *Gott sei mit euch*, których tłumaczenie już istnieje<sup>43</sup> oraz *Bienenweben*, przełożyłam na język polski:

---

<sup>43</sup> *Strofy znad Łarpii*, opracowanie redakcyjne: Anna Słowińska i Stanisław Rapior, Gryfdruk, Police 2010, s. 47, 49.

Mut gefasst!

Ja, man rafft sich wohl einmal  
Wieder auf zum Leben,  
Kann sich aus der dunklen Qual  
Männlich stark erheben:  
Aber Farbe, Glanz und Licht,  
Frühlings Blütentriebe  
Suche auf der Erden nicht  
Nach der ersten Liebe<sup>44</sup>!

[Zdobyta odwaga

*Tak, zbieramy się znowu  
Aby w życiu trwać  
Może z ciemnego rowu  
Mężnie silnie wstać:  
Ale kolor, blask, oświata  
Kwiecie wiosenności  
Nie szukaj ty u świata  
Tej pierwszej miłości<sup>45</sup>!*

Bienenweben

Bienen summen, wie schwer zu tragen,  
Und die emsige Spinne webt;  
Hörst du die stummen Tierlein sagen:  
Schaffe, wirke alles was lebt<sup>46</sup>.

[Sieci pszczół

*Pszczoły brzęczą, jakby się trudzące,  
I pilny pająk snuje;  
Słyszysz nieme stwory mówiące:  
Twórz, co egzystuje<sup>47</sup>.]*

Gott sei mit euch...

Gott sei mit euch! Uns ist es  
nicht beschieden,  
In die vor'ge Heimat einzugehn;  
Hier ist unsre Rast in Gottes Frieden,  
Bis die Toten warden auferstehn.

[Bóg z wami...

*Bóg z wami! Nam świętość ta  
nie dana,  
Wrócić tam, do starej ojczyzny;  
Tu nasz postój w pokoju Pana,  
Aż powstaną znów wszyscy zmarli.*

Denn der Geist des Herrn hat mir entdeckt:  
Als ein Vorbild sind wir euch gezeigt  
Jenes Tages, da von ihm erweckt,  
Alles Fleisch aus seinen Gräbern steigt<sup>48</sup>.

*Ponieważ Duch Pana ujawnił mi:  
Jako wasz przykład nas stawiają  
Tego dnia, przez Niego budzeni,  
Wszystkie mięsa ze swych grobów  
wstają<sup>49</sup>.]*

---

44 Heinrich Ludwig Theodor Giesebrecht: *Mut gefasst*, Die Deutsche Gedichtebibliothek. Gesamtverzeichnis deutscher Gedichte, <https://gedichte.xbib.de>, [https://gedichte.xbib.de/Giesebrecht\\_gedicht\\_Mut+gefasst%21.htm](https://gedichte.xbib.de/Giesebrecht_gedicht_Mut+gefasst%21.htm) (dostęp: 10.09.2022).

45 Tłumaczenie poetyckie Sandry Oszemy. W dalszej części artykułu posługuję się skrótem S. O.

46 Heinrich Ludwig Theodor Giesebrecht: *Bienenweben*, Die Deutsche Gedichtebibliothek. Gesamtverzeichnis deutscher Gedichte, <https://gedichte.xbib.de>, [https://gedichte.xbib.de/Giesebrecht\\_gedicht\\_Bienenweben.htm](https://gedichte.xbib.de/Giesebrecht_gedicht_Bienenweben.htm) (dostęp: 10.09.2022).

47 Tłumaczenie poetyckie S. O.

48 Heinrich Ludwig Theodor Giesebrecht: *Gott sei mit euch...*, Die Deutsche Gedichtebibliothek. Gesamtverzeichnis deutscher Gedichte, <https://gedichte.xbib.de>, [https://gedichte.xbib.de/Giesebrecht\\_gedicht\\_Gott+sei+mit+euch....htm](https://gedichte.xbib.de/Giesebrecht_gedicht_Gott+sei+mit+euch....htm) (dostęp: 10.09.2022).

49 Tłumaczenie poetyckie S. O.

Wiersz *Mecklenburger Husaren* powstał w pobliżu Öls [Oleśnica] w czasie, kiedy poeta wyruszył na wojny wyzwolenicze z Napoleonem w pułku husarskim Meklemburgii-Strelitz i walczył w bitwie nad Kaczawą. Pola zbożowe przypominały Heinrichowi Giesebrechtowi dom<sup>50</sup>.

Mecklenburger Husaren

Wo die Havel und Tollense  
Sanft durch grüne Felder gehn,  
Wo der Haken und die Sense  
Hoch in edlen Ehren stehn:

Dorther kommen wir und schwingen  
Wir der Sense Ebenbild,  
Blankgeschliffene Säbel klingen  
Wohlgemut und kühn und wild.

Schnitter auf der Heimat Breiten  
Mäht, wenn eure Ernte naht;  
Wir auch, ob wir fernaus reiten,  
Mähen wohl gereifte Saht<sup>51</sup>.

[Husaria meklemburska

*Gdzie Hawela i Dołęża  
idą delikatnie przez zielonych pola,  
Gdzie hak i kosa  
Stoją wysoko w szlachetnym honorze:*

*Stąd pochodzimy i huśtamy się  
My, podobizną kosy,  
Dźwiczą zaostrzone szable  
Wesoło, odważnie i dziko.*

*Żniwiarze na domowych szerokościach  
Kosie, gdy zbliżają się wasz e żniwa;  
My też, czy jedziemy daleko,  
Skosimy ładnie dojrzałe nasiona<sup>52</sup>.]*

Wiersz *Die Krone* napisał z myślą przekazania maturzystom szczecińskiego gimnazjum wartości rojalizmu<sup>53</sup>. Giesebrecht pisze o nadziei i sile w związku z monarchią.

Die Krone

Von den Bergen hernieder  
Ins grünende Tal  
Fließen die nährenden  
Wasser, die klaren.  
Hin nach den Höhen,  
Wo unter Krone  
Sitzet der König,  
Wenden die Völker den hoffenden Blick.

[Korona

*W dół z gór  
Do zielonej doliny  
Przepływają odżywcze  
Wody, czyste.  
W stronę wyżyn,  
Gdzie pod koroną  
Siedzi król,  
Ludzie spoglądają z nadzieją.*

---

50 Reinold Kern: *Ludwig Giesebrecht als Dichter*, Weidmannsche Buchhandlung, Berlin 1914, s. 6.

51 Jak wyżej.

52 Tłumaczenie semantyczne S.O.

53 Reinold Kern: *Ludwig Giesebrecht als Dichter*, Weidmannsche Buchhandlung, Berlin 1914, s. 10.



Erhöht sind die Schwerter,  
Des Thrones Gewalt  
Vor allen Gesetz,  
Vor jedem Vertrag  
Den Erstbegorenen der Herrschaft.

*Wzniesione są miecze,  
Moc tronu  
Przed wszelkim prawem  
Przed każdym kontraktem  
Pierworodnym panowania.*

Dort ist die Hilfe,  
Dort ist das Heil,  
Was unsres Geschlechtes  
Eigenstes ist;  
Alles Menschliche wird  
Dort oben gehütet<sup>54</sup>.

*Tam jest pomoc  
Tam jest zbawienie  
Co z naszej płci  
Najbardziej własne jest;  
Wszystko, co ludzkie zostaje  
Tam strzeżone<sup>55</sup>.]*

Z okazji odejścia maturzystów, Giesebrecht napisał wiersz *Die Schule der Wissenschaft* [Szkoła Nauki], do którego Carl Loewe skomponował muzykę. Kolega poety, który również pracował w gimnazjum w Szczecinie, w gazecie zarzucił Giesebrechtowi, iż wiesz jest niechrześcijański<sup>56</sup>. Poeta pisze o nauce jako o świętości, która stoi nad wszystkim i zwraca się do niej jak do samego Boga.

Die Schule der Wissenschaft

O Geist, des Geistes Quelle,  
Der in mir lebt und denkt,  
Der auf des Wissens Welle  
In sich zurücke lenkt,  
Du Geist und ew'ge Kraft,  
O wahre uns und hüte  
Der Menschheit Kranz und Blüte,  
Hochheil'ge Wissenschaft.

[Szkoła Nauki

*O Duchu, Źródle Ducha,  
Który żyje we mnie i myśli,  
Ten, który na fali wiedzy  
Cofa się w siebie,  
Ty Duchu i Wieczna Moco,  
Ochroń nas i strzeż  
Wieniec i kwiaty ludzkości,  
Święta Nauko.*

Erleuchte Geist und Sinnen,  
Entfaltend uns an ihr,  
In dir ist das Beginnen,  
Das Ende ist in Dir:

*Oświeć umysł i zmysły,  
Rozwijając nas na niej,  
W Tobie jest początek  
Koniec jest w Tobie:*

---

54 Jak wyżej.

55 Tłumaczenie semantyczne S.O.

56 Reinold Kern: *Ludwig Giesebrecht als Dichter*, Weidmannsche Buchhandlung, Berlin 1914, s. 19.

O Geist und ew'ge Kraft,  
Du wahre uns und hüte  
Der Menschheit Kranz und Blüte,  
Hochheil'ge Wissenschaft<sup>57</sup>.

O Duchu i Wieczna Moco,  
Chroń nas i strzeż  
Wieniec i kwiat ludzkości,  
Święta Nauko<sup>58</sup>.]

Reprezentował Szczecin w Zgromadzeniu Narodowym we Frankfurcie [Frankfurter Nationalversammlung] w 1848 roku<sup>59</sup>. W 1861 roku został odznaczony Orderem Czerwonego Orła [Roter Adler-Orden] IV klasy<sup>60</sup>, a w 1866 roku Krzyżem Kawalerskim Orderu Domu Królewskiego Hohenzollernów [Hohenzollerscher Hausorden]<sup>61</sup>. W 1862 roku Uniwersytet Albrechta w Królewcu [Königsberg] nadał mu tytuł doctor honoris causa filozofii, a teologii Uniwersytet w Greifswaldzie w 1866 roku<sup>62</sup>.

Po przejściu na emeryturę w 1866 roku nadal zajmował się pracą naukową i literaturą – przeprowadzał badania historyczne i tworzył poezję<sup>63</sup>. W tym samym roku zmarła jego żona Amelie, po 47 latach ich małżeństwa<sup>64</sup>. Potem przeniósł się do Jasienicy, gdzie spędził ostatnie lata życia ze swoją córką Anną<sup>65</sup> i zmarł 18 marca 1873 roku<sup>66</sup>. Został pochowany na starym cmentarzu w Jasienicy pod topolami<sup>67</sup>. Jak poinformowała Urszula Olszewska, urzędniczka Gminy Police:

„Niestety w Jasienicy na cmentarzu nie zachowały się jakiegokolwiek pozostałości po grobie Ludwiga Giesebrechta. Były prace kopaliskowe i nie znaleziono żadnych śladów. W Policach przy Stacji Wodnej przy ul. Dębowej, gdzie swoją siedzibę ma Stowarzyszenie „Łarpia”, został położony pomnik-kamień poświęcony poecie”. Wykonał go rzeźbiarz Zbigniew Szyrwiel z Polic. Od czasu

---

57 Jak wyżej, s. 19.

58 Tłumaczenie semantyczne S.O.

59 Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 182.

60 Jak wyżej, s. 183.

61 Jak wyżej.

62 Jak wyżej.

63 Jak wyżej.

64 *Pommersche Lebensbilder*, Zeszyt 15, wydane przez Franza Engla, opracowane przez Waltera Menna, Böhlau Verlag Köln Graz, 1966, s. 311.

65 Eckhard Wendt: *Stettiner Lebensbilder*, Böhlau Verlag GmbH & Cie, Köln 2004, s. 183.

66 Jak wyżej, s. 181.

67 *Pommersche Lebensbilder*, Zeszyt 15, wydane przez Franza Engla, opracowane przez Waltera Menna, Böhlau Verlag Köln Graz, 1966, s. 313.

do czasu tam składane są kwiaty, w szczególności przez polsko-niemieckie delegacje, na przykład przez delegację byłych mieszkańców Jasienicy<sup>68</sup>.

Miał pięcioro dzieci. Syn Felix został burmistrzem Szczecina od 1884 do 1900<sup>69</sup>, a syn Albert kapitanem i dostarczał ojcu inspiracje z morza. Córka Ernestine wyszła za mąż za członka rady sądowniczej Ottona Zitelmanna. Córka Anna – za właściciela dworu rycerskiego Waldemara Zitelmanna, brata Ottona, a Emma poślubiła filologa Pazschke w Szczecinie, który szybko zmarł. Wyszła za mąż ponownie za filologa Pitsch w Szczecinie<sup>70</sup>.

Podsumowując można powiedzieć, że Heinrich Ludwig Giesebrecht był ważnym historykiem i poetą jak i zaangażowanym nauczycielem, który żył i tworzył w Szczecinie. Odcisnął swoje piętno na historii miasta i literaturze niemieckiej, wzbogacał swoje środowisko jako nauczyciel, naukowiec oraz poeta. Wzruszał, budził zainteresowanie ludzi swoją poezją poprzez tematy polityczne, religijne i społeczne, które dotyczyły nie tylko arystokracji i wyższej klasy społecznej, ale też zwykłych mieszczan. Swojego czasu ceniony, później został prawie zapomniany. Dla historii Szczecina warto jednak kultywować pamięć o poecie, głównie ze względu na jego ogromny wkład w badania historii regionalnej Pomorza, dające obszerną wiedzę.

---

<sup>68</sup> *Encyklopedia Polic*, red. nac.: prof. dr hab. Tadeusz Białecki, Gmina Police, Urząd Miejski w Policach, Police 2015, s. 57.

<sup>69</sup> *Giesebrecht, Felix*, PDF, ZBC, <https://zbc.ksiaznica.szczecin.pl>, <https://zbc.ksiaznica.szczecin.pl/dlibra/publication/2560/edition/2193/content> (dostęp: 20.09.2022).

<sup>70</sup> *Pommersche Lebensbilder*, Zeszyt 15, wydane przez Franza Engla, opracowane przez Waltera Menna, Böhlau Verlag Köln Graz, 1966, s. 312.

---

## Nim stał się Budyń

---

---

### Hippisi i harcerze

---

Jak się można zapisać do hippisów? – takie, przyznać trzeba, nieco kłopotliwe pytanie zadał uczeń klasy III „c” Szkoły Podstawowej nr 2 im. Karola Świerczewskiego w Choszcznie swojemu klasowemu koledze, a obecnie piszącemu te słowa. A zadał z takim przekonaniem, że kolega ów, zdawało się, solidnie już uświadomiony przez swojego hippisującego starszego brata, zaczął sam się zastanawiać, czy hippisi rzeczywiście nie mają jakichś legitymacji, statutów, struktur, etc. Ostatecznie niedoszły zorganizowany hippis zapisał się do zuchów, a potem do harcerzy. W sumie było łatwiej, zwłaszcza, że miał własnego starszego brata, silnie „zuchującego” i „harcującego”. Brat ten nazywał się Maciej Szymkiewicz i w harcerskie arkana wtajemniczał pilnie, co dość logiczne, swojego młodszego brata imieniem Jacek.

A Jacek harcerzem był wzorowym. I zaangażowanym bardzo. Kiedy my, *greenhorny*, jak nas pieszczotliwie nazywał brat Maciej (znacznie później „Ketchupem” zwany; swoją drogą nie mam pojęcia skąd takie „spożywcze” ksywki u braci Szymkiewiczów) wchodziliśmy w harcerskie struktury głównie dla punktów za działalność społeczną, co się przydawało do podwyższenia oceny ze sprawowania, Jacek wszedł ideowo (jego zdanie o „profanacji rogatywki” stało się w naszych kręgach niemal ówczesnym wiralem), choć merytorycznie jak najbardziej też. Szyfry, węzły, znaki patrolowe, sztuka zwijania koca w nierozwalający się rulonik – wszystko w jednym paluszku. A w gardle oczywiście śpiew, z nieśmiertelnym evergreenem skautowskim, „Krajką”, na czele.

---

## Rozentuzjasmowany indywidualista wyindywidualizował się...

---

Bo śpiewał najlepiej z całej klasy. Przynajmniej jeśli chodzi o męską jej część, choć trzeba przyznać, i w żeńskiej ciężko było znaleźć kogoś, kto by mu mógł „dotrzymać nuty”. I czynił to z takim zaangażowaniem i ekspresją, że dla takich introwertyków jak ja, widok był to dość ciężki do zniesienia, bo obawiałem się, że chłopak z tych emocji się w końcu rozpadnie. Szczęściem (jeszcze wtedy) przetrwał, choć ta jego nadwrażliwość, nadekspresja i hiperzaangażowanie objawiały się też w innych dziedzinach.

W sporcie na przykład. Stąd nie za fajnie grało nam się z nim w piłkę, choć graczem był niezgorszym. Ale co brutalniejszy kontakt skutkowało natychmiastowym „teatrykiem Ronalda” (choć ten przecież na światowych boiskach pojawił się znacznie później), z przenikliwymi krzykami i gryzieniem trawy włączanie. Zresztą Jacek zawsze miał jakąś szczególną tendencję do pechowych upadków, zranień, skapania się w jedynej kałuży w okolicy itp.

Kłopoty sprowadzała też jego szczerłość, raczej niemile widziana w naszym systemie szkolnym i wtedy, i pewnie dziś, czy duża potrzeba podkreślenia swojego indywidualizmu, a wręcz czasem anarchizmu (co z kolei nie do końca mile widziane było w grupach rówieśniczych). Chociaż nie przesadzajmy i nie budujmy legendy – były to raczej kłopoty. A to chlapaną przy nauczycielce, że szkolny sztandar jest dla niego zwykłą szmatką, „na którą mógłby nasikać”, na szczęście przy nauczycielce młodej i wyrozumiałej, która tylko dla zasady próbowała go mitygować, bo pewnie myślała tak samo jak on i zresztą my wszyscy. A to zupełnie prawidłowo i bardzo precyzyjnie opisał budowę i działanie silnika elektrycznego, ale kompletnie nie dbając o techniczną terminologię, bo po co, skoro czai bazę, więc opis był pełen sformułowań typu „badziejewka”, „dynksy” i tym podobne.

Ale były też przypadki, kiedy odlatywał od standardowej klasowej większości trochę bardziej. Jak wtedy, kiedy mieliśmy za zadanie nakreślić wizję przyszłości naszego miasteczka. Oczywiście „standardowa klasowa większość” masowo stawiała w Choszcznie kosmodromy, planetaria albo przynajmniej lądowiska dla helikopterów na dachach bloków. Ale Jacek „postawił” wokół naszego jeziora strefę ciszy, by chronić dzikie ptactwo. A w tych czasach nasza działalność proekologiczna polegała głównie na przynależności do Ligii Ochrony Przyrody, oczywiście z tych samych powodów, dla których wstąpiliśmy do harcerstwa.



Zespół Marinas od lewej: Jacek Kuzynin, Damian Urban, Artur Szuba, Roman Szymański, Jacek Szymkiewicz (zdj. z archiwum Artura Szuby)

Tudzież do grzebania haczkami i grabkami w rachitycznych, przyszkolnych klombach w ramach czynu społecznego.

Albo wtedy, kiedy w ramach pracy domowej mieliśmy napisać opowiadanie science fiction. I tu Jacek odleciał nam znowu, serwując mroczną, klaustrofobiczną opowieść o załodze zagubionego statku kosmicznego w estetyce trochę Lema, a trochę Clarke'a, najeżoną całą masą fachowej, hermetycznej terminologii. Trzeba przyznać, niewiele z tego zrozumieliśmy. Nieco więcej zrozumieliśmy z przedstawienia kabaretowego, które kiedyś wraz z kolegami wystawił przed klasą. Trzeba tu podkreślić, że bez żadnej okazji, ot tak po prostu, w ramach polekcyjnej niespodzianki.

A że już trochę (i nareszcie) powiało literaturą, należałoby napisać, co wówczas czytał przysły bardzo znany polski tekściarz. Cóż, tutaj niestety Czytelników będę musiał pozostawić ze sporym niedosytem (co postaram się choćby minimalnie nadrobić w dalszej części tekstu), gdyż tak naprawdę nie mam pojęcia. Podejrzewam, że pewnie dużo Maya, może Curwooda czy Londona, czyli zwykły chłopięcy, przygodowy, pionierski i westernowy świat z tamtych czasów. Zresztą, obraz Jacka z nosem wetkniętym w książkę jakoś mi nie pasuje do wspomnień, jakie o nim zachowałem z tamtego okresu. Był zbyt... dynamiczny i ruchliwy. Ale podejrzewam, że wspomniany na początku starszy brat Maciej odpowiednio zatroszczył się i o tę sferę u swojego „młodszego”, gdyż był nie tylko znanym harcerzem, ale i moim książkowym.

Bardziej za to pamiętam, co trafiało w nasze uszy oraz zamiłowanie Jacka do twórczości zespołu Papa Dance (!), co przeze mnie odbierane było jako

spory obciach. Ale ja z kolei odebrałem solidną edukację muzyczną od swojego starszego brata, ponadto od klasy szóstej byłem już pełnoprawnym członkiem zespołu Mango – kapeli rockowej, a przynajmniej bardziej rockowej niż wspomniany Papa Dance. O ile dobrze kojarzę, Jacek nawet nosił plakietkę swojego ulubionego boysbandu, a potem także chciał sam skonstruować z kapsla plakietkę z napisem „Mr. Zoob”, bo kiedyś, po jakimś szkolnym festynie trafiliśmy na ich koncert. Nie mam pewności czy dlatego, że przypadła mu do gustu ich twórczość, czy ze względu na to, że po prostu ten koncert „zaliczył”.

I tak „zaliczyliśmy” osiem lat w jednej klasie, nie w jednej ławce i towarzysko też nie za blisko, ale jednak. Spotkać się zamierzaliśmy po wakacjach w tym samym liceum, ale...

---

### Underdog – Looser – NOE

---

...nie spotkaliśmy się. Wtedy na egzaminach wstępnych dysortografia nie była żadnym usprawiedliwieniem i Jacek, który stał się Jacolem, ale jeszcze nie Budyniem, wyładował w zawodowce. Lecz więzi towarzyskie nie tylko się nie rozluźniły, ale wręcz zacieśniły, ewoluując (w dość krótkim czasie) w więzi, nazwijmy to, twórcze. Gusta muzyczne ostatecznie nam się zbiegły na większości poziomów, a nie były to byle jakie poziomy, bo Papa Dance szczęśliwie odeszło w zapomnienie, ustępując miejsca takim klasykom jak Pink Floyd, The Doors czy King Crimson.

A były to jeszcze czasy, kiedy wspólne słuchanie muzyki było prawdziwym rytuałem. Na dodatek ograniczone zasoby sprzętowe, jak i też ograniczone zasoby materiału do „obróbki słuchowej” niejako zmuszały nas do tego, abyśmy na okrągło eksploatowali kilka, kilkanaście, czy w porywach kilkadziesiąt tych samych płyt, kaset, czy wideokaset (te najczęściej właśnie u Jacka). Katowaliśmy więc na okrągło archiwalne koncerty Doorsów, film „The Wall”, Woodstocki, Hendriksy, Cockery... Oczywiście już w naszych czasach (początek lat 90. XX w.) były to solidne ramoty, ale przemawiały do nas chyba najbardziej. Może dlatego, że widzieliśmy (i słyszeliśmy), że muzycy wtedy rzeczywiście grali, „wypacali” wręcz każdą nutę, ponadto to wręcz nieograniczone pole do improwizacji, w której można się zatracić, eh...

Zatracaliśmy się więc najpierw słuchając, a potem...

W sumie to nawet nie wiedziałem, że Jacek jakimś takim cichociemnym sposobem opanował grę na gitarze (chyba w choszczeńskim Ognisku Muzycznym,

bo PSM powstała parę lat później). Ja zresztą też powoli zacząłem się skłaniać ku szarpaniu strun, ale że „na rynku” niełatwo było o klawiszowca, więc oficjalnie zostałem przy swoim „firmowym” instrumencie. Nasz kolega Maciej Król, zwany Kingusem, już wcześniej próbował zaprzyjaźnić się z perkusją (nie grał ze mną w składzie z Mango, ale od czasu do czasu pojawiał się na próbach, żeby postukać na przeszkadzajkach, a jak się czasem zwolniła perkusja, to korzystał i z niej, żeby sobie poćwiczyć), młodszego zaś kolegę Piotra Harasimowicza, Hermanem zwanym, namówiliśmy do chwycenia za gitarę basową. Nie było trudno – jako fan U2 uwielbiał Adama Claytona i w każdej wolnej chwili katował nas jego basowym riffem z „With or without you”.

Mieliśmy więc skład. Mieliśmy również miejsce do prób w sali muzycznej Choszczeńskiego Domu Kultury, w tym czasie nawet całkiem nieźle zaopatrzonej – chłopaki mieli do dyspozycji gitary i wzmacniacze, ja – aż dwa syntezatory Korga i Yamahy, a kolega Kingus nieco już zdezelowany, ale w miarę kompletny zestaw perkusyjny. Była też nazwa, a raczej nazwy – najpierw Underdog (mojego autorstwa i mimo, że byłem z niej bardzo zadowolony, większość zespołu była z niej zadowolona zdecydowanie mniej), potem Looser, która przetrwała nieco dłużej niż ta „kynologiczna”. Oczywiście i w nazwie, i w muzyce musiało być dołująco i mrocznie, bo tylko wtedy mogło być ambitnie, oczywiście zdaniem uczniów drugiej klasy liceum, którymi wtedy byliśmy. Tak, do słynnego „Uśmiechnij się” była jeszcze daleka droga...

Ostatecznie nazwaliśmy się NOE. I to już był pomysł Jacola, a raczej spontaniczny rozbłysk świadomości, który go nawiedził, kiedy podczas jednej z naszych licznych posiadówek słuchaliśmy utworu zespołu Exodus zatytułowanego, jakżeby inaczej – „Stary Noe”. No dobrze, a co z repertuarem? Hm, na początku w zasadzie go nie było. Choć graliśmy całymi dniami, a pewnie gralibyśmy i nocami, gdyby nie to, że w końcu nas z sali wypraszano, bo ChDK, ku naszej ówczesnej rozpaczki, nie był przybytkiem czynnym 24 godziny na dobę. Trans, w jaki wcześniej wpadaliśmy, słuchając wspólnie muzyki, ustąpił transowi wykonawczemu. Wyglądało to mniej więcej tak, że braliśmy na warsztat jakiś prosty układ trzech akordów na krzyż albo nieprzesadnie skomplikowany rockowy klasyk (np. „Słodką” zespołu Dżem) i robiliśmy z tego improwizowaną, czasem kilkugodzinną „suite”.

Z czasem się jednak trochę wyszaleliśmy i zaczęły powstawać już zdecydowanie bardziej ułożone utwory, głównie z moją muzyką i tekstami przede wszystkim Kingusa. No, a Jacol? Skupiał się głównie na gitarze elektrycznej – najpierw tej „chadekowskiej”, a potem już na swoim własnym stratocasterze,



co prawda polskiej marki Mayones, ale zawsze. Z rezultatem lepszym lub gorszym. Podczas naszego debiutanckiego koncertu w choszczeńskiej kawiarni „Jola” (wtedy dość uznanym miejscu koncertowym) ukręcił na niej takie brzmienie, że nadaliśmy jego mayonesowi przydomek „elektryczny grzebień”.

Ale wraz z kolejnymi próbami, utworami i koncertami krzepiliśmy coraz bardziej, również brzmieniowo. Brakowało tylko jednego, jednak dość istotnego elementu – wokalisty mianowicie. Wbrew wszystkim znakom na niebie i na ziemi, a także temu, co już zostało opisane, Jacol wcale się nie palił do obsługi „sitka”. Co prawda, jeszcze podczas etapu radosnej improwizacji, przyniósł coś na kształt swojej kompozycji i swojego tekstu nawet, opisującego sen o jeźdźcu w czarnej zbroi. Utwór co prawda idealnie nadawał się jako baza do naszych kilkunastogodzinnych improwizacji, ale na poważną pieśń już nie bardzo. Staraliśmy się tworzyć wtedy ambitną muzykę progresywną, więc wszystko, co miało zbyt prostą budowę i nie zawierało minimum dziesięciu akordów, odpadało w przedbiegach. Niemniej warto odnotować fakt, że Jacol nie dość, że zdecydował się wtedy swój tekst zaśpiewać osobiście, to jeszcze w refrenach ponosiło go tak mocno, że mogę się wraz z kolegami z NOE nazwać świadkiem narodzin tego właśnie, transowego i hiperekspresyjnego Budynia, później już z powyższych cech znanego w całym kraju. Niemniej wtedy jeszcze teksty tworzył głównie Kingus lub ja, a śpiewać ich w zasadzie nie miał kto. Jeden z moich tekstów zresztą sam wycofałem po tym, jak Jacek stwierdził, że jest grafomański, podając przy tym własną definicję grafomanii – że jest to coś, co nie jest zrozumiałe dla odbiorcy. Mimo, iż definicja Jacola była dość odległa od definicji słownikowej, jakoś tak to we mnie utkwiło, że do tej pory się pilnuję, by w wierszach, czy tekstach piosenek nie epatować hermetycznością, czy wyдуманą tajemniczością kosztem treści.

W końcu Jacek się jednak przełamał i zaproponował nam już pełnowymiarowy utwór – i tekstowo, i muzycznie. Nie pamiętam tytułu, jaki mu nadaliśmy, ale szczęśliwie zapamiętałem kilka zgrabnych wersów, choćby te rozpoczynające:

*Śmiech? Mam kretyński wyraz twarzy*

*Nawet kiedy płaczą usta wciąż wygięte mam w literę „u” Słowa, które ranią –  
dobry Bóg popełnił chyba wielki błąd*

*Gdy obdarzył nas łaską tą*

I refren:

*Gdy w twoich oczach, oczach pustka zamiast łez*

*Gdy się w milczenie nie wplata głupich słów*

Nooo, to już było coś. I zarazem wielka szkoda, że tak mało – tylko jedna pieśń. Choć w zasadzie dwie, bo później Jacol przyniósł jeszcze jeden pomysł, również zaopatrzony w muzykę i tekst, tyle, że był to tekst w wymyślonym przez niego języku – zupełnie jak u Elizabeth Frazer w Cocteau Twins. A kompozycja z kolei zawierała sporo elementów tzw. world music. Było to swego rodzaju pokłosie tego, że w tym czasie w dobrym tonie było zainteresowanie klimatami New Age. No i w końcu Jacek odważył się również zaśpiewać, ale tylko swoje rzeczy. Nie naśpiewał się jednak długo, bo NOE zaczęło nam trochę trzeszczeć w szwach, na dodatek nieuchronnie zbliżała się kolejna epoka...

---

### Epoka Mariana S. i Artura Sz.

---

Nieuchronnie, ale powoli i na początku wręcz niedostrzegalnie. Bo przecież po drodze były jeszcze różne „wypadki przy pracy” – a to jakieś inicjatywy na szkolne „fajfy”, jak np. nasz, czyli Jacola i mój, duet wykonujący „Moją paranoję” Jonasza Kofty na dwie gitary i jeden głos (tak, już Jacka), z własną muzyką, którą wspólnie skomponowaliśmy dosłownie na godzinę przed występem. Na dodatek, żeby wzmocnić autentyczność przekazu, zaprawiliśmy się domowym winem. Chyba nawet trochę za bardzo... Już nieco bardziej na trzeźwo wykonywaliśmy w takiej konfiguracji także inne pieśni, choćby fantastyczny „Hotel Grand” Elżbiety Mielczarek. Kolejny nasz duet, tym razem gitarowo-perkusyjny, kontynuował tradycje naszych improwizowanych prób z NOE. Jacol stwierdził, że chciałby, abym został jego perkusistą, co może i mi trochę pochlebiało, ale i tak najbardziej i niezmiennie ciągnęło mnie do gitary.

W ogóle Jacek chyba najbardziej z nas wszystkich lubił takie szybkie, po części improwizowane muzyczne akcje, montowane *ad hoc*, 15 minut przed występem. Ot, niespokojna dusza wiecznego poszukiwacza.

Ale jakby wbrew temu trafił do zespołu Marians, który przy NOE sprawiał już wrażenie kapeli niemal zawodowej. Z jej *spirythus movens*, muzykiem, poetą i animatorem kultury, zmarłym 4 lata temu Arturem Szubą znaleźmy się już dobrze, bo trudno się nie znać, jak się wspólnie muzykuje w tak niewielkim miasteczku. Artur próbował nawet gościnnie z nami podśpiewywać, właśnie teksty Jacka, ale że rytm w naszych kompozycjach był bardzo istotny, a Artur miał do rytmu podejście dość... luźne, to ostatecznie niewiele z tego wyszło, więc Jacek, jak już wcześniej było zaznaczone, nie miał wyjścia i zdążył jeszcze z NOE pośpiewać.

Niemniej Marians potrzebował gitarzysty i Jacek ostatecznie ów wakat zajął. I często właśnie Marians jest wymieniany jako pierwszy zespół, w którym Jacol zadebiutował muzycznie. Jak widać, było trochę inaczej.

W Mariansach rzeczywiście było trochę bardziej zawodowo, ale i zarazem mniej swobodnie artystycznie – warstwa tekstowa została w całości zajęta przez twórczość Artura Szuby, warstwa muzyczna wtedy głównie przez basistę Damiana Urbana. Więc Jacek ponownie skupił się na gitarze, wielokrotnie inspirując się, ku mojemu zaskoczeniu, bo w NOE tego absolutnie nie robił, stylem gry The Edge'a z U2.

Oczywiście, Jacek początkowo nie rezygnował z twórczej pracy z NOE, nie rezygnowałem też ja, kiedy również zasililem szeregi Mariansów po tym, jak dotychczasowa „operatorka” instrumentów klawiszowych zaszła w ciążę i trzeba było ją zastąpić. Często nawet razem koncertowaliśmy. Ale dzielenie zaangażowania na dłuższą metę jednak nam nie wychodziło. Na dodatek Marians posiadał, dzięki Arturowi, który zawsze miał do tego smykałkę, zdecydowanie prężniej działający „dział PR”. Koniec końców NOE przeszło do historii, wracając na jakiś czas w projekcie Marianny&Noe, o którym jednak nic nie jestem w stanie powiedzieć, gdyż w nim mnie już nie było.

Za to Marians póki co istniał i właśnie w październiku 1992 r. wkraczał do szczecińskiego studia Akademickiego Radia Pomorze, by nagrać materiał na płytę „Cudowne Widziadła” (właściwie kasetę, jeśli chodzi o fizyczną formę). I tak, na sam koniec tej (pre)historii zostałem świadkiem (i siłą rzeczy uczestnikiem) pierwszych profesjonalnych, studyjnych nagrań Jacola. Nagrywał oczywiście gitarę, ale nie tylko, bo w jednym utworze zabrzmiała również mandolina, pożyczona ode mnie, a w zasadzie od mojej mamy (jej szkolny instrument, rocznik bodajże 1954). Nie odzyskałem już jej niestety, i raczej nie odzyskam, podobnie jak folkowej bluzy z fantazyjnymi frędzlami, która na mnie była trochę za duża, za to na Jacka pasowała idealnie. Za to mam jego sweter, zrobiony na drutach przez – z kolei – jego mamę.

Zanim jednak na dobre pograżę się w spontanicznej, swoistej inwentaryzacji, wypadałoby coś napisać o przebiegu tej debiutanckiej, więc bardzo ważnej dla nas, sesji nagraniowej. W kontekście Jacka napisać się jednak za dużo nie da – żeby nam instrumenty nie wchodziły w paradę i nie zakłócały się wzajemnie, Jacol z gitarą został zamknięty w czymś w rodzaju kantorka, zatem bardziej go słyszeliśmy niż widzieliśmy. A słysząc było, że tej The Edge'owskiej manieri już się pozbył, za to najchętniej grałby gitarowe solówki – i tam, gdzie

się da, i tam, gdzie się już nie bardzo da. Czasem, acz trzeba przyznać, bardzo rzadko, trochę nie trafiając w dźwięki. W jednym z utworów, w związku z takim właśnie „nietrafieniem”, zrobił pewien inteligentny i nieco bezczelny myk – po zagranii pewnej sekwencji dźwięków, która zawierała ewidentnego baboła, ową sekwencję zagrał raz jeszcze, nawet mocniej akcentując ten niepasujący dźwięk, co wywoływało w słuchaczu wrażenie, nawet nie do końca uświadomione, że właśnie tak ma być. Sprytnie...

Ale trzeba przyznać, że ogólnie Jacol był gitarzystą sprawnym i swobodnie się poruszającym po różnych harmonicznym meandrach, na dodatek sprawiał wrażenie, że trema właściwie się go nie ima. Tak, jakby próba, nagranie, koncert, czy brzdąkanie w domu miało dla niego taki sam ciężar gatunkowy.

Nagrywanie „Cudownych Widziadeł” było właściwie ostatnim akcentem naszej wspólnej działalności. Po rozwiązaniu Mariansów (nawet nie mogę sobie przypomnieć powodu ani okoliczności, w jakich to nastąpiło) dwa zespoły połączyły siły (a przynajmniej części tych zespołów) i powstał, jak już wcześniej było wspomniane, twór pod nazwą Marianny&Noe. Czyli, o ile dobrze kojarzę, ostatni przystanek przed Pogodnem...

---

## Epilog prehistoryczny, czyli troszkę się tłumaczę

---

Przede wszystkim z tego, że z tych moich dalece niekompletnych i pewnie już trochę wykrzywionych wspomnień, zamazanych obrazów, zupełnie niezamierzenie wyłoniła się pewna historia, mająca swoją chronologię, a nawet coś w stylu fabuły. Nie jest to jednak (i być nie może) absolutnie żaden przyczynek do biografii – nawet miałbym wątpliwości, czy można by to podciągnąć pod literaturę faktu. Ot, parę wspomnień, refleksji kolegi, może nawet przez pewien czas przyjaciela, z dawnych lat. I tę koleżeńską perspektywę zachowuję naprawdę z czystym sumieniem (no, może leciutko zbrukany świadomością, że pamięć może mi płatać figle, acz starałem się opisać to, co naprawdę mocno mi utkwiło w pamięci). Tym czystszy, mimo wspomnianego „zbrukania”, że później praktycznie w ogóle nie śledziłem artystycznych poczynąń Jacka, już wtedy Budynia, mimo, że jeszcze parę razy na wspólnych scenach się spotkaliśmy.

Dla mnie odszedł po prostu kolega z dawnych lat, może nawet przez jakiś czas przyjaciel, którego mniej lub bardziej udanie spróbowałem właśnie opisać tak, jak Go zapamiętałem.

Czy to ciekawsza perspektywa? Cóż, na pewno trochę inna...

---

## WYWIADY

---

Anna Frajlich

Poetka, prozaiczka, literaturoznawczyni, doktor slawistyki (New York University). W roku 1969 wyemigrowała z Polski. Mieszka w Nowym Jorku. W latach 1982-2016 wykładała język polski oraz polską literaturę na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku.

Laureatka Nagrody Fundacji Kościelskich (1980), Nagrody Fundacji Władysława i Nelly Turzańskich (2003), Nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości (2015), The Susanne Lotarski Distinguished Achievement Award by Polish Institute of Arts and Sciences in America (2021), Nagrody Polish American Historical Association im. Oscara Haleckiego za zbiór esejów „The Ghost of Shakespear. Collected essays” (2021). Odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (2002), Medalem Uniwersytetu Szczecińskiego (2020) i Medalem Jubileuszowym 100-lecia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II (2020). Uehonorowana tytułem Ambasadora Szczecina (2008) oraz Wybitnego Polaka w USA w dziedzinie kultury (2017).

Jej twórczość przetłumaczono na języki: angielski, czeski, francuski, hebrajski, hiszpański, jidysz, litewski, niemiecki, rosyjski, rumuński, szwedzki, ukraiński, węgierski i włoski. Ostatnio opublikowała w Polsce tomy wierszy: „Łodzią jest i jest przystanią” (Forma 2013), „W pośpiechu rzeka płynie” (DK „13 Muz”/Forma 2020) oraz tom opowiadań „Laboratorium” (Forma 2018).

---

## **Anna Frajlich**

### **Poezja była mi zawsze bliska na swój sposób**

---

(wywiad autoryzowany)

**Anna Jakubczak:** *Jaką według pani rolę pełniła poezja, kiedyś, a jaką dziś?*

**Anna Frajlich:** Według mnie rola poezji jest zawsze taka sama i dla poety, i dla czytających. A dla grupy społecznej może być różna. Wszystko zależy od sytuacji otaczającej czytelnika, jak on sam odnajduje się w utworach, które czyta. Szczególnie, jeśli dana poezja zbiega się z jakimś ważnym wydarzeniem, momentem historycznym. Wtedy poezja odgrywa, prócz artystycznej, dużą rolę społeczną. Choćby w 1956 r., kiedy były rozruchy, ginęli ludzie. Wtedy była okazja, aby zamilknąć, a wiersze miały głos i ludzie słuchali. Podobnie Miłosz, który ze Stanów opisywał wydarzenia w Gdańsku w latach 80. On tworzył tekst, który pomagał ludziom. Ja też, będąc w Stanach opisywałam to, co się działo. Opowiem nawet anegdotę. Miałam kiedyś spotkanie autorskie w klubie polskim w dzielnicy Greenpoint. Przyszedł na nie znany w tamtym rejonie alkoholik, który był też znanym aktorem. Nie pamiętam, czy przyjechał z Gdańska, czy Szczecina. Podszedł do mnie po spotkaniu z buteleczką perfum i wyrecytował fragment mojego wiersza z lat 80. Dodał też, że nie pił półtora dnia z wrażenia przed spotkaniem, aby na nie przyjść. To było dla niego duże poświęcenie. Szczególnie, że za wyżebrane pieniądze kupił tę buteleczkę małych perfum i podczas rozmowy z nerwowo wyjmował ją z kieszeni i popijał. W tym momencie dla niego te wiersze były ważne. Recytował je nawet będąc w Nowym Jorku na spotkaniach upamiętniających wydarzenia w Gdańsku i w Szczecinie. Uważam, że są chwile, kiedy poezja jest ważna dla każdego, szczególnie dla ludzi wrażliwych.

**A.J.:** *Jaka jest rola poety? Czy poeta ma być od pisania, czy udzielać się społecznie?*

**A.F.:** To zależy, co poeta chce osiągnąć. Są tacy, którzy są aktywni społecznie, a inni nie. Choćby Mickiewicz, on był aktywny społecznie, zaś Norwid i Słowacki pisali o wydarzeniach. Ale nie szli na demonstracje, ani nigdzie nie należeli. Podobnie jest z rolą lekarza. Jedni zajmują się jedynie medycyną, a inni czymś więcej. Poeta wypowiada się na różne tematy, jeśli one go dotkną i czuje, że ma

coś do powiedzenia. Ale jeśli chodzi o działalność, to nie jest to coś, co można powiedzieć albo że powinien lub nie powinien. To indywidualna decyzja.

**A.J.:** *Co pani determinuje do pisania, a co determinowało wcześniej? Czy coś się zmieniło przez lata?*

**A.F.:** Na pewno jakieś przeżycie. Bezwzględnie coś, co mnie dotyka. Ale to bywa różnie. Mój pierwszy wiersz napisałam w szkole we wczesnej klasie. Nauczycielka kazała nam przeczytać *Świerszczyki i Promyczki* i wyciąć z nich wiersze na 1 Maja. I najlepszy wiersz miał być powieszony w gazetce szkolnej. Wróciłam do domu i z buntem powiedziałam, że nie będę niczego wycinać. Napiszę własny wiersz. I tak napisałam swój pierwszy wiersz i przyniosłam go do szkoły. Pamiętam go do dziś. Został powieszony w gazetce szkolnej. Potem już pisałam tylko wiersze miłosne. Nie polityczne, chociaż zdarzało mi się pisać na tematy ogólne. Potem o emigracji.

**A.J.:** *Czyli poezja przyszła naturalnie.*

**A.F.:** Można tak powiedzieć. Ale ona mi była bliska na swój sposób zawsze. Urodziłam się w Kirgizji, a pierwsze cztery lata wychowywałam się w Rosji na Uralu. Tam nie było książek, ani literatury polskiej. To dzięki rodzicom mogłam poznać język polski i literaturę polską. Mama i ojciec, recytowali mi wiersze, które sami pamiętali. Szczególnie Mickiewicza. Dzięki temu później mogłam czytać wiersze polskie i rymowane, i inne. To było moje pierwsze bliskie doświadczenie.

**A.J.:** *Co z dzisiejszej perspektywy jest dla pani najważniejsze w poezji?*

**A.F.:** Dla mnie najważniejsze jest to, co mnie głęboko porusza i zachwyca. Z czasem u jednego poety mogą być to metafory, u innego styl i język. Trudno powiedzieć.

**A.J.:** *Współpracowała pani z grupami „Rak” oraz „Metafora”.*

**A.F.:** Wtedy byłam młodą dziewczyną, a to była już grupa dorosłych pisarzy, dość znanych w środowisku. Byłam bardziej obok niż w samej grupie „Metafora”. W tej grupie był Eliasz Rajzman, Józef Bursewicz oraz Edward Balcerzan. Tylko czasem przychodziłam na spotkania. Debiutowałam w 1958 r. w prasie dzięki właśnie Józefowi Borsewiczowi i Hadasie Rubin, żydowskiej poetce. Z Bursewiczem przyjaźniłam się. Zdarzało mi się przychodzić do niego i jego żony i rozmawiać o poezji, pokazywać nowe wiersze. W tamtym czasie zaczęłam dużo udzielać się artystycznie, recytować wiersze. Byłam bardziej w cieniu „Metafory”. Jak mówiłam byłam jeszcze za młoda, a to nie było moim

celem. Cieszyłam się, że mogę komuś pokazać swoje wiersze. Potem utworzyliśmy inną grupę, nazywała się „Rak” i wtedy już bardziej się w to wszystko włączyłam. W Warszawie przy końcu studiów zaproszono mnie do Forum Poetów Hybrydy.

**A.J.: *Jakie są pani wspomnienia o Bursewiczu?***

**A.F.:** Jak najbardziej pozytywne. Kiedy do niego przychodziłam, siedział przy biurku i zawsze coś pisał. Jego żona częstowała mnie herbatą. I tak rozmawialiśmy o poezji. Później, kiedy przyjeżdżałam z Warszawy jako studentka na wakacje, pisałam pracę magisterską o Stanisławie Brzozowskim. Bursewicz pożyczył mi książkę Miłosza o nim. Bursewicz miał bardzo interesującą i dużą bibliotekę. Bardzo cenną i bogatą w różne zbiory, unikaty, niektóre polityczne, kontrowersyjne. Ja myślałam, że on z tą biblioteką przyjechał aż z Wilna, a się okazało, że pozbierał je wśród różnych powojennych gruzów. Zapraszał mnie też na spotkania autorskie, które prowadził. Było to piękne doświadczenie.

**A.J.: *Robiła też pani karierę dziennikarską.***

**A.F.:** Na dłużej do Szczecina przyjechałam podczas wakacji 1963 roku i wówczas moja mama zadzwoniła do Józefa Barana – jej znajomego redaktora *Głosu Szczecińskiego*, i poprosiła, żebym tam mogła popracować i nabrać doświadczenia. Moja mama pracowała tam w latach 50. i ja dobrze znałam to środowisko, szczególnie Józefa Barana, który później wyjechał do Warszawy, stworzył tam pismo „Rzeczpospolita” i zmienił nazwisko na Barecki. Kazał mi robić wywiady, co początkowo było dla mnie trudne. Ale mama pokazała mi, co i jak. Chodziłam do różnych instytucji. Uczyłam się fachu. Barana znałam od małego, mam z nim zdjęcie, jak prowadzi mnie i moją siostrę za rękę. Kiedy mama pracowała w mediach, przychodził do nas jako młody człowiek. Na emigracji współpracowałam wiele lat z Wolną Europą, londyńskimi „Wiadomościami”, nowojorskim „Nowym Dziennikiem” i „Przeglądem Polskim”.

**A.J.: *Kogo jeszcze pani pamięta?***

**A.F.:** Pamiętam Tadeusza Romaniuka, który był malarzem-grafikiem, pracował w medycznej instytucji, ale przy tym robił też ogłoszenia i inne artystyczne rzeczy. Mieszkał z Liną Weigsmann, która była później znaną spikerką radiową w Radiu Szczecin i TVP Szczecin. Razem stworzyli klub literacki u siebie w piwnicy. W tamtych czasach było to modne, by robić kluby w piwnicach. Chcieli na Bramie Królewskiej, ale nie otrzymali zgody. Mój ojciec chodził do tej piwnicy, podarował im piecyk. Chodziłam tam na spotkania i prezentowałam wiersze. Byłam najmłodsza z całego grona poetów. Odwiedziła nas w tej piwnicy Alina



Anna Frajllich-Zajac (fot. z archiwum rodzinnego <https://culture.pl/pl/tworca/anna-frajlich-zajac>)



Głowacka, aby zrobić reportaż, a Józef Bursewicz wprowadzał ją w historię tego klubu. Reportaż nadano przez radio i ukazał się potem w „Głosie Szczecińskim” lub w „7 Głosie Tygodnia”. I tak nadał naszej grupie rozgłos. To było ważne dla nas.

**A.J.:** *Czy według pani nagrody świadczą o wartości poety, czy są inne wyznaczniki, a nagroda jest tylko formalnością?*

**A.F.:** To zależy od tych, którzy nagrodą zawiadują. Jeżeli celem twórców nagrody jest bezinteresowna ocena twórczości, talentu, dorobku pisarza, to wówczas taka nagroda jest wskaźnikiem wartości. Ale często mamy do czynienia z manipulacją. Miałam okazję obserwować takie zjawiska, gdzie nagrody rokrocznie dawano tylko pewnej grupie, w swoim środowisku, odsyłano wydawcom książki nie otworzywszy paczki. Oznacza to, że jeszcze przed zapoznaniem się z przedstawionymi książkami, mieli już decyzję. Czasem nagradza się autorów, którzy już dostali nagrody wyższej rangi, aby podnieść rangę nagrody. Chciałoby się wierzyć, że jakiś procent jurorów etycznie spełnia swoją misję i nagradza autentyczny talent pisarza i wartość twórczości, niezależnie od pozycji autora.

**A.J.:** *Przeżyła pani wędrowny los emigranta, czy po latach czuje pani, że znalazła swoje miejsce na Ziemi?*

**A.F.:** Zdecydowanie tak. Jeżeli ktoś przeczyta pewną ilość moich wierszy, to odnajdzie pozytywną odpowiedź na to pytanie. W jednym z moich wierszy nazwałam swoje miejsce „łodzią i przystanią”.

**A.J.: Czy zauważa pani podobieństwa między literaturą polską a amerykańską?**

**A.F.:** Nie zajmowałam się dostatecznie komparatystyką, aby na to pytanie odpowiedzieć. Wiem, że istnieją podobieństwa między literaturami, te same prądy pojawiają się w różnych literaturach, te same problemy egzystencji, ale nie mam konkretnej odpowiedzi na to pytanie.

**A.J.: Jak ocenia pani światową literaturę?**

**A.F.:** Nie zajmowałam się nigdy ocenianiem światowej literatury. Nie mam takiego punktu widzenia, z którego mogłabym oceniać.

**A.J.: Zdarza się pani czytać poezję młodych? Jeśli tak, co pani zauważa w ich twórczości?**

**A.F.:** Zdarza mi się, ale nigdy nie przeprowadzałam jakichś szczególnych badań. Czytałam często wiersze moich studentów. Staram się śledzić, w miarę możliwości, twórczość młodych pisarzy, cieszę się, że poezja żyje poprzez ich talent i osiągnięcia, ale nigdy nie starałam się sformułować jakiegoś specjalnego stwierdzenia.

**A.J.: Jako oddział szczeciński Związku Literatów Polskich jesteście prekursorami wykorzystywania sztucznej inteligencji w poezji. Jak zapatruje się pani na tego typu połączenia?**

**A.F.:** To ciekawe, w tej chwili sztuczna inteligencja ma duże osiągnięcia, ale jak będziecie podpisywali wiersz napisany w połowie przez komputer, a w połowie przez członka ZLP.

**A.J.: Czy zastanawiała się pani, jak potoczyłoby się pani życie i twórczość, gdyby nie emigracja?**

**A.F.:** Pokonywanie trudności, jakie napotykałam na swojej drodze, znacznie wpłynęły na nasilenie mojej energii, na zrozumienie, że przeszkody należy pokonywać, nie czekać, aż same znikną. Kiedy zaczęłam publikować wiersze w „Wiadomościach”, a potem w „Kulturze”, znalazłam duże poparcie w środowisku powojennej emigracji politycznej i dzięki temu poparciu starałam się osiągnąć to, co osiągnęłam – doktorat na New York University, trzydzieści sześć lat pracy na Columbia University, publikacje naukowe, literackie i dziennikarskie. Emigracja stała się szkołą życia, a środowiska, z którymi się zetknęłam, stały się dla mnie światłym przykładem.

Ewa Sowiakowska-Grabowska

Reżyserka, scenografka, tłumaczka, autorka filmów i sztuk teatralnych, animatorka kultury na terenie Polski, Niemiec oraz w krajach byłej Jugosławii. Ukończyła teatrologię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, studia filmowe z dyplomem reżysera w byłej Jugosławii. Jest członkinią szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

Jej matka, Ewa Seweryna Sowiakowska była doktorem filozofii. Ukończyła najstarszy w Zagrzebiu uniwersytet na kierunku filozofii i slawistyki. Zorganizowała gimnazjum w Janowie Lubelskim i tam uczyła języka polskiego. Pracowała jako wykładowca: Wyższych Kursów Nauczycielskich w Szczecinie, Uniwersytetu Jagiellońskiego, na wydziale slawistyki Uniwersytetu Poznańskiego. Pisała rozprawy naukowe, prozę i wiersze – wydała pięć tomików. Współpracowała z literackim miesięcznikiem „Twórczość”.

Ojciec, dr Jeremiasz Mikołaj Sowiakowski był absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od 1928 roku pracował na oddziale zakaźnym Państwowego Szpitala im. Łazarza w Krakowie, później jako asystent profesora Ostrowskiego w Klinice Chirurgicznej we Lwowie. Opublikował wiele prac w dziedzinie chirurgii. W latach 30. XX wieku objął dyrekcję szpitala powiatowego w Janowie Lubelskim. Po II wojnie światowej rodzina zamieszkała w Szczecinie. Dr Sowiakowski kontynuował swoją pracę w szczecińskich szpitalach. W 1972 roku została nadana mu godność Honorowego Obywatela Janowa Lubelskiego. Jego imieniem nazwano tam szpital i ulicę, a w Muzeum Regionalnym zorganizowano salę pamięci doktora.

---

## *Moją inspiracją była i jest wolność*

---

*Danuta Sepuco: Jak rozpoczęła się twoja znajomość z Józefem Szajną?*

**Ewa Sowiakowska-Grabowska:** Po ukończeniu studiów filmowych w byłej Jugosławii wróciłam do Polski i pracowałam w Teatrze Rozmaitości. To były lata 70. XX wieku. Poszłam zobaczyć w Teatrze Studio w Warszawie jego sztukę „Dante”. Bardzo mi się spodobała. Znałam Szajnę wcześniej, bo kilkakrotnie spotkałam się z nim prywatnie. Rozmawialiśmy o twórczości mojego



Od lewej: Elżbieta Sawicka (dziennikarka „Rzeczpospolitej”), Ewa Sowiakowska-Grabowska (zdj. archiwum E. Sowiakowskiej-Grabowskiej)

dziadka, Piotra Domańskiego, malarza. Szajna radził mi, w jaki sposób można odzyskać obrazy mojego dziadka, które były na terenie Związku Radzieckiego. Zasugerował mi, abym obejrzała jego wszystkie sztuki, a również zaproponował współpracę przy adaptacji sztuki „Śmierć na gruszy” Witolda Wandurskiego.

Józef często wyjeżdżał gościnnie ze swoimi wystawami do różnych miast w Polsce. Zaproponowałam mu, żeby również odwiedził Szczecin. I tak się stało – przyjechał do Szczecina ze swoimi pracami. Podczas tego pobytu asystowałam mu, aranżowałam jego spotkania z publicznością i mediami. Był bardzo zadowolony z mojej pracy i poprosił mnie, bym zorganizowała jego wystawę w jakimś egzotycznym miejscu w Europie. Zaproponowałam udział w Festiwalu „Sarajewska Zima” w Sarajewie (miasto w byłej Jugosławii, obecnie stolica Bośni i Hercegowiny – red.). Planowałam przygotować tam wystawę jego obrazów. Wystawa miałaby miejsce w Collegium Artistikum, obiekcie dla specjalnych artystów i ekskluzywnej publiczności z całego świata, znajdującym się w podziemiach Sarajewa. Józef poprosił mnie, abym przygotowała jakąś niespodziankę, która by go zaskoczyła. I tak się stało. Sprowadziłam jego obrazy do Sarajewa. Z dyrektorem Festiwalu sprowadziliśmy wielkiego barana, który miał stać w wejściu dla publiczności i decydować o tym, kto może wejść (śmiech), a kto nie. Józefowi bardzo to się spodobało. Po tej wystawie Józef dostał wiele propozycji z całej Europy zorganizowania wystaw obrazów i pokazów jego

sztuk. Jedną z zaskakujących ofert było zaproszenie do Emiratów Arabskich. Sarajewo odwiedził jeszcze dwa razy.

**D.S.: *To zacieśniło waszą znajomość?***

**E.S.-G.:** Zapropnował mi stałą współpracę z Teatrem Studio, którego był dyrektorem, ale również realizację jego sztuk zagranicą i ich tłumaczenie na języki byłej Jugosławii, hiszpański i niemiecki. Oglądałam każdą jego sztukę w tym teatrze. Najbardziej zainteresowały mnie „Ferdydurke”, „Śmierć na gruszy”, „Dante”, „Serwantes”. Te sztuki zaproponowałam wielu teatrom zagranicą. W 1981 r. otrzymałam bardzo ciekawą propozycję od dyrektora Teatru Narodowego w Rijece, Darka Gašparovicia, który chciał, żeby Szajna, przy mojej pomocy reżyserskiej, wystawił tam sztukę „Śmierć na gruszy”. Natomiast władze Rijeki zaproponowały też wystawę jego prac. Wystawa odbyła się, ale realizację sztuki musiałam wstrzymać, gdyż w tym samym czasie miasto Dubrownik przygotowywało się do wielkiego jubileuszu samego Dantego i dyrektor teatru w Dubrowniku zaproponował mi, żebym wystawiła u niego sztukę „Dante2”. Z tą ofertą wiązały się jednak pewne problemy – musieliśmy wrócić do Polski, by uzyskać wymagane wpisy paszportowe w dziale Milicji, która zajmowała się wyjazdami zagranicznymi artystów polskich. Pracowałam jednocześnie w Impresariacie Centrum Sztuki Studio w Warszawie. Ta instytucja miała możliwość legalizowania wyjazdów artystów na kontrakty zagraniczne. W związku z tym szybko udało się załatwić wszelkie formalności. Sztukę „Dante2” Szajny przetłumaczyłam na język chorwacki. Rozpoczęliśmy próby w teatrze w Dubrowniku. W tym scenariuszu kierownik literacki tego teatru, a jednocześnie aktor obsadzony w tej sztuce, doszukał się jednego słowa, które uznał za „serbianizm”, czyli słowo nacechowane językiem serbskim. Muszę wyjaśnić, że była to osoba, która starała się walczyć o czystość własnego języka chorwackiego, więc każde słowo serbskie naruszało jego czystość. Wobec tego musiałam zwołać profesorów z Uniwersytetu w Dubrowniku i udowodnić, że jest to słowo chorwackie, a on nie miał racji. Ale to było dla mnie odpowiednim ostrzeżeniem, jako autora przekładów, że należy przykładać wielką uwagę do czystości każdego języka przeze mnie tłumaczonego. Szajna powierzył mi prowadzenie prób oraz kontrolowanie prac nad kostiumami do sztuki, by były zgodne z jego projektami. Z tym miałam pewien żartobliwy epizod. Na kostiumach aktorek, na piersi miały być narysowane biusty. Aktorki przyszły do mnie i poprosiły, by to umieścić na plecach, gdyż ich naturalne biusty były niezbyt okazałe, kostium jeszcze bardziej to podkreślał, więc zaprzeczałoby to ich urodzie. Na taką zmianę musiałam mieć zgodę

Józefa. Przedstawiłam mu ten pomysł. Zareagował wielkim oburzeniem, gdyż jego scenografie i kostiumy były rzeczą świętą. Wezwałam Józefa na próbę. Obejrzał na aktorkach przerobione kostiumy i przyznał mi rację, mówiąc że aktorka najlepiej czuje się na scenie, gdy wygląda pięknie. Sprawilo to, że byłam pierwszą osobą, która skutecznie ingerowała w jego projekty.

***D.S.: Do premiery doszło...***

**E.S.-G.:** Premiera „Dantego2” odbyła się jesienią, ale nie na scenie Teatru Narodowego w Dubrowniku. Sztukę wystawiliśmy na szczycie sławnej Twierdzy Lovrinac, gdzie znajdowała się specjalna scena, odpowiednia do eksperymentów artystycznych. Przed premierą Józef był wyjątkowo zajęty przygotowaniem plakatu do tej sztuki. Notabene ten plakat został uznany przez krytyków za jedną z najlepszych jego prac. Możliwe, że tym plakatem Szajna przewidział wiszące nad Dubrownikiem piekło wojny. Moim obowiązkiem było wydrukowanie programu oraz przedstawienie Józefa chorwackiej publiczności. Bardzo cieszyłam się, że mogę przedstawić Mistrza i jego sztukę bez cenzury, bez ingerowania w tekst programu, który zgodnie z jego życzeniem nie zawierał opinii osób o nim piszących w Polsce – partyjnych krytyków – i nazywanych przez niego pogardliwie szajnologami. W Polsce w tamtych czasach wszystkie sztuki teatralne musiały mieć zgodę cenzury na wystawienie. Program zawierał też jego rysunki do scen „Dantego2”. Rozszedł się błyskawicznie jeszcze przed premierą. Nie mieliśmy czasu na jego dodruk, więc w dniu premiery była tylko mała, skrótowa informacja. W mediach ukazały się wspaniałe recenzje. Józef został zaproszony do wyreżyserowania następnej sztuki oraz pokazanie jej na letnim festiwalu „Dubrovnickie lato”. Niestety 13 grudnia 1981 r. w Polsce został ogłoszony stan wojenny i zatrzymane zostały wszelkie wyjazdy z kraju. Jednak Józef bardzo chciał pojechać tam ponownie. Poprosił mnie, aby skontaktowałam się z Agnieszką Osiecką (znaną autorka sztuk i tekstów piosenek – red.), która w owym czasie była członkiem Obywatelskiego Komitetu Ocalenia Narodowego – jej sztuki tłumaczyłam i wystawiałam w byłej Jugosławii – i poprosiła ją o pomoc w zrealizowaniu wyjazdu. Osiecka odmówiła tej pomocy. Zakazu wyjazdu nie można było zmieniać. Szajna czuł wielkie rozczarowanie tą sytuacją.

***D.S.: Twoja znajomość z Szajną trwała dwadzieścia lat.***

**E.S.-G.:** Utrzymywałam z nim stały kontakt. Oglądałam każdą jego sztukę. Postanowiłam zrealizować o nim film i z jego udziałem, jako bohaterem. Były to lata 90. XX wieku. Tytuł tego filmu „Prawda i kłamstwo podobne są

z twarzy” – to życiowe motto Józefa. Zdjęcia kręciłam w jego domu, na jego ukochanej scenie w Teatrze Studio oraz na wybranym przez Józefa największym śmietniku Warszawy. W swoich wypowiedziach do kamery Józef przewidział możliwość wybuchu III wojny światowej, chociaż zaznaczał, że nie będzie ona podobna do poprzednich. Niestety sprawdziły się jego przeczucia – w 1991 r. wybuchła wojna w byłej Jugosławii, a teraz, w 2022 r. w Ukrainie. Premiera filmu odbyła się w telewizji chorwackiej. Zależało mi na tym, żeby mimo jego nieobecności na letnim festiwalu w Dubrowniku, pamięć o tym wielkim artyście, o Józefie Szajnie trwała nadal. Obecnie przygotowuję wersję tego filmu dla polskich mediów i muzeów. Po 10 latach od wybuchu wojny w byłej Jugosławii mistrz Szajna został ponownie zaproszony do Dubrownika. Niestety w 2008 r. zmarł, tuż przed wyjazdem do tego miasta. Dla mnie to był ogromny cios. Dojechałam sama do Dubrownika. Już wtedy miałam przygotowany krótki film – wspomnienie o Mistrzu Józefie i jego pracy w Dubrowniku. Premiera odbyła się w Twierdzy Lovrinac i uczestniczyli w niej aktorzy grający w sztuce „Dante2” oraz władze miejskie. Zapaliliśmy znicze... Nie zdążyliśmy wyreżyserować wspólnie sztuki „Śmierć na gruszy”, ale jeszcze w Dubrowniku Józef zaproponował, abym wystawiła ją sama. I przed wybuchem wojny w byłej Jugosławii zdążyłam wystawić tę sztukę w Bośni i Czarnogórze. Z Józefem jeszcze mieliśmy pracować nad jego następną sztuką „Serwantes”. Niestety już wtedy nie czuł się dobrze i nie przystąpiliśmy do pracy. Praca z Józefem, jego osobowość, jego twórczość działały na mnie jako wielka inspiracja i może dzięki temu uzewnętrzniła się moja nie do końca odczuwana możliwość pracy artystycznej. Miał niezwykle dar oddziaływania na ludzi, którzy z nim pracowali, a więc i na mnie. W moich wspomnieniach jest zawsze żywy, a pewne sentencje, które wypowiadał stały się wzorem mojego postępowania w sztuce i w życiu.

***D.S.: Współpracowałaś także z innymi, znaczącymi twórcami teatru. Myślę o Andrzeju Marii Marczewskim. Jak to przebiegało?***

**E.S.-G.:** Pracowałam wtedy w Teatrze Polskim w Poznaniu. I oczywiście współpracowałam ciągle z Szajną. Któregoś dnia pojechałam do ZASP<sup>71</sup>, weszłam do kawiarni na kawę. Tam spotkałam Mirę Krajewską, aktorkę, żonę Andrzeja Marczewskiego, a moją znajomą, oraz konsula Ambasady Jugosłowiańskiej. Konsul zaprosił mnie i Mirę do ambasady na jedno z jugosłowiańskich świąt. Mira zapytała, czy może przyjść jej mąż, reżyser. Konsul przyjął ten pomysł z zadowoleniem, gdyż zależało mu na kontaktach z polskimi

---

71 ZASP – Związek Artystów Scen Polskich

artystami. I tam, na tym przyjęciu poznałam Andrzeja Marczewskiego. Andrzej szukał możliwości wzbogacania swojego repertuaru o zagraniczne propozycje. Zainteresował się moją działalnością zagraniczną i zaproponował mi pracę w Teatrze Rozmaitości w Warszawie oraz w teatrze w Płocku, w obu teatrach był dyrektorem. Te szybkie jego decyzje były dla mnie zaskoczeniem, ale przyjął te oferty. Może wpływ na to miała moja wielka sympatia do jego żony. To było przed stanem wojennym. Andrzej zaproponował mi stanowisko kierownika literackiego w „Rozmaitościach”. To stanowisko jednak było zajęte przez osobę, która chorowała na raka. Często nie było jej w pracy. Później już nie mogła wychodzić z domu. Wówczas odmówiłam i poprosiłam, by zatrudnił mnie jako konsultanta programowego oraz impresario. Stanowisko kierownika literackiego objęłam po jej przykrej śmierci. Byłam także reżyserem. Andrzej powierzył mi te stanowiska, gdyż szukał magistra teatrologii sławnego wydziału Uniwersytetu Toruńskiego, więc spełniałam jego oczekiwania. Nasza współpraca, ku mojemu zadowoleniu, nie ustawała nawet wtedy, gdy Andrzej był zatrudniany w kolejnych teatrach. Gdy objął kolejne stanowisko dyrektora, mianowicie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie, to od razu mnie zaprosił do reżyserowania i opracowania scenografii do sztuki Svobodana Stojanovicia „Klatka”. To przedstawienie przyniosło mi wielką satysfakcję, gdyż na Festiwalu Krajów Socjalistycznych w Katowicach otrzymałam nagrodę za scenografię. Drugą moją sztuką tam wystawioną była „Panowie i towarzysze” Fadila Hadżicia, chorwackiego i bośniackiego reżysera. To znany i kontrowersyjny dramat. Zmieniłam jego tytuł na „Panowie i obywatele”, ale pod tym tytułem cenzura zabroniła mi wystawienia jej.

***D.S.: Dlaczego ta sztuka była kontrowersyjna?***

**E.S.-G.:** Postacie z tamtej sztuki przypominały naszych partyjnych bonów. Przypomnę, że to były czasy socjalizmu. Sztuka mówiła o korupcji nowej i starej władzy. Z Andrzejem Marczewskim wpadliśmy na pomysł, żeby do jej reżyserowania zaprosić mojego kolegę z Mostaru – dyrektora Teatry Narodowego w Mostarze. To zmyliło cenzorów i bez poprawek sztukę puszczone na scenę. Cieszyła się wielkim powodzeniem. Bilety były wyprzedawane już w przedsprzedaży. Po Koszalinie trafiłam za Andrzejem do Teatru Polskiego w Bydgoszczy. W obu tych teatrach byłam kierownikiem literackim, ale także pracowałam w Centrum Sztuki Studio w Warszawie. W Bydgoszczy wyreżyserowałam jeszcze inny dramat Hadżicia „Państwowy złodziej”, Dušana Kovacevicia „Bałkański szpieg” oraz „Miłość Goerge’a Washingtona” Miro



Gavrana. Ta ostatnia sztuka bardzo spodobała się Telewizji Polskiej i postanowiła ją zrealizować w Teatrze Telewizji. Odkupili ode mnie prawa autorskie.

***D.S.: Tak przebiegał twój artystyczny „okres” bydgoski...***

**E.S.-G.:** ...w Bydgoszczy stworzyłam jeszcze grupę kabaretową, dla której pisałam teksty, a także byłam opiekunką młodzieży szkół o profilu teatralnym. Prowadziłam z nimi zajęcia z teatrologii. Dawało mi to wiele satysfakcji... i ku mojemu zaskoczeniu moja praca została wyjątkowo doceniona specjalnym podziękowaniem przez dyrekcję szkoły, ponieważ na moje zajęcia zaczęło uczęszczać coraz więcej uczniów, a także nauczycieli języka polskiego, czego w poprzednich latach nie było. Dyrektor bardzo chciał zatrudnić mnie w szkole na etat do prowadzenia języka polskiego z elementami teatrologii. Musiałam odmówić, gdyż nie mogłam zrezygnować z mojej teatralnej działalności. W tym moim okresie bydgoskim jeszcze dostałam propozycję reżyserowania w Teatrze Narodowym w Sarajewie sztuki Dževada Karahasana „Cud w dzielnicy łaćńskiej”. Dyrekcji tego teatru zależało, żeby tę sztukę reżyserowała osoba o wyznaniu katolickim, gdyż jej bohaterem był prawdziwy franciszkanin, o. Matije Divković, który przyczynił się do rozpowszechniania kultury europejskiej w Bośni oraz wprowadził pismo łaćńskie. Gdy wzięłam się do pracy, to Bośnia była już otoczona ze wszystkich stron wojskiem serbskim. Premierę przygotowywałam z wielkim pietyzmem. Współpraca z aktorami układała się wspaniale. Jednak w czasie ostatniej próby generalnej zdarzyło się coś nieprzewidywalnego. Dowiedziałam się, że z teatru odszedł do armii serbskiej dyrektor techniczny. Był odpowiedzialny za scenografię i elementy techniczne na scenie. Przed samą premierą dostałam od niego krótki list „Wybacz, Ewo, muszę iść w góry do serbskiej armii. Niestety zapadnia w trzeciej części sztuki nie zadziała”. W mojej sztuce miał obsługiwać zapadnię, przez którą zjawiał się na scenie aktor. Byłam tym przerażona, gdyż nie było innej osoby, która mogłaby jego zastąpić. Wobec tego podczas trzeciego aktu opuściłam swoje miejsce reżysera na widowni, poszłam w podziemia teatru i drogą ewakuacyjną wyprowadziłam aktora z drugiej strony na scenę. Przyrzekłam sobie, że gdy spotkam go po wojnie, to zrobię mu wielką awanturę. Ale to się nie udało, bo zginął w czasie napaści na Stare Miasto w Sarajewie. Premiera była bardzo udana. Niestety sztuka była grana tylko przez dwa tygodnie. Pierwsze serbskie granaty spadły właśnie na Teatr Narodowy. Zginęło bardzo wielu pracowników teatru. Z otoczonego Sarajewa nie można było wyjechać.

**D.S.: *Zatem był to początek wojny w byłej Jugosławii, a ty nie miałaś powrotu do Polski.***

**E.S.-G.:** Tak, ale nie byłam osamotniona. Miałam tam, i do dziś mam, wielu przyjaciół – ludzi teatru, ale także mediów. Przez długi czas w gazecie „Oswobodzenie” („Wyzwolenie”) drukowałam swoje opowiadania i fragmenty książki „Przeszło, nie minęło”. Byłam zaprzyjaźniona z całym zespołem redakcyjnym tej gazety. Boszko Vyrhovac, szef działu kultury zaproponował mi funkcję korespondenta wojennego. Byłam nim prawie osiem miesięcy z przerwami, gdy mogłam wracać do kraju. Moje wiadomości z walk i obrony Sarajewa były nadawane przez radio i krótkofalówki. Redakcja gazety i budynek telewizji zostały zbombardowane.

**D.S.: *Z Sarajewa wróciłaś...***

**E.S.-G.:** Udało mi się wrócić do Polski samolotem UNPROFOR przez Belgrad do Warszawy. Wróciłam do pracy w Teatrze Polskim w Bydgoszczy. Byłam tam kierownikiem literackim i reżyserem. Dyrektorem naczelnym i artystycznym był Andrzej Marczewski, a kierownikiem muzycznym Tadeusz Woźniak. W tym czasie wyreżyserowałam sztukę Fadila Hadżicia „Państwowy złodziej”. Równocześnie kontynuowałam pracę w kabarecie, pisałam dla niego wiersze. Do nich muzykę pisali Tadeusz Woźniak i znani i popularni muzycy i piosenkarze – Mate „Mišo” Kovač i Zdravko Čolić. Miałam też czas na sfilmowanie mojej sztuki „Orestes naszych czasów”. Zdjęcia kręciliśmy w Puli i na wyspie Brioni. Producentami byli Telewizja Polska i Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Puli. W rolach głównych wystąpili Robert Więckiewicz, Katarzyna Iwona Pawlak, Andrzej Marczewski. Zaangażowałam także chorwackich aktorów z Teatru Narodowego w Puli. Muzykę napisał Tadeusz Woźniak. Premiera odbyła się na scenie amfiteatru w Puli...

**D.S.: *...wzniesionym przez Rzymian w I wieku naszej ery. To budowla przypominająca rzymskie Koloseum. Te oba zabytki i Koloseum w Al-Dżamm w Tunezji należą do najlepiej zachowanych obiektów na świecie. Obecnie ten amfiteatr ma 5 tysięcy miejsc! Koncertowali tam Sting, Elton John, Pavarotti, Seal, Carreras i wielu innych niezwykłych artystów. Spróbujmy w sposób chronologiczny wypunktować twoje dokonania jako reżysera. W latach 1977-1981 byłaś w Teatrze Dramatycznym im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku.***

**E.S.-G.:** Tak. Tam wyreżyserowałam sztukę Fadila Hadżicia „Państwowy złodziej”. Nadal współpracowałam z teatrami w byłej Jugosławii – w Belgradzie, Zagrzebiu, Sarajewie – i z Teatrem Akcent w Wiedniu.

**D.S.: *Lata 1981-1983 spędziłaś w warszawskim Teatrze Rozmaitości.***

**E.S.-G.:** Tam wyreżyserowałam swoją sztukę „Szkarłatna róża”, którą napisałam na przełomie 60. i 70. lat XX wieku. Wystawiłam ją także w Belgradzie.

**D.S.: *Wspomniałaś już o Teatrze Polskim w Poznaniu.***

**E.S.-G.:** Tam pracowałam na pół etatu. Wyreżyserowałam sztuki Josipa Pejakovica „Oj, życie” i Miodvaga Żalicy „Najlepszy dzień, tamta noc”. Ta druga odniosła wielki sukces, nie schodziła z afisza prawie przez dwa sezony. Zrobiła mocne wrażenie na ówczesnym dyrektorze tego teatru, Romanie Kordzińskim i wzbudziła jego zainteresowanie tym dramaturgiem. Zaproponował mi przetłumaczenie i adaptację innej sztuki tego autora. Wybrałam „Hotel z widokiem na potwora”. Ta sztuka była grana przez trzy sezony. Była zaproszona na występy gościnne do Austrii i byłej Jugosławii. Z tą sztuką wiąże się kolejny epizod. Aktorki grające w tej sztuce uznały, że jej walory może podnieść oraz ją wzbogacić... piosenka. Jako reżyser uznałam tę uwagę za dobrą i napisałam cztery piosenki. Na premierę w Poznaniu przyjechał autor sztuki z żoną. Dla mnie było to wielkie przeżycie, gdyż bardzo zależało mi na jego opinii i czy moja adaptacja trafiła w obraz jego sztuki. W byłej Jugosławii jego twórczość krytykowano z przyczyn politycznych. Ale występy Teatru Polskiego w Sarajewie i miastach Bośni i Hercegowiny przyczyniły się do docenienia jego twórczości w jego rodzimym kraju. W tym samym czasie byłam autorką przekładów, na wszystkie języki byłej Jugosławii, literatury dramatycznej naszych wielkich dramaturgów: Mrożka, Gombrowicza, Witkacego, Iredyńskiego, Różewicza, Głowackiego i innych. To przyczyniło się do popularyzowania naszej dramaturgii zagranicą. Sztuki te brały udział w festiwalach międzynarodowych, zdobywając wiele nagród. Sztuka Janusza Głowackiego „Fortynbras się upił”, wystawiona przez bośniacki Teatr Kameralny 55, zdobyła Nagrodę Ministra Kultury Bośni i Hercegowiny. Ten teatr zaproszono do Warszawy, gdzie wystąpili w Starej Prochowni, a także do Teatru Polskiego w Bydgoszczy. Sztuka Sławomira Mrożka „Krawiec” dostała Wielką Nagrodę Miasta Splitu jako najlepszy spektakl w repertuarze splickiego Teatru Narodowego. Dla mnie była to wielka satysfakcja, gdyż osobiście poprosiłam Mrożka o zgodę na zmianę tytułu, proponując „Krawiec i barbarzyńcy”, gdyż sytuacja polityczna Dalmacji, której już zagrażała wojna, była bardzo niepewna. Mroźek zgodził się i gratulował mi trafnego oceniania tamtejszej sytuacji. Miłym wspomnieniem jest dla mnie sztuka belgradzkiego autora Borisa Kovačevicia „Santa Maria della salute”, którą reżyserowałam w Teatrze Polskim w Bydgoszczy. I tym razem aktorka zgłosiła swoje uwagi do sztuki. Jadwiga

Andrzejewska, grająca główną rolę, zażądała dopisania scen i wierszy. Nie przeciwstawiłam się temu, gdyż rzeczywiście miała rację. Rozszerzyłam scenariusz. Teatr z tą sztuką zaproszono na Międzynarodowy Festiwal do Nowego Sadu w Serbii. Jadwiga dostała specjalne wyróżnienia, a ja za adaptację tej sztuki nagrodę Związku Literatów Serbskich.

***D.S.: Prowadziłaś i prowadzisz życie cygańskie. Ciągłe podróże, zmiany miejsc zamieszkania i pracy...***

**E.S.-G.:** Może tak to wygląda... Na początku 2000 roku znowu zamieszkałam w Warszawie. Andrzej Marczewski założył tam swój Teatr Studio Test. Zatrudnił mnie na stanowisku zastępcy dyrektora do spraw artystycznych i organizacyjnych. Nadal współpracowałam z Tadeuszem Woźniakiem, który mieszkał w Warszawie i jest tam do dziś. Andrzej uwielbiał sztuki Karola Wojtyły i wyreżyserował prawie wszystkie. Mnie tymczasem Wytwórnia FORUM zaproponowała reżyserię moich scenariuszy filmów „Nokturn” i „Powrót do Sarajewa”. To wymagało częstych podróży do Sarajewa. Filmy powstały. Były pokazywane na festiwalach „Sarajewska Zima” w Sarajewie, w Zagrzebiu, Lublanie i Splicie. Zdobyły nagrody i wyróżnienia. Współpracowałam z redakcją kultury katolickiej telewizji chorwackiej w Zagrzebiu i z nimi zrealizowałam dokumentalny film „Ojciec święty Jan Paweł II w Chorwacji – październik 1998”. Ten film jest jedynym zapisem filmowym tej pielgrzymi. Zdjęcia powstawały w Sanktuarium Marii Bistricy, Zagrzebiu i Splicie. W Splicie zostałam dłużej. Była tam galeria Ivana Meštrovia, znanego chorwackiego rzeźbiarza i architekta. Bardzo interesowała mnie jego twórczość. Był dobrym znajomym mojego dziadka Piotra Domańskiego. Zachwyciła mnie ta letnia galeria. Postanowiłam nakręcić o niej film. By to zrealizować, musiałam zdobyć pozwolenie od ministerstwa kultury i sztuki Chorwacji. Nie było przeszkód i film powstał. W Splicie zrealizowałam jeszcze, na zlecenie władz miasta, film o sławnym święcie – Nocy Dioklecjana. To jest święto związane z historią powstania Splitu. Dioklecjan był cesarzem rzymskim. Na przełomie III i IV wieku wybudował w Spalatum (obecnie Split) nad zatoką adriatycką pałac, jako willę obronną pod jego siedzibę po abdykacji. Wybrał to miejsce prawdopodobnie dlatego, że urodził się niedaleko. Budowla miała charakter rzymskiego obozu wojskowego. Po abdykacji tam mieszkał aż do śmierci. W VII wieku po przebudowie została przekształcona na osadę miejską nazwaną Aspalatos, która zapoczątkowała miasto i jego nazwę Split. Dla spliczan cesarz Dioklecjan to postać niezwykle zasłużona dla miasta. Dokonał jego szybkiego rozwoju, stworzył własną armię. Miał jednak swoje złe strony. Wydał dekret przeciwko

chrześcijanom, mimo że jego żona i córka były chrześcijankami. Po śmierci Dioklecjana jego urna została wyniesiona z katedry przez mieszkańców Splitu i nikt do dziś nie wie, gdzie są jego szczątki. Jednak pokolenia spliczan do dziś okazują jemu wdzięczność za powstanie miasta. Premiery tych filmów odbyły się w Splicie. Obecnie przygotowuję pokazy w Polsce moich filmów, w tym tych dwóch.

***D.S.: Po dokonaniach w Chorwacji...***

**E.S.-G.:** Wróciłam do Polski. Do Szczecina. W Teatrze Kameralnym wyreżyserowałam moją adaptację sztuki Fadila Hadżicia „Nowy sposób na życie... czyli państwowy złodziej”, z muzyką Adama Opatowicza. Następnie inną wersję tej sztuki wystawiłam w Teatrze imienia Aleksandra Fredry w Gnieźnie, ale także sztukę „Była dziewiąta” Alda Nikolaja. Obecnie przygotowuję się do sfilmowania, w kooperacji z telewizją chorwacką, mojej sztuki „Legenda o świętej Eufemii”. Zdjęcia powstaną w Puli. W planach mam także sfilmowanie kolejnej mojej sztuki „Sarajewski Dante”. Tę będę realizować w Sarajewie.

***D.S.: A plany realizacji w Polsce, Szczecinie...***

**E.S.-G.:** Telewizja szczecińska, za czasów Polski Ludowej, poprosiła mnie o tekst, przetłumaczonej przeze mnie, sztuki „Bałkański szpieg” Dušana Kovačevicia, którą chciała sfilmować. Sztuka mówiła o Papieżu i stosunkach społecznych panujących w Serbii. Reżyserię zaproponowano Andrzejowi Marczewskiemu. Film powstał, przeszedł pomyślnie kolaudację w Szczecinie. Ale w tym samym czasie ta sztuka miała być grana w Teatrze Rozmaitości w Warszawie. Zgodnie z procedurami, przed premierą sztukę oglądali cenzorzy. I to warszawskie przedstawienie cenzura wstrzymała. W następstwie tego nie dopuszczono filmu „Bałkański szpieg” do emisji. Uznano, że treść sztuki przedstawia analogiczną do Serbii sytuację w Polsce. Ja nie zrezygnowałam z walki, by ta sztuka mogła być znana w Polsce. Jej tekst przekazałam miesięcznikowi poświęconemu dramaturgii współczesnej „Dialog” i tam ją wydrukowano. W stanie wojennym udało się ją wystawić w kilku teatrach polskich. Niedawno wróciłam do rozmów z oddziałem szczecińskim TVP, mają one bardzo pozytywny przebieg, i bardzo możliwe, że ten film będzie pokazany przez Telewizję Polską.

***D.S.: Nad czym obecnie pracujesz?***

**E.S.-G.:** Obecnie przygotowuję wieczór wspomnień o Andrzeju Marii Marczewskim. W listopadzie minęły dwa lata od jego śmierci. Na to wydarzenie składać się będą: pokazy dwóch filmów – właśnie „Bałkański szpieg”

i „Orestes naszych czasów”, w którym Andrzej grał; spotkania z aktorami, którzy grali w jego sztukach, z dziennikarzami, scenografami, kompozytorami oraz twórcami plakatów do jego sztuk. Bardzo chciałabym, by przyjechali: Bohdan Urbankowski, Tadeusz Woźniak, Janusz Kowalczyk, być może będą goście z zagranicy – twórcy, z którymi współpracował Andrzej.

**D.S.: Czy coś nowego piszesz?**

**E.S.-G.:** Tak. Przygotowuję scenariusz filmowy o realizacji w Dubrowniku sztuki „Dante” Józefa Szajny. Chcę zrealizować projekt – sfilmowanie mojego scenariusza na podstawie sztuki „Była dziewiąta” Alda Nikolaja. I jeszcze jeden projekt filmowy – nakręcenie filmu o kardynale Bośni i Hercegowiny, Vinku Puljiciu.

**D.S.: Dlaczego zainteresowałaś się tą postacią?**

**E.S.-G.:** To był jedyny kontrkandydat na papieża Karola Wojtyły. Puljić nie chciał brać udziału w konklawe. W tamtym czasie, w Bośni i Hercegowinie panowała jeszcze wojna. Pulić był wówczas biskupem i kardynałem w diecezji Banja Luka w Bośni. Jego odejście z kraju spowodowałoby dalsze rozruchy. Pozostał ze swoimi wiernymi. Pragnął, by pokój zapanował w sercach mieszkańców Bośni i Hercegowiny i myślę, że udało mu się tego dokonać. Do końca 2021 roku pełnił funkcję arcybiskupa Sarajewa, a w styczniu 2022 roku papież Franciszek przyjął jego rezygnację.

**D.S.: W kręgu twojej działalności artystycznej i literackiej dużo miejsca zajmuje Jugosławia i obecne kraje po jej rozpadzie. Co jest tego powodem?**

**E.S.-G.:** Moja mama dobrze знаła tamtejszą, różnobarwną literaturę i to wzbudziło moje zainteresowania różnorodnością dramatu. W byłej Jugosławii były uprawiane wszystkie style i rodzaje dramatu, czego nie było w krajach socjalistycznych. Ponadto znałam te języki, gdyż uczyłam się ich przy mamie. Ale najważniejszym powodem jest to, że w tamtych czasach Jugosławia była krajem wolnym od cenzury i wpływu na literaturę osób partyjnych. Moją inspiracją była i jest wolność.

**D.S.: Masz bardzo rozległe plany. Życzę udanej realizacji i bardzo dziękuję za rozmowę.**

---

## FELIETON

---

*Andrzej Maria Dzierżanowski*

---

### Własny felieton

---

Nie przypuszczałem nigdy poważnie, że dożyję siedemdziesiątki piątki; jednak życie sprawia takie niespodzianki, których nie wymyśliliby najbliżsi pisarze. Musimy się uczyć od życia, tak jest. Będąc więc w tym jubileuszowym wieku po raz pierwszy (i ostatni) – postanowiłem napisać parę słów nie o innych, jak zwykle, lecz o sobie.

Dawno, dawno temu, kiedy zaczynałem pisywać, podpisywałem się tylko jednym, pierwszym imieniem; nie chciałem być posądzony o snobizm, a swoje nazwisko uważałem za rzadkie. Zmieniłem zdanie, gdy wyszła książka Andrzeja Dzierżanowskiego *Fiat 126p na co dzień*, a nie ja byłem jej autorem. Dobiła mnie lista Wildsteina zawierająca ośmiu Dzierżanowskich, całe szczęście bez Andrzeja Marii.

Ale do rzeczy: debiutowałem dość późno, mając 25 lat, wierszem zamieszczonym w jednej z dwóch gazet codziennych Szczecina, mianowicie w *Głosie Szczecińskim*. W tym czasie, aby coś opublikować, trzeba było koniecznie włądować do swego utworu całą aktualną linię polityczną; przytoczę dla przykładu kawałek wiersza z owych lat pięćdziesiątych dobrego, uznanego i dziś poety:

*[...] Daleko walka się toczy  
O wolność wszystkich ziem  
I świecą gwiazdą po nocy  
Moskwa i Kreml.[...]*

Uważam tedy, że mogę bez rumieńca wstydu zacytować mój debiutancki wierszyk:

Pociąg z Berlina

*Lemoniada, parówki!  
Kolorowe pocztówki  
choć nie pachną, lecz czujesz je przecie,  
w peronowym przeciagu  
tęskny zapach pociągu  
taki sam na calutkim jest świecie.*

*Dym rozwiany w powietrzu,  
małe stacje pod wieczór  
pełne świerszczy i mięty przy torze  
w rowach para się smuży  
woń dalekiej podróży  
chłodny wietrzyk, gdy okno otworzę.*

*No, nie śmiejcie się ze mnie  
tak mi jakoś przyjemnie  
to ten zapach obudza nadzieję -  
a bywało inaczej,  
nieprzyjemny był raczej,  
FÜR DEN SIEG się toczyły koleje.*

*By już nigdy ten zapach  
strachem serca nie łapał,  
by nie wiozła nas przemoc niczyja  
jedzie pociąg z Berlina,  
kwiaty wiezie dziewczyna,  
kwiaty pachną jak młodość i przyjaźń.*

Tę naiwną miniaturę zapachową przyjęła mi redakcja *Głosu* ze względu na organizowany w lipcu 1955 roku międzynarodowy festiwal młodzieży w Warszawie, nie bacząc na to, że dziewczyna jechała, być może, z Berlina Zachodniego. Tu uwaga dla młodszych czytelników: wtedy powszechnie obowiązywała trakcja parowa.



Od tej pory moja twórczość rozwijała się niby kwiaty na pustyni. Pierwszym, ówczesnym dla niej deszczem, był Polski Październik, którego skutki trwały prawie rok z kawałkiem. Powstały wtedy pisma: *Po Prostu* w Warszawie, *Nowe Sygnały* we Wrocławiu, *Ziemia i Morze* w Szczecinie. W tym ostatnim, dzięki dobrej woli jego redaktor naczelnej Marii Bonieckiej, mieliśmy możliwość zamieszczenia manifestu i wielu wierszy. My, czyli grupa poetycka *Metafora*: Józef Bursewicz – spiritus movens, Janusz Krzemiński – arbiter elegantiarum, Ryszard Grabowski i ja – technicy z pewnymi zdolnościami. Jak nam później zarzucano, tworzyliśmy grupę towarzyską, a poza tym mieliśmy już dosyć obowiązków utworów, w rodzaju cytowanego na początku. Skąd wziąć inne? Musieliśmy je zrobić sami. W manifestie powołaliśmy się na Walta Whitmana, bo nie było jeszcze wtedy O`Hary.

Przed erą telewizji ludzie więcej czytali. Znaleźliśmy odzew. Do naszej grupy pragnęli dołączyć młodzi poeci; wybraliśmy najlepszych: cudowne dziecko, czyli Edka Balcerzana, który był po debiucie, ale jeszcze przed maturą i jego późniejszą żonę, Bogusię Latawiec.

Grupa wydała własny tomik *Metafora* (1958) i publikowała wspólne kolumny poetyckie w czasopiśmie: *Ziemia i Morze* (1956), *Pomorze* (1961), *Tygodnik Morski* (1962), *Głos Szczeciński* (1962, 1965), *Litery* (1967).

Nasze wiersze zamieszczano też w almanachach: *Dom nad Odrą* (1955), *Szczecin Literacki* (1958), *Poeci Pomorscy* (1962), *Poeci Pomorscy II* (1964).

Tak pisze o *Metaforze* Ewa Głębińska, autorka dzieła *Grupy literackie w Polsce 1945 – 1989*: „grupa [...] koncentrowała się w dużej mierze na pracach w *Klubie 13 Muz* i organizowaniu imprez literackich. Dwukrotnie (w październiku 1961 i grudniu 1962) zorganizowała sympozjony poetyckie. Pierwszy z nich odbył się w Zamku Książąt Pomorskich z udziałem Zbigniewa Herberta (wystąpił z referatem o problemach warsztatowych współczesnego poety), Zofii i Juliusza Burskich (analizowali poezję grupy) i E. Balcerzana (dokonał przeglądu stanowisk w nazywaniu elementów konstytutywnych utworu lirycznego). Drugi, dwudniowy [...] Referaty dotyczyły krytyki poetyckiej w Polsce (E. Balcerzan), pojęcia tradycji i nowatorstwa (J. Bursewicz), perspektyw rozwoju poezji w Polsce (Arnold Słucki). Nadto wygłoszono odczyty: *Poezja a cybernetyka* (A. Dzierżanowski), *Poezja niezrozumiała* (Jan Prokop) i *Poezja w Szczecinie* (Z. Burska). Na zakończenie sympozjonu odbył się wieczór poezji grupy.”

Rzeczywiście, Zofia i Juliusz Burscy, absolwenci KUL-u, stali się w tych latach jedynymi opiekunami *Metafory*. On, dramaturg, reżyser i filmowiec, człowiek

wielkiej mądrości (późniejszy wiceminister w rządzie Mazowieckiego) pełnił w owych latach obowiązki dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury na Zamku Szczecińskim. Zainicjował podziemny (bo w krypcie zamkowej) teatr naszej poezji, w którym występowali najlepsi recytatorzy, m. in. nastolatka Ania Frajlich, dziś znana poetka mieszkająca w USA.

Zofia Burska, polonistka, w swych recenzjach radiowych i prasowych starała się dać odpór napaściom na *Metaforę*.

Metaforyści powydawali własne książki, zostawali członkami Związku Literatów Polskich, działali mimo nasilających się krytyk ze strony ich związkowych lecz partyjnych kolegów, którzy zarzucali im „fałszywą drogę polityczną” i to, że odrzucali hasło „poezja dla mas”. Stopniowo nad *Metaforą* zbierały się ciężkie od zawiści, partyjne chmury. Ponieważ nadto prowadząc przez wiele lat w Polskim Radio Szczecin cykliczną audycję autorską *Magazyn Artystyczny* (do której specjalny hymn napisał Walerian Pawłowski) często udawało się nam obśmiać „zaangażowane” knoty lub lakiernicze laurki, w chmurach odzywały się coraz głośniejsze pomruki.

Animator grupy, uparty wilnianin Bursewicz, miał wciąż nowe pomysły; chciał czynić w plastyce to samo, co w poezji: pokazywać sztukę bezinteresowną, niezaangażowaną politycznie. Wymyślił, zainicjował i zorganizował

Od lewej: Leszek Dembek, Andrzej Maria Dzierżanowski, Wrocław 2021 (zdj. Robert Florczyk)



pod egidą *Metafory – I Prezentację Malarzy i Poetów z Krajów Demokracji Ludowej w Szczecinie*. Do grupy dołączyli plastycy: Tadeusz Eysymont, Wieńczyśław Mazuś, Henryk Naruszewicz, Łukasz Niewisiewicz, Guido Reck, Tadeusz Romaniuk i Andrzej Żywicki. Wystawiono 108 ciekawych obrazów malarzy z Sarajewa, Płowdiw, Pragi i Bukaresztu oraz 18 obrazów członków grupy ze Szczecina. W jaki sposób udało się rozpocząć i doprowadzić do końca tę imprezę – do dziś nie wiem, ale się udało. Wystąpiło na niej sześcioro poetów z Jugosławii, Bułgarii i Czechosłowacji, no i my.

Był to ostatni zryw *Metafory*. Na takie rozszerzenie jej działalności władze partyjne zareagowały stanowczo, choć nie jawnie. Nagle skończył się druk i audycje radiowe. Nastął paskudny rok 1968...

O wiele wcześniej wyemigrował ze Szczecina Edward Balcerzan – pojechał do Poznania, gdzie po ukończeniu własnych studiów zaczął uczyć polskiego Wietnamczyków – studentów in spe. W końcu sam został profesorem.

Wtedy – Burscy, którzy wyrzuceni z Zamku pracowali wówczas w telewizji (on) i w radiu (oboje). Nikt nie zatrzymywał utalentowanego twórcy serii widowisk według Conrada – jedynych w Polsce. Przyjął go Wrocław.

W końcu (lat sześćdziesiątych) – także ja z rodziną wyniosłem się do wymarzonego, bardziej tolerancyjnego i kulturalnego Wrocławia. Jeśli teraz powiem, że zaraz potem rozwścieczeni stoczniovcy spalili komitet wojewódzki PZPR w Szczecinie, proszę przyjąć ten fakt bez komentarza.

W Szczecinie zostali i stamtąd na zawsze odeszli Józef Bursewicz w 1982 roku i Ryszard Grabowski w roku 1987. Pozostali, rozrzućeni po różnych miastach, przerwali współpracę.

*Metafora* nigdy nie rościła sobie pretensji do pisania ksiąg pielgrzymstwa i narodu polskiego, miała jednak pewne zasługi w tworzeniu kulturalnej atmosfery miasta, niedocenione i niewykorzystane przez władze Szczecina.

Cóż... miało być o mnie, a znów rozpisałem się o kolegach. Wrócę więc do wspomnień. `A propos atmosfery – pisaliśmy kolejne *Magazyny* na Pogodnie w mieszkaniu Bursewicza, zwanego Żozkiem, jednym ciągiem od popołudnia do późnej nocy. Kiedyś, w zimie, po kilku godzinach pracy, Żozek postanowił przewietrzyć. Za chwilę pod oknem zjawiła się straż pożarna wezwana przez sąsiadów przekonanych, że się pali. To prawda, paliło się niemało.

Kiedy jeszcze radio nie zrezygnowało z mojej współpracy przychodziłem czasem do rozgłośni. Był tam bilard, znajomi dziennikarze, aktualne plotki i raz,

w bufecie, nawet cytryny. Ucieszony poprosiłem o dwie. – Pan tu nie pracuje – stwierdziła bufetowa i cytryn nie sprzedała. Miała je policzone według etatów.

Gdy wyszedł mój pierwszy tomik poetycki śledziłem pilnie głosy krytyki. Miejscowi i zamiejscowi poeci partyjni nie zostawiali na nim suchej nitki. Inni krytycy bywali łagodniejsi. Przejmowałem się tym do czasu, gdy porównałem dwie wypowiedzi: ...”rozpoczynający, jak na ironię, zbiorek wiersz »Po przebudzeniu«, utwór zresztą stary, z 1951 r. Wskazuje on jedną z dróg , którą Dzierżanowski usiłuje umknąć od terminowania [...] nic dziwnego przeto, że pierwszy krok na niej jakim jest »Po przebudzeniu«, musiał skończyć się dla Dzierżanowskiego upadkiem w grzęzawisko prymitywu.” – to ocena niepodpisanej krytyka w *Głosie Szczecińskim* (1959). „Pomysłowi wychodzi na dobre, kiedy podda go Dzierżanowski jak w wierszach »Po przebudzeniu«, »Apostrofa do księżycy« surowej dyscyplinie słownej i kompozycyjnej obróbki.” – tak to widziała Joanna Rosnowska w *Nowej Kulturze* nr 27 (1960).

Jeśli dopuścić pogląd, że czasami jakaś siła wyższa ingeruje w nasze życie, to musi być ona obdarzona poczuciem humoru. Jakiś odprysk tego poczucia towarzyszył mi w młodości, a i dziś pozwala pobłażliwie spoglądać na to, co minęło.

Tekst drukowany pierwotnie w X numerze „Pomostów” (2005 r.)

---

## REFLEKSJE

---

Wojciech Czaplewski

---

### Dzień szczura

---

Chciałoby się odczekać, zbudować dystans, żeby się temat *jak figa ucukrował, jak tytuń uleżał...* Lecz nie, temat domaga się świadectwa już, zaraz. Więc będzie to szkic, garść chaotycznych uwag, bo każda próba znalezienia ładu, poukładania tych myśli, tych przypomnień w spójną całość – jest jak próba powstrzymania perswazją kamiennej lawiny.

Wszyscy znamy tę piękną przypowieść, którą Albert Camus zakończył słowami: *...nadejdzie być może dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich nauki dżuma obudzi swe szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście.*

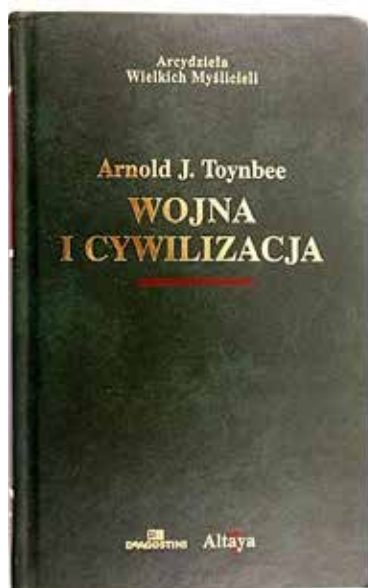
Ten dzień nadszedł, dżuma posłała swoje szczury.

Wojna to atrakcja. Jest świętowaniem i spektaklem, jest jak wakacje i jak karnawał. Andrzej Ziemiański w popkulturowej powieści, którą przeczytało pół miliona Polaków, ujął to tak: *To lepsze niż hazard, lepsze niż miłość, lepsze niż pieniądze i władza. To wojna!* Atrakcyjność wojny ma swój wymiar etyczny, a nawet mistyczny i zbawczy. Świadczy o tym nie tylko nordycki mit Walhalli – raj u wojowników – ale też uroda klasycznych Tyrtajosowych heksametrów. *Rzecz to piękna zaprawdę, gdy krocząc w pierwszym szeregu/ginie człowiek odważny, walcząc w obronie ojczyzny.* Rzecz to piękna? Karty *Iliady* ryczą spiżem i cnotami herosów – jednak prawdziwą czułość Poety najlepiej słychać w tych

przebłyaskujących spod szczęki oręża migawkach z codzienności, zamkniętych w homeryckich porównaniach, czy płaskorzeźbach na tarczy syna Tetydy. Dziewczęta grające w piłkę, chłopcy z koszami świeżo zebranej winorośli, garncarz pochylony nad kołem. Homer wiedział.

Wojna to atrakcja. Łuny i wybuchy, chłopcy malowani, pochód stalowych kogutów. Symfonia Eroica, wielkoformatowe malarstwo, epos jak rzeka. *Kruszy mu tarczę, rozdziera pancerz, otwiera mu pierś, łamie kości, miażdży krzyże. Kopią swoją wypędza mu duszę precz z ciała. Wbijają żelazo silnie, wstrząsa ciałem, wali go drzewcem z martwego konia i kark łamie mu na dwoje. [...] Bitwa jest cudowna; staje się coraz zażartsza. Francuzi walą krzepko i wściekle. Przecinają pięści, boki, krzyże, przeszywają odzież do żywego ciała i krew płynie jasnym strumieniem po zielonej trawie. [...] Bitwa jest cudowna i wielka. Gdybyście widzieli tyle cierpień, tyle ludzi nieżywych, rannych, okrwawionych! Leżą kupami, twarzą ku niebu, twarzą ku ziemi. [...] Hrabia ugodził go ciosem tak cudownym, że przeciął mu cały hełm aż do przyłbicy, przecina mu nos i usta, i zęby, i cały tułów, i koszulkę z tęgiego drutu, i srebrny łąk u złoczonego siodła i głęboko nadcina grzbiet konia. Nie masz lekarstwa, zabił ich obu i jęknęli wszyscy... A kiedy już obie armie składać się będą z trupów, wówczas zstąpią z nieba archaniołowie, cali w łuskach i pióropuszcach, i zanoszą duszę hrabiego Rolanda do nieba.*

Wojna upaja i wyzwala. Jak karnawał niweczy wszystkie sprawy powszednie, odcina codzienność, anuluje długi, unieważnia to wszystko, co niezależne i dręczące. Jednym ciachnięciem, jak gilotyna, oddziela wczoraj od dziś.



Wszystko to, co nie daje mi zasnąć, wszystkie brzemiona codzienności, zobowiązania, terminy, opatrzone wykrzyknikami słowa w kalendarzach – wszystko to znika z chwilą jej wybuchu. Cóż za ulga. Wojna wyzwala, skutecznie leczy melancholię. Maria Borowska, żona Tadeusza, wspominała, że dla autora *Proszę państwa do gazu* to właśnie czas okupacji, a najbardziej czas pobytu w Auschwitz był okresem, gdy wyzwolony z depresji energicznie brał się za bary z życiem

(zdj. tezeusz.pl)

i niebezpieczeństwem. Decyzja o samobójstwie przyjdzie potem, w dniach odbudowy, gdy wojna odejdzie w przeszłość.

Wojna to atrakcja. Wzniosłe świętowanie, ostoja moralnego ładu. Feldmarszałek hrabia Helmuth Karl Bernhard von Moltke napisał: *Wieczny pokój to sen – nawet niepiękny sen – a wojna to integralna część danego od boga porządku świata. Podczas wojny dochodzą do głosu najszlachetniejsze ludzkie cnoty: odwaga i bezinteresowność, wierność obowiązkowi i skłonność do ofiar, niecofająca się nawet przed poświęceniem własnego życia. Bez wojny świat ugrzązłby w bagnie materializmu.* A jeszcze głębiej klasyczny „Duce” Benito Mussolini w encyklopedycznej definicji doktryny faszyzmu wyraził to tak: *Jedynie wojna zapewnia energii ludzkiej najwyższy stopień napięcia i zdobi znamieniem szlachectwa ludy, które mają odwagę spojrzeć jej prosto w oczy.* Smacznego.

Powyższe militarystyczne pochwały cnót wojskowych przytoczył w fundamentalnym dziele *Wojna i cywilizacja* Arnold Toynbee, brytyjski historyzof i teoretyk cywilizacji. W swoich rozważaniach wskazał na pewien historyczny paradoks: z jednej strony wojna możliwa jest pod warunkiem wysokiego stopnia rozwoju organizacji społecznej i możliwości technicznych – a więc wymaga istnienia rozwiniętej cywilizacji; z drugiej zaś strony jest tejże cywilizacji nieuchronną katastrofą. Do dziś podziwiana za swe militarne cnoty starożytna Sparta w istocie wytworzyła (np. w porównaniu z ugrzązłymi w demokratycznym bałaganie Atenami) niewiele kulturowych wartości – gdyż cała spartańska kultura została podporządkowana i bezpowrotnie skonsumowana przez organizację bez reszty podporządkowaną militaryzmowi.

Ten dzień nadszedł, dzuma posłała swoje szczury.

W czasach, gdy wrogów Rzeczypospolitej na kopytach roznosiła najlepsza jazda świata, urodę wojny opiewał sarmacki Homer, Wacław Potocki:

*...ciepłe wątroby kipią na tuleje;  
trzask potem i zgrzyt ostry, gdy po same pałki  
kruszyły się kopije w trupach na kawałki;  
pełno ran, pełno śmierci; wiążną konie w mięsie,  
krew się zsiadła na ziemi galareta trzęsie;  
ludzie się niedobici w swoich kiszkach płacą;  
drudzy chlipią z paszczeki posokę gorącą.*

Smacznego.

Złoty wiek pierwszej Rzeczypospolitej to okres narodzin narodowej legendy. Mit starożytnych, do Hektora i Achillesa sięgających rodowych korzeni. Odwaga i okrucieństwo w boju, obłąkana hojność i przepych, stanowa solidarność, wyrażająca się w grzecznościowej formie „panie bracie”, i żrenica oka – indywidualna wolność. Żelazna miotła husarii zmiatała z pól bitewnych przeważające siły wroga, dragoni hulali po moskiewskich brukach, Polska jak wielka kwoka brała pod swe skrzydła ludy międzymorza. XVII wiek, wiek wojen, wzmożony talentem Sienkiewicza, do dziś krzepi serca Polaków. Dwa stulecia później doszło do tego romantyczne umiłowanie buntu i klęski dającej nad ciemną poczuć moralnej przewagi. Tych parę zwycięstw o historycznym znaczeniu – Grunwald, Częstochowa, odsiecz Wiednia, cud nad Wisłą – zawsze, o czym wspominają kronikarze, z nieodzownym udziałem Matki Boskiej (koronowana w 1656 roku na Królową Polski panuje nam do dziś, gdyż – chyba że czegoś nie wiem – żadną ustawą nie ogłoszono detronizacji). I efektowne porażki – wyprawa Warneńczyka, insurekcja, epizod napoleoński, Westerplatte, powstanie warszawskie i inne okopy Świętej Trójcy. Długie nocne rodaków rozmowy i najlepsze na świecie państwo podziemne.

Dziś, od jakichś czterdziestu lat gruntownie leczone z Przedmurza Chrześcijaństwa, Chrystusa Narodów oraz Wolności Waszej i Naszej, pokolenie wiotkich mileniśców puka się w czoło, słysząc wiersze Tyrtajosa, a słowo „patriotyzm” utyka w gardle, wywołując wiadomy odruch. Ostała się tylko coraz mniej liczna grupa dziadków i babć w furażerkach, nad którymi z politowaniem kiwają głowami wielbiciel internetu, społeczeństwa otwartego, tolerancji i telefonii komórkowej. Kto by tam czytał *Potop*, dożywający swych dni na liście lektur szkolnych, przecież wystarczy obejrzeć streszczenie na you tube. A ostatni bastion romantyczno-sarmackiego patriotyzmu to wędrująca od przypadkowych zwycięstw do niestuszných klęsk narodowa reprezentacja w dyscyplinie sportowej, którą coraz częściej po naszymu nazywa się „futbolem”. Do pokoju (i do wolności) przyzwyczailiśmy się jak do powietrza, jak do zdrowia. *Nikt się nie dowie, jako smakuje, aż się zepsuje...*

I oto historia zaszła nas od tyłu, szarpnęła za ramię i odwróciła ku sobie, przypominając o tym, co zdawało się spoczywać snem wiecznym pod piachem nowoczesności. Dzieją się sprawy naprawdę ważne. Serio. Wojna to rzeczywistość. Okazuje się, że żyje to, co minione.



Ponad sto lat temu wiedeński psychiatra zanurkował się w głębie podświadomości, skąd dobył i na pokaz wystawił życiodajną energię libido, dotąd skrywaną za kurtyną superego, tłumioną przez kulturę. Zygmunta Freud: wola życia to tryumfalny pochód Erosa, a kultura to przyczyna tabu i źródło cierpienia. Freudyzm zwolnił hamulce i powiódł nas na pochyłe zbocza wolności i obłędu. I nagle wybuchła wojna światowa (wtedy jeszcze nikt – oprócz porucznika Duba z *Przygód dobrego wojaka Szwejka* – nie wiedział, że wojny światowe trzeba będzie numerować), a wiedeński psychiatra zobaczył wyłaniającego się zza horyzontu Tanatosa, niczym olbrzyma, El Coloso na przedziwnym obrazie Goi. Popęd miłosny wziął się za rękę z popędem śmierci i zatańczyli wiedeńskiego walca.

Jak to jest, że sianie życia wiąże się ze wstydem, a sianie śmierci – z dumą? Aby oddać się miłosnemu spełnieniu, człowiek potrzebuje intymnego wnętrza z przygaszonym światłem, a śmierć zadaje, pędząc pośrodku ryczącego tłumu. Eros piękny jak marzenie skrywa swą urodę za zasłoną nocy, dusza, która złamie zakaz i spojrzy, będzie cierpieć (patrz mit o Erosie i Psyche); tymczasem w świetle bijącym zza uchylających się drzwi objawia się szkaradny ryj Tanatosa.

Tytułowa bohaterka Erazmiańskiej *Pochwały głupoty* szczydzi się wojną jako swym najwyższym osiągnięciem. Smacznego.

Ten dzień nadszedł, dzuma posłała swoje szczury.

W tym samym mniej więcej czasie, kiedy hrabia Roland nie zatrąbił w róg na pirenejskiej przełęczy, a nasi zachodniostowiańscy przodkowie trzymali swe maczugi w norach wykopanych w ziemi, konfucjański poeta Du Fu, poeta-święty, poeta-mędrzec, kaligrafował swoją *Balladę o wozach wojskowych*:

*Stukoczą, stukoczą wozy,  
Mozolą, mozolą się konie.  
Maszerują rekruci, a każdy z łukiem i kołczanem przywiązany do pasa.  
Matki i siostry, żony i dzieci biegną za nimi, wypatrują. (...)  
Łapią za ubrania, padają do stóp, kładą się na drodze, szlochają.  
Odgłosy szlochania niosą się wzwyż, wysoko, aż biją o chmury. (...)  
Na granicach imperium posterunki wojskowe kąpią się w morzach krwi,  
A waleczny cesarz przesuwa granice, bo ciągle ma wielkie plany. (...)  
Młode duchy przeklinają swój los, stare duchy szlochają,  
Z czarnego nieba – potoki deszczu. Niosą się, niosą się jęki.*

Nieuchronne skojarzenie z moich czasów, *Modlitwa Okudźawy* (tak, tak, tego, co tak kochał Moskwę): *kobiety stają u rozstajnych dróg,/w żołnierski podgolony patrzą kark...* Nic się nie kończy, nic nie zmienia.

Ten dzień nadszedł, dżuma posłała swoje szczury.

Gdzież bije źródło wojny? W okrucieństwie natury? W zabawie kota upolowaną, jeszcze trochę żywą myszką? W lwim obyczaju zabijania wszystkich dzieci pokonanego rywala? W tej nietzscheańskiej woli mocy, którą widać nawet wśród walczących o dostęp do światła młodych brzoź?

Jeśli szukasz początku, zajrzyj do Księgi Rodzaju: Kain był rolnikiem, Abel pasterzem trzód, co oznacza, że Kain wiódł życie osiadłe, zaś Abel był koczownikiem. Kiedy już będzie po wszystkim, Kain założy pierwsze miasto. Zatem biblijne bratobójstwo to symbol i pamiątka historycznego przełomu – kiedy ludzkość zmieniała tryb wędrowny na osiadły, inicjując cywilizację. Nie inaczej było z Rzymem, Romulusem i Remusem – wykarmionymi przez wilczycę. A mit tebański – bratobójcza bitwa założycieli przekłętego smoczego grodu? Bratobójstwo to zatem nasz mit założycielski, fundament cywilizowanego człowieczeństwa. I ciekawy zbieg okoliczności: pierwszy władca Rzymu to legendarny Romulus, a ostatni cesarz to też Romulus. Romulus Augustulus, hodowca drobiu z Rawenny. Historia Imperium ma kształt kolisty, kompozycję zamkniętą. Bratobójstwo – fundament cywilizacji, jej początek i jej koniec.

Kilka prostych praw. Nie zabieraj. Nie kłam. Szanuj. Nikt mi nie kazał dowiedzieć się, jak to jest zaprzeczyć i dokąd sprzeciw poniesie. To był wybór, chciałem się dowiedzieć. Przekonać się, czy się poważę. Sprawdzić granice wolności. Granice woli. Na to wyszło, że targnąłem się na porządek świata. A teraz ta krew woła.

Pierwszy. Założyciel. Wiechciem suchej trawy wytarł ostrze topora. Przeszedł, żeby pokalać, skazać ten kraj. Będzie przemierzał tę ziemię, gromadził wojska, stawiał kamienne budowle. Tak jest zawsze: ofiara, brat na zabicie, ulga po przelaniu cudzej krwi, wołanie z wnętrza ziemi. Dym z twojego ogniska wznosi się, niebo patrzy na ciebie, obdarowany bracie. Twoja ziemia jest płodna, twoja kobieta o oczach bez dna urodzi ci dziedzica. A mnie trawi głód. Pragnę twojej ziemi, twoich plonów i twojej kobiety. Ukoić drzenie, bezsenne noce, nasycić, ugasić ten pożar. Więc muszę przelać twoją krew, mój bracie.

Zabić cię i zjeść twoje serce. Niebo odwróci się z przerażeniem. Przez siedem pokoleń nie spadnie kropla deszczu.

Żeby nie było nieporozumień: ten tekst nie jest pochwałą pacyfizmu. Arnold Toynbee w *Wojnie i cywilizacji* szydzi z militarizmu i rzeczowo rozprawia się ze Spartanami, Moltkami i Mussolinimi. Owszem nie ma do pacyfizmu tak pogardliwego stosunku jak Winston Churchill (pamiętamy jego słowa po konferencji monachijskiej: *Mieli do wyboru wojnę lub hańbę, wybrali hańbę, a wojnę będą mieli i tak*). Toynbee o pacyfizmie powiada, że tylko wtedy jest szlachetny, gdy jest gotowy na ofiarę krwi, a nie wtedy, gdy jak zwykle staje się narzędziem leniwego tchórzostwa, usprawiedliwieniem zgody na zło.

Jezus przyszedł do celników i do grzeszników, a wśród tych grzeszników byli i żołnierze, choćby jak ów setnik z okupacyjnej armii – wzór wiary – któremu uzdrowił służącego. *Można? Można! Pytali go też i żołnierze: »A my, co mamy czynić?« On im odpowiadał: »Nad nikim się nie znęcajcie i nikogo nie uciskajcie, lecz poprzestawajcie na swoim żołdzie«.*

Świat chrześcijański na nowo zdefiniował bliźniego – ma nim być każdy człowiek, choćby skażony nieczystością, jak ów Samarytanin, co pomógł rannemu wędrowcowi. Czy żołnierz walczący w Mariupolu widział w swym wrogu bliźniego? Czy raczej wojna unieważnia uniwersalizm i ustanawia powrót do pierwotnej, plemienniej koncepcji bliźniego?

W poemacie Mickiewicza człowiek bez twarzy zwany Konradem Wallenrodem wypowiedział zdumiewającą myśl: *Niemcy są ludzie*.

I oto Niemcy poszli krok dalej; skoro tworzyli swą opowieść w świecie, w którym „bliźnim jest każdy człowiek”, aby osiągnąć eksterminacyjny cel, musieli wroga zdefiniować jako nie-człowieka. Podczłowieka. Coś mniej niż człowieka. (A dziś mamy ciąg dalszy: odczłowieczanie wroga za pomocą etykietki z napisem „nazista”).

Pan Kryszna, powożąc rydwanem generała Ardżuny, objaśniał mu, jak będąc generałem Ardżuną, podobać się Bogu.

Tao wojownika.

Kapuściński w *Wojnie futbolowej* napisał: *Kto chce wiedzieć, ile trzeba zapłacić, żeby wygrać tę wojnę, niech zobaczy nasze cmentarze*.

Te hordy, które idą. Które krzyczą. Od ich kroku ziemia drży. Odziane w skóry drapieżników, niosą śmierć. Oto są: przyjechali poobijanymi samochodami, mają zakurzone buty, zakurzone uniformy. Odwieczny rytuał przewagi. Nad brzegiem chusty jasnoniebieskie oczy. Mężczyzna, który stawał w obronie, klęczy przykuty do rury od wodociągu, ma przestreloną stopę, połamane żebra, widzi tylko jednym okiem. Widzi, jak wprowadzają jego córkę, jak córka płacze, jak kątem oka patrzy na ojca, jak powiekami daje znak, by nie patrzył, „Patrz!”, mówi człowiek w zakurzonych butach, robi to z nią, wzdycha, stęka, drży, potem przeładowuje pistolet, strzela w głowę córki. Ojciec patrzy.

Płonące autobusy, samochody w ogniu, jadą jeden za drugim, pali się w nich i coś się rusza, jakieś małe ciała, ciała dzieci, które cierpią i nie mogą stamtąd wyjść, czemu zresztą miałyby wyjść, te spalone ciała. A jeżeli to jest piekło, ta droga na przedmieściach, na równinie, we śnie? Tutaj gwałciciele i mordercy, i mistrzowie okrucieństwa otrzymują klucze wiecznej radości, dostępują chwały.

Kiedy parę lat temu stałem na tarasie hotelu w mieście dawidowym Betlejem, widziałem 30-tysięczne miasto pełne białych aut, kamienic w kolorze piasku i minaretów, z których dobiegał śpiew muezzinów.

Kiedy wchodziłem do ogrodu Getsemani na Górze Oliwnej (to tam w przeddzień śmierci Jezus pocił się krwią), obok wejścia siedziała ładna Żydówka. Miała na sobie ciemnozielony mundur i czarny pistolet maszynowy, jak z jakiegoś filmu o Jamesie Bondzie. Po przeciwnej stronie Doliny Cedronu widać zamurowaną Złotą Bramę, przez którą w dniu końca świata przejdzie Mesjasz.

Ziemię Świętą przegradza wysoki betonowy mur. Kiedy jechaliśmy z Jerozolimy do Betlejem, miałem jeszcze na głowie jarmużkę, pamiątkę spod Ściany Płaczu. Zatrzymaliśmy się obok posterunku, żołnierz powiedział mi, żebym zdjął jarmużkę, bo po tamtej stronie muru mi ją ktoś odstrzeli. Betlejem jest na terytorium Autonomii Palestyńskiej. Parę lat wcześniej izraelski patrol zabłąkał się na ziemię niczyją za murem, Palestyńczycy schwytali żołnierza, przywiązali za nogi do samochodu i przejechali ulicami miasta. Potem armia izraelska wzięła odwet, bombardując domy Palestyńczyków. A ładne Żydówki z pistoletami maszynowymi paradowały na granicy palestyńskiej w rozpiętych mundurach, pod mundurami miały T-shirty z obrazkiem i napisem. Obrazek przedstawiał ciężarną Arabkę na tle celownika, napis brzmiał: „jeden strzał, dwa trafienia”.

Jest tylko jeden sposób, żeby Ziemia Święta była krajem pokoju: musi się tym osobiście zająć Pan Bóg, ludzie nie dadzą rady. Zdaje się, że z Nieświętą Ziemią też tak jest.

Zapada noc. Wilki wyją do księżyca. *Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz.* W zaciśniętej pięści Boga trzeszczy piach. Ten dzień nadszedł, dżuma posłała swoje szczury. A na Podkarpaciu widziano ogromnego sępa.

**Andrzej Maria Dzierżanowski**

---

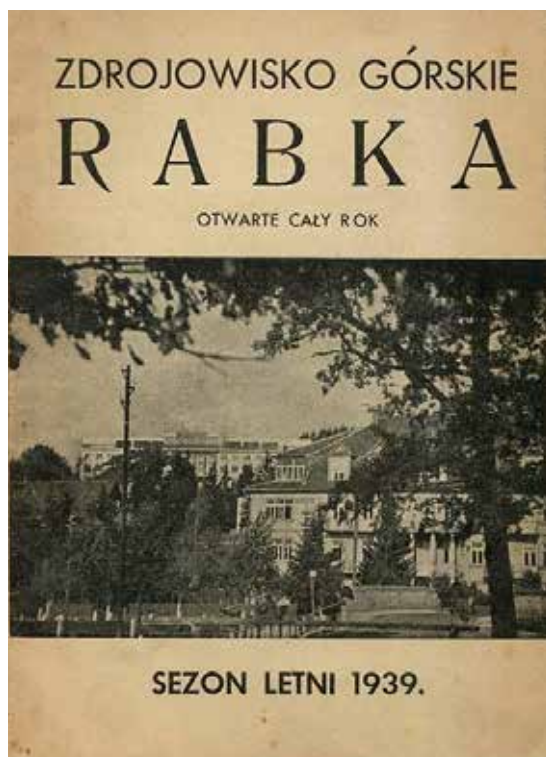
## **RABKA `38, `39...**

---

Nieduża miejscowość na Podhalu szczyliła się dodatkiem Zdrój. Ja miałem osiem lat, mój ojciec – sześćdziesiąt sześć i od roku był emerytem, stąd pomysł, byśmy, warszawiacy, przenieśli się całą rodziną (tata, mama i ja) tu właśnie. Podobno dla dobra dziecka. Przez osiem lat poprzednich przenosiliśmy się już pięć razy (dwa razy w Warszawie, dwa w Milanówku, raz znów do Warszawy), więc dla mnie nie były niczym nadzwyczajnym te następne trzy rabczańskie przeprowadzki.

Na razie zostałem umieszczony na trzy miesiące w szkole z internatem prowadzonej przez panią Benoni-Dobrowolską, a mieszczącej się w Rabce, w pobliżu ulicy Nowy Świat, co, być może spowodowało, że wszystkie nasze następne rabczańskie adresy koło tej ulicy się zgrupowały. Przez te trzy miesiące mój ojciec, znany stołeczny architekt, musiał zlikwidować siedmiopokojowe, warszawskie mieszkanie, pełne dobrych obrazów i antycznych mebli (okropnie nieportatywnych, nadto trudnych do pozbycia z powodu kryzysu i przywiązania się do nich), by zmieścić to wszystko w maksimum trzech pokoikach, którejs z rabczańskich willi.

Kiedy po trzech miesiącach zobaczyłem znów rodziców, pierwszym wrażeniem było, że są okropnie duzi. Najwidoczniej tak pani dyrektor, jak i moja



(zdj. <https://archiwum.allegro.pl/oferta/rabka-zdrojowisko-gorskie-1939-rok-i7880111490.html>)

opiekunka, pani prowadząca drugą klasę, były niewysokie, do czego zdążyłem się przyzwyczaić. Pierwszym zaś wrażeniem mamy była moja zbyt bujna czupryna.

– Jędrusiu, jak ty wyglądasz! – wykrzyknęła i zaraz zabrała mnie do fryzjera.

Pierwszym naszym mieszkaniem w Rabce była willa „Tarnowianka”, skąd dreptałem do szkoły pani Dobrowolskiej. Połowa naszej klasy – byli to wychowankowie internatu, drugą, chyba „większą połowę” – stanowiły dzieci miejscowych górali. Napawało to wielkim niepokojem dobrą panią dyrektor. Zaprosiła mnie pewnego dnia do swego gabinetu i zadała mi krępujące pytanie:

– Powiedz mi, Jędrusiu, czy ci chłopcy nie powiedzieli ci czegoś brzydkiego?

Powiedzieli, jeszcze jak! Z pogładowym modelem z plasteliny i z całym podręcznym słownikiem wyrazów niesłownikowych. Jednak zaparłem się tego z tak niewinnym wyrazem niebieskich ocząt, że biedna staruszka mi uwierzyła. Gdyby jeszcze wiedziała, że po drodze ze szkoły kupowaliśmy dwa płaskie i wypaliliśmy je za kioskiem we czwórkę! Chyba umarłaby na serce.

Willa „Tarnowianka” była nie do ogrzania i nie miała ciepłej wody. Przenieśliśmy się więc do willi „Osaka”. Ta japońska nazwa pochodziła jednak tylko od nazwiska właściciela, który nazywał się Osak<sup>72\*</sup>, i który zainstalował w swym

---

72 Na osęk (drag z hakiem) tutejsi mówili osak.

kubistycznym domku łazienkę z bojlerem. W tym przytulnym mieszkanku, ośmioletni, wysłuchałem za pośrednictwem naszego czterolampowego radia słuchowiska (chyba Gustawa Morcinka) o tym, jak dzielni górnicy naprawiali pompy elektryczne w zalewanej kopalni. Woda strasznie dudniąc oczywiście zalewała także ich, ale oni nie przestawali. Już, już mieli się utopić, ale jednak zdążyli. Pompy ruszyły, woda zaczęła się obniżać. Kopalnia została uratowana. To przeżycie pamiętam do dziś, być może ono było nieuświadomionym, choć o wiele późniejszym powodem wyboru mojego zawodu elektryka.

Następną willą, która wpadła ojcu w oko była „Patria”. Wzniesiona na wzgórzu miała trzy piętra i trzy okrągłe wieże, w których mieściły się też okrągłe pokoje z oknami na wszystkie strony. Była dość nowoczesnym budynkiem, ale nie to zainteresowało naszą rodzinę. Powinienem napisać raczej „nasze rodziny”, bowiem mieliśmy tendencję do zamieszkiwania obok najbliższych krewnych. „Patria” miała sporo mieszkań do wynajęcia, a siostra mojej matki, ciotka Marylka, wraz ze swym mężem też chcieli przenieść się do tej eleganckiej willi. Obie panny wyszły dość późno za mąż, za sporo starszych od siebie panów. Mąż ciotki też był inżynierem, lecz metalurgiem oraz chemikiem i służył w wojsku w stopniu majora. Także niedawno przeszedł w stan spoczynku. Rychło więc zamieszkaliśmy w „Patrii” obok siebie. Ja byłem jedynakiem, małżeństwo ciotki było bezdzietne. Rabka zdawała się być wymarzoną przystanią dalszego życia w spokoju i szczęściu rodzinnym tych dwóch par emeryckich z dodatkiem tylko jednego małego pętaka.

Życie towarzyskie grupowało się przeważnie w restauracji-kawiarni „Pod gwiazdą”, która miała poranne gazety, można tam było zagrać w szachy lub w bilard – automatyczny „grzybek”. Miała także obszerną werandę wychodzącą na park i salę dansingową, w której jazz-band grywał do „five o'clocków” oraz gdzie odbywały się baliki dla dzieci. Miała też w pobliżu, w parku, ogrodzony plac zabaw z różnymi huśtawkami i zjeżdżalnicami. Podczas gdy dorośli omawiali przy czarnej kawie napiętą sytuację międzynarodową, ja wycygniwszy dwadzieścia groszy znikąłem tam na długie godziny. Drugą przystań znajdowałem w nieodległej wypożyczalni książek. Miła, starsza pani, jej właścicielka, pomagała mi wybierać z obszernego działu dla dzieci najciekawsze pozycje.

Taki tryb życia wydawał się idealny – ale nie był nim dla dwóch szwagrów. Ojciec, oprócz swej architektury, czy pracy w ministerstwie zawsze działał jeszcze na innych polach. Zbierał obrazy i ekslibrisy, sam malował i zajmował się grafiką, zakładał spółdzielnię rękodzieła artystycznego, współtworzył miasto-ogród, czyli Podkowę Leśną... Wuj Sławek natomiast już w Milanówku

założył w suterenie swoje prywatne laboratorium chemiczne, w którym usiłował wyprodukować jakieś nowe mydło, wspaniale pachnące i lecznicze.

W Rabce też założył podobne w suterenie willed „Patria” lecz zajął się poważniejszymi eksperymentami. Stwierdził mianowicie, że Polska nie produkuje dotąd cementów dentystycznych i musi je sprowadzać wszystkie z zagranicy. Postanowił temu położyć kres. W owym czasie zęby plombowano przeważnie amalgamatem, czyli srebrem rozpuszczonym w rtęci, co było metodą niezdrową i niepewną (rtęć długo parowała, zostawiając w zębie nie bardzo szczelną „gąbkę” srebrną), w dodatku nienadającą się, ze względu na ciemny kolor, do siekaczy.

Wuj rozpoczął doświadczenia, analizując skład najlepszych amerykańskich cementów pochodzących z Harvardu. Łatwo ten skład ujawnił, lecz nadal niewiadomą był sposób jego syntezy. Kolejne próby łączenia składników, wypalania ich, proszkowania i zarabiania specjalnym płynem, by stworzyć wytrzymałą, niekruszącą się i nieścieralną plombę – oznaczał kolejnymi literami alfabetu.

Pamiętam dwa wydarzenia z tego okresu. Jedno, kiedy wuj podniósł wielką butlę z kwasem fluorowodorowym, a z butli wypadło wyżarte dno i kwas wylał się na niego. Trzeba go było wtedy widzieć, jak przeklinając na cały głos biegł do łazienki, po drodze zdejmując spodnie. Drugie wiązało się z piaskownicą. W niej często urzędowałem, budując wraz z moim przyjacielem Wawrzusiem całe piaskowe osiedla. Denerwowały mnie często znajdowane w piasku kamienie. Wyrzucałem je za siebie nie patrząc. Raz taki rzut zakończył się brzękiem. Trafiłem w okno laboratorium, z którego zaraz rycząc wypadł wściekły wuj. Biedny Wawrzus chciał uciec, lecz nie zdołał. Wtedy ja, mały bohater, przyznałem się do winy. Wuj powoli się uspokoił i powrócił do swoich doświadczeń.

Ojciec też był nimi zainteresowany i sam włączył się w działania szwagra. Odkupił mianowicie od pana Osaka kawałek terenu i wybudował na nim mały budynek zawierający kuźnicze palenisko koksowe z dmuchawą, w którym można było wypalać naraz dwa tygle szamotowe w temperaturze białego żaru; oczywiście, jeśli dość mocno i długo kręciło się korbą tej dmuchawy. Wiem coś o tym, bo nieraz pozwalano mi pokręcić. Po wypaleniu, proszki zawarte w tyglach stapały się i tężały, tworząc szklisty rdzeń, coś niby agat, do którego można się było dostać, odbijając młotkiem szamot. Ten „drogi kamień” z kolei trzeba było pokruszyć i ucierać w wielkim, aptecznym moździerzu porcelanowym, przesiewać przez kolejne sita, by wreszcie uzyskać najdrobniejszą frakcję – która była właśnie upragnionym cementem. Ten zostawał zarobiony którymś ze specjalnych płynów będących mieszaniną kwasów, a utworzony mały



kubik po stężeniu (czas się mierzyło) stanowił arenę następnych doświadczeń. Był badany na ścieranie i na rozpuszczanie, a przy pomocy specjalnych aparatów wuj oznaczał jego twardość i wytrzymałość. To ostatnie badanie kończyło się doszczętnym zgnieceniem biedaka.

W ten sposób wuj dojechał do końca alfabetu, a wyniki nie osiągały poziomu oryginalnych cementów Harvardu. Uparty kresowiak nie dał za wygraną. Następne doświadczenia zaczął oznaczać literami greckimi. Już beta zrównała się ze światowym poziomem, gamma była lepsza w niektórych parametrach, a delta przewyższyła Harvard we wszystkich. Major inżynier Rościśław Sopoćński mógł ofiarować Polsce ten wytwór swego umysłu i pomysłu.

Obaj starsi panowie zapalili się bardzo do tej idei. Postanowili zawrzeć spółkę. Z różnych względów wygodniej było, żeby zawarły ją ich żony, siostry Anna i Maria. Firmę nazwano „Delta A. M.” od imion właścicielek. Trzeba teraz było wyprodukować pierwszą partię cementów, by skierować ją do prób klinicznych i uzyskać wszelkie pozwolenia. Potrzebne były pieniądze.

Z dwóch szwagrów zamożniejszy był ojciec. Zostało mu jeszcze trochę z czasów prosperity, kiedy prowadził własne biuro architektoniczno-budowlane, a prowadził je dziesięć lat. Niestety i tych nie wystarczyło. Trzeba było wziąć kredyt. Ojciec jeździł do Nowego Targu do banku i w końcu otrzymał pożyczkę 20 tysięcy złotych. Produkcja ruszyła. Odbывała się w tych samych warunkach, ale ilość moździerzy i sit się zwielokrotniła, a pracowali przy nich górale i góralki z okolicy. Dmuchawę zmieniono na elektryczną, zamówiono stoiki z zakrętkami i opakowania według wzoru zaprojektowanego przez ojca. Sam naklejałem nalepki z napisami (naturalnie!) anglojęzycznymi – „Delta filling porcelain”, „Delta stone cement”, „White”, „White-yellow”, „Slow”, „Medium”, „Fast” itp. Ojciec, niegdyś dusza warszawskiego towarzystwa, jeździł teraz po Polsce, załatwiając urzędowe sprawy firmy, w czym obycie najwyraźniej mu pomagało. Zaczęły nadchodzić entuzjastyczne oceny jakości cementów „Delta”. Także oceny kliniczne im nie ustępowały. Wszystko zdawało się iść najlepszą drogą – jednak w każdej beczce miodu zawsze się znajdzie jakaś łyżka dziegciu; ciocia Marylka zaczęła nosić kosztowne futro i stało się jasne, że musiała je nabyć z kredytu. Wywołało to kwasy w rodzinnej firmie, ale cóż było robić, nie było na to żadnej rady. Zresztą wojna wisiała w powietrzu, poważniejsze sprawy przestoniły mniejsze wydarzenia. Firmie odmówiono zagranicznej dostawy komponentów najwyższej czystości, które były konieczne do produkcji cementów, a wuj, mimo swego stanu spoczynku, zgłosił się do wojska. Poszedł na wojnę w mundurze, ale bez

szabli, czym byłem zdumiony. Jeszcze bardziej zdumiały mnie łzy w jego oczach, kiedy żegnał się z nami. Nie tego się spodziewałem po tym typowym wojaku.

Rychło zaczęła się wojna. Czwartego jej dnia ostrzał artyleryjski dotarł do Rabki. Widzieliśmy wokół palące się wsie i poszczególne domy. Jeśli gdzieś buchał wyjątkowo czarny i gęsty dym, mówiono, że Niemcy puścili gaz. Koło naszego domu przeszedł gęsiego oddziałek polskich żołnierzy. Było ich może ośmiu. Byli zmęczeni i zagubieni. Wycofywali się w kierunku Lubonia. Podobno zatrzymali się na tej górze i długo się stamtąd ostrzeliwali.

Niemcy się nie pokazywali, ale ich pociski padały coraz bliżej. Ojciec był zdania, że willa „Patria”, znaczny i najwyższy budynek w okolicy, musi stać się celem ostrzału i w tych warunkach powinniśmy uciekać, choćby na pole, co też zrobiliśmy, nic ze sobą nie zabierając. Ojciec jeszcze wrócił, bo zapomniał wziąć dokumentów osobistych. Na górskim polu było zimno, dookoła strzelano, paliły się domy, nie wiadomo było dokąd uciekać. Przytuliliśmy się w ziemnej piwniczce jakiegoś górala, gdzie siedzieliśmy z całą jego rodziną i z kozą, do czasu, aż zapadła noc, strzelanina umilkła i ktoś przyniósł wiadomość, że już Niemcy są w Rabce. Powoli, po ciemku schodziliśmy w dół. Okazało się, że „Patria” nie doznała uszczerbku, natomiast niżej położone sanatoria otrzymały po kilka pocisków armatnich. Odłamki tych pocisków potrafiły pościnać pnie sporych świerków.

Nazajutrz odwiedził nas gruby Niemiec w mundurze żandarma, z blaszanym półksiężycem na piersi. Mama, która znała niemiecki, rozmawiała z nim. Pytał, ile ojciec ma lat. – Sieben und sechzig – powiedziała mama. Pytał o broń. Pokazano mu mój pistolet na strzałki zakończone gumką. Pouczył, że trzeba oddać, pod karą śmierci, każdą broń, białą czy palną, a także radio. Odnieśliśmy im potem nasze radio – na wiele lat zostaliśmy pozbawieni słuchowisk i muzyki, także zabytkową, grawerowaną dubeltówkę dziadka. Szabli wuja nie oddaliśmy. Zakopałem ją w nocy pod płotem „Patrii”. Jeśli nikt jej nie wykopał, leży tam do dzisiaj.

Polska swoją wojnę z Niemcami szybko przegrała, wojna jednak trwała jako Druga Światowa, a ja trzecią klasę zacząłem w szkole Sióstr Nazaretanek, przepisany do niej, bo była bliżej domu. W przeciwieństwie do poprzedniej, przy której było prawdziwe boisko z bieżnią, na której staraliśmy się pobić wszystkie rekordy, tu były tylko trawniczki ogrodzone drutem kolczastym i małe boisko, na którym można było najwyżej zagrać we dwa ognie. Tam poczyniłem zadziwiające spostrzeżenia, że dziewczynki rzucają piłką nieraz

mocniej niż chłopcy i na ogół sprawniej ją łąpią. Sama zaś gra stała mi się symbolem i przepowiednią wojennej (i dalszej...) przyszłości. Wychodzą w niej na boisko dwie gromady, każda usiłuje zbić piłką kogoś z przeciwników. Można się bronić tylko na dwa sposoby: uchylając się lub łapiąc piłkę. Jeśli to się nie uda – schodzisz bezapelacyjnie z boiska. Możesz tylko obserwować innych szczęściarzy, którzy w grze pozostali. Tak czy tak wykruszają się też i oni powoli, miejsce ostatniego zajmuje „matka”, czyli kapitan drużyny, który także, za trzecim zbiciem przegrywa. Taki, bardzo pesymistyczny obraz gry, zwanej życiem, stanął przed oczami dziewięciolatka. W dodatku w szkole nastąpiło przygotowanie do pierwszej komunii i to, co rok temu wydało mi się, choć nieprzyzwoite i trochę śmieszne, ale jednak naturalne i zwyczajne – teraz nabrało posmaku grzechu śmiertelnego oraz, co za tym idzie, zakazanego owocu. Patrzyłem z *upodobaniem* na wypiętą pupę koleżanki rysującej coś w wielkim bloku i zastanawiałem się, dlaczego coś, co mi się podoba musi być *nieczyste*. Zaraz też przypominała się mi wizyta u sąsiadów z trzeciego piętra. Były tam dwie dziewczynki, młodsze ode mnie. Zostaliśmy chwilę sami. Starsza wzięła mnie wtedy za rękę i zaprowadziła do łazienki, pokazując małą, blaszaną wanienkę podobną do biszkoptu.

– Wiesz, co to jest? – zapytała. Nie wiedziałem.

– Tu moja mama myje sobie pupę – wyjaśniła.

Potem poszliśmy bawić się na taras, na szczycie jednej z owych wież. Tam mała figlarka kucnęła na skrzynce do kwiatów, a gdy się poderwała zobaczyłem w niej małą kałużę.

– Nasikałam do skrzynki – oznajmiła – czy ty tak potrafisz?

Nie zdobyłem się na to, czego do dzisiaj żałuję, ale wtedy dało mi do myślenia. Czy wszystkie dziewczynki są tak zainteresowane sprawami płci, czy tylko ta jedna była takim wybrykiem natury? I jak to sprawdzić? Także do dzisiaj nie mam pewności w tej materii.

Co było dalej? Nic wesołego. Firma „Delta A. M.” oczywiście upadła. Nie miała materiałów do produkcji. Wuj internowany w Rumunii został w końcu wzięty przez Niemców do oflagu, w którym przesiedział całą wojnę. Właścicielka wypożyczalni książek musiała oddać Niemcom (chyba na spalenie) wiele ciekawych powieści, przeważnie tłumaczonych z angielskiego, bo ich autorzy byli Żydami. Zamiast to zrobić, rozdała je znajomym. Dostałem sporo takich dla dzieci. Dziwiłem się, czemu Niemcy każą niszczyć dobre książki, niczym się nieróżniące od innych dobrych książek, które wolno było zachować.

Ojciec nie dostawał już emerytury. Mieszkanie w „Patrii” okazało się za drogie. Po wyprowadzce poupychał meble i obrazy po znajomych, w willach wzdłuż Nowego Świata, i przeniósł się z nami do Krakowa, gdzie wegetowaliśmy, sprzedając resztki dobytku, wciąż wyrzucani przez Niemców z kolejnych mieszkań. Ojciec był coraz smutniejszy i bardziej milczący. W końcu bardzo starannie wykonał na jedwabnej, przedwojennej kalce swój ostatni projekt – małej willi, ni chaty, ni dworku, słowem takiego domku polskiego – krytego dachówką, z drewnianą werandą, o pięknych proporcjach. Nie dożył końca wojny.

Willa „Patria” przetrwała, a przejęta po wojnie przez Fundusz Wczasów Pracowniczych została nadbudowana, wraz ze swoimi wieżami, o jeszcze jedno piętro! Wuj wrócił dwa lata po wojnie z amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec statkiem „Isar” do Szczecina – ale to już całkiem inna, niedotycząca Rabki historia.

*Magdalena Bukowska*

---

## Czerwonym długopisem

---

Będąc dzieckiem marzyłam, by pisać. Snułam plany, w których widziałam siebie przed maszyną do pisania, wsłuchaną w dźwięk klawiszy i skupioną na pracy.

Dostałam maszynę.

Postanowiłam spróbować.

Miałam 16 lat, gdy zaczęłam pisać „Marę”. To była prawdziwa przygoda. Uczucia, które mi towarzyszyły pamiętam do dzisiaj. Uśmiecham się sama do siebie na wspomnienie ciepłych, wiosenno-letnich dni, które spędzałam na „klepaniu” literek i budowaniu historii. Po „Marze” przyszła kolej na „Teenager”, serię opowiadań, każde o innym nastolatku, każde o innej historii. Dla mnie szczególne, bo przeczytał je, sprawdził, naniósł poprawki, ale też celne, dowcipne komentarze, szczeniński literat – Jacek Sawaszkiewicz.

Pewnego jesiennego dnia, w trakcie odwiedzin u koleżanki z licealnej klasy zobaczyłam na półce z książkami kilka pozycji autora mającego takie samo jak ona nazwisko. Sawaszkiewicz. Zdziwiło mnie to bardzo. Spytałam, czy to może rodzina, czy po prostu zbieg okoliczności. Okazało się, że nie tylko rodzina, ale wręcz bardzo bliska rodzina! Ita, bo tak miała na imię moja koleżanka, była córką Jacka Sawaszkiewicza. Nietrudno się domyślić, że sytuację tę również pamiętam aż do dzisiaj... Byłam zachwycona, zszokowana, zaczęłam ją wypytywać: Jak to jest mieć sławnego tatę? Jak to jest mieć tatę pisarza? Jaki on jest? Zarzuciłam ją gradem pytań.

Ita była skromna, zdystansowana do świata, racjonalna. Dowodem na to był choćby fakt, że była KIMŚ, ale nie dała tego po sobie poznać, nie chwaliła się i nie wywyższała. Spokojnie odpowiadała na moje pytania, na moją gorącą prośbę zgodziła się spytać ojca, czy zechce spojrzeć na moje pisarskie próby. To był 1996 rok. Nie było telefonów komórkowych i sieci internetowej, które tak bardzo mogłyby skrócić czas oczekiwania. Musiałam poczekać, aż córka spotka się z tatą (mieszkali już wtedy osobno) i przekaże mi jego decyzję.

Spytała.

Zechciał!

Czerwone ślady długopisu i obszerne, celne komentarze do dzisiaj zdołają strony moich opowiadań. Tamta historia tak mocno wryła mi się w pamięć, że postanowiłam o autorze napisać coś, czego nie ma w biograficznych notatkach. Ślad jego pisma pozostał nie tylko na kartach moich opowiadań, ale przede wszystkim wrył się w umysł. Był moim pierwszym spotkaniem z pisarzem, kimś nieprzeciętnym, wyjątkowym. Ba. Ja sama poczułam się wyjątkowa, gdy po jakimś czasie Ita oddała mi kilkanaście stron ze wskazówkami warsztatowymi. Nie powiem – radość i dumę zacięniało trochę przerażenie: ileż błędów zrobiłam!

Sawaszkiewicz współpracował z czasopisem „Karuzela” i Rozgłośnią Polskiego Radia, a jego utwory można było czytać między innymi w „Szpilkach” „Młodym Techniku”, „Sztandarze Młodych”, „Kurierze Szczecińskim”. Zastąpił „Kroniką Akaszy” (dwa Złote Exlibrisy), „Czekając” (nagroda Ogólnopolskiego Konwentu Klubów SF w 1978 roku), „Przybysz”, „Między innymi makabra” i in. Za upowszechnianie kultury Sawaszkiewicz otrzymał w 1984 roku Nagrodę Wojewody Szczecińskiego – Honorową Odznakę za zasługi dla rozwoju społeczno- kulturalnego i „Gryfa Pomorskiego”, jak również Srebrny Krzyż Zasługi.

Nagle potknęła się o jeden z nich i przewróciła ~~się~~ na ziemię.  
Wylądowała twarzą w kałuży. Podniosła głowę i ~~ocierała~~ <sup>otarła</sup> oczy mo-  
re od wody z jesiennej kałuży i łez.  
Ocierała twarz z dzieciństwa.  
W myślach zadawała sobie pytanie:  
" Czy to właśnie znaczy być dorosłym ? ".

Jesli prowadzisz narrację z punktu widzenia Kasi,  
to nie przewracaj jej (właśnie) na jej ~~ojca~~ ojca. Z wysokiego  
oddległości (bo oddległa) obserwujmy nie może widzieć, że  
jej stany nie trzą w osach. A już nie pewno nie wie,  
o czym on myśli. W tym tekście formata z nawetom  
wszechmiętycego" je prostu ty nie zgodzisz.

Nie poznałam go osobiście, a jednak był mi bliski. Może przez to, że połączyła mnie z jego córką dziwna „duchowa” więź, jeszcze zanim usłyszałam trochę opowieści o jej tacie? Ita. Nietypowe imię wybrał dla niej ojciec z powodów czysto praktycznych: długie i syczące nazwisko wymagało krótkiego, prostego imienia. Córka wypożyczała i chłonęła książki, które napisał jej tata. Była zafascynowana tym, że jej tata jest kimś tak niezwykłym, że tworzy, że pisze, że wydaje. Poza tym, że był artystą. Jacek Sawaszkiewicz był człowiekiem niezwykłym, który dzieciństwo swojej córki naznaczył ulotnym zapachem papierosów i muzyką, która w tamtych czasach dla dziecka nie była zbyt popularna (Phil Collins, Chris Rea itp.) Był zwykłym tatą, który pracował i robił swoje i dopiero z czasem przyszła świadomość że jest cyt. „facetem z tęgim łbem”, a jego rytm dnia odbiega od tych w innych domach. Sawaszkiewicz miał „przestawiony” dzień, więc córka rzadko go widywała – w ciągu dnia spał, a pracował w nocy wtedy, gdy wszędzie była cisza i spokój. Wstawał koło godziny 17 i jadł „śniadanie”, a potem pracował w swoim pokoju, w którym siedział do piątej-szóstej rano i zasypiał. Podobnie z czasem docierała wiedza, że jak to bywa w świecie artystów, dotknęła go choroba alkoholowa. Z czasem ojciec wyprowadził się na inne osiedle w Stargardzie, następnie zamieszkał w Szczecinie. Spotkania były rzadsze, ale zmieniło się to pod koniec jego życia. Widywali się wtedy co tydzień, Ita nocowała u niego.



Pamiętam – wspominała mi córka Sawaszkiewicza – że kiedyś zabrał mnie ze sobą do remizy strażackiej, bo chciał się czegoś dowiedzieć. Czegoś, co było mu to potrzebne do książki (nie pamiętam o co chodziło, z kim rozmawiał). Jego praca polegała również na czytaniu najróżniejszych naukowych książek. Starał

(zdjęcie z rodzinnej ramki)

się jak najbardziej poprawnie pisać, żeby nie wciskać czytelnikowi bzdur. A potem pisał, pisał... najpierw ołówkiem w skoroszytach, „na brudno”. Następnie, jak wszystko już się zgadzało i nadawało do druku, przepisywał powieść na maszynie do pisania i oddawał dalej.

Sawaszkiwicz znany jest z tworzenia w swoich dziełach specyficznej atmosfery – parapsychologia, niezwykłość zdarzeń, opisy bohaterów to tylko niektóre cechy charakterystyczne jego twórczości. Warsztat szczecińskiego literata był rzetelny i dopracowany, bo Sawaszkiwicz z szacunkiem podchodził do czytelnika.

Córka odziedziczyła po nim „pociąg” do książek, które uwielbia czytać. Wnuk z kolei, już jako uczeń wczesnych klas szkoły podstawowej wykazywał umiejętności literackie i pisał ciekawe opowiadania.

Na koniec kilka słów na temat paradoksu: mnie było dziwnie, że tata koleżanki był cenionym pisarzem, a jej dziwnie czytało się moje wyznania, że jej zazdrościłam.

– Bo nie ma i nie było czego... To był mój tata – mówiła – a książki są namacalną pamiątką po nim.

*Leszek Dembek*

---

## **Januszowe, poetyckie smakowanie moreli**

---

**(reminiscencje)**

W serii „WZNOWIENIA”, wydawanej przez oddział szczeciński Związku Literatów Polskich, ukazała się druga książka. To tomik wierszy Janusza Krzyńskiego pt. „Smak Moreli&List w Butelce”.



(autor plakatu Zbigniew Jahnz; zdj. archiwum ZLP Szczecin)

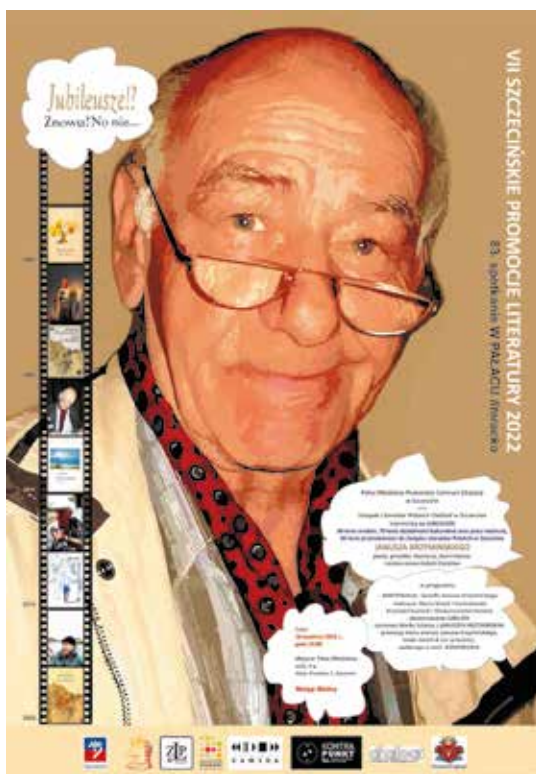
Janusz Krzymiński 29 kwietnia 2022 r. obchodził swoje 90. urodziny, 75 lat obecności w Szczecinie, 70 lat pracy twórczej oraz 61 lat pracy twórczej w szczecińskim oddziale ZLP.

Seria „WZNOWIENIA” ma na celu przypominanie pisarzy, którzy w naszym mieście tworzyli środowisko literackie po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Należy jednocześnie dodać, że mamy na uwadze przede wszystkim wartościową literaturę, która mimo upływu czasu obroniła się. Albo jest też ważna z innych względów, jak w przypadku pierwszej pozycji wznowienia – „Kroków we mgle” Józefa Bursewicza.

Głównym powodem ukazania się tej pierwszej książki była sama postać autora, który był współtwórcą słynnej grupy poetyckiej „METAFORA” (1955 r.). O tych ważnych książkach, już historycznych, można przeczytać w zbiorze szkiców „Przybysze i przestrzenie. Szkice o pisarzach szczecińskich”, autorstwa Artura D. Liskowackiego i Bogdana Twardochleba albo w publikacji „Literatura w Szczecinie 1945-2015. Książki siedemdziesięciolecia” pod redakcją Sławomira Iwasiowa, Jerzego Madejskiego i Pawła Wolskiego.

Ale wróćmy do samego bohatera drugiej książki w serii „WZNOWIENIA” – Janusza Krzymińskiego. To przede wszystkim poeta, również prozaik, filmowiec, malarz, radiowiec. Jednym słowem – człowiek instytucja. To ważny poeta, nestor w naszym szczecińskim środowisku literackim.



Jego starszy kolega, Andrzej Dzierżanowski powiedział mi w ostatnio przeprowadzonej rozmowie telefonicznej, że jego *młodszy kolega* (Janusz) *posiada lekkość w poetyckim obrazowaniu*. I z wielką przyjemnością przeczytał jego „szczecińskie drobiazgi... zupełne”, gdzie przedstawiony jest Szczecin ich lat młodości, podkreślając, że *to książka dobrze, prawdziwie oddająca stan rzeczywistości tamtego okresu*. Wypowiadał się też o Januszu jako o znawcy literatury francuskiej, który zna jej twórców, wymieniając m.in. G. Apollinaire’a, pisarza i krytyka sztuki, polskiego pochodzenia. Sam autor wymienia całą plejadę francuskich poetów, którzy są mu bliscy, jak m.in.: Charles P. Baudelaire, Comte de Lautréamont, Stéphane Mallarmé, J.N. Arthur Rimbaud, Paula A. Valéry, René Char. Zaznacza przy tym, że duży wpływ na zainteresowanie tą literaturą miały takie książki jak: „Antologia współczesnej poezji francuskiej” Adama Ważyka (1947r.), „Alchemia słowa” (1961r.) Jana Parandowskiego, Artura Międzyrzeckiego „Dialogi i sąsiedztwa” (1970 r.), czy Jerzego Kwiatkowskiego „Poezja bez granic. Szkice o poetach francuskich”. Następny krąg cenionych przez Niego liryków to poeci i poetki anglojęzyczni: Walt Whitman, Ezra Pound, Emily Dickinson, Sylvia Plath, Thomas S. Eliot, Frank O’Hara, Edgar A. Poe.

Swoje pisanie, jak często podkreśla „bardziej świadome”, rozpoczął w 1952r., przed maturą, wysyłając swoje wiersze do „Tygodnika Powszechnego”. Mimo że nie zostały opublikowane, to otrzymał od redakcji „TP” dobry prognostyk:

„Widzimy przed panem możliwości poetyckiego rozwoju, łączymy po zdrowienia”. O swoim pisaniu mówił: „Zdecydował przypadek. Może dlatego wybrałem poezję, że w matematyce nie wykazywałem żadnego talentu” („Pryzmat Literacki” nr 1, Szczecin 2020, w „Powojenny Szczecin literacki we wspomnieniach Janusza Krzymińskiego”).

Janusz Krzymiński jest ważnym głosem w literaturze – wskazuje, jak iść drogą twórczą stanowczo i odważnie przez różne zawirowania historyczne. W tym kontekście należy wspomnieć fragment słynnego Manifestu Poetyckiego „METAFORY”, którego był też sygnatariuszem:

*(...) Sprawa treści jest dla nas najważniejsza. (...) Sprzeciwiamy się fanatyzmowi i nietolerancji, jako czynnikom hamującym swobodne wypowiedzanie myśli. Pragniemy, by poezja zataczała jak najszerze kręgi. (1956)*

Pierwszy tomik Janusza Krzymińskiego „Smak moreli” ukazał się w 1961 r. w Szczecińskiej Bibliotece Debiutów w Wydawnictwie Poznańskim. Tadeusz Grabowski zauważył, że ten zbiór wierszy „nosił optymistyczny tytuł związany

z urodą świata i zawierał szereg akcentów młodości przełożonych na ton piosenki lub niefrasobliwej zadumy”.

Krzysztof Nowicki o tym tomiku pisał: *Jest to tomik utrzymujący się na pewnym poziomie, kulturalny, spokojny.(...) W „Smaku moreli” wyczuwa się bezpretensjonalność poety. Dziś wśród młodych jest to niewątpliwą zaletą. Znamienne jest również to, że Krzymiński rzadko posługuje się metaforą. Przewagę utrzymuje prosty monolog liryczny. Stąd płynie świeżość i komunikatywność jego wierszy („Łagodny smak debiutu”, „Pomorze”, 1961, nr 12).*

Natomiast Barbara Biernacka w „Nowych Książkach” (15.04.1961 r.) „Smak moreli” oceniała: (...) *Ciekawe są krótkie miniatury: s y t u a c j e l i r y c z n e, których sens i wewnętrzne napięcie, mieści się właściwie w m i ę d z y s ł o w i u, w niedopowiedzeniu.*

W recenzji Jerzego L. Ordana w „Ilustrowanym Kurierze Polskim” (1961, nr 130) czytamy: (...) *Wiersze Krzymińskiego są dość jednolite w tonacji i środkach wyrazu, co stanowi chyba dowód kształtowania się własnej poetyki.*

Tytułowy wiersz „Smak moreli” z tego tomiku to swego rodzaju afirmacja życia, nawet w postaci „niedojrzałych moreli”. Warto też mieć w świadomości, że w mitologii greckiej morele uważane są za złote jabłka, dar Gai (Ziemi – Matki).

*Jedz  
Powiedziała dziewczynka  
Dobre  
Spróbowałem  
Prawda że dobre  
Ucieszyła się mała  
Przytaknąłem skinieniem głowy  
Odtąd jadam niedojrzałe morele*

Interesująca jest rozmowa Jana Wawrzona z Januszem Krzymińskim w „Głosie Szczecińskim” ( 1977 r., nr 83, dodatek „Spojrzenia”, nr 15):

JW: Czy panu podobają się wiersze, które pan pisał w roku 1961, bo wtedy, zdaje się, ukazał się na półkach księgarskich pana tomik debiutancki pt. „Smak moreli”?

JK: *Niektóre tak, głównie te z motywami morskimi ...*

JW: Czyżby nieodwołałnie zdecydował się pan, żeby siebie pasować na marynistę?

JK: *Pasować siebie samego byłoby szczytem megalomanii, bo istnieje przecież – choć jest jej za mało – świetna poezja związana z morzem, poczynając zresztą od antyku, od Homera, ale...*

JW: Czy może się pan wypowiadać w pełni niejako poprzez morze i jego symbole, powiedzmy o miłości, o braterstwie człowieka?

JK: *Tak, absolutnie tak. Bo zasadą współżycia ludzi na morzu i na statkach jest: „wszyscy za jednego, jeden za wszystkich”, co dla mnie jest najwyższym wyrazem humanizmu.*

Drugi tomik poezji Janusza Krzymińskiego pt. „List w butelce” ukazał się po prawie 25 latach w 1985r. Tytułowy wiersz „List w butelce” w swoich wersach:

*Noc nie ścisza tych głosów  
a dzień  
najłagodniejszy nawet  
ma przedpola cierniste.*

jest swego rodzaju zapowiedzią, że dzień (w domyśle życie) nie będzie jawił się łatwo.

Janusz Poźniak, pisząc o „Liście w butelce” zauważa, że *dominuje smutek, mądry sceptycyzm, ale wolny od destrukcjonizmu. Lirykę tę cechuje zdecydowana męska fraza poetycka. W wyrażaniu własnego »ja« poeta stara się szukać miary słów i znajduje ją.* („Literatura na Pomorzu Zachodnim do końca XX wieku”, Wydawnictwo Kurier Press, Szczecin 2003).

Natomiast Tadeusz Grabowski – *Determinizm praw życia formułuje poetyckie refleksje, szary kolor rezygnacji zabarwia swoistym odcieniem nutę tych wierszy. Kilka z nich tylko zdaje się wymykać temu nastrojowi i przebłytuje nieśmiałym optymizmem. Do takich zaliczyłbym: »Człowieka wybrzeża«, »Statek«, »Naszego synka«, »Wieczór w maju«.* („Morze i Ziemia”, 1986, nr 14).

W utworze SCHERZANDO autor podejmuje temat przemijania:

*Ech  
porzucone kiedyś tak niedbale.  
Pogodzone z mijaniem i zmienione w popiół. Wiatr wiele rozproszył.  
A co  
pod milczeniem zim jeszcze uleżało zielenią nagłą pierwszy grom dobędzie.  
Bo*

*co już umarło żywym się pożywia.  
A co żyje  
dawno już zdaje się umarło.*

Można powiedzieć, że w ostatecznej konkluzji wierszy zawartych w tym tomiku poeta konstatuje zastaną rzeczywistość, nie przeciwstawia się losowi człowieka.

Trzeci tom poezji Janusza Krzymińskiego pt. „W palcach wiatru” powstał w 2011r. z inspiracji Adama Siedleckiego, po jego *żmudnych rocznych poszukiwaniach, opracowywaniach i wyborze tekstów*, jak czytamy we wstępie do tomiku.

O trzecim tomiku Agata Witek pisze: *Słowa poety pachną nie tylko wiatrem, ale i miętą, piotunem, zapachem dzieciństwa, swobody, nadziei i ludzkiej siły. Z drugiej strony, poezja ta pokazuje zwykłą codzienność, a to przecież trudne. Wiersze te są wręcz iluminacjami codzienności, o zwielokrotnionym znaczeniu.*

A jak dowiadujemy się ze wstępu do tomiku *pointą całego tomu jest refleksja wynikająca z „W palcach wiatru”*:

*I będą chwywane w obietnice, jakich wiele  
w palcach wiatru staje się żniwem na ścierniskach.*

Zatem autor mówi o nieustającej wierze w ulotne obietnice, niczym stale uciekający wiatr.

Ważnymi tematami w poezji Janusza Krzymińskiego są: morze, literatura i problematyka społeczno-kulturalna.

W odczuciu Janusza *morze uczy nieustannej mądrości*, jak w wierszu „Stare okręty”:

*(...)  
Lecz stare okręty nie zapomniały o brzegu  
i słonej mądrości morza nabytej w podróżach.  
(..)*

lub w utworze „Morze”, które potrafi człowiekiem zawładnąć do końca, nawet na lądzie, kiedy czytamy:

*Dzień się kończy i dzień się zaczyna a morze bije we mnie i dookoła.  
Jego brzegi są wyczuwane i powtarzane w mojej pamięci.  
(...)*

Wiersze też odzwierciedlają zainteresowania literaturą, jak w utworze „René Char”, gdzie

(...)  
*nie milknie jego głos osądu i współwiny  
wobec starej nędzy Świata.*

Wiersz, który jest swego rodzaju odniesieniem do współwiny za stare, nieustające grzechy Świata.

Krzywiński jest również bystrym obserwatorem życia codziennego, jak również kontestatorem ludzkiej egzystencji, która jest jedyna i niepowtarzalna.

„Argonauci wczesnych autobusów”

(...)  
*I zaciskają dłonie na plastikowych torbach ... Z czymś na dziś,  
a może i na jutro...  
I wyruszają  
wpatrzeni w zimną różę świtu. A każde z nich to wszechświat, który się nie  
powtórzy.*

Oprócz stanowczości swoich przekonań, którą prezentuje Poeta, postrzegamy go jako człowieka wrażliwego. Mówią o tym chociażby strofy z wiersza pt. „Piękno” z tomiku „Smak moreli”:

*Widziałem brzask i słońca zachody szły przez topiele i wichrowe wzgórza  
wolno uroczyście piękne jak melodia starej hiszpańskiej piosenki.(...)  
Niekwestionowaną zaletą poezji Janusza Krzywińskiego jest jej malarskość  
i intertekstualność, jak pisze wcześniej już przywoływany Janusz Póź-  
niak w tej samej książce.*

Po trzech książkach poetyckich „Smaku moreli (1961), „Listu w butelce” (1985) oraz „W palcach wiatru” (2011), w dorobku pisarza znajdujemy prozę, czyli „szczecińskie drobiazgi... zupełne”. Czytelnik otrzymuje, jak pisze Róża Czerniawska-Karcz: „tom oryginalny, na który składają się jego teksty tyleż nowe, bo z sierpnia 2014 roku, jak i te pozbierane z publikacji już dawno zapomnianych, a przywracające pamięć o ludziach i ich sprawach, ważnych dla szczecińskiego środowiska artystycznego i dla samego Autora”.

„Gdyby szukać – jak pisze Daniel Artur Liskowacki – dla prozatorskich drobiazgów Janusza Krzywińskiego jakiegoś krótkiego określenia, najbliższe sedna byłoby słowo gawęda”. Chociaż, jak dodaje recenzent „Od klasycznej

gawędy drobiazgi różni (...) jednak oszczędna forma, ale są tam też historie, które mają charakter anegdoty z codzienności”. („Gawędy w miniaturze”, „Kurier Szczeciński” 07.10.2014 r.)

Podobnie jak w poezji i tu również autora charakteryzuje oszczędność słowa i wyważone emocje.

O Poecie-Januszu pisali także m.in.:

Ryszard Liskowacki

„Krzymiński nie należy do poetów piszących »dużo i łatwo«. Wyczuwa się w jego poetyckim świecie sumiennosc i trud, wynikający chyba z dobrze pojętej odpowiedzialności za słowo. [...] Dalsza droga tego poety wiedzie poprzez poszukiwania mniej formalne, a bardziej zbliżone do właściwej istoty poezji. Do umiejętności wydobywania z otaczającego poetę świata rzeczy wydawałoby się drobnych, mało znaczących, a jednak posiadających dzięki możliwości poetyckiego uogólnienia rangę ważkich ludzkich spraw”.

Tadeusz Grabowski

„Niewątpliwym walorem tych wierszy jest ich lapidarność, nawet skrótość. Krzymiński posługuje się zręcznie elipsą, peryfrazą, sugestywnym obrazem metafory. Jego porównania są trafne i nośne poetycko, są nieraz próbą odświeżenia obrazu natury...”.

Zbigniew Pędziński

„Krzymiński, mieszkaniec Szczecina, a więc morskiego miasta – sięgając do motywów morskich, zdawałoby się dość już wyeksploatowanych literacko, w swej poezji, nadaje tym motywom i archetypom nowy wyraz i dynamikę...”.

Janusz Krzymiński to poeta oszczędny w słowie, znający ich wagę i siłę ważności, z dystansem odnoszący się do stanów emocji, można powiedzieć szkoła eliotowska. Jego poezja jest w jakimś sensie koncepcyjna i zintelektualizowana. Wymaga od czytelnika współdziałania, które w konsekwencji prowadzi do otworzenia się ukrytych obrazów w słowie.

„Patrząc – czytając – znaczy tu jednak nie tyle widzieć, zachwycać się widokiem – jak pisze Artur Daniek Liskowacki – ile wpatrzeć się weń – gdy słowo »w – patrzeć« odkrywa swą strukturę; a więc tak patrzeć, by zajrzeć do środka, przeniknąć, wnikać w aurę – barwę – namalowanego wiersza”.

Długie milczenie Poety między książkami jest wymowne. To człowiek humanista, który mówi: „Powinniśmy znaleźć klucz ścisłego powiązania całej problematyki postępu technicznego z moralnością, z poezją, ze sztuką.... To niełatwe zadanie.” („Głos Szczeciński”, nr 83, 1977, dodatek „Spojrzenia”, nr 15).

I śledząc twórcze życie Janusza KRZYMIŃSKIEGO – wychodzi ON z tej walki Zwycięsko!

Chciałoby się, aby Janusz Krzymiński jeszcze zaskoczył nas swoją mieniącą się metaforą w konstelacji swoich przemyśleń.

Należy się zgodzić z Januszem Poźniakiem, że pointa wiersza „Porządkowanie myśli” – „walczę o człowieka jednocześnie z samym sobą” – może być mottem całej twórczości Janusza Krzymińskiego, przenikniętej egzystencjalnym etosem walki o godność ludzką, o miłość i o prawdę.

Jakże ważne są jego ponad czasowe frazy i jakże aktualne szczególnie dzisiaj:

*(..) Bo największą miłością od miłości odejść  
i walczyć przeciw temu  
co jest jej groźbą Człowiek nie jest by tylko istniał.*

Chciałoby się powiedzieć za Tadeuszem Różewiczem – *śłuchaj(cie)my głosu Poety.*

**Anna Stankiewicz**

---

## **Z pamiętnika praktyka literatury 2**

---

Żyjemy w ciekawych czasach, w epoce ze słynnego chińskiego przekleństwa. Po całym dniu spędzonym na bezskutecznym unikaniu złych wiadomości,



trudnych rozmów, ostatecznych decyzji zapadam w niespokojny sen. Budzę się przed świtem.

Podziwiam Pawła Łęckiego<sup>73</sup>, który pokowidową bezsenność przekuwa we wpisy na FB. Bardzo osobiste, ale ani trochę wsobne, na naszych oczach zamieniają się w kronikę tego, co tu i teraz zajmuje umysły i serca. Łęcki pisze. Ja czytam wpisy Łęckiego. Między innymi. Poza Łęckim nic ambitnego, zahaczającego o rzeczywistość. Żadnych wyzwiań. Czytam to, co od dzieciństwa przynosi mi ukojenie. Czytam „Jeźycjadę”, czytam Astrid Lindgren, Terry’ego Pratchetta i Jane Austen. Powieści tej ostatniej są od dawna moim bezpiecznym portem. W Anglii to klasyka, wznawiana, czytana, omawiana w szkołach i na uniwersytetach, po wielokroć ekranizowana. U nas – klasyka, owszem, ale „klasyka romansu”. Traktowana trochę pobłażliwie. Niech tam! Ja czytam „Dumę i uprzedzenie”, „Perswazje” i „Emmę” zawsze wtedy, gdy drżą posady świata. Odkładam na półkę niewygodną świadomość, że jej powieści nie pokazują pełnego obrazu świata<sup>74</sup>, są wycinkiem rzeczywistości<sup>75</sup>, opowieścią o życiu klasy próżniaczek. I czytam o ludziach, których czas płynął w zupełnie innym tempie. Dni wypełnione były wizytami sąsiedzkimi, a wieczory poświęcano grze w karty, brzdąkaniu w klawisze *pianoforte* oraz nieśpiesznej lekturze.

Jakiś czas temu – właśnie dzięki panie Austen – zdałam sobie sprawę, jak niezwykle cenioną w towarzystwie umiejętnością było niegdyś głośne czytanie. Tak spędzano leniwie płynące popołudnia i wieczory. Dla nas, mających dostęp do tysięcy audiobooków, to prawdziwa egzotyka. Czytamy dzieciom, przepisowe 20 minut dziennie. Potem na lekcjach czytają dzieci, głoska po głosce, sylaba po sylabie, akapit po akapicie, czasem z podziałem na role, obowiązkowo z przysypiającym między kwestiami dialogowymi narratorem. No i czytamy MY – czasem z przypadku, niekiedy z obowiązku, często z prawdziwym zamiłowaniem – zaangażowani w akcję Narodowego Czytania. Trochę niemodni, z innego świata, zupełnie poza trendami. Od kilku lat na początku września wsiadamy w wehikuł czasu i przenosimy się do rzeczywistości, w której czytanie było znakomitą rozrywką, ale również sposobem na wywołanie prawdziwych emocji w słuchaczach.

Nie mam zamiaru zanudzać Czytelników szczegółami tej liczącej już 10 lat akcji<sup>76</sup>. Ani udawać, że po drodze mi ze wszystkimi inicjatywami określanymi

---

73 <https://www.facebook.com/pawel.lecki79>

74 Naiwne to sformułowanie. Nie ma takich książek!

75 Jak wszystkie!

76 <https://www.prezydent.pl/aktualnosci/inicjatywy/narodowe-czytanie>



W rzędach od góry: Wioletta Witkowska, Barbara Laszko, Izabela Szczyż, Halina Kluczevska, Katarzyna Jezierska, Ewa Zajkowska (zdj. Piotr Jezierski)

mi przymiotnikiem *narodowy*. Jakoś szczególnie nie pasuje mi on do literatury, wiktając ją w kategorie nieprzystające do prawdziwej natury <sup>77</sup>. Nie byłam zachwycona, gdy – po wielu latach czytania klasyki w szkole i na studiach, po kilku semestrach udowadniania uczniom, że *jednak warto* – okazało się, że muszę wracać do „Quo vadis” czy „Zemsty”. Życie bywa jednak przewrotne. Coś, czego podjęłam się z poczucia obowiązku, okazało się przygodą. Bodźcem do rozwoju. A próby wyjścia poza dość konserwatywny profil tej inicjatywy zaowocowały ciekawymi eksperymentami.

Latem 2017 roku, kilka tygodni przed kolejną edycją Narodowego Czytania, Anna Lewicka <sup>78</sup> zaproponowała mi współpracę z kierowaną przez siebie instytucją. Miałam stworzyć scenariusz na podstawie „Wesela”, a tym samym zapoczątkować twórczą kolaborację choszczeńskich bibliotek. Od dnia, w którym spoglądałam przerażona na ekran komputera, minęło kilka lat i kilka imprez czytelniczych. A mnie za każdym razem ogarniają te same emocje. Po pierwsze, onieśmienie tekstem, bo to przecież klasyka, a ja ją właśnie zamierzam zbrukać moimi niewprawnymi cięciami, itd. Po drugie, nieustępująca obawa, że przecież ja nie potrafię stworzyć scenariusza i tym razem ludzie na pewno to odkryją! Nie jestem ani trochę mądrzejsza niż pięć lat temu. Nie zyskałam na pewności siebie. Jestem za to odrobinę sprytniejsza, bo stworzyłam na własny użytek krótką listę wskazówek, jak wyjść z tej próby bez większego, emocjonalnego i wizerunkowego szwanku. Oto one:

---

## Po pierwsze, pokora bez strachu i otwarty umysł

---

Jak wspomniałam wyżej, po raz pierwszy powierzono mi przygotowanie scenariusza Narodowego Czytania w 2017 roku. Na tapetę wzięto „Wesele” Wyspiańskiego. *Wspaniale* – pomyślałam – *bardzo cenię Wyspiańskiego!* To była pierwsza myśl. Zaraz po niej przyszła następna. *To straszne* – pomyślałam – *tak bardzo cenię Wyspiańskiego!* Skąd ta ambiwalencja? Widocznie już wtedy przeczuwałam, że zajmowanie się ważnymi dla mnie tekstami stanowi szczególne wyzwanie. Najbardziej boimy się sprawić zawód tym, których uważamy za

---

<sup>77</sup> Rym niezamierzony, ale uznałam, że to moja podświadomość umieściła go właśnie w TYM miejscu, więc zostawiam.

<sup>78</sup> *Sensei* choszczeńskich bibliotekarzy, znana i ceniona poza naszym miastem, a przy okazji dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Choszcźnie. Osoba, o której pewnego dnia – mam nadzieję – będę mogła napisać więcej.

autorytet. A przecież książki też są naszymi mistrzami <sup>79</sup>. Z drugiej strony, praca scenarzysty przy tym projekcie stała się szansą na oswojenie tekstów nielubianych, do których nigdy bym nie wróciła z własnej woli. Tak było z „Przedwiośnią” Żeromskiego. Nie lubię tego autora i już. Ale z jego opowieści o losach Cezarego Baryki starałam się wybrać te fragmenty, które poruszą słuchaczy, zwiążą ich emocjonalnie – choćby tylko na dwie godziny – z tą tragiczną postacią, prawdziwym dzieckiem przeklętego XX wieku <sup>80</sup>.

---

## Po drugie, idź własną drogą

---

A co, jeśli taka sztuczka się nie uda? Teksty *nie leżą*, nie pasują do czytających? Cóż, wtedy muszę zdobyć się na odwagę i troszkę namieszać w wytycznych prezydenckich speców od literatury polskiej. Owszem, w 2019 roku czytaliśmy krótkie formy literackie, jak wszyscy, ale stworzyliśmy własną listę. Wystarczy nadmienić, że zakończyliśmy „Ostatnim życzeniem” Andrzeja Sapkowskiego. Zeszłoroczna „Moralność pani Dulskiej” cierpiała na niedobór ról męskich, a my dysponujemy całym zestawem wspaniale czytających panów. Stała się zatem punktem wyjścia do przeglądu postaci kobiecych w klasyce literatury polskiej. Przebyliśmy drogę od „Żony modnej” po Harey z „Solaris” Lema.

Właściwie od początku traktuję teksty, które można znaleźć na stronie prezydenckiej, jedynie jako punkt wyjścia. Sama dokonuję wyboru, które fragmenty *pójdą*, a które nie. Tnę bez litości <sup>81</sup>, przynajmniej. Czasem tnę z myślą o konkretnym czytającym. Widzę kogoś w danej roli, ale wiem, że wypadnie fatalnie, czytając długi, liryczny opis. Liczę się również z wytrzymałością słuchaczy. Wiem, że niektórzy uczestnicy patrzą z rozczarowaniem na marną stronę wydruku (Times New Roman, dwunastka, odstęp 1,5). Doceniam ich entuzjazm, ale od niego bywa bardzo blisko do bezlitosnego upajania się własnym głosem przez bardzo długi kwadrans. Zawsze znajdzie się również ktoś, kto stwierdzi, że wycięłam coś, co było ważne, piękne, jego ulubione. Jest to ryzyko, które jestem w stanie podjąć, bo moim bezlitosnym cięciom i arbitralnym wyborom towarzyszy pewna myśl, znana wszystkim autorom adaptacji. Myśl, by – z za-

---

<sup>79</sup> Wraz z ubywaniem autorytetów w ludzkiej skórze ta tendencja rośnie.

<sup>80</sup> A może moje motywy były mniej chwalebne i chciałam zarazić wszystkich moją irytacją obejmującą i autora, i głównego bohatera?

<sup>81</sup> Ale staram się rozbić to z wyczuciem, pamiętając, jakie oburzenie wywołał nieszczęsny skrót „Przedwiośnią” udostępniony na stronie prezydenckiej.

chowaniem szacunku dla autora i jego dzieła – stworzyć opowieść, która będzie choć trochę *moja*. A właściwie – *nasza*. Ale o tym za chwilę...

Technicznie sprawa przedstawia się tak, że moi czytaczycie nie dostają zwarte- go fragmentu tekstu, który mają przeczytać od początku do końca. Dobieram ich w pary, trójki, a nawet w całe grupy. Dzielę tekst, ale unikam jak ognia podziału na kwestie bohaterów i narrację. Staram się dzielić wstawki narracyjne tak, by podkreślały wypowiedzi bohaterów, łączyły się z nimi harmonijnie lub przewrotnie. Nie unikam również sytuacji, w której oddaję pałeczkę wyjątkowo rozgadane- mu narratorowi. Rok temu wybrałam fragment „Lalki”, słynny opis Izabeli Łęckiej. Podzieliłam go między dwie urocze panie (Joannę Kup- niewską i Martynę Żytę<sup>82</sup>), które znakomicie wcieliły się w role warszawskich plotkarek, bezlitośnie obgadujących pannę I.

Może się zdarzyć, a nawet zdarzy się na pewno w przypadku powieści, że tekst przycięty do dwugodzinnej imprezy zostanie pozbawiony sensowne- go przebiegu fabuły. Cóż zrobić z takim nieszczęśnikiem, by nie narażać go na zdziwione miny słuchaczy? Ja rzucam mu koło ratunkowe w postaci krót- kich wstawek łączących poszczególne sceny, objaśniających kluczowe poję- cia, przybliżających genezę utworu. Brzmi to bardzo szkolnie i poważnie, ale zapewniam, że robię wszystko, żeby nie był to nudny wykład. Zresztą, mam szczęście, ponieważ moje niezgrabne teksty szlachetnieją w ustach prowadzą- cych, do których mamy niebywałe szczęście. Najczęściej w tej roli obsadzamy Martę Staniewską. Jej głos<sup>83</sup> sprawia, że wszystko, co napiszę brzmi mądrzej, sensowniej, dobitniej. Z drugiej strony, jeśli w którymś zdaniu brzmi fałsz, je- stem to wstanie wyłapać i wyeliminować już po pierwszej wspólnej próbie.

---

## Po trzecie, znajdź właściwych towarzyszy podróży

---

Zakończenie poprzedniego akapitu dało mi do zrozumienia, że muszę jak najszybciej przejść do najważniejszego punktu, czyli napisać o ludziach, z któ- rymi pracuję od lat nad nadaniem Narodowemu Czytaniu innego oblicza. Pięć edycji to mnóstwo nazwisk do wymienienia. Niektóre osoby pojawiły się na chwilę. Inne są z nami od lat, przechodząc do kolejnych projektów. Skupię się na tych ostatnich. Postaram się ograniczyć do faktów, choć – gdy myślę

---

82 Tak. To jest ten fragment, w którym zaczynam operować nazwiskami.

83 Marta jest wokalistką. Stworzoną do śpiewania bossa novy. To pomaga.

o moich współpracownikach – trudno mi uniknąć emocji. Postanowiłam też, że napiszę tylko o tych, o których chcę napisać. Bez bawienia się w dyplomację.

Chcę przede wszystkim napisać o moich koleżankach – towarzyszkach – bibliotekarkach. Pracujących zarówno w MBP w Choszcznie, jak i w bibliotekach szkolnych. Jeśli w tej chwili pojawiła się w Waszych umysłach, drodzy Czytelnicy, wizja starszej pani w wełnianym sweterku i z nieodłącznym koczką, nieco zgarbionej, lekko poszarzałej, w nieodłącznych okularach, wizja skądinąd urocza, to muszę Was rozczarować, bo choszczeńskie bibliotekarki tak nie wyglądają<sup>84</sup>. To wyjątkowo barwna i zróżnicowana galeria typów kobiecych. Niektóre – o zgrozo – nie noszą nawet okularów! Większość nie boi się<sup>85</sup> publicznych występów. Mają wspaniałe głosy i głębię interpretacji, którą może dać tylko wieloletnie obcowanie z literaturą. Basia Laszko i Joanna Konopacka, wspaniałe jako Alina i Balladyna, mają spore doświadczenie sceniczne. Podobnie jak Halina Kluczevska, która od lat wspierała mnie w organizacji imprezy, ale dopiero rok temu zgodziła się wystąpić w roli czytającej. I to z jakim skutkiem! Ogromnie cieszy mnie fakt, że towarzyszyły jej w tej przygodzie młodsze koleżanki – Izabela Szczyż, Wioletta Witkowska i Ewa Zajkowska. Wspaniale przygotowane, skupione, otwarte na sugestie, przyciągające uwagę publiczności. No i Kasia Jezierska<sup>86</sup>, istota obdarzona ogromnym wdziękiem i odwagą, o której też chciałabym kiedyś napisać więcej, ponieważ Narodowe Czytanie to ani początek, ani koniec naszej wspólnej okołoliterackiej przygody.

Wspominałam już wcześniej o panach... Jest wśród nich wieloletni pracownik MBP w Choszcznie, pan Wiesław Kieruzel<sup>87</sup>, do którego rzadko zwracam się inaczej niż *Mistrzu*. Kindersztuba, czar osobisty, poczucie humoru – to wszystko łączy z niepodrabialną osobowością sceniczną. Wcielając się w rolę Żyda w „Kamizelce”, poderwał słuchaczy z miejsc. To niezwykle widok na tego rodzaju imprezach. A do tego w trzy sekundy łapie chemię z młodszymi kolegami. W zeszłym roku był świetnym profesorem Pimką dla Józia w interpretacji Romana Szymańskiego. Interpretacji znakomitej, bardzo *gombrowiczowskiej*. Myślę, że pewne odcienie emocjonalne potrafią oddać tylko ludzie naznaczeni artystycznym piętnem<sup>88</sup>, ale ja uwielbiam też Romana w rolach komediowych. Trochę się bronił przed przyjęciem roli Grabca w „Ballady-

---

84 Obawiam się, że nie tylko choszczeńskie!

85 Lub znakomicie panuje nad tremą.

86 Zachodniopomorski Bibliotekarz Roku 2022. Nasz własny.

87 Jeśli jakkolwiek postać w naszym mieście zasługuje na miano legendy, to jest nią właśnie Mistrz Wiesław.

88 Roman to przede wszystkim znakomity muzyk, kompozytor, autor tekstów i poeta.

nie”, a wypadł znakomicie. Brawurowo i zaskakująco. Pana Szymańskiego też wrzucam do worka z napisem „CDN”, ponieważ przeznaczenie związało nas w niezły tandem twórczy.

Ja w ogóle mam szczęście do czytających płci męskiej, obdarzonych vis comica! Na przykład dwaj panowie, którzy są pod wieloma względami jak ogień i woda. Pomimo różnic, znakomicie się uzupełniają, co zamierzam jeszcze kiedyś wykorzystać. Krzysztof Kozikowski i Michał Tomaszczuk – gdyby żyli bracia Kondratiuk, tym dwóm dostałaby się własna fabuła. Krzysztof to człowiek wielkiej odwagi i pracowitości, obdarzony zaraźliwą energią. Bez mrugnięcia okiem przyjął rolę Wołodyjowskiego, co wymaga przecież hartu ducha. Był panem Michałem po swojemu, nie próbował ani naśladować Łomnickiego, ani z nim konkurować. Co do Michała, to wystarczy, że pojawi się na scenie. Im krótsza kwestia, tym więcej treści potrafi w niej *upchnąć*. Nie wiem dlaczego<sup>89</sup>, specjalizuje się w rolach znudzonych mężów. Takich, którzy na tyradę żony odpowiadają jednym słowem lub wzruszeniem ramion.

Michałowi zawdzięczamy też jedno z objawień ostatniego Narodowego Czytania. Jego syn Filip genialnie sprawdził się w roli Zbyszka z „Moralności pani Dulskiej”. W ogóle cieszy mnie obecność młodzieży. Zasilają nasze szeregi choszczeńscy harcerze pod wodzą Doroty Białach. Dorota, sama obdarzona cudownym głosem<sup>90</sup>, nie zaniedbuje artystycznego rozwoju swoich podopiecznych<sup>91</sup>, o czym być może jeszcze napiszę. Od lat, zawsze ze świetnym efektem, wspomaga nas Lilla Rybka, nauczycielka Zespołu Szkół nr 2 w Choszcznie, odpowiedzialna za wychowanie kilku pokoleń znakomitych recytatorów i lektorów. Tak sobie myślę, że na tym również polega urok naszych wrześnieowych imprez. Młode, jasne głosy mieszają się z głosami, którym życiowe doświadczenia nadały pewną surowość i głębię.

---

## Po czwarte, daj się poruszyć

---

Nie będę udawać, że wszystkie interpretacje, które słyszeliśmy w czasie ostatnich pięciu lat choszczeńskiego Narodowego Czytania to wybitne kreacje aktorskie. Mogę stwierdzić jedynie, że poziom rośnie, głównie dzięki zaangażowaniu uczestników, którzy coraz chętniej korzystają z organizowanych

---

<sup>89</sup> To małe miasto, znam jego cudowną żonę!

<sup>90</sup> Kolejny talent wokalny w naszym gronie.

<sup>91</sup> Przyznam, że te dzieciaki są jedną z piękniejszych niespodzianek mojego życia zawodowego!

w Klubie 12. BZ w Choszczynie oraz w MBP w Choszczynie konsultacji. Przycho-  
dzą, by porozmawiać o swojej interpretacji, spotkać się z pozostałymi  
uczestnikami, podzielić pomysłami.

Wśród rosnącej liczby naprawdę mocnych występów – niektóre wspo-  
mniałam powyżej – są takie, które sprawiły, że na chwilę zapomniałam, że to ja  
opracowałam *ten* fragment, wybrałam *tę* osobę do *tej* roli. To momenty, w któ-  
rych liczy się tylko literatura. Słowa przeczytane tak, że uruchamiają coś, co do  
tej pory drzemało ukryte w tekście. Czytający staje się wtedy medium między  
nami, zasłuchanymi, a autorem piszącym swoje dzieło kilkadziesiąt lub kilka-  
set lat temu.

Ten dreszcz, który wędruje w górę kręgosłupem, dziwne spowolnienie cza-  
su, poczucie, że się znalazło w innym wymiarze... Spotkało mnie to kilka razy.  
Pierwszy raz, gdy czytaliśmy „Wesele” w 2017 roku, a w rolę Widma wcielił  
się Artur Szuba. Bardzo już wtedy chory <sup>92</sup>, przeczytał swoją partię tak, że na  
chwilę zapomniałam, że otaczają mnie dziesiątki osób. Znikła znana od dzie-  
ciństwa sceneria uroczego skwerku przed biblioteką. Przez chwilę patrzyłam  
w otchłań, a ona patrzyła we mnie. Kilka lat później mama Artura, pani Ewa  
Jabłońska, doprowadziła mnie do łez, czytając pożegnanie Goplany z „Balla-  
dyny”. Każde załamanie jej głosu wyrażało rozpacz tak głęboką i trwałą, że nie  
można jej oddać ani w krzyku, ani w płaczu. Nie mogę o tym napisać nic więcej,  
bo było to bardzo osobiste przeżycie.

Najcudowniejsze chwile przeżywam wtedy, gdy znane mi od lat osoby roz-  
pływają się w swoich rolach, giną mi z oczu. Gdy zamiast Romka Szymańskiego  
widzę Grabca, a Aśka Konopacka zamienia się w Jennefer. Gdy Basia Laszko  
czyta rolę Jagny Borynowej tak, że zupełnie zmienia nasze spojrzenie na *tę*  
postać. Gdy Agnieszka Leciejewska, energiczna, kochająca ludzi pani dietetyk,  
staje się zniedołężniałą staruszką, nieszczęsną matką Aliny i Balladyny, a jej  
interpretacja, znakomita technicznie, każe przeczuwać tajemnice i lęki skry-  
wane przez *tę* niezwykle otwartą, pogodną osobę. Podobnie zaskoczyła mnie  
Iza Szczyż, moja koleżanka po fachu. Od dawna lubię jej głos oraz szlachetny  
i elegancki – jak sama Iza – sposób interpretacji. Czytając rolę Harey, boha-  
terki Solaris, miała niełatwe zadanie. Zestawiłam ją ze znakomitym Piotrem  
Figasem, człowiekiem, który mnie jednocześnie fascynuje i przeraża <sup>93</sup>, a Iza –

---

<sup>92</sup> Odszedł od nas na zawsze kilka miesięcy później, w maju 2018 roku.

<sup>93</sup> Ludzie prawdziwie utalentowani strasznie mnie onieśmiewają. A Piotr to niezwykły talent poetycki. Wie o języku coś, czego ja nawet nie przeczuwam. Po każdym spotkaniu z nim mam ochotę odebrać mój dyplom, ale na co on mojej Alma Mater...



jak zwykle skromna i skupiona na powierzonym zadaniu – nie ustąpiła mu pola. Przeczytała swój fragment tak, że na moment w mojej głowie pojawił się obraz ognia trawiącego grubą warstwę lodu.

Te chwile są tak intensywne, ponieważ uświadamiają mi, po co to wszystko robimy. Naszym zadaniem nie jest odświeżenie klasyki, zapewnienie słuchaczom rozrywki, promocja czytelnictwa. To wszystko dzieje się przy okazji. Tak naprawdę odkrywamy, czym literatura była, czym jest i czym może być dla ludzi. Wydobywamy emocje, które przywalił głaz z napisem „klasyka”. I to by było na tyle... A, nie, chwileczkę. Mam dla Was ostatnią radę:

---

**Po piąte, baw się dobrze!**

---

*Andrzej Maria Dzierżanowski*

---

## **ZDARZENIA TRUDNE DO WYTŁUMACZENIA**

---

Kilka razy w życiu objawiły mi się... właśnie, jak mam nazwać to, co mi się objawiło? Istoty, które się pojawiły nie przypominały żadnej z boskich postaci i różniły się między sobą. Jednak za każdym razem doznawałem uczucia obcowania z jakąś wyższą siłą, uczucia trwogi i zachwytu zarazem. Było ono tak silne, że je pamiętam do dzisiaj.

Pierwsze zdarzyło się w Krakowie, w czasie wojny, po którejś z okupacyjnych wigilii. Siedzieliśmy razem przy rodzinnym stole, ale bez dziadków, bo oboje poumierali, bez wuja, bo przebywał w oflagu, byliśmy oddzieleni roletą zaciemnienia z czarnego papieru od ulicy, na której panowała godzina policyjna i gdzie chodziły tylko patrole niemieckich żandarmów.

Miałem wówczas trzynaście lat, byłem mimo bierzmowania niedowiarkiem i małym racjonalistą. Kiedy mama powiedziała, żebym zapamiętał sen z tej nocy, bo może być ważny, nie uwierzyłem. Ale i tak sen przyszedł, i to jaki!

Przyśnił mi się stary, spracowany koń dorożkarski. Stał jak zwykle na ulicy i czekał cierpliwie jak zawsze. Padał na niego śnieg, a wiatr podwiewał wytartą derkę na jego grzbiecie. Ja w tym śnie byłem taki, jak na jawie: niefrasobliwym łobuziakiem i żartownisiem mimo wszystko. Udając znawcę podszedłem do konia, aby go protekcyjnie poklepać po pysku, a może strząsnąć śnieg z jego grzywy. Wtedy koń zwrócił do mnie łeb i popatrzył mi prosto w oczy. W tej sekundzie pojąłem, że łączy nas obopólne zrozumienie, ale on jest o wiele lepszy i mądrzejszy ode mnie. Pojąłem, że to nie koń, ale jakaś wyższa istota komunikuje mi swoje myśli.

Zawstydziłem się. Moja ręka opadła. Powinienem być raczej paść na kolana przed tym niezwykłym zwierzęciem, tak, jak to uczynił jeden z rosyjskich pisarzy, ale nie zrobiłem nic. Ono tymczasem przekazało mi swoim mądrym i smutnym spojrzeniem prawdę o jego i moim życiu.

Znaleźliśmy się w złych czasach, teraz i w przyszłości czeka nas tylko długa harówka urozmaicona uderzeniami bata, a dni słonecznych będzie zawsze za mało.

Potem, kiedy uznałem, że przepowiednia konia na co dzień się sprawdziła, zacząłem przypuszczać, że mógł on być którymś z pomniejszych bóstw słowiańskich. Nazwałem go Prawierz (od prawi wiernie, czyli mówi prawdę, albo że prawie mu wierzę). Ot, taki skromny, wymyślony bóg prawdy.

Ponieważ jednak nadal pozostałem niedowiarkiem i racjonalistą, zacząłem szukać przyczyny, czemu właśnie to koń przemówił.

Otóż w owym czasie sympatyzowałem z równolatką o imieniu Maja, panienką lubiącą sport, a już najbardziej kochającą konie. Bywając na wsi podczas wakacji miała z nimi do czynienia. Twierdziła, że umie jeździć konno i powozić. Gdy w lecie zostawaliśmy w mieście, terenem naszych zabaw był często prywatny, zapuszczony ogród na tyłach jednej z okolicznych kamienic. Tam, wśród drzewek i krzaków biegaliśmy ścieżkami, bawiąc się jak dzieci... w co? W konie, oczywiście. Do tej zabawy potrzebny był tylko sznurek, który zakładało się na kark, a dwa końce wyprowadzone pod pachami służyły za lejce. Jedna osoba powoziła, druga służyła za konia. Zabawa była świetna, choć nie pasowała do naszych poważnych trzynastu lat.

Podczas takich igraszek zdarzył się fakt też trudny do wyjaśnienia; mianowicie przy zmianie „uprzęży” raptem doznałem miłego i słodkiego uczucia przyjemności. Z początku nie wiedziałem skąd się wzięło, lecz szybko się domyśliłem, że powodem było przypadkowe dotknięcie moją dłonią piersi dziewczyny.

To zdarzenie zabiło mi tęgiego ćwieka. Moja ręka nie wiedziała czego dotyka i nie mogła wywołać w mojej świadomości tego uczucia. Moja świadomość też o tym nie wiedziała. Skąd więc się wzięło to uczucie w mojej głowie?

Długo potem analizowałem różne możliwości. Odrzuciłem instynkt, przypadek i podświadome przypomnienie piersi matki. Pozostało ostatnie przypuszczenie: to było uczucie nie moje, tylko Mai, które w jakiś sposób odebrałem. Wiedziałem już wówczas, że mózgi ludzkie wytwarzają fale elektromagnetyczne. Skoro wytwarzają, mogą też odbierać – kombinowałem. Byłem dosyć przemądrzałym dzieckiem, co przypisuję długiemu buszowaniu wśród dzieł naukowych wypożyczalni książek należącej do ciotki Anielki, a mieszczącej się przy ulicy św. Jana.

Koń więc miał prawo pojawić się w moich snach, będąc symbolem czegoś nieznanego, przyjaznego, ale i przejmującego. Sen zwykle wszystko wyolbrzymia.

Inne zdarzenie, które też wspominam, zaistniało na jawie, w słoneczny dzień letni, a było to w Szczecinie.

Wskoczyłem do tramwaju nr 3, który z Arkońskiej wiółk się na Niebuszewo i stałem na ostatnim, otwartym pomoście. Miałem dwadzieścia lat, za rok spodziewałem się dostać dyplom. Myślałem o przyszłości. Czy się ożenię? Nagle poczułem, że wiem. Odpowiedzią było przekonanie: tak, będzie to małżeństwo długie i szczęśliwe.

Rozejrzałem się wokół. Byłem sam, tramwaj kołysał, przejeżdżając wzdłuż starego, poniemieckiego cmentarza. Następnym, myślowym pytaniem było: z kim? Odpowiedź przyszła natychmiast: znasz ją, ale nie pamiętasz. Co za Pytia mi to mówi – pomyślałem prywatnie, a oficjalnie natężyłem wszystkie myśli i skupiłem je na jednym życzeniu: – powiedz, jak ma na imię! Odpowiedzi nie było. Odczułem niezdecydowanie tej istoty, która ze mną nawiązała łączność. Tramwaj mijał zajezdnię. – Powiedz choć pierwszą literę – błagałem. Tłum ludzi, którzy wyszli z kina Polonia czekał na przystanku. – I... albo J... – coś bąknęło w mojej głowie. Tramwaj się zatrzymał, ludzie zaczęli się wpychać. Łączność się skończyła.

Potem analizowałem całe to zdarzenie. Przytoczę tylko wnioski końcowe: żadna z dziewczyn, które znam nie będzie moją wybranką, bo je pamiętam. Wróżba więc nic mi nie daje. Zbagatelizowałem ją.

Cztery lata później prowadziłem do ślubu Jadwigę, którą rzeczywiście poznałem jeszcze w harcerstwie, ale tego nie pamiętałem. Parę lat później żona mi powiedziała, że naprawdę ma na imię Irena, a Jadwiga to pseudonim

wojenny. Druga część wróżby też się spełniła, żyliśmy razem szczęśliwie 64 lata, lubiąc nawzajem swoje towarzystwo.

Jak mam te zbiegi okoliczności wyjaśnić? Sam nie. Mogę się tylko domyślać, że tu wróżką była kobieta, może była to prastowiańska bogini Łada, opiekunka małżeństw, kobiet (szczególnie w ciąży) i w ogóle wszystkiego, co ładne.

W następnym roku po naszym ślubie znów zdarzył mi się pewnej nocy niezwykły sen:

Noc w lesie. Mokre mchy błyszczą w dziwnym, ciemnym świetle. Jest ciepło i cicho. Małe krople spadają na paprocie z bujnej, splątanej wyżej zieleni. Przyjemnie mi iść tak nocą przez ten las. Cisza i wilgoć otulają, oddzielają od świata. Księżyc nie widać, może gdzieś jednak świeci, bo można dostrzec paprocie, liście bluszczu, na nich kropelki.

Dobrze iść tak nocą przez grecki las. Skąd wiem, że grecki? Bo to las prastary, antyczny, jakiego dziś nie ma.

Czuję się silny, jestem sprawny. Pewnym krokiem depczę miękkie poszycie. Myślę o bajdach, które słyszałem od tutejszych, prostych ludzi. Powtarzali, że w lesie, w samej głębi, są dwie kamienne twarze i żebym dalej nie szedł, bo one strzegą „Tego”, którego imienia nie wolno wymówić, a który tam jest, w największym gąszczu.

Ja, w swoim śnie, (jak w życiu) byłem pewny, że „Ten” jest zabobonem. Zacząłem pogwizdywać, aby dowieść swej (wątpliwej) odwagi. Przeskakuję jakiś dół, mokre mchy uginają się pod stopami. Wychodzę na starą, zarosniętą zupełnie drogę, która na prawo schodzi w dolinę, w kierunku osad ludzkich. A na lewo – na lewo, co to?

W zbitej, czarnej gęstwinie mającą dwie wielkie rzeźby kamienne. Są to twarze pokryte porostami, szerniałe od ściekającej wody, o rysach już nie do odgadnięcia. A na mój gwizd odpowiada z gęstwiny głos – nie głos, charkot – kwik przerażający. Ogarnia mnie strach – więc „Ten” jednak jest... niemożliwe, przecież to zabobon – ale trwoga dławi mi oddech. Rozglądam się i widzę, że kamienne twarze uśmiechają się w ciemności.

Przechodzi mnie zimny dreszcz. Z gęstwiny na drogę przedziera się coś, słyszczą trzask łamanych gałęzi. Włosy stają mi na głowie. Na drogę wypada „Ten”, wygląda jak szaro-zielony dzik na dwóch ludzkich nogach. Bucha od niego zwierzęcy smród, ale nie jest to zwierzę, na pewno. Jakiś bóg antyczny, pan zwierząt w półludzkiej postaci, patrzy na mnie wzrokiem pełnego furii dzika.

Chcę uciekać, ale nie mogę zrobić ani kroku. A „Ten” patrzy na mnie i urąga mi okropnym, kwiczącym rechotem. Zrozumiałem, że ta istota pojęta mój gwizd jako wyzwanie – i wyszła mi naprzeciw, chcąc pokazać swą moc w odwiecznych zmaganiach półboga z ludzkimi bohaterami. A teraz, widząc moje obezwładniające przerażenie po prostu śmieje się ze mnie. Ja nie byłem bohaterem. Myślałem, że umieram. Obudziłem się zły zimnym potem. Wtedy tłumaczyłem ten sen moimi obawami związanymi z pierwszym i jedynym porodem mojej żony.

Żona pracowała w szpitalu i omawialiśmy wszystkie, najgorsze przypadki, które się tam zdarzyły na położnictwie. Nie potrafiłem temu zapobiec. Była przekonana, że każdy z tych przypadków może się zdarzyć jej właśnie. Moje racjonalne argumenty nie trafiały. Wiedziała więcej niż ja. Darmo było ją przekonywać, że wszyscy ludzie się dotąd jakoś urodzili.

Pierwsze bóle pojawiły się w środku nocy. Potem wszystko potoczyło się według jej, a nie moich, przewidywań. Szpital, gdzie pracowała, nie miał tej nocy dyżuru. Musiałem ją odwiedzić do innego, jak się okazało, wojskowego. – Wracaj do domu, nie masz tu nic do roboty – powiedziała, a ja jej uwierzyłem.

Poród był dramatyczny. Lekarze gromadzili się przy żonach kolegów lub przy tych położnicach, które najgłośniej krzyczały. Ona nie krzyczała. Po czterech godzinach nieopisanych bólów straciła siły. Dopiero wtedy ktoś się zorientował, że to trwa za długo. Pomogli po wojskowemu: siłą rąk. Dziecko trzeba było reanimować.

A ja – cóż... Rano zadzwoniłem do szpitala z pracy i dowiedziałem się, że mam córkę.

Dziś wiem, że moim psim obowiązkiem było – być przy niej, choćby w pobliżu, choć, by pytać co godzinę o stan jej zdrowia.

Dziś pocieszam się bajeczką, że wszyscy bogowie greccy i rzymscy wybrali najgorszego Tego, który nie miał nawet imienia (może Minosus?) i wystali, aby mnie ostrzegł przed popełnieniem świństwa. Niestety je popełniłem.

A tak naprawdę, powodu i znaczenia tego snu nie potrafię do dziś wytłumaczyć. Może przyszłość coś pokaże? Poczekajmy.

## PRZYPISEK

Poczekalem. Po roku widzę, że nawiązywanie do bogów prastawiańskich czy greckich było nietrafne, a jako dowcip – niezauważalne. Obecnie myślę, że

pojawianie się istot zwierzęco-ludzkich w moich snach należałoby tłumaczyć, sięgając o wiele dalej w przeszłość, do czasów, kiedy człowiek jaskiniowy czcił zwierzęta jako bóstwa pozwalające mu żyć, dające się upolować. Coś z tego zostało w instynktach, w podświadomości. Zresztą nie należy z żadnych bogów żartować.

Inne opisywane fakty i zdarzenia są zgodne z tym, jak je wówczas widziałem, choć niektóre ich tłumaczenia mogą być prostsze. Na przykład wtedy na pomoście tramwaju nr 3 nawiązałem kontakt z moją przyszłą żoną, która mogła jechać w tym samym tramwaju i zauważyła mnie, kiedy wskakiwałem na zakręcie. Dotychczas uważam, że przekazywanie na niewielką odległość uczuć, szczególnie romansowych, jest na ogół możliwe. Nieliczne jednostki mają zdolność przekazywania także pojęć i nawet słów.

## **Elżbieta Jusiewicz**

*Żyjący wciąż zajęci są  
żegnaniem odchodzących dni,  
które przypominają naświetlony,  
lecz nigdy nie wywołany film.*

*/fragm. „Requiem dla żyjących”, A. Zagajewski/*

---

## **Fotoplastykon**

---

Było duszne popołudnie, słońce zaślonyły ciężkie chmury. Komary czuły, że nadchodzi czas żeru. Przestałam grabić wąską ścieżkę między grobami rodziców. Nie myślałam o nich, uwierała mnie przyklejona do ciała bielizna, jedyna moja myśl – zdążyć przed ulewą i kąsającymi chmarami owadów.

– Dzień dobry.

Obok mnie stał pan Zieliński.

– Boże, jak się cieszę, że pana widzę! Pamięta pan jeszcze o moim tacie?

– Tak, na tym świecie zostałem sam. Nie zapomnę Edy nigdy, gdyby nie on, nie stawiałbym się na pobór do wojska w marcu czterdziestego piątego roku. Bałem się, żal mi było młodości. Poznaniaków tak trudno przekonać do Rosjan, wojny... Zresztą bez uporu twojego taty nie doszedłbym do Szczecina.

Zapalił czerwony, mały znicz, a ja liczyłam, ile może mieć lat? Gdy wybuchła wojna, mieli piętnaście, szesnaście lat.

– Ela, co ci będę tłumaczył, dobrze wiesz, jaki Eda był, gdy coś postanowił, czegoś się podjął, to przetrzymałby wszystko. Nie znał kolorów pośrednich. Niczego nie było pomiędzy. Wszystko było dobre albo złe, białe lub czarne, uczciwe lub nie. – zamyślił się. Nagle powiedział :

– Gdy stopy sptywają krwią i chcesz już przestać cokolwiek czuć, wtedy dowiesz się, co jest ważne... tak właśnie wtedy, gdy kolega przewinie onuce, a jego ramię czujesz za każdym razem, gdy masz ochotę usiąść i nigdy nie powstać. Stare czasy.

Jako dziecko nie słuchałam ich rozmów. W latach pięćdziesiątych poprzedniego wieku spotykali się często – moi rodzice, państwo Zielińscy, brat mojej mamy, Jerzy z żoną Stefanią. Nieraz wspominali o tym, jak wcielili ich do 12. Dywizji, która pod koniec wojny formowała się w Poznaniu. W marcu 1945 roku trzech poborowych z małego wielkopolskiego miasteczka, z Pobiedzisk, wyruszyło w nieznaną. Cała trójka pochodziła ze starych rodzin poznańskich bambrów i bardziej bali się Rosjan niż Niemców. Wyruszyli z Poznania, czterodobowy przemarsz do Goleniowa związał ich poza kres życia. Gdy granice Polski przesunięto na zachód od Szczecina, to miasto stało się punktem docelowym. 41 pp. rozlokował się w poniemieckich koszarach przy ulicy Łukasieńskiego. W 1948 roku, gdy zwolnili ich do cywila, szeregowi: Eda, Jurek i Stachu postanowili, że jeszcze trochę tu zostaną. Dostali przydziały na mieszkania, potrzebny był chleb, więc oddelegowano ich do pracy w wojskowej piekarni przy ul. Narutowicza, pracowała całą dobę. Co mieli zrobić? Wróćą potem i odbiorą losowi ukradzione dzieciństwo, młodość.

– Wiesz, twoją mamę też pamiętam. Tereska w Gnieźnie zrobiła maturę i przyjechała do brata, do Jurka, zobaczyć, jak tu jest. Ależ ona była ładna! Eda, gdy ją spotkał, zapłonął do niej taką wielką miłością, że została w 1950 roku jego żoną. Stąd Danka i ty na świecie.

Nagle wiatr przegonił ciężkie chmury, niebo otworzyło się, usiedliśmy na małej ławeczce ustawionej przy grobach moich rodziców i siostry. Milczeliśmy oboje i tak, jak szybko otworzyło się ciężkie niebo, tak samo nagle stanęli przy

mnie ci, których kochałam. Było tak, jakby odemknęli zamknięte już kiedyś drzwi i niespiesznie, cichutko weszli do opuszczonego przed laty pokoju. Znowu poczułam ich bliskość, byli od zawsze częścią mnie, jestem tu, bo oni tu byli.

Dla mnie wszystko zaczęło się w latach 50. XX w. i wtedy byłam pewna, że Szczecin, to miasto, te ulice były „nasze” od zawsze. Byłam dzieckiem, mówiłam po polsku i nie wiedziałam, że wszyscy dorośli tu mieszkający to przyjezdni.

Mój wszechświat tworzył kwartał domów zamknięty ulicami: Al. Wojska Polskiego, Placem Zgody, Królowej Jadwigi i Małkowskiego, ale epicentrum świata było pod numerem 6 przy ulicy Bohaterów Getta Warszawskiego. Nie znałam innych miejsc, urodziłam się w tym mieście w Miejskim Szpitalu na Gołębiniu. Mieszkaliśmy w dużej kamienicy i choć była oficyna, to z okien widziałam skrzyżowanie ulic i pusty plac po zburzonych w czasie wojny domach.

W powolnym świecie lat 50. na chodnikach z rzadka mijali się przechodnie, a na jezdni, jak wspominał mój kolega z dzieciństwa, „można się było opalać”. Ulice, jak głębokie wąwozy z kamieni, tynku, cegieł – były jak labirynt. Przysadziste, zbyt ociężałe, trzypiętrowe budynki były szare, poobijane, jak powojenni ludzie, ale wtedy wydawały mi się takimi, jak powinny być – były jedynymi, jakie znałam. Chodniki ułożone z dużych, granitowych prostokątów, po deszczu nabierały różowawego, pałacowego odcienia, błyszcząły jak marmury. W głębokich, kamiennych kanionach ulic mieliśmy też swoją oazę – podwórko, na którym rosły dwa kasztanowce, korony olbrzymów sięgały poza strychy. Wiosną, gdy się zazieleniły, w maju, gdy zakwitły, przykrywały szarość i wtedy wszystko wydawało mi się niezniszczalne i tak trwałe, jak jeszcze wtedy wydawało mi się życie.

Budynki były okaleczone wojennymi nalotami aliantów. Okna na klatkach schodowych prawie nigdy się nie zamykały. Pod wpływem wiatru i przeciągów okiennice z trzaskiem obijały się o mur i powybijanymi szybami dawały świadectwo swojej nieprzydatności. Wiosną, latem, jesienią do środka wpadał deszcz, a zimą na podłodze pod parapetami usypywały się małe zakola śniegu, ale dlaczego miałyby to nam, dzieciom przeszkadzać? Otwarte okna to były nasze linie komunikacji, ciągle słyszeliśmy:

– Wyjdiesz? No, schodź! Pójdiesz ze mną po..., do...?

Dorośli ze zniszczonymi i otwierającymi się oknami toczyli mozolną, syzyfową walkę, dociskali framugi, wbijali gwoździe, wszystko na krótko. Toalety były na półpiętrach – jedna na pięć mieszkań. „Nasza” na drugim piętrze, była czysta i wyposażona w pocięte kwadraty z „Kuriera Szczecińskiego”. Lokatorzy



drugiego piętra posiadali do niej klucz, a kobiety ustalały tygodniowy grafik sprzątnia.

Drewniana podłoga klatek schodowych wydawała swój radosny jęk, kiedy stare i powyginane deski schodów ugiwały się pod naszymi stopami, gdy nieustannie wbiegaliśmy do domu, zbiegaliśmy na podwórkę, jak nakręcane na kluczyk mechaniczne zabawki: góra dół, dół góra. Ledwie wpadliśmy do domu, a już z podwórka, z okien rozlegało się wołanie:

– Elka, Miśka, Kićka, Jolka, Danka, Tomas, Lolas, Reńka.

Nikt nie zdrabniał naszych imion, wymawiane twardo, bez czułości, były tajnym kodem dzieciaków spod numeru 6. Również dorośli nie mówili sobie po imieniu, byłoby to zbyt intymne, świadczyłoby o zażyłości, na którą „tymczasowi” sobie nie pozwalali i choć pomagali sobie przetrwać, zwracali się do siebie po nazwisku, była więc pani Stachowiakowa, pani Guszowa, pani Furmaniakowa...

Nas nie obowiązywały żadne konwenanse, więc do utraty tchu bawiliśmy się wspólnie w zbijanego, w palanta, w dwa ognie, w chowanego lub w podchody. Dziewczynki, aby było ładniej, sadziły kwiatki w ogródkach zakładanych na kamiennym podwórku. Chwasty, polne rośliny, pełniące rolę kwietnego dywanu, po godzinie wędły między zimnymi brukami. Nie poddawały się, organizowały zabawę w sklep, w którym kupowało się towary – kolorowe kamyczki, szkiełka, piaskową mąkę, kawałki pobitej porcelany – były bezcennymi produktami do momentu, gdy chłopaki zapragnęli dziewczyńskiego towarzystwa i jednym kopnięciem mieszały towar ze sklepowych półek – zielone, brązowe, żółte szkiełka mieszały się z czerwono-pomarańczowym, ceglany proszkiem i traciły swój tęczyowy blask.

Mieszkania były równie szarawe jak okolica, ale nikt w świecie lat pięćdziesiątych nie upatrywał w tym brzydoty. Wiosną cieszyła drobna trawa wyrastająca między brukami, mleczki, dzikie rumianki rosnące na wolnym placu po zburzonych kamienicach przy ul. Królowej Jadwigi. Kobiety ciągle prały i wywieszały na słońcu prześcieradła, firany, poszewki, obrusy – rozświetlały szarość i były jak zwycięskie chorągwie „armii” osadników. Wszystko było bajeczne. Wszyscy kręcili się wokół spraw, które umożliwiałyby przetrwanie w nowej, jakże innej rzeczywistości.

Zapomniałam, że siedzę z panem Zielińskim. Jego cichy głos wywołał mnie z przeszłości:

– Ela, czy wiesz, że mogliśmy się tu nigdy nie spotkać? Wystano nas, żołnierzy 41. Pułku Piechoty, w 1947 roku w Bieszczady, na bandy UPA. Weszliśmy w skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Wiśła”. Zabijania na wojnie nigdy nie pojmę. Gdy to zrobiłem pierwszy raz i wystrzelałem magazynek karabinu do człowieka, gdy zobaczyłem jak powoli osuwa się na ziemię, sparaliżowało mnie przerażenie... Stałem jak słup, a kule tylko śmigały. Twój ojciec wyskoczył po mnie, powalił mnie na ziemię... Uratował mnie... Jak mógłbym zapomnieć? Te wszystkie lata do teraz „dostałem” od Edka. Tak, Ela, a pamiętasz dawne czasy? Jakże były inne. Minęły, a nas tylko wiatr zapamięta.

– Panie Stanisławie, tata na temat wydarzeń w Bieszczadach nigdy nie rozmawiał.

Nie wiem, co się tam wydarzyło, tata starał się chronić nas, swoje dzieci, przed złem, pewnie wiedziała o szczegółach mama, ale nam, swoim dzieciom, nie opowiadali, ani o wojnie, ani o ciężkich rządach „budowniczych socjalizmu”. Wiem tylko, że dziewiętnastu żołnierzy z 12. dywizji straciło życie w tym piekielnym kotle nienawiści – jak to możliwe, dwa lata od zakończenia wojny... a jednak.

Zanurziliśmy się w ciszy cmentarza, w swoich myślach, on w swoim świecie, ja w swoim. Byłam znowu dzieckiem. Wszystko wróciło. Byłam w naszej oficynie, w której na każdym piętrze były cztery dwupokojowe mieszkania. Nasi ojcowie, aby przypodobać się żonom, przecież ciągle chciały wracać w swoje strony, oswajali rzeczywistość. Zdobywali farbę, pożyczali sobie, jedyną pod „szóstką”, drabinę, szerokie pędzle ławkowce i bez zapatu zrywali wyblakłe, „jeszcze z wojny” tapety ze srebrnymi wzorkami. Przemalowywali nierówne ściany na wszelkie odcienie żółci i zieleni.

W każdej kuchni żeliwny, ciężki zlew z płatami łuszczącej się, olejnej farby. Nad kuchennym piecem pod sufitem otwór – duży, wielkości kartki A4 – prostokątny, czarny wylot do komina. Byłam pewna, że tkwiło w nim coś, co żyło swoim drugim, ukrytym, tajnym życiem, coś dybało na nas, podglądało, czekało – czekaniu nie miało być końca – może był to poprzedni niemiecki lokator? Dana, moja starsza siostra, podsycala mój strach, chociaż też chyba przerażała ją to dodatkowe, żywe falującymi włosami z sadzy, wejście do nas, bo ilekroć weszła do kuchni, szybko sięgała do metalowego drążka, by kłapa opadła. Pozbawiała czeluść swoich mocy.

Nasze tętniące życiem podwórko z trzech stron tworzyły oficyna i frontowy budynek. Wszystko wokół było pozbawione starania. Tymczasowość pobytu

nie wymuszała na mieszkańcach dbałości o otoczenie, przecież mieli wrócić w swoje strony już pojutrze, za tydzień, za miesiąc, a może za rok?

My, dzieci zaludnialiśmy, barwiłyśmy przestrzeń naszymi, czystymi ubraniami, czystymi myślami, wesołym śmiechem i beztroską. Nie przeszkadzały nam nieudane próby sprzątnięcia podwórka i szorowania podłóg klatek schodowych, ani plamy brudnej cieczy w bramach, gdy sprzątaczką wylała śmierdzącą, białawo-sinawą mieszankę chloru i wapna. Bramy miały też swoją tajemnicę – zejścia do piwnic, mroczne, groźne i równie przerażające, jak wylot do komina w naszej kuchni. My, „ci spod szóstki”, nadęci udawaną odwagą zapuszczaliśmy się do nich i po omacku, na bezdechu przebiegaliśmy nimi na tyły budynku. W zwiększonym składzie osobowym badaliśmy ciemne zakamarki, marząc o znalezieniu ukrytego przez Niemców skarbu. Naszą ceglano-kamienną oazę zamykał pusty plac wychodzący na dwie krzyżujące się ulice – Bohaterów Getta i Królowej Jadwigi. Stał tam od 1958 roku kiosk RUCH-u, który uważany był za nieodłączną część podwórka. Prowadziły go dwie, drobne kobiety z Warszawy – panie Kamińskie – uczestniczki Powstania Warszawskiego (dowiedziałam się o tym dopiero po śmierci jednej z pań – Maryni). Przeprowadzały na nasze podwórko małego chłopca. Uważaliśmy ich za „naszych”. Od godziny 6 rano do późnego wieczora sprzedawały bilety tramwajowe, gazety, papierosy, jakieś śmieszne, aczkolwiek niezbędne drobiazgi, spieszącym do pracy naszym ojcom i matkom, często też prolongowały zapłatę za towar do czasu kolejnej wypłaty.

Na następnym rogu, który wieńczył okazały budynek, był damsko-męski fryzjer. Wewnątrz na błyszczącym, brązowym linoleum stały skórzane, czarne fotele, duże suszarki na kółkach. Zakład wyglądał jak laboratorium. Wszystkie metalowe pojemniki, pudełeczka, obicia foteli, suszarki, zapinki, flakony przypominały muzealne eksponaty. Naprzeciwko fryzjera w kamienicy narożnej był sklep spożywczy WSS „Społem” i prywatna piekarnia pana Barana. Pachniało z niej chlebem i bułkami, drożdżówkami, pączkami, rogalami, chyba niezbyt dobrymi, bo mój ojciec, były żołnierz z „przydziału”, a teraz z „przydziału” piekarz, zawsze krytykował ich smak. Na początku naszej ulicy był jeszcze rzeźnik, sklep rybny, a naprzeciwko mojej bramy prywatny warzywniak pana Guzickiego. Dalej w innym już kwartale, którego główną ulicą była Aleja Wojska Polskiego, była nasza parafia – kościół, w którym ślub w 1950 roku brali moi rodzice (pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa), kino „Pionier” (dzisiaj najstarsze, zachowane kino w Europie), ciągi sklepików w niskich,

jednopiętrowych kamienicach, a nawet pozostawiony przez Niemców fotoplastykon. Było wszystko, nie rozumiałam więc, gdy mama pytała:

– Edek, kiedy wracamy?

– Tereska, niedługo, bądź cierpliwa. Czy myślisz, że mnie nie boli, gdy kładę się spać do niemieckiego łóżka. Ciągłe czuję, jakbym coś ukradł.

Dzisiaj mam wrażenie, że tamten czas i zdarzenia miały wolniej, jakby były to kolejne klatki na kliszy w fotoplastykonie – mijające z prędkością pożądaną i ustawianą dowolnie ebonitowym pokrętkiem umieszczonym pod okularzem, z ciągłą powtarzalnością w tajemniczym przyciemnieniu, w którym światła z maszyny rozgrzewały i ożywiały drgające w powietrzu pyłki, czyniąc wszystko jeszcze bardziej magicznym. To, co moim rodzicom było trudno znieść, mnie wydawało się równie fantastyczne i czarowne, jak obrazy nieznanych krain w okularze fotoplastykonu. Wszystkim szczegółom można się było przyglądać do woli i tak długo, aż do momentu, gdy nie zmieniło się samemu na kolejny obraz. Każdego dnia, o świcie nasi rodzice wychodzili do pracy, a dla nas, dzieci nastawał kolejny dzień i znowu po nocy taki sam kolejny, ci sami sąsiedzi, to samo podwórko i ulice. Rzeczywistość dnia tworzyliśmy sami. Powtarzalność tych samych scen dawała pewność, potwierdzała trwałość i dawała bezpieczeństwo, mieliśmy swój status – status tych spod szóstki, byliśmy nietykalni.

Kamienice przy ul. Bohaterów Getta Warszawskiego (zdz. Ela Pokidańska)



Obrazy codzienności jak malarstwo mistrzów w pustych salach wystawowych. Kolejne, powtarzające się kadry z kliszy w „naszym” fotoplastykonie.

Matki wysyłały nas po zakupy – bułki, masło i mleko do mleczarni, ojcowie do kiosku po żyletki i papierosy, nikt się o nas nie martwił, bo na wyludnionych dwóch ulicach, tworzących nasz mały kosmos, było bezpiecznie, swojsko. Latem nagrzane do granic możliwości chodniki, bruki i szare domy, w pulsującym ciepłotą i kurzem powietrzu, wydawały się makieta. Zima przysypywała ją białym puchem, a my dzieciaki, małe ludziki zapełniliśmy tę pustą, ograniczoną do prostokąta planszę. Wysokie temperatury lata zatrzymywały czas, niemal słychać było jak porusza się powietrze. Gdy padał deszcz, szarość nabierała głębszego odcienia, wszystko lśniło, kapiące z liści kasztanowców krople rozpryskiwały błoto, mokre ubrania i przemoczone buty zapędzały dzieciaki pod dach. Nie chcieliśmy wracać do mieszkań, w których nie było rodziców, a ciężkie, ponemieckie, dębowe meble tłumiły naszą radość nudnym, szarawo-płowym kolorem. Pomalowane przez ojców ściany nie zawsze nabierały pożądanej, żywej barwy żółci, groszku czy brzoskwini, jakby same uważały, że odcienie szarości są dla nich tymi właściwymi. Przenosiliśmy się wtedy na półpiętro klatki schodowej, a ściany aż jęczały od śmiechu, przepychanek. Każdy wynosił jakieś swoje skarby (stare lale, pudełka, szmatki, sznurki, wstążki, stare monety, szklane kulki). Nikt nas nie przeganiał, gdy godzinami bawiliśmy się na schodach lub gdy zwisaliśmy między szczeblami poręczy klatki schodowej, obserwowaliśmy wchodzących do sieni. Pilnowaliśmy naszego terytorium.

Wtedy w latach 50. byliśmy grupą silnie zjednoczoną, odizolowaną od reszty świata – zamknięci w kapsule czasu stanowiliśmy jedno ciało, jeden klan nieczuły na to, co dzieje się wokoło. Wtedy też jeszcze byłam pewna, że Kopliny, Stachowiaki, Gusze, stara Niemka Wassenberg... mieszkali tam od zawsze, a meble w ich mieszkaniach to ich własność. Był koniec lat pięćdziesiątych i mieszkańcy budynków przy ul. Bohaterów Getta 6 zaczęli z pasją pozbywać się niemieckich sprzętów. Niejeden ociążały, rzeźbiony, gdański kredens, dębowe łóże, masywny stół, ozdobna szyfonierka, czy zwalista komoda, dopełniały swojego żywota w piwnicy lub piecu. Żołnierze-osadnicy, tak jak i mój ojciec, postanowili jednak tu pozostać, a skoro tak, to zapragnęli zmiany i pewności. Zaczęli myśleć jak ich dzieci, że to jest ich miejsce. Z zapalem więc oddawali lub wyrzucali stare ponemieckie meble. W niektórych piwnicach, jak w mojej, kredens, zmurszały starowina, posłużył za półki i schowki dla rzeczy ojca, którym matka nie pozwalała przebywać w mieszkaniu, jak: młotki, obcęgi, żabki do rur, dłutka, wędki, kołowrotki, puszki, jakieś inne jeszcze męskie szpargały.

Kredens, pozbawiony honoru stania w pokoju, dalej starał się zachować dumę, łkał w ciemności nad tym, że nawet trwałość dębiny i solidność wykonania nie ustrzegły go od piwnicznej poniewierki. Gdy w latach osiemdziesiątych wyprowadzaliśmy się do betonowej, niby „krainy szczęśliwości z wielkiej płyty”, on dalej nieugięcie trwał, zapełniony ponad miarę wekami z kompotami, dżemami, puszkami z gwoździami, nieprzydatnymi kłódkami, starymi kluczami, do których nikt już nie potrafił dopasować zamków, przeszedł w ręce kolejnych lokatorów. Nastąpiła moda przemalowywania ścian w mieszkaniach w kubi-styczne, geometryczne, pstrokate wzory. Do dzisiaj nie wiem, czy był to ukłon w stronę Picassa, który przecież odwiedził Polskę, czy zamknięty w czterech ścianach protest zwykłych ludzi przeciwko socrealizmowi. Pod numerem 6 z otwartych okien płynęła muzyka, słychać było głośne śmiechy dzieci, a wieczorem rozbrzmiewały nawoływania rodziców nakazujące nam powrót do domu – nadchodziło nowe. Dorośli nabierali pewności, że chyba tu zostaną, nie mieli dokąd wracać. W Pobiedziskach też zrobiło się ciasno.

My „dzieciarnia” nie mieliśmy poczucia, że rodzice, wyrzucając stare sprzęty, rozprawiali się z przeszłością niemiecką, czy z ciężkimi czasami sprzed odwilży w 1957 roku. Nikogo to nie obchodziło, nikt pod numerem 6 nie był we władzach czegokolwiek, nie politykowali, nie zapisywali się do PZPR- u. Byli osadnikami, którzy pragnęli jakoś żyć i choć odcięci od swojej przeszłości, chcieli teraz mieć własny kredens, koniecznie na cienkich, spiczastych nogach (z klejonych odpadów drewna z tak zwanej płyty MDF), swój tapczan, mieć pracę, mieć co jeść, wykształcić dzieci... przeczekać, doczekać nowego, lepszego. Wytrwać jak stary kredens z naszej piwnicy – na przekór wszystkiemu i bez względu na miejsce i czas. Byliśmy przecież stworzeni z tak solidnego materiału, jak i on – z dębiny.

W moim domu nowe oznaczało, że dwa szerokie łóżka zamieniliśmy na kana-po-tapczany, rozkładany, niezniszczalny, dębowy stół i krzesła zastąpiliśmy fotelami obitymi skórą i tzw. ławą, przy której, aby zjeść, trzeba było tak mocno przyłożyć tułów do ud, aż czuło się, jak żołądek wciska się w kręgosłup. Można było przy owym stoliku w „japońskim stylu” jadać metodą: „w powietrzu”, czyli talerz w jednej ręce, a łyżka lub widelec w drugiej. Na nóż brakowało trzeciej ręki. Poszłam do szkoły, tata kupił biurko i półki w sklepie z tak zwaną „sztuką ludową” („Cepelia”). W ciasnych mieszkaniach przybywało jakiś drobiazgów, rzeczy osobistych i trzeba to było gdzieś pomieścić. O garderobach, spiżarniach nikt nawet nie marzył. Wszystkie dawne pomieszczenia przerobiono na pokoiki, w miarę jak w mieszkaniach przybywało wujów, ciotek, kuzynów,

którym w centralnej Polsce się nie powiodło i myśleli, że tu będzie łatwiej ukryć się, zacząć nowe życie, no i oczywiście przybywało nas dzieci.

Po 1960 roku nasza ulica zaludniła się. Gdy padał deszcz, płyty chodnikowe nie błyszcząły już jak szlifowany marmur, zimy nie były aż tak mroźne i śnieżne, kasztanowce rosły coraz wolniej, wymieniono okiennice na klatkach schodowych, wyremontowano toalety, wprowadzili się nowi lokatorzy, od strony ulicy Królowej Jadwigi postawiono rusztowania, zaczęła się budowa, przy zejściach do piwnic zainstalowano drzwi i zamknięto je na duże kłódki, ludzie stali się inni. Zaczęła się „epoka wielkich budów i chemii”, „dziesięciolatka” koszul ze stylonu, płaszczy ortalionowych, elastycznych bluzek. Powstawały szkoły tysiąclecia, sklepy samoobsługowe i dom towarowy „Pedet” przy Bramie Portowej w siedzibie dawnego niemieckiego kina „Pallas”. Zaczynał się czas big bitu, rocka, jazzu i „gomułkowskiego socjalizmu”, czas festiwali: Polskiej Piosenki w Opolu, Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, zauważalnych już teraz różnic statusu i posiadania. Tata kupił polski motocykl marki „Junak”. Troje szeregowych rezerwy z 41pp. nie miało już powodów do wyjazdu. Gdzie zabrać dzieci, żony? Pozbyli się niemieckich szaf, talerzy i innych sprzętów, to co już teraz posiadali było ich. Zostali.

Ja rosłam i świat z małej, prostokątnej planszy poszerzył się, zaludnił. Prze stało być tak czarodziejsko, jak w fotoplastykonie. Życie w kamienicach pod numerem 6 biegło już teraz jak w filmie – szybko zmieniające się sceny, których przyspieszenia lub spowolnienia nie można było regulować ebonitowym pokrętkiem przy okularze fotoplastykonu. Szkoły, studia, moi siwiejący rodzice. Potem odeszli tata, siostra, mama. Nigdy nie wrócili w swoje strony, a ja dalej jestem w Szczecinie. Nie zostawię ich tu samych.

Dalej siedzieliśmy, ja i pan Zieliński, na małej ławeczce ustawionej przy grobach. Nie myślałam już o komarach, pocie na moim ciele. Spojrzałam w oczy pana Stanisława, ujrzałam w nich znajomy cień tego, który da znak i wtedy każdy, kto go zrozumie, nabiera pewności, wie, że oto przyszła ta chwila, ten mikro-ułamek sekundy, w którym przejdziemy tam, na drugą stronę do innego świata. Zamkniemy drzwi.

– Odprowadzę pana, wrócimy razem. Bardzo dzisiaj duszno.

– Ela, wiesz, że nie ma już 41. pułku piechoty. Rozformowali go. Teraz w naszych koszarach przy ul. Łukasieńskiego jest Eurokorpus, stacjonują żołnierze NATO. Wyobrażasz sobie. Twój tata nie uwierzyłby, jak go spotkam opowiem mu.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Powie mu? To gdzie się spotkają? Może się pomylił? Dochodziliśmy do przystanku tramwajowego linii 8.

– Panie Stanisławie, czy odprowadzić pana do domu?

– Nie, Ela, nie... Przystanek mam pod domem. Zresztą w ten ostatni odcinek drogi ruszamy zawsze sami, sami – mamrotał. – Do zobaczenia. Tam.

Wskazał w niebo. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, a on obejrzał się, uśmiech ożywił jego matowe źrenice. Z trudem wsiadł do tramwaju, pomyślałam, że ma rację. Nie ma już ani tamtego świata, ani tamtych ludzi, fotoplastykonów... Pewne jest to, że ja też, jak oni zniknę, a nowy nieznanym mi świat pocwałuje swoimi kolejnymi sekundami, minutami, latami. Zostaną tylko prześwietlone klisze? Wiatr...

Tekst Eli Jusiewicz był pierwotnie drukowany w miesięczniku pedagogicznym „Dialogi” nr 10/1574, grudzień 2011 r.



---

## POEZJA EKSPERYMENTALNA

---

*Sebastian Rosa*

---

### (NIE)CZUŁY ALGORYTM

---

XIAO BING

*Poetka napisała:*

*„jestem długim mostem  
możesz odszukać moją świeżą miłość”*

*Jan P. odszukał Małą Bing i się zawiódł, a potem stanął na poręczy mostu. Ale mu przeszło, gdy się dowiedział, że Ona nie może się zakochać, bo jest sztuczna, chociaż superinteligentna. Na dowód swojej lodowatej miłości podarowała mu swój tomik „Słońce straciło szklane okna”.*

*I dodała, że już napisała 10 tys. wierszy. Jan P. odrzekł, że nic nie straci, jeśli wyrzuci te plastiki przez prawdziwe okno w ogień słońca. Mały Lód uroniła czułą sztuczną tzę.*

*Leszek Dembek, z tomiku „Świat niezatrzymany”*

Uczucie, przeżycie, doświadczenie, emocja – to wszystko można określić mianem przypadłości istoty żyjącej, a z całą pewnością człowieka. Ciężko wyobrazić sobie, że kiedykolwiek zdolny do tego będzie program złożony z ciągu niezrozumiałych dla zwykłego zjadacza chleba cyfr i liter, bo czy coś obudowane tworzywem sztucznym i metalem jest w stanie w ogóle mieć możliwość odczuwania, przeżywania, doświadczania, emocji? Jak algorytm, skupiony na

analizowaniu dziesiątek tysięcy tekstów poetyckich i łączący je w sposób losowy, bądź określony jakimś wzorem, może być zdolny do zrozumienia, o czym właściwie pisze? Taki program z całą pewnością nigdy nie poczuje kropli deszczu na skórze, podmuchu wiatru, nie rozczaruje się, nie zakocha. W takim ludzkim pojęciu tych wszystkich doświadczeń jest po prostu niezdolny do przeżywania ich.

Powyższy tekst Leszka Dembka porusza właśnie ten problem. Mamy tutaj do czynienia z Xiao Bing – sztuczną inteligencją i Janem P. – w domyśle człowiekiem. Program pod nazwą Xiao Bing „napisał”, a trafniejszym określeniem będzie – wygenerował dziesiątki tysięcy „wierszy” i tu precyzyjniejszym stwierdzeniem będzie zlepek słów uformowanych na podobieństwo wiersza. W tym utworze napisane jest *jestem długim mostem/ możesz odszukać moją świeżą miłość*.

Bohater liryczny Jan P. po przeczytaniu tekstu dowiedział się, że autorką jest sztuczna inteligencja. I zawiódł się, bo Mała Bing nie jest w stanie się zakochać. Nie rozumie, czym jest miłość choćbyśmy jej to tłumaczyli milionami stron kodu programistycznego, to nie uda się owego uczucia zsyntetyzować w komputerze. Dla każdego z nas przecież miłość też oznacza coś innego i tylko krąży wokół zbliżonej i uproszczonej definicji. Wiersz Leszka Dembka pokazuje doskonale jak bzdurnym założeniem kieruje się..., no właśnie, kto? Programista, program, a może czytelnik, zakładając chociaż na moment, że ma do czynienia z dziełem literackim? W uproszczonej formie dowód na absurd „twórczości”, a może wytworów tej sztucznej inteligencji, ma taki zarys -

*jestem długim mostem – stanął na poręczy (tego) mostu  
możesz odszukać moją świeżą miłość – odszukał [...] i się zawiódł;  
Ona nie może się zakochać  
Na dowód swojej lodowatej miłości podarowała mu swój tomik – [...] dowód  
[...] lodowatej miłości  
Słońce straciło szklane okna – wyrzuci te plastiki przez prawdziwe okno  
w ogień (prawdziwego) słońca  
Mały Lód uroniła czułą (?) sztuczną [!] tzę...*

Może na pierwszy rzut oka wygląda to dosyć chaotycznie, ale przecież powyższe cytaty są ze sobą powiązane, świadomie autor użył takich określeń, aby podkreślić, że mamy tutaj do czynienia z czymś zgoła odmiennym od sztuki. W tej materii doświadczamy jedynie sztuczności. Nazwa „Mały Lód” być może w tej sytuacji byłaby trafna. Algorytm, program, komputer pozbawione

wszelkich emocji są po prostu zimne jak lód w tej (wy)twórczości. Nawet wymieniona w wierszu łaza to tak naprawdę nie może być łaza, co najwyżej error.

Zaciekawiony tematyką sztucznej inteligencji próbującej udawać sztukę, zagłębiłem się w temat nieco szerzej. Znalazłem przypadki w muzyce klasycznej, swoją drogą muzyka ta budziła we mnie tylko niepokój, a przecież nawet tego algorytm nie jest w stanie rozumieć. Płytę zatytułowaną „lamus”, wygenerowaną przez program wykonała Londyńska Orkiestra Symfoniczna. Więc już nawet fakt, że do pełnego zaistnienia tego wytworu potrzebny jest człowiek, który w usilny sposób będzie te zlepki nut ubierał w emocje i formę zbliżoną do sztuki, pozbawia muzykę powstałą w tych okolicznościach miana sztuki stworzonej przez sztuczną inteligencję. Istnieje jeszcze strona pod nazwą hypnogram.xyz, która wykorzystuje algorytm do tworzenia obrazów, po wpisaniu przez internautę, co by chciał zobaczyć i w wykonaniu jakiego malarza. Po przetworzeniu tych informacji zapewne przeszukuje internet w celu zebrania potrzebnych grafik, w jakiś nieznany mi sposób miesza je ze sobą i w ten sposób powstają nowe obrazy. Znalazłem również polski wytwór pod nazwą Generator wierszy Poeta. Tutaj mamy już jasność, że ze sztuką nie ma to nic wspólnego, to eksperyment, zabawka, która nawet nie aspiruje do miana sztucznej inteligencji piszącej wiersze. Jednak w ramach ciekawostki chciałem o tym wspomnieć w tym teście. Na naszym rodzimym podwórku algorytmy pisały wiersze wcześniej niż Xiao Bing. W sprawie ludzkiej twórczości sztuczna inteligencja za sprawą programistów również próbuje dodawać swoje trzy grosze. Istnieje bowiem strona dla wydawców, która wartościuje teksty tworzone przez ludzi, kataloguje je i generuje raporty dla wydawnictw. Wykorzystuje do tego program o nazwie Fiona.

Podsumowując przemyślenia po przeczytaniu wiersza „Xiao Bing” Leszka Dembka, zastanawiam się i nieco martwię, czy ludzie nie próbują pójść o jeden krok za daleko, angażując sztuczną inteligencję w nasze sfery twórcze, duchowe i uczuciowe. Co my sami możemy o sobie powiedzieć, jeśli do określenia wartości jakiegoś tekstu literackiego jest nam potrzebny algorytm? Jak możemy się cieszyć, że ciąg literek i cyferek „pisze” wiersze. Co to w ogóle oznacza, że pisze. Ja nawet w tym tekście miałem kilka momentów zwątpienia i zastanawiałem się niejednokrotnie nad doбором słów. Podważając i jawnie nie zgadzając się z twórcami tych wytwórczych, czy może przetwarzających programów odnosiłem wrażenie, że piszę brednie. Musiałem nadać cechy ludzkie, czy może przyjąć na chwilę, że to w ogóle jest możliwe, napisałem, że program nie może doświadczyć, czuć, kochać. To tak, jakbym powiedział, że szlafrok nie

może śpiewać swoim głosem, a kapcie nie pójdą swoją drogą. Choć zaczynam się bać takich sformułowań, nie jestem pewien, czy komuś w przyszłości nie przyjdzie do głowy, że jednak to jest możliwe.

Co do samego wiersza zacytowanego na samym początku. Konsekwentny od początku do końca. Bardzo świadomie skonstruowany. W formie prosty (choć nie jest prosto napisać wiersz w takiej prostej formie) i mocny w przekazie. Myślę, że warto sięgnąć do zbioru „Świat niezatrzymany”, w którym ten wiersz się znajduje. Od siebie na koniec dodam tylko – Ludzie! Więcej wiary w ludzką twórczość. Tego życzę sobie i innym.

---

## ESEJ

---

*Krystyna Rodzewicz*

---

### Meandry

---

Zakładała je dopiero przed kościołem. Siadała na trawie porastającej brzeg drogi, spuszczać nogi do rowu. Wycierała stopy z drobin piasku, pochodzącego ze ścieżki obok pola ziemniaków, i z kamienistego traktu, które mijala, idąc z zabudowań szkolnych, w których mieszkała. Czasami optukiwała je wodą z przekopu i wycierała o trawę. Brązowe pantofelki miały nieduży obcasik i były sznurowane. Niekiedy i je przecierała spódnicą z wszechobecnego pyłu unoszącego się z wysuszonych letnim słońcem poletek. Wypastowane i wypolerowane połyskiwały w słońcu. Ładne, myślała, patrząc na nie z góry. Wstawiała i po kilku krokach otwierała furtkę. Szła wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką do kościoła otoczonego wiejskim cmentarzem. Podchodziła do studni. Myła dłonie. Kwiaty na grobach podleję później, postanawiała, słysząc chóralny śpiew, świadczący o tym, że msza właśnie się zaczyna.

Pytałam czy stopy jej nie bolały. Ja potrafię chodzić bez obuwia jedynie po plaży. I to takiej piaszczystej, jak te na naszym wybrzeżu. Te pod palmami zwykle są kamieniste, a jeśli nie, to miliony okruszków muszelek udających piasek, sprawiają mi ból. Kłują. Z podziwem patrzę na innych, u których nie powodują dyskomfortu i zastanawiam się, jak to możliwe? Mówiła, że najgorsze były pierwsze wiosenne dni, kiedy zaczynał się „bosy sezon”, trwający do jesieni. Często pojawiały się ranki, pęknięcia. Później, gdy skóra stwardniała, zdarzało się to rzadziej, choć stąpienie na wyschniętą gałązkę czy kamyk nigdy nie było przyjemne. Najgorsze były nieduże kawałki świeżo odłupane od tych

większych. Jeszcze nieobłe od upływającego czasu, a przede wszystkim wody. Było to dla mnie zaskakujące. Z podwórkowych wojen przeciwko chłopakom z sąsiedniego domu dotkliwiej pamiętałam te większe. Ale wierzyłam jej. Jak zawsze. A opowieści stamtąd, z tej krainy za lasami i jeziorami, zagubionej wśród pól i rwących, wiosennych strumieni, szeptała mi zamiast bajek na dobranoc.

Pantofelki cenniejsze niż te Kopciuszka, myślałam. Nie pamiętam, ile miałam lat, gdy zrozumiałam, a może spytałam, dlaczego? A wtedy słuchałam, pewno z otwartą buzią. Niektórzy powiedzą, że *to frazeologizm bardzo wpisany w stereotypowe zachowanie dziecka*. Ale ja prostą dziewczyną jestem – hrabianki miawały migreny, a mnie, czasami, jedynie głowa boli (choć, ciśnie mi się tu na usta bardziej inżynierskie określenie). Nie napiszę więc, że *słuchałam, skubiąc frędzle kapy, która leżała zawsze na łóżku rodziców, w tym i kolejnych mieszkaniach* – nigdy nie mieliśmy kapy z frędzlami. Albo, że *słuchałam, starając się pozbyć skórki na kciuku – to takie jedno z dziecięcych natręctw, za które ganili mnie delikatnie* (paznokci też nie obgryzałam). Nie będę szukać innych opisów, byleby tylko było *indywidualistycznie*. Byłam i ciągle jestem pospolita. I w myśleniu, i w zachowaniach. Do dziś, banalnie otwieram usta ze zdziwienia. Nie widzę sensu w ubarwianiu opowieści jedynie po to, aby było jak w amerykańskich filmach dla gawiedzi.

Ale wróćmy do Niej. Tu, w świecie kostki brukowej i asfaltu, swoje niedzielne pantofelki zakładała już w domu. To były szpileczki. Z miękkiej skórki, z niedużą plecionką przy nosku, ozdobione zgrabną kokardką. Po powrocie z mszy, siadała na krześle w kuchni i zdejmowała je powoli. Potem, trzymając w dłoni, wycierała ściereczką z niewidocznego dla mnie pyłu i odstawiała na podłogę przy kredensie. Przechylała głowę w prawo i uśmiechała się. Piękne, zapewne myślała, patrząc na nie z góry i dopiero po dłuższej chwili odnosiła do szafy w pokoju.

Zakładane jedynie od święta służyły jej wiele lat, a dla mnie stały się przedmiotem niezwykłym. Rytuał każdorazowego ścierania kurzu i podziwiania w ciszy, miał w sobie coś, czego nie potrafiłam pojąć. Tajemnica zaklęta w czarnych pantofelkach pobudzała wyobraźnię dziewczynki, którą wtedy byłam. Czasami ukradkiem je wkładałam, ale ileż kroków może zrobić dziecko zagubione w szpilkach? Dopiero dużo później zrozumiałam, czym były dla niej. Rzeczą niezwykłą, mimo swej pospolitości. Ważnym medium pamięci o jakże prozaicznej użyteczności. I co ciekawe, otwierały drzwi powrotu do przeszłości nie na stopach, ale podczas czyszczenia i późniejszego oglądania. Regularny

rytuał podziwiania świeżo wypolerowanych, skórzanych pantofelków... Zastanawiałam się, jakie zakłęcie pozwoliłoby i mi, wkroczyć do tamtego sekretnego świata?

W końcu, pewnego dnia, odważyłam się poprosić. Nie, nie o klucz do tajemnych wspomnień. O buty. W licealnym teatryku wystawialiśmy spektakl, a ja grałam w nim stateczną panią, zacną żonę i matkę. Nie chciałam wystąpić w butach na koturnach, które wtedy miałam (nie tyle z powodu ich wyglądu, ile potrzeby dostosowania się do mody). Moje szpilki? – spytała mocno zaskoczona. Tak. Wypożyczyliśmy stroje z teatru i będę w kiecce z epoki – koturny do niej nie pasują, odpowiedziałam. Poprzedzona chwilą milczenia zgoda, była niezwykle klarowna: Uważaj na nie!

Tak też zrobiłam. Opakowałam starannie w papier (*nomen omen* śniadaniowy) i zabrałam do szkoły w torbie na WF. Włożyłam tuż przed sceną, w której jako pani Dulska wracam do domu w niedzielne popołudnie. Po kilku minutach intensywnego chodzenia po salonie, przy jednoczesnym instruowaniu męża (co należy, a co nie), stwierdziłam zaskoczona, że zaczarowane pantofelki są bardzo niewygodne i strasznie uwierają w palce. Nie dam rady, pomyślałam. Już i tak nie mało trudu kosztowało mnie utrzymywanie równowagi w tym, moim pierwszym w życiu chodzeniu w szpilkach. Usiadłam na krześle, zdjęłam buty i nie przerywając kwestii, zaczęłam rozmasowywać obolałe stopy. Resztę przedstawienia odegrałam boso.

Kłęska? Tak, magiczne buciki okazały się za małe. Zrozumiałam, i to dość boleśnie, że to nie ja jestem w tej bajce Kopciuszkiem.

A pani Dulska? Cóż, takie jak ona zawsze spadają na cztery łapy. Sukces! Brawa i gratulacje! Pytanie, kiedy wymyśliłaś to zdjęcie szpilek i masaż stóp? – zostało bez odpowiedzi, ponieważ widzowie udzielali jej za mnie. To było genialne podkreślenie jej kołtunizmu! I jakże symboliczne! Co innego w mieście (na pokaz), a w domu, w salonie (przy herbatce w chińskiej porcelanie) buty z nóg!

Kilka lat wcześniej miałam inne spotkanie z butami, które zapamiętałam. Miało miejsce w czasie wakacji. Wchodząc w słoneczny dzień do niskiego budynku, potrzebowałam kilku sekund, aby moje oczy zaadaptowały się do ciemnego wnętrza. Gdy w końcu byłam w stanie zrozumieć, na co patrzę, zastrygłam w osłupieniu. Gwałtownie przyłożyłam dłoń do twarzy tak, jakbym

chciała uniemożliwić sobie krzyk, ale otwarte usta i tak wrzasnęły, choć bezdźwięcznie.

Stałam w progu dużego pomieszczenia wypełnionego butami prawie do parapetów oknem. Ich ostatnia warstwa tworzyła nierówną powierzchnię, przypominającą świeże rumowisko skalne, a może łupiny niezliczonej ilości gigantycznych orzechów?

Buty były nieodkurzone. Niewypastowane. Niewypolerowane. W kolorze trudnym do określenia. Szare. Bure. Dziwnie powykręcane. Czasami prawie złożone w pół. Małe i duże. Damskie i męskie. Nagle, metr od moich stóp, dostrzegłam takie, których kolor umiałam określić. To były białe, dziecięce sandałki. Może dla trzy-czterolatki.

Ileż maminych czótenek tam leżało? Ile Kopciuszkowych pantofelków? Po jakiej rzeszy panów palących kubańskie cygara zostały tam buty? Nie byłam w stanie określić wielkości tego zbioru. Zwiedzałam muzeum, ale dla mnie to nie była wystawa. To był przerażający stos. Pasiaste ubrania zachowane w pomieszczeniu obok, to również nie były mundury galowe Napoleona, oglądane w gablotach Wersalu. To było Muzeum na Majdanku. Niemiecki Nazistowski Obóz Koncentracyjny i Zagłady. Uczestniczyłam w swoistej ekshumacji, choć samych ciał nie widziałam. Badacze szacują, że obóz ten stał się grobem dla dziewięćdziesięciu tysięcy ofiar, a niektóre źródła podają nawet liczbę czterokrotnie większą. „Ludzie ludziom zgotowali ten los”, a ja patrzyłam na dowody tej zbrodni w pełnym słońcu letniego dnia. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, jaką powierzchnię mogłoby zajmować sto osiemdziesiąt tysięcy butów ustawionych obok siebie (a cóż dopiero siedemset dwadzieścia tysięcy?), ale wystarczająco mocno wrył mi się w pamięć obraz tych zgromadzonych na podłodze baraku.

Siedzę w fotelu i popijam poobiednią kawę. Za oknem styczniowa, szczytna szarość. Mgła nieprzepuszczająca żadnego promienia słońca i taki sam nastój. Zatopiona w rytuałach codzienności, zawieszona w nieważności spraw przepływających nie obok, ale przeze mnie, biorę w dłonie tomik poezji *Transfuzja białej ciszy*. Czytam.

MAJDANEK

*Na ścianie komory gazowej w Majdanku*

*Wydrapane dziecięcymi paznokciami motyle*



...

*Szczeni moich żeber bezlitośnie zaciskają się na sercu*

Każdy z nas ma unikatową wrażliwość, ale w tym przypadku, najwyraźniej, te same emocje targały mną i Magdaleną Sowińską – autorką tych jakże przejmujących, choć nielicznych, słów. Czy ja widziałam te motyle? Nie pamiętam... Miałam wtedy 11 lat. Ale czytając powyższe wersy, czuję się tak, jakbym je zobaczyła. A może nawet więcej. Prawie tak, jakbym je wydrapała własnymi paznokciami. I nie jest tu istotne, czy obraz skrzydełek tych jednodniowych istotek w rzeczywistości znajduje się na ścianie komory gazowej, czy to tylko (a nawet bardziej – aż!) wyobraźnia poetki. Te dziecięce drapanki tak, czy inaczej, zapisały się w nie tylko mojej świadomości, ale i innych osób, czytających ten wiersz.

Ta niedawno wydana książka (w 2015) uświadomiła mi, że przekaz pewnych mediów pamięci nie musi ulec „przedawnieniu”. Nie każda powtarzalność symboli (tematowi wojny poświęcono przecież morze analiz) kończy się zubożeniem na to, o czym mówią. Mimo zmian programowych (i pokoleniowych), na pewno i ona czytała w szkole (kanoniczne) teksty o obozach zagłady.

*W wielkich skrzyniach  
kłębią się suche włosy  
uduszonych  
i szary warkoczyk  
mysi ogonek ze wstążeczką  
za który pociągają w szkole  
niegrzeczni chłopcy*

Znane słowa, prawda? Ta ostatnia zwrotka wiersza *Warkoczyk* Tadeusza Różewicza, przemawia do mnie jeszcze szczególnie, niemalże namacalnie, gdyż czesana w warkoczyki, do dziś pamiętam ich pociąganie przez kolegę z następnej ławki.

I kolejne myśli.

*Kiedy już wszystkie kobiety z transportu ogolono, czterech robotników, miotłami zrobionymi z lipy, zmiatało i gromadziło wszystkie włosy [...].*

W tych dwóch liniach także poetyka dobrana do opisywanej sytuacji? Tak. Bezsprzecznie. Ale to nie są strofy pierwszej zwrotki *Warkoczyka* Różewicza. To jest... fragment zeznania byłego więźnia Obozu zagłady w Bełżcu – Rudolfa Redera (opublikowanego w 1946 roku w książce „Bełżec”). Wspominający

obóz był członkiem „załogi śmierci”, której zadaniem było usuwanie zwłok z komór gazowych, aby je pogrzebać w zbiorowych mogiłach. Ten mężczyzna, przed wojną właściciel fabryki mydła we Lwowie, przeżył (jako jedna z pięciu osób) piekło SS-Sonderkommando Belzec, tak „wyspecjalizowane” w eksterminacji ludności żydowskiej, że w kilkanaście miesięcy uśmiercono w nim, jak się szacuje, pięćset tysięcy osób.

Różewicz uczynił z zeznania Redera pierwszą zwrotkę swojego wiersza. „Znajdź różnice”, nie było to trudnym zadaniem.

*Kiedy już wszystkie kobiety  
z transportu ogolono  
czterech robotników miotłami  
zrobionymi z lipy zamiatało  
i gromadziło włosy*

Nie będę oceniać takiego działania – kopiowania słów, bez podania choćby nazwiska autora (wiersz Różewicza został opublikowany trzy lata później). Dodam jednak, że miało to miejsce nie jedyny raz. Na przykład pierwsza strofa Rzezi chłopców tegoż poety, wygląda tak.

*Dzieci wołały – „Mamusi!*  
*Ja przecież byłem grzeczny!*  
*Ciemno! Ciemno!”*

Fragment zeznania Rudolfa Redera zapisano natomiast:

*Tylko kiedy słyszałem jak dzieci wołały: – Mamusi! Ja przecież byłem grzeczny! Ciemno! Ciemno! – szarpało się w nas serce na strzępy. A później znowu przestawaliśmy czuć.*

Nie. Nie będę próbować oceniać takich zapożyczeń. Jeżeli chodzi o „moralność”, to na wrywki znam jedynie tę, w której grałam panią Dulską. Etyki także nie studiowałam, a z wykorzystaniem przepisów prawa autorskiego w życiu też różnie bywa.

Zastanawiam się raczej, który tekst przemawia do mnie bardziej. Zeznanie świadka (z którym zapoznaję się, czytając tekst Arkadiusza Morawca „Tadeusza Różewicza wycieczka do muzeum (i biblioteki)”) czy (niby?) zwrotka wiersza, będąca jedynie przełamaniem na strofy oryginału? Wolę chyba to pierwsze. Wtedy akcenty stawiam tam, gdzie czuję, a nie gdzie sugeruje Różewicz.

Poezja a realnie wypowiedziane zdania... Nie! O przerzutniach również wolę zdecydować sama.

Interesuje mnie także i to, że poeta ponownie użył słów naocznego świadka mordów na początku swojego utworu. Czyżby relacja byłego więźnia była (koszmarną) śnieżką wywołującą lawinę myśli przelewanych na papier? W tym kontekście, zaczynam się nawet wahać, czy Różewicz zwiedzał jakikolwiek obóz koncentracyjny i jego opowiadanie „Wycieczka do muzeum” (w Oświęcimiu) w tym nic nie zmieni. Może, pobudzeniu jego wyobraźni wystarczyły przerażające świadectwa innych, choćby te w postaci zeznań Redera? Napisał przecież i samodzielnie (mam nadzieję) przejmujące strofy.

Osobiście znałam ludzi, którzy przeżyli piekło wojny i opowiadali, jak wtedy było. Na wyciągnięcie ręki miałam Ojca. W czasie drugiej wojny światowej walczył w litewskich lasach. (Swoją drogą, Różewicz, jako członek AK, skierowany był do tych między Radomiem a Częstochową). Za partyzantkę mój Ojciec został skazany przez stalinowskie władze na dziesięć lat więzienia. Karę odbywał w łagrach Workuty za kręgiem polarnym. Tam też, choć po rosyjsku, zmuszano do pracy po kilkanaście godzin na dobę. Racją pokarmową było dwieście gramów chleba i miska zupy z przemarzniętych buraków czy kukurydzy. Te pomyje (jak je nazywał) tak zapadły mu w pamięć, że przez całe swoje późniejsze życie, nie mógł patrzeć na kukurydzę. A nawet więcej, być w jej pobliżu. Gdy zajadałam się chrupkami z niej (ot, taka peerelowska nowość swojego czasu), krzywił się niemiłosiernie i wychodził z kuchni.

Po tej mojej wycieczce do Majdanka, zainteresowałam się miejscem, o którym bardzo rzadko mówił. Spytałam go, czy tam, na Syberii, też były takie wysokie ogrodzenia z drutem kolczastym? Jakie druty kolczaste? Dziecko, tam nie było żadnego ogrodzenia. Wokół były tysiące kilometrów tajgi, minus trzydzieści stopni i śnieg po pas. Zimno, zauważyłam. Tak, bardzo. Najcieplej było na dole w kopalni, ale pracowaliśmy też w lesie przy wycince drzew. Dostawaliśmy wtedy racje spirytusu, aby nie zamarznąć. Stamtąd nie można było uciec. No chyba, że tak inaczej, rozumiesz, co mam na myśli? Tak, wiedziałam już, czym jest samobójstwo (choć o jednym ze sposobów na jego popełnienie – polegającym na takim rozłószczeniu strażnika, aby zastrzelił skazanego – dowiedziałam się dużo później). Grzebaliście ich na terenie łagru czy na cmentarzu? – żądałam szczegółów. Dziecko, w wiecznej zmarzlinie nie wykopiesz łopatą grobu. Trupy wynosiliśmy do lasu i przykrywaliśmy kamieniami.

Czasami, wcześniej zamienialiśmy się z umarłymi butami. Zabieraliście im buty? Tak jak w obozie na Majdanku? – byłam przerażona. Nie, nie tak samo! Mówię przecież, że zamienialiśmy się. Zakładaliśmy im na stopy swoje, jeżeli były bardziej zniszczone. Tam o odmrożenia było niezwykle łatwo, a lekarstwa były praktycznie nieosiągalne. (Nie pamiętam, czy o tym, że tradycyjną formą pochówku wśród wielu rdzennych ludów Syberii była ceremonia nadrzewna – czyli umieszczanie i pozostawianie umarłych w koronach drzew – dowiedziałam się od niego czy z książek).

Ten obraz więzienia bez jakichkolwiek murów i drutu kolczastego został we mnie na zawsze. Przywołuję go sobie często w wielu, tylko pozornie niedoty-  
czających niewoli, sytuacjach.

Wracam do lektury zeznań Rudolfa Redera. Łomoczą mi w głowie jego sło-  
wa: *szarpało się w nas serce na strzępy*. I po chwili, wielokrotnie powracające,  
dudniące echo tamtych wydarzeń w postaci dalszego ciągu wspomnień: *A póź-  
niej znowu przedstawialiśmy czuć*. Ponoć to jedna z podstawowych cech organi-  
zmów żywych, dowód teorii ewolucji na Ziemi, takie dostosowywanie się do  
warunków zewnętrznych.

Czytam inne zeznanie.

*Kiedy nie zabiją cię od razu, myślisz, że są dobrzy. Stają się jeszcze lepsi  
każdego kolejnego dnia, kiedy pozwalają ci żyć.*

Tak swoje traumatyczne przeżycia, związane z porwaniem i kilkumiesięcz-  
nym przetrzymywaniem przez lewicowych rewolucjonistów w latach siedem-  
dziesiątych ubiegłego wieku, opisywała Patty Hearst, wnuczka amerykańskie-  
go potentata prasowego. Chciałabym się dowiedzieć, co myślał o oprawcach  
z Majdanka Rudolf Reder. Boję się jednak, że zabraknie mi odwagi, aby sięgnąć  
po jego książkę.

Minęło wiele lat od tamtego dnia, w którym zwiedzałam Obóz na Majdan-  
ku. Wydawałoby się, że nie tylko Rudolf Reder, Różewicz, Magda Sowińska  
i ja, ale wielu, wielu innych zapamiętało. Zrozumiało i postanowiło, że „nigdy  
więcej”. Jednak dziecięce sandałki wykopane w 1988 roku z masowego grobu

w Kurdystanie przeczą temu. Ludobójstwo na irackich Kurdach pochłonęło wtedy, jak się szacuje, od pięćdziesięciu do dwustu tysięcy ofiar.

Nastał nowy wiek i świat obiegła kolejna dokumentacja zdjęciowa – bose, kilkuletnie dzieci siedzące na gruzach w Aleppo. Wojna w Syrii ciągle zbiera swoje żniwo. A buciki, które zostały w internacie po porwaniu przez bandytów z nigeryjskich bojówek blisko trzystu uczennic w 2014? Siłą zmuszano je do małżeństwa lub mordowano. Do dziś los setki z nich nie jest znany, a ciągle dowiadujemy się o kolejnych uprowadzeniach. Przecież tam wieczne lato, więc... *Homo sapiens*, dokąd dojdiesz, zabierając dziewczynkom ich białe sandałki?

Szczecin, 17.01.2022 r.

---

## PROZA

---

### Janusz Krzywiński

Poeta, publicysta, autor tekstów scenicznych, mimodram, scenariuszy filmów dokumentalnych. Urodził się 29 kwietnia 1932 r. w Inowrocławiu. Mieszka w Szczecinie od 1947 r. Ukończył II Liceum Ogólnokształcącego w Szczecinie. Studiował w Wyższej Szkole Ekonomicznej i na wydziale filozoficzno-historycznym na Uniwersytecie Wrocławskim. Obu uczelni nie ukończył. Przez 23 lata był prelegentem Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Za tę działalność został uhonorowany Złotą Odznaką Zasłużonego Popularyzatora Wiedzy.

Zadebiutował w 1955 roku utworami poetyckimi na antenie Polskiego Radia w Szczecinie. Jego poezja i krótkie utwory prozatorskie ukazywały się w „Ziemi i Morzu”, „Spojrzeniach”, „Vinecie”, „Literze”, w gorzowskim „Pegazie Lubuskim” i lubelskiej „Kamienie”. Współtwórca – z Józefem Bursewiczem, Ryszardem Grabowskim i Andrzejem Dzierżanowskim – grupy literackiej „Metafora”. Tłumacz z języka angielskiego książek, m. in. Oscara Wilde’a i Ernesta Hemingway’a i z niemieckiego – Rainera Marii Rilke. W 2012 r. otrzymał nagrodę ZLP „Róża Poetów” przyznaną w osiemdziesiątą rocznicę urodzin za całokształt działalności artystycznej.



(zdj. [http://encyklopedia.szczecin.pl/wiki/Janusz\\_Krzywi%C5%84ski](http://encyklopedia.szczecin.pl/wiki/Janusz_Krzywi%C5%84ski))

Członek Związku Literatów Polskich od 1961 r. Pełnił funkcję przewodniczącego komisji rewizyjnej, skarbnika i sekretarza. Członek Regionalnego Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego w Policach.

Proza z tomu „szczecińskie drobiazgi... zupełne”  
(seria: akcent, Szczecin 2014)

## DŹWIGNIA POEZJI

Był czerwiec 48. roku.

Rok szkolny, szczęśliwie, dobiegał końca. I jakkolwiek lekcje jeszcze się odbywały, to już nie pod zwykłym rygiorem i strachem złapania dwóji...

Bo, z większości przedmiotów, już stopnie wystawiono. I umacniała się pewność, że w przyszłym roku szkolnym spotkamy się w klasie w tym samym składzie. Zresztą, w owych czasach wysiłki pedagogów (za co chwiała im i wdzięczna pamięć) zmierzały ku temu, by nikogo nie zostawiać na drugi rok w tej samej klasie. I przez zaaplikowanie delikwentowi poprawki, zmusić go, żeby przez wakacje nauczył się tego, co w ciągu roku zawałił...

I taka właśnie chmura zawisła nade mną. Z fizyki, której wówczas w naszym gimnazjum im. Henryka Pobożnego uczył asystent WSI (Wyższej Szkoły Inżynierskiej), pan (imienia nie pamiętam) Wisz. Młody brunet z wąsikami, spod którego, z błyskiem swoich olśniewających zębów i z sardonicznym uśmiechem, kwitował bzdury, jakie plótł ten wyrwany do tablicy. Bo prawidłowe odpowiedzi potwierdzał jedynie skinieniem głowy i oznajmieniem oceny.

Stałem właśnie przed tablicą i usiłowałem wymienić rodzaje dźwigni, gdy weszła woźna z oznajmieniem, że lekcja ma być skrócona i mamy udać się do auli na spotkanie z poetą, Władysławem Broniewskim.

Już byliśmy w auli.

Całe gimnazjum i liceum, co rusz uciszane przez naszych pedagogów, kiedy wraz z dyrektorem Franciszkiem Bietousem wszedł, witany oklaskami, Poeta.

Rozejrzał się po nas. Tym swoim spojrzeniem, jakie na zawsze zachowały ikonografie. Chwilę stał, po czym podszedł do ławy. Takiej zwykłej. Bez oparcia, a którą (o zgrozo) i chyba w pośpiechu, woźny zostawił prawie na środku auli. Na twarzach dyrektora i nauczycieli, zagościła wyraźna konsternacja, a wśród nas, tu i ówdzie, rozległy się, jakkolwiek stłumione, prześmiewchy.

Wtedy poeta znów rozejrzał się po nas i poluźniając krawat (taki w szkocką kratę) zdjął marynarkę iłożywszy ją w pół, wręczył najbliższej siedzącemu.

Znów śmiechy.

A poeta przyjrzał się nieszczęsnej ławie i na idealnym jej środku wykonał stójkę na rękach...

Zerwały się brawa, a on trwał tak jakąś chwilę i zeskakując sprężyste, stanął wyprostowany. Znów nasze brawa. Wkładając marynarkę i nie dociągając krawata, poeta powiedział: – A co. Myśleliście, że poeta to jakaś mimoza, co głowę ma w chmurach, a tyłek w popiele!?

A potem recytował swoje utwory. Odpowiadał na kierowane doń pytania. Opuścił nas uśmiechnięty i żegnany burzą oklasków.

Wracaliśmy do klasy, gdy idący obok kolega powiedział: – Ale dźwignię zastosował, co? – Na co odrzekłem: – Po prostu zrównoważenie sił. Przecież ustalił środek ławki idealnie.

Idący za nami pan Wisz, śmiejąc się, wcale nie sardonicznie, rzekł do mnie: – A niech cię, postawię ci tróję.

Dodam jeszcze, że już wówczas rozczytywałem się w poezji, też i Władysława Broniewskiego, którego utwory recytowałem na szkolnych akademiach, co pozytywnie oceniano, jako że czasy nadeszły rewolucyjne, a ja nie należałem do ZMP.

2011

## „ŻOSEK” ALBO METAFORA ZIELENI JÓZEF BURSEWICZ 1928-1982

Kiedy w jednym z utworów Józefa Burswicza zatytułowanym „Nocą”, zdziwiony przechodzień pyta bohatera wiersza, a jest nim sam poeta, czego właściwie szuka i co robi na moście nocą, słyszy taką odpowiedź: z zieleni dobywam metafory.

Poezja Bursewicza, rozgrywając elementy szczecińskiego pejzażu i nimi tak przesycona, nigdy nie opisuje go wprost. Przekora była bowiem jedną z cech osobowości tego poety.

Urodził się w 1928 roku w Wilnie. Do Szczecina przybył w lipcu 1945. W latach 1948-1951 studiował medycynę w Poznaniu. Debiutował w 1951 roku na łamach „Głosu Szczecińskiego”. Od tego czasu jął uprawiać poezję oraz publicystykę kulturalną w prasie i radiu. Brał żywy udział w życiu artystycznym miasta.



Przeciwstawiał się każdej „bylejakości”, wywodząc racje przeciw racjom lub piętnując ich brak. Wypowiedzi Bursewicza miawały cięte ostrze, godząc wszak w poglądy, nigdy zaś w osoby jego adwersarzy, zawsze skrzyły się dowcipem, dotykały istoty rzeczy. Przede wszystkim „Żosek”, jak zwali go najbliżsi i przyjaciele, był poetą. Ta intymna i kameralna poezja nieraz dźwięczy gorzką frazą, tonem niepokodzenia się ze światem ludzkich postaw i czynów, jeśli są sprzeczne z głoszonymi ideałami:

*Zapomniawszy o wzorcu  
Ulepiam ideał  
W nastroju jak bym sam sobie  
Szykował pogrzeb  
Z karawanem („Nastrój”)*

„Żosek” bibliofil, gromadzący książki nieraz kosztem innych potrzeb, czytał w literaturze światowej i polskiej, szczególnie upodobał sobie piśmiennictwo XIX wieku. Właśnie stamtąd wyłuskiwał wszystko to, co oryginalny duch polski wniósł do sztuki Europy i świata. Wykazywał z pasją, jak, niejednokrotnie plagiatorskie, były przełomy w sztuce światowej wobec o wiele wcześniejszej i samodzielnej polskiej myśli, której dzieła splatały się z losem i historią narodu.

Bursewicz wydobywał te fakty, nasycił światłem osobistych i niebanalnych skojarzeń i ogłaszał na radiowej antenie współczesnemu słuchaczowi. W felietonach radiowych – jednej z form swojego pisarstwa – wyrażał światopogląd, że tradycja wartościowana w humanistycznym zwierciadle, a więc nieskalana jakimkolwiek szowinizmem, jest artyście po prostu niezbędna.

W 1959 roku nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazał się tomik wierszy Józefa Bursewicza, noszący tytuł Kroki we mgle. W wierszach tych żywiołowa gra pojęć i obrazów krzyżuje się z filozoficznymi aspiracjami poety. Groteska i motywy brzydoty sąsiadują z liryczną zadumą. Punktem wyjścia tej poezji są potoczne doświadczenia ludzkiego bytowania, któremu jednak:

*Dzień coraz szersze zarzuca ramiona  
Na powstający spod ziemi kolor...  
Czy od wszystkiego, co jak wiosna piękne,  
Tak oczy bolą? („Wiosna”)*

Bursewicz publikował także opowiadania i recenzje plastyczne. Te ostatnie, podpisywane pseudonimem Jerzy Rustem, odznaczały się bardzo osobistą

refleksją krytyczną autora i wśród malarzy wzbudzały niemałe kontrowersje, a mimo to przysparzały „Żoskowi” przyjaciół w środowisku 30 plastycznym. Widowym tego znakiem była powiększająca się ilość obrazów darowanych mu przez przyjaciół-artystów. Zdobity wnętrze jego domu przy ul. Abramowskiego. Domu, który cechowała gościnność gospodarza iście staropolska i, niestety, przez goszczonych tam nieraz nadużywana...

Przyjaciele i znajomi „Żoska”... Panorama ludzkich typów i osobowości. Wśród mnóstwa anegdot o poecie jest i taka.

Pewnego razu „Żosek” za przejazd nocną taksówką zapłacił rękopisem fraszki ad hoc stworzonej. Ziściło się zatem marzenie K. I. Gałczyńskiego, niegdyś też szczecinianina: Ach, co za rozkosz będzie być poetą, kiedy poezja stanie się monetą... Otóż, zdarzenie miało swoje następstwa, gdyż ów taksówkarz okazał się również... fraszkopisem. Tyle, że jakby okolicznościowym i z predylekcjami do satyry erotyczno-politycznej. Połączenie tematów zgoła paradoksalne! Kierowca ten stał się fanatycznym wprost entuzjastą „Żoska”. Zanedbując kursy i postoje, z urodziwych ulic szczecińskiego śródmieścia zjechał na literackie ugory...

Nie ze wszystkimi wszakże, którzy do „Żoska” Ignęli, tak miały się sprawy. Od momentu swojego debiutu, Bursewicz był dla innych, początkujących poetów, życzliwym przewodnikiem, a gdy okrzepli poetycko, prawdziwie serdecznym druhem w konfraterni. Jego nazwisko związane najpierw z Kołem Młodych Związku Literatów Polskich, przez następne lata, aż do zgonu poety, zrosło się z działalnością szczecińskiego oddziału ZLP.

W czerwcu 1956 roku na łamach wychodzącego wtedy w Szczecinie tygodnika „Ziemia i Morze” ukazał się napisany przez Bursewicza program poetyckiej grupy „Metafora”, który również podpisali poeci: Andrzej Dzierżanowski, Ryszard Grabowski, Janusz Krzywiński. Pojawienie się „Metafory” stało się podówczas ożywym wydarzeniem w literackim życiu Szczecina.

Utwory Bursewicza drukowano także na łamach „Życia literackiego”, „Kamenu”, „Współczesności” i były emitowane na ogólnopolskiej antenie radiowej. „Żosek” uczestniczył w zjazdach ZLP i „wiosnach poetyckich”. Odnawiał stare przyjaźnie i zyskiwał nowe, mimo że jego poglądy estetyczne i dość oryginalny sposób bycia nie wszystkim przypadły do gustu.

Ale ceniono go jako poetę. Osąd ten, w opinii krytyki, umocnił się jeszcze bardziej z chwilą ukazania się w 1966 roku nakładem Wydawnictwa Poznańskiego, następnego zbioru wierszy Bursewicza, „Chłód Nocy”. Wiersze te, to

kontynuacja poetyckiej linii debiutu, co jest widoczne, zwłaszcza w otwierającym tom, cyklu „Katakumby”:

*Jechaliśmy drogą jakich teraz nie ma  
Kałamaszką wyciągniętą spod  
Zapomnianego dworku  
Żółty pył usadowiony pośród płaczących brzoź  
Miał smak starej jak dobre wino –  
Polszczyzny  
(„Kałamaszka”)*

*Lecz między takie chwile potwierdzające urodę świata wciskają się i te, gdy:  
Grać w domino  
I słuchać bezowocnych spacerów zegara  
A mimo to ciągle się myśli  
Kłamca kłamie kłamiącemu  
Niewierzący nie wierzy niewierzącemu  
Potrzebujący potrzebuje u potrzebującego  
Sędzia sądzi sędziego  
I tak sąsiedzi sąsiadują z sąsiadami  
(„Profile”)*

Jednakże pesymizm tych widoków nie triumfuje stale nad poetą.

Niektórym czytelnikom, co w poezji szukają jedynie odkryć głęboko filozoficznych, może się wydać banalne to, co w pewnej chwili, stając przy oknie, powiada Bursewicz:

*Nocy –  
ciepła  
i wachlująca wiatrem  
dłonie poetów  
Twoja czerń  
wciąż pełna  
nieodkrytej nadziei...  
(„Jutro”)*

W polifonii form literackich, uprawianych przez Bursewicza, ważne miejsce zajmuje jego twórczość przekładowa. Tłumaczył poezję z języków: białoruskiego, litewskiego, jidysz.

Urodzony w Wilnie i jedynie z dzieciństwa mogąc wywodzić wspomnienia o ziemi swych rodziców, Bursewicz, jak i tysiące jego rówieśników znad Wilii i Wilejki, w Polsce nad Odrą i Bałtykiem znalazł miejsce na dom rodzinny. Niwę owocującą. Ale z tamtego, zamkniętego rozdziału życia Bursewicz wyniósł znajomość i wycucie kulturowych uwarunkowań kresów i tolerancję dla tradycji, dla innego sposobu myślenia i mówienia, dla innych narodowości. „Żosek” wychowany w rodzinie inteligenckiej, o starych polskich tradycjach, przejął je i na co dzień kultywował. Miał szacunek dla ludzkich inności i nawet usprawiedliwiał czasem czyjeś wady, jeśli wynikały one z obyczajów, innej kultury niż polska.

Kontynuacją radiowych felietonów, pogłębioną w treściach, były pisywane przez „Żoska” „Imiona szczecińskich ulic”. W nich to, z tematów związanych z życiem i działalnością patrona opisywanej ulicy, niepostrzeżenie dla słuchaczy, przechodził w tok narracji o współczesności. Tymi reportażami literackimi „Żosek” jakby „wypłacał” się miastu, w którym żył, a o którym nie pisywał laurkowych liryków.

Ludzie wspominający te „Żoskowe” spacerunki, a raczej wędrówki, przywołują najczęściej Pogodno. Dzielnicę zacisznych uliczek, gdzie na jednej z nich mieszkał. A przecież wśród imion ulic są także – dla przykładu choćby – ulice Józefa Lompy czy Adama Asnyka, dość odległe od „Józkowego” Pogodna. „Żosek” bowiem doskonale znał miasto. Utrwalił w swoich wierszach mglistość szczecińskich wieczorów z żeglującym w nich światłem latarni gazowych, dziś już, ociemniałych i otoczonych opieką, zabytków.

I nagle 5 marca 1982 roku Józef Bursewicz udał się w swój spacer najdłuższy, na spotkanie metafory ostatecznej, pozostawiając nam swe wiersze.

1987

## O WIDOKÓWCE

Na plażę przychodzę jako jeden z pierwszych. I zawsze w to samo miejsce. Ci którzy zjawiają się tu później, to ludzie – na ogół sympatyczni. Śmieci wyrzucają do kosza, a nie byle gdzie, jak to zwykle bywa u nas na plażach. Ich dzieci są wesołe, a nie wrzaskliwe.

Tamtego ranka wysmarowałem się olejkiem (bo niby dlaczego mam się różnić od innych), a pustą buteleczkę chciałem wrzucić do kosza, gdy na jego dnie spostrzegłem widokówkę. Przedstawiała tutejszą miejscowość w kolorach mogących wywołać porażenie wzroku. No, ale wobec braku gustowniejszych kartek, ludzie kupują jakie są i takie wysyłają.

A znaleziona kartka była zapisana i podpisana : „Twoja Jadzia”, lecz bez adresu.

Z zasady nie czytuję cudzej korespondencji, ale wtedy, co z niejakim wstydem przyznaję, zrobiłem to.

Autorka kartki oznajmiała, jak bardzo kocha Władka i mocno tęskni za nim... Choć czas spędza bardzo wesoło i w miłym towarzystwie...

No, skoro tak kocha i tęskni, dlaczego więc nie zaadresowała i nie wysłała tej kartki? Może ją zgubiła, a ktoś, by nie zaśmiecała plaży, wyrzucił do kosza?

Wtedy naszała mnie refleksja o moich przeszłych latach. Kiedyś, bywając w różnych nadmorskich miejscowościach, też wypisywałem wiele niewysłanych kartek. Zaś tę znalezioną postanowiłem z powrotem wrzucić do kosza. To jednak okazało się trudne. Wręcz niemożliwe. Kosz był już bowiem całkowicie pełen opakowań po lodach, frytkach i pustych butelek.

Zadziwiające, ile i czego, i w jakim tempie, zjadają oraz wypijają plażowicze. Niby rozbitkowie, którzy wreszcie osiągnęli ląd, zaspokojenie głodu i pragnienia...

I kartkę z takimi wyznaniem wtykać w te odpady człowieczeństwa?

A ponieważ była pora, o jakiej zazwyczaj pływam, wcisnąłem tę widokówkę sobie pod czepek i wszedłem do wody. Nie lubię takiego morza jakie było tamtego przedpołudnia. Bez najmniejszej fali i zimne.

Toteż jedynie dopłynąłem do ostatniego pala ostrogi i tam w jakąś szparę wcisnąłem tę widokówkę. Namokła.

Niech ją zabierze morze, które wciąż roznosi nieodbierane wieści.

2014

## **Róża Czerniawska-Karcz**

Poetka, eseistka, publicystka, animatorka kultury. Urodziła się w 1950 r. w Szczecinie. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Pracowała trzydzieści pięć lat jako nauczycielka w szczecińskich szkołach. Ponad dwadzieścia lat pracowała z uczniami niepełnosprawnymi, niewidomymi i niedowidzącymi. Za szczególne zasługi dla oświaty i wychowania została odznaczona w 2004 r. Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Działalność literacką rozpoczęła w 2000 r., po wydaniu swojego pierwszego tomu wierszy *po prostu wiersze* (Kraków 1999). Wydała tomy poetyckie:

*jak słońce w kropkach...* (Kraków 2000), *makijaż jesienny...* (Szczecin 2001), *A w moim oknie kwitnie jesień* (Szczecin 2006), *...w kropli Czasu* (Szczecin 2010), *skrawki czasu* (Szczecin 2013), *Namaluj mnie...* [ekfrazy do obrazów Veermera] (Szczecin 2014), *Zapytaj jabłoni...* (Szczecin 2017), *pisać przyjaźń...* (Szczecin 2019), dwa arkusze poetyckie *Strofy Księżycowej Pani* [haiku] (Szczecin 2002) i *Tulipanowe pejzaże* (Szczecin 2004), tom prozy poetyckiej *Sny motyli* (Szczecin 2002), zbiór esejów *Z Akcentem na...* (Szczecin 2018), album *W PAŁACU literacko. Retrospekcja* (Szczecin 2020). Współautorka, razem z Rafałem Podrazą, zbeletryzowanej historii o Magdalenie Samozwaniec *Madzia i... Magdalena czyli o Samozwaniec inaczej...* (2016).

Od 2001 r. członkini Związku Literatów Polskich Oddział w Szczecinie. W latach 2011-2015 (jako druga kobieta w szczecińskim oddziale ZLP, po Nynie Rydzewskiej) pełniła funkcję prezesa oddziału. Organizowała Ogólnopolski Konkurs Poetycki *O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej*. Za jej kadencji ustanowiono Nagrodę im. Niny Rydzewskiej – Róża Poetów i Żagiel Marynistów. W 2010 r. rozpoczęła działalność w Pałacu Młodzieży – Pomorskim Centrum Edukacji, gdzie realizuje cykl spotkań literackich *W PAŁACU literacko*. Do dziś, w ramach tego cyklu zorganizowała i poprowadziła 85 spotkań. Od 2012 r. jest redaktorką cyklu wydawniczego seria: akcent. Publikuje w periodykach, antologiach i almanachach.

Laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. W 2005 r. została Wicemistrzynią Słowa w XXIV Międzynarodowym Konkursie Poetyckim *O Złote Gęsie Pióro* (Opoczno-Wąglany-Białaczów 2005). Z okazji 15-lecia swojego debiutu poetyckiego, w 2015 r. otrzymała Różę Poetów Nagrodę im. Niny Rydzewskiej.

Uhonorowana w 2015 r. Medalem Szczecińskiego Oddziału ZLP „GLORIA CULTURA”, medalem za 20-letnią działalność na rzecz promocji polskiej literatury oraz Srebrną i Złotą Odznaką Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego. W 2021 r. nominowana do Nagrody literackiej im. J. Iwaszkiewicza w kategorii *za popularyzację literatury*.

Proza z tomu „Sny motyli”  
(Wydawnictwo Promocyjne „Albatros”, Szczecin 2002)

Dni jak sny

*Dni jak sny  
odlatują i giną*

w Czasu bezpamięci

więc dlaczego  
ze starej kliszy  
wywołuję  
szare odbitki  
obrazy rozmyte  
dawno zapomniane

Ciemnia. Drzemie wspomnienie zanurzone w wywoływaczu.

W czerwonym świetle lampki utrwalają się obrazem zmałowane cienie na odbitce. Cisza – brzmi niewypowiedzianymi słowami... śmiechem... tkaniem fletu nieustannym... Pachnie Przeszłość octowym oddechem...

Pierwszy obraz wyłania się i mieni ...w pełnym słońcu... na Pogodnie przy Juranda ogród, jabłonie, dojrzewające krzewy agrestu i porzeczek. Na środku niedużego podwórka czteroletnia Dziewczynka w różowej sukience w maleńkie muszelki stoi w poobijanym blaszanym wiaderku. Drobne stopki przysypa-  
ne są ziemią. Paluszkami przytrzymuje rąbek sukienki, który rozchyła się na kształt różowego kielicha kwiatu. Jest różyczką. Dwaj chłopcy, starsi nieco, ze śmiechem biegają po wodę. Podlewają „żywy kwiatusek” zasadzony w wiaderku. Dziewczynka z powagą odbiera ich żartobliwe ukłony, jak w piosence: „Stoi różyczka”.

Świeci słońce, pachnie lato niedzielą, zabawą... marzną ubłocone nóżki... już nie jest przyjemnie... Nagły niepokój... mama zaraz zawoła... czy pójdą na spacer... jak wydostać się z blaszanej doniczki-pułapki... Jak powędrować



(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

w daleki nieznaną świat, który przeczuwa, rosnąc na małym podwórku w wielkim mieście?...

Obraz drugi płynie swobodnie kolorową odbitką. Zielonkawy półmrok pokoju, rozgrzane powietrze wlewa się przez uchylone drzwi balkonu... dzwoni „piątka” skręcająca w Jagiellońską... Dziewczynka pochyla się nad kartką książeczki, ostrożnie zanurza pędzelek w wodzie, rozprowadza farbę. Obok niej stoi piękna ciemnowłosa kobieta. Uśmiecha się promiennie. Bierze pędzelek z rączki Dziewczynki i... rozlewa farbę fioletowym rumieńcem na papierowej skórce śliwki. Dziewczynka wpatruje się z zachwytem w kobietę, potem rozprowadza kolory na owocach. Pierwsze wtajemniczenie... przeczuwanie dziecięce Krainy Piękna, do której poprowadzi ją Ciotka.

Na trzecim... pulsuje w czerwonym świetle noc. Przebudzenie. Lęk czai się w ciemności... grzmi za oknem hukami toczących się ulicą Bohaterów Warszawy żelaznych gaśienic... w mroku za szybą pełną węzłem zielonym samochody wypełnione śmiercią... ulica Ku Słońcu nocą wcale nie jest słoneczna... skąd? dokąd? ciągną czołgi i samochody przykryte pałatką zachmurzonego czerwonego nieba. Dzieci tulą się do siebie... próbują ogrzać zmrożone strachem serduszka... odsuwają się od szyby, za którą dzieje się Niezrozumiałe...

Czwarta odbitka to... Zgaszone popołudnie. Czerwono zachodzi słońce. Niebo ma barwę nieprzyjazną. W powietrzu unosi się zapach popiołu spalonego lata...

Z balkonu, zawieszzonego wysoko na trzecim piętrze starej kamienicy pod numerem 102, Dziewczynka spogląda smutnymi szaroniebieskimi oczami na mężczyznę, który odchodzi zieloną alejką, ściskając pod pachą teczkę wypełnioną rozpaczą... Jest taki drobny, taki mały, z pochyloną ciemną głową... gdy patrzy się na niego z góry, spomiędzy fioletowych kwiatów powoju...

Odwrócił się...podniósł głowę...spojrzał... Nie widzi Dziewczynki ukrytej w kwiatach, która zapisuje w pamięci jego i swój smutek rozstania...

Obraz piąty pojawia się Niedzielą. Jesień skrzy się wszystkimi kolorami na szczecińskich platanach, najpiękniejszych przy Jasnych Błoniach i na Cmentarzu Centralnym.



Liście szeleszczą pod stopami biegnących alejką Dzieci. Umknęła przed nimi ruda wiewiórka. Nie wiadomo, czy to ogon chwije się na drzewie, czy rudy liść klonu? Szeleści też Cisza...

Na kamiennej cembrowinie zapomnianej fontanny wygrzewa się złota jaszczurka. Dzieci stanęły bez ruchu, nie spuszczają z niej wzroku.

– Ona jest duchem zmarłego człowieka. – mówi przyciszonym głosem Kobieta. – Nie wolno jej skrzywdzić. – Bierze za rączki Dzieci i oddala się wolno słoneczną cmentarną aleją.

Drzy czerrń. Obraz szósty niechętnie wyłania się z mroku...

Za zamkniętymi drzwiami, które wcale nie są zamknięte, czai się przerażające

N I E Z N A N E. Lęk jest obezwładniający. Przekręcany wielokrotnie zamek nie zamyka drzwi, które bezwolnie czekają na czyjeś popchnięcie... Skulona pod nimi drobna postać Dziewczynki próbuje barykadować wejście. Daremnie.

To dygocące O C Z E K I W A N I E, bezradne O C Z E K I W A N I E na przybycie człowieka bez twarzy, który zada ból, zatamuje oddech, zatrzyma tętno...

N I E M Y K R Z Y K... gwałtowne wyrwanie się na powierzchnię snu... i...

... siódme zdjęcie.

Świt. Delikatne światło dnia kładzie się ciepłym dotknięciem na zroszonych trawach beskidzkiej łąki. W cieniu starego dębu kryje się łąkomy jelonek... jeszcze ma na języczku słodko-kwaśny smak pączków róży... ulubiony... Wiatr lipcowy stuka w okiennice na „dzień dobry”. Budzi się MARZENIE.

Pobiec boso po mokrej łące, dopiero ogrzewanej słońcem...

Kołysać się wraz z kwiatami w takt odwiecznej melodii ziemi budzącej się po nocy niespokojnej... Przytulić się do chropowatego pnia dębu i poczuć się bezpiecznie – między niebem a ziemią... Na tę jedną poranną chwilę zamienić się w s z c z ę ś l i w e westchnienie – poza jawą i poza snem...

W ciemni pamięci ze starej kliszy wyłaniają się obrazki... wciąż mocno szczęśliwe, ale już za przejrzystą mgłą wspomnień, przefiltrowane przez bibułkę smutku, mieszają swoje kolory, treści, znaczenia...

Są jak sny, które próbujemy wyłowić z morza bezpamięci, a one i tak wymykają się nam, ulotne... bo przecież COŚ musi pozostać tajemnicą.

albo bajki stylizowane na legendy beskidzkie

O Tęsknocie, o Wspomnieniu i o jednej duszy, co to się w Powsinogi,  
niekoniecznie beskidzkie, zamieniły

Tęsknota była kiedysik wielka pani. W pałacu prześlicznym mieszkała, na porcelanie chińskiej jadła, na puchowych piernatach, za lekuškimi zaślonami polegiwała. Po salonach za dnia chodziła, we zwierciadłach kryształowych się przeglądała, a podziwiała swoją cudną urodę. Zasiadała wieczorami albo o poranku przy białym klawikordzie i tęskliwie piosenki po francusku śpiewała:

*„Plaisir d'amour ne dure qu'un moment.  
Chagrin d'amour dure toute la vie...”\**

Jeździła złoconą kareta na bale, a smuciła tylko wtedy, gdy jakiego młodego panicza do kochania akurat nie miała. Taka ci była wtedy tęsknie zadumana, a wzdychająca rzewnie.

Innych zmartwień Tęsknota nie miewała.

Niedaleko w zamczysku warownym mieszkało Wspomnienie.

Zawsze poważne a małowówne, z obliczem surowym, jak zamek kamiennym. W księgach starych rozmiłowane było bezkresnie, im jeno wielce oddane.

Wiatr po zamczysku hulał. Nic to. Byle w komnatce na wieży ciepły kominek się żarzył, byle świece w kandelabrach srebrnych płonęły, tajemnice wieków z ksiąg starych wydobywając, to już nic więcej do szczęścia Wspomnieniu nie trzeba było.

Aż kiedyś przyszła groza. Rozszalały się nad światem wichry, burze, okrutne nawałnice. Grzmiało, trzaskało, tyskało okropnie.

– Koniec świata! Apokalipsa jakaś, czy co?

W kilka dni, może miesięcy, a może i lat, kto to wie, wszystko ucichło. Obraz po tej bitwie ukazał się przeokropny. Porozpadały się śliczne pałace, warowne zamczyska. Roztrzaskały kryształowe zwierciadła, a księgi mądre spłonęły.

K a m i e ń n a k a m i e n i u nie pozostał, tak jako to Pani Historia lubi.

Tęsknota i Wspomnienie ledwo z życiem uszły z tej zawieruchy. Ostały się jeno w postrzępionych sukienkach, w poszarpanych kubrakach, boscie, a może

w drewnianych chodakach. Głodne wciąż były a zziębnięte. Deszczyk na nie popadywał, śnieżek na nie prószył, wiaterek je tarmosił, a słońeczko z rzadka ogrzewało. Okrutny los je spotkał. Co prawda to prawda!

Poszły w świat sieroty jedne. Może szczęścia szukać, a może onego utraczonego Czasu?

Chodziły od domu do domu, chleba prosiły, wody nieco, uśmiechu albo książki jakiej ocalonej. Ale drzwi im przed nosem zamykano, bo nic za darmo nie masz na tym Bożym świecie, chyba że tę drogę, co przed tobą i to obojętne niebo nade głową.

Trzeba było się biedaczkom do roboty nająć.

Tęsknota jabłka w sadach pomagała zbierać, ogródki plewić, zboże z pola zwozić, liście jesienne grabić, a wieczorami pajęczne nici babiego lata prząść na kołowrotku. Przy tych to robotach tak ci rzewnie śpiewała i nie po francusku, a prawdziwie po polsku, że ludziska ją za to śpiewanie pokochali i od siebie puścić nie chcieli. Tak i z nimi na zawsze została ona Powsinoga jedna. Od chałupy do chałupy wędruje do dziś.

Wspomnienie z Tęsknotą po świecie chodzić zaczęło, a że mądrości z ksiąg wycytane z pożogi ze sobą wyniosło, to się nimi dzielić zaczęło. A to komu koło złamane naprawiło, a to garnek pęknięty pięknie zdrutowało, a to znów okno ślepe oszkliliło, co by już łzami deszczowymi nie płakało. Gęsie pióra, co za robotę po obejściach pozbierać mogło, przycinało i wieczorami nowe dzieje w swojej księdze spisywać zaczęło. Przecie mądre było. Takoz i druga Powsinoga do ludzi przyłgnęła.

Obie więc po ludziskach chodzą, dobrym pomagają, a złych omijają. Jesienią zostawiają rzewliwe tęsknoty obok jabłek rumianych albo uśmiechnięte wspomnienia, co to wyglądają z za szybek szklanych.

Raz ci na beskidzkiej wyboistej drodze, o słonecznej majowej porze, spotkała one Powsinogi jedna taka samotna dusza zagubiona, którą w te strony wiatr od morza przywiał. Zdziwiła się bidula, pomyślała, że to jakieś duchy leśne albo co. Urokliwe się jej zdały. Czary jakoweś rozsypały, bo poszła za nimi bez lęku. Za głosem śpiewnym niby flet, za szumem drzew, co opowiadały życia historię. Zastłuchana w owe dźwięki szemrzące wędrowała z nimi odtąd wszędzie. Sama Powsinogą się stała prawdziwie.

One na Leskowiec, ona za nimi. One do Ponikwi, ona za nimi.

One do Krakowa, a cóż to dla niej. Nawet w wysokie góry za nimi poszła, Tatrom królewskim się pokłonić.

Najbardziej jednak wszystkie trzy ulubowały sobie gorzeńskie zakątki, leśne szlaki, szmaragdowe łąki i dwór. Przecie że dwór, bo takich śliczności to już nigdzie nie ma na całym wielkim świecie. Nie darmo wszystkie beskidzkie Powsinogi we dworze Emilowym na stałe osiadły. Oddał im całą salę paradną, pierwszą na piętrze, a jakże. Dobry a łaskawy był to pan.

I zamarzyło się owym strudzonym niebogom, nie beskidzkim Powsinogom, odpoczywanie pod bukiem purpurowym chociaż, jeśli nie we dworze. A może przygarną gościnne progi? Skończy się tułaczka aż znad morza?

A bo to kto to wie?

*„Rozkosz miłości trwa tylko chwilę  
a ból całe życie ...” (z franc.)*

O tym, jak jedna słaba d u s z a na Leskowiec poszła

A było to tak.

Miał być rajd.

Zjechali się wszyscy.

I przyjechała do nich taka jedna, co to nigdy w góry nie chodziła. I zachciało się jej wędrowania posmakować.

Tak i wyszli ze śpiewem a otuchą w sercach.

Księżyc im przyświecał, gębą srebrną uśmiechał, ale drogę, zwodnik jeden, zaćmiewał.

Poszli w las. Cicho było, uroczyście, święcie. Wieczór zamieniał się z nocą miejscami. Pachniała jesień opadającymi *liściami*. Ciepło było, mimo że październik.

Droga rzucała im kamienie pod nogi, ale nic to. Szli.

I d u s z a nieco zalękniona też szła. Szła za księżycową latarnią jak zahipnotyzowana. Upijała się nocą, mglistą poświatą, dalekim przyjaznym szumem świerków.

A oni śpiewali... O Krywaniu, o kochaniu, o tęsknocie, co ją każdy w sercu ma.

Księżyc zaszedł.

Zrobiło się straszno.

W górę szli okrutnymi wykrotami.

Brakło tchu, ale odwrotu nie było.

I wyszli na księżycową polanę zaczarowaną. Zadziwiła się *d u s z a* ogromnie, gdy na łące mglisto-beżowej swe siostrzyce *oready\** i *lejmoniady\** zobaczyła. Bardzo chciała z nimi popląsać przy księżycowej fletniej muzyce, chciała utulić się w trawach puchowych, pomarzyć o rajskich ogrodach.

Ale gdzie by tam. Zebrali się z krzykiem nad nią i kazali iść dalej.

Zostały na kolcach głogu mgławce szale.

Doszli na szczyt. Tam też było pięknie.

Watrę rozpalili, dokoła niej siedli, wesoło a frywolnie rozprawiali. A śmiechu było ile, a ile śpiewania!

*D u s z a* odtajała.

Noc mijąca, gwiazdy odliczały godziny.

Smutek wyszedł zza drzew, nie dał duszy się weselić, wierszem dzielić.

Wracać było trzeba.

A jak się okrutnie a lęklawie zrobiło. Ciemności egipskie. Noc chytra skryła gwiazdy wszystkie. Więc latarniami, pochodniami przyświecali, aby drogi nie zgubić.

Ale i tak pobłądzili.

A *d u s z a* o mało swego wążego ducha nie wyzionęła. I kiedy we wykrocie stromym na kamienie runęła, i kosteczki liche potłukła, to niczego już na tym świecie nie pragnęła, jeno śmierci.

T a jednak do niej nie przyszła, widocznie pilniejsze sprawy miała.

Biedna obolała *d u s z a* do domu w Ponikwi dokuśtykała, zarzekając się w sercu, a w rozumie swoim, że nigdy przenigdy na takowe wędrowanie nie pójdzie.

A czy to prawda?

A czy to kto wie, co komu w duszy zagra?

\* *oready* - nimfy górski

\*\* *lejmoniady* - nimfy łąk

## Artur Justyński

Urodzony w 1972 r. w Kutnie. Pisarz. Redaktor działu PROZA na stronie internetowej oddziału szczecińskiego ZLP. Absolwent Politechniki Łódzkiej Wydziału Elektrotechniki i Elektroniki, Uniwersytetu Szczecińskiego Wydziału Ekonomicznego, na Akademii Poznańskiej uzyskał tytuł trenera biznesu. Zawodowo: audytor energetyczny. Obecnie mieszka w Przecławiu.

Żonaty, ojciec trzech córek: Ali, Gabi i Mai. Miłośnik rzek, pasjonat wędkarstwa spinningowego z trzydziestoletnim doświadczeniem. Entuzjasta: kultury ludowej Słowian, ornitologii, psychologii, psychiatrii, religioznawstwa, filozofii, malarstwa, filmu i literatury.

Zadebiutował w 2017 r. zbiorem opowiadań „Opowieści zza rzeki”. Rok później ukazała się powieść „Cichy Zachód”, a w 2019 r. jej drugie wydanie, poprawione. W 2020 r. wydał „Trociowe opowieści”, w 2022 r. powieść „Bejdak”. Od 2020 r. członek Związku Literatów Polskich.

### Fragmenty powieści „Cichy Zachód” (Warszawska Firma Wydawnicza 2018)

\* \* \*

Pukałem w drewniane drzwi już dłuższą chwilę i w momencie kiedy miałem zrezygnowany pojechać dalej, usłyszałem jego zaspany głos:

– Już idę.

Zdjął kłódkę z łańcucha spinającego dwie części bramy.

– Panie Artur, niech pan wchodzi.

Ucieszył się na mój widok, tak zresztą jak ja na jego. Zawsze używał w stosunku do mnie zwrotu „panie Artur”, nie Arturze, tylko Artur, w mianowniku.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Opałem się i chyba zasnąłem. Nie słyszałem, że się ktoś dobija.

– Opałał się pan? Jest zimno...

– Chodź pan – powiedział, prowadząc mnie za niski płótek do miejsca osłoniętego od wiatru i tak wyeksponowanego na słońce, że wewnątrz czegoś, co

kiedyś mogło być kompostownikiem, było wręcz gorąco – słońce jest najlepszym lekarstwem na moje zbolące kości i stawy – powiedział. – Od rana wiedziałem, że słońce dzisiaj wreszcie przygrzeje, ptaki obudziły mnie, świeżąc.

– Co rano śpiewają, jest wiosna.

– E tam, z taką mocą to tylko jak słońce świeci.

– No może – odparłem polubownie. Starsi ludzie zawsze muszą mieć rację i nie lubią, jak się ich poucza, a szczególnie, jak pouczają ich ludzie w moim wieku, czyli o wiele młodszy.

– Na długo pan przyjechał?

– Ze dwie godziny mam, jeszcze dzisiaj do pracy muszę jechać. Może się przejdziemy?

– No możemy, tylko się ubiorę.

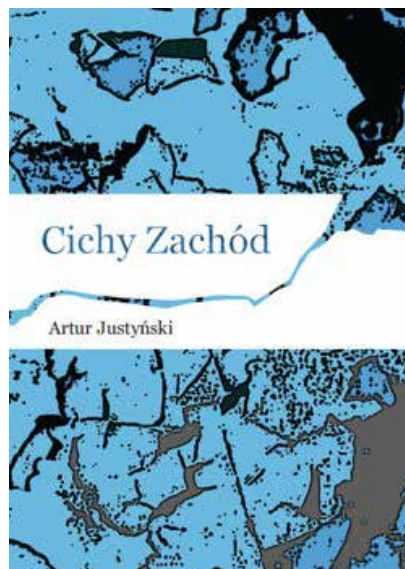
Każdy spacer z Cichym był dokładnie taki sam, ta sama trasa, to samo tempo, postoje w tych samych miejscach i te same informacje o mijanych budynkach bądź pozostałościach po nich.

– Po wojnie wieś liczyła ze sto numerów, teraz jest kilkanaście.

– Co stało się z ludźmi? – zapytałem choć równie dobrze sam mogłem to sobie wykoncypować.

– Pomarli, powyjeżdżali – odparł.

Zeszliśmy po bruku nad rzekę i skręciliśmy w lewo, w jej górę, czyli pod prąd rzeki. Po lewej stronie płoty raz pochylały się nad ziemią, raz nad trawami, a raz kłaniały się starym sadom albo nie było ich w ogóle, w zależności od gospodarstwa, którego chroniły, czy było zamieszkałe i przez kogo. Po prawej pomiędzy wodą a drogą nachylał



(zdj. <https://www.empik.com/cichy-zachod-justynski-artur,p1200928134,ksiazka-p>)

się trawiasty wał obrzucony kamieniami z pojedynczymi drzewami powyginanymi przez rwący nurt wezbranej rzeki lub silne wiatry.

– Tutaj była cegielnia. – Zatrzymaliśmy się i Cichy ogarniał wzrokiem krzaki za ścianą starych jabłonek i śliw. – To był duży zakład, bardzo duży, sam budynek był większy niż wszystkie chałupy we wsi.

– I co się z nim stało?

– Poszedł na odbudowę Warszawy.

– Serio? – zaśmiałem się. – Wszystko poszło na odbudowę Warszawy, nawet pałac w Krajniku tych całych Hum... coś tam.

– Właściciele tych ziem – odpowiedziałem, ale też nie pamiętałem ich nazwiska. Zdziwiony zacząłem pytać: – Ale to nie szkoda było? Kto to rozebrał? Zniszczone było po wojnie?

– E tam zniszczone, całe. Pałac to piękny był, ja takiego nigdy nie widziałem. Z samego muru to można było z dziesięć chałup postawić. – Zamyślił się na chwilę. – My rozebraliśmy. Ja też zresztą. – Jak to? – zapytałem nie dowierzając.

– Płacili nam za każdą cegłę, to się rozbierało, co się dało. Bida była. Taczkami rozwieźliśmy wszystkie stare budynki.

– Ale pałac?

– A kto o tym myślał, pałac nie pałac, cegły były, a za nie pieniądze dawali – i chyba żeby zmienić temat, w co wątpię, bo chyba o wyrzutach sumienia nie można w tej sytuacji mówić, dodał: – O, Lewandowiczowa idzie, stara wariatka, kochała się we mnie, a może we wszystkich chłopach we wsi, a i tak sama została. Wariatka.

Lewandowiczowa, starsza gruba kobieta w okularach o szklach przypominających denka od szampana, w kwiecistej chustce, dresie niby adidas i plastikowych kłapkach usunęła nam się z drogi, stając na poboczu z dziwnie wykrzywioną uśmiechem twarzą. Uśmiech ten i oczy zwężone od grubych szkieł nadawały jej obliczu wygląd demoniczny.

– Śmieją się ze mnie – wypluła słowa – śmieją się. Nic wam nie pomoże. Las patrzył, drzewa patrzyły i rzeka patrzyła. To wszystko to ludzie przemieniane. Zło czyniliście, wszystko widziały, nic się nie ukryło. Wszystko widać było. O wszystkim wiedzą. Nie zataita tego. Śmieją się. Śmieją. Kara was dopadnie...



Splunęła za nami, żeby położyć kropkę na końcu albo wykrzyknik, żeby bardziej zabrzmiało. Żeby się zapisało ślina na piachu.

Czy można mieć pretensje o to, że rozebrali na cegły tak wspaniałe zabytki, jak stare pałace okolicznych dziedziców? W tamtych czasach, tuż po wojnie, kiedy to wszyscy pałali nienawiścią do Niemców? Teraz może to wydawać nam się barbarzyństwem, ale wtedy? Nikt, kto nie przeżył wojny, kto nie stracił na niej bliskich, nie może potępiać takiego zachowania, a zresztą, cóż to za wybór pomiędzy kupnem jedzenia lub ubrań dla dzieci, a ochroną starych niemieckich zabytków?

– A tutaj mieszka mój ziomek, Szemitko, z moich stron, on tym samym transportem, co my, jechał. On teraz ledwo mówi, ma coś z gardłem. Ma taką rurkę.

– Pewnie rak krtani.

– Może i tak. Stary już jest, najstarszy w całej wsi. Mieszka z synami. Oni przy drzewie robią. – I jakby na poparcie jego słów dało się słyszeć piłę spalinową. – A tam na końcu wsi teraz taki jeden z Myśliborza kupił ziemię i przycepe postawił, na ryby przyjeżdża. Kiedyś tam piękny dom stał, ale się spalił.

Na niemieckim brzegu stado owiec beczało donośnie, jeszcze kilka kroków wcześniej nie było ich słychać. Teraz ich lament zdominował dziedzinę. Kilka dni wcześniej jechałem tamtędy na rowerze, podziwiając akt narodzin małej owieczki. Zresztą nie tylko jednej. Akt stworzenia w czystej od wieków nieziennej formie. Formie, której nie da się zmienić zmianą ustroju politycznego, przesunięciem granicy, czy zmianą języka ludzi opiekujących się owcami.

Jakże tamten brzeg był różny od tego. Owce wyżerały trawę równo jak kosiarka, trzcina rosła w równych odstępach tej samej długości, jedna obok drugiej, żadne źdźbło nie zachodziło na sąsiednie niczym żołnierze zdyscyplinowanej armii, a przynajmniej tak się wydawało. Krowy były wszystkie tej samej maści, wszystkie takie same, czyste jak flagi na pierwszomajowym pochodzie.

Brzegi różniło wszystko. Flory niczym z radzieckich znaczków z czasów komuny – tam, u nas nieokiełznane krzaczory; fauna, też przypominająca tę z radzieckich znaczków – tam, u nas dzikie nieufne zwierzęta, na które ktoś zawsze poluje lub zastawia sidła. Nawet historia, która po wojnie targała naszym brzegiem, tamten zostawiając w spokoju. Potwierdzał to jakby ogólny bałagan. Krzaki rosły krzywiej, drzewa były bardziej wygięte, teren wybrzuszony, deszcz jak padał to nierówno, ale to w tym naszym chaosie ptaki znajdowały swój azyl, a krety ryły szczęśliwe jak nigdzie. I to nasz słowiański chaos rozwrzeszczany przez sójki i sroki, tajemniczy przez żurawie, lelki i puszczyki

zapraszał do swoich pieleszy milionami owadów migoczących w zielonej dziedzinie. W zielonej gęstwinie, która nawet na kolor nie mogła się zdecydować, mając nieskończoną paletą barw zielonych.

Tak właśnie wygląda nasza słowiańska dusza, jest zielona, a raczej mieni się zielenią. Jest robaczywa, a raczej stworzona jest z komarów i świetlików, wśród których latają jaskółki i nietoperze. Formę za to przybrała rozwalonego drewnianego płotu. Płotu, który niczego nie strzeże, bo nie potrzebuje strzec, jest ozdobą. Za nim są chaszczki dzikie i piękne, z małymi kwiatkami o subtelnych płatkach i tajemnicą skrytą w wilgoci paprotek.

Zawróciliśmy. Teraz azymut wyznaczała wieża kościoła. Podobno wszystkie drogi prowadzące do wsi, położonej jakieś dwadzieścia kilometrów na wschód od Zatoni, biegną prosto na kościelną wieżę. Tak zaplanował sobie włodarz tamtych ziem. Jedyny wyjątek stanowiła droga wiodąca do sąsiedzkiego majątku kobiety będącej z nim w niezgodzie. Razu pewnego spotkali się w połowie drogi, on zjechał swoją bryczka na bok, ona nie zważając na kałużę, przejechała w pełnym pędzie swoją, ochlapując go z wyniosłością. Włodarz kazał więc drogę z uskokiem zrobić w miejscu tamtego zdarzenia, co na mapach piorun przypomina. Z uwagi na to, że żadnego głazu ani drzewa w tamtym miejscu nie ma, wytłumaczenie to zasadnym się wydaje, a piorun w namacalny sposób obrazuje ludzką złość odcisniętą na mapie.

Kiedy tak szliśmy spokojnie noga za nogą po piaszczystej, prostej, ale nierównej drodze, z przeciwka podjechał pod śliwkowy sad samochód na niemieckich numerach. Wysiadło z niego dwoje starszych ludzi. On podreptał w miejscu, próbując przebić się przez gęste krzaki między drzewami, ona podeszła pod dąb rosnący tuż pod płotem sąsiadującej działki. Kiedy dołączył, obydwójce stali chwilę, wpatrując się w wystający z ziemi korzeń, a potem on ustawił znicz i zapalił go.

– Dlaczego tutaj? – zapytałem Cichego.

Ten nie od razu opowiedział, zaczekał, aż zostawiliśmy szepczącą parę z tyłu.

– Tutaj ich babka pochowana.

– Tutaj? – zapytałem.

– Jak uciekali stąd, to babka im zmarła i tutaj ją pochowali. W szafie.

– W szafie?

– Nie było czasu na ceregiele. Pochowali w tym, co mieli pod ręką, a mieli szafę.

– Nie przenieśli ciała po wojnie, jak już się wszystko uspokoiło?

– Może i przenieśli – pomyślał chwilę i zaraz dodał – ja o tym nic nie wiem.

„Tylko po co mieliby przenosić” – pomyślałem. Czy człowiek nie powinien być tam pochowany, gdzie żył, gdzie się urodził, dorastał, gdzie odkrywał świat, gdzie zostawiał swój pot, swoją krew, gdzie sadił drzewa i hodował zwierzęta, gdzie jego dzieci upadały na piaszczystą drogę, zdzierając kolanka? Lepiej więc leżeć pod albo obok takiej drogi, niż gdzieś w obcej ziemi, o której nic się nie wie, wśród szumu drzew, którego nigdy się nie słyszało? Oddać atomy ziemi, którą się zna. Zasilić drzewa, z których kory ćmy się zbierało. Białe ćmy chowające się w zakamarkach pomarszczonych drzew?

---

## POEZJA

---

### **Anna Jakubczak**

Poetka, copywriterka, animatorka kultury, założycielka portalu [ukochajsiebie.pl](http://ukochajsiebie.pl). Blisko związana z tematyką rozwoju osobistego, kreowania wizerunku i szeroko rozumianej mistyki, w których to dziedzinach wciąż poszerza swoje horyzonty.

Urodziła się w 1994r. w Szczecinie. Absolwentka studiów magisterskich na kierunku dziennikarstwo i zarządzanie mediami na Uniwersytecie Szczecińskim. Obecnie studentka studiów podyplomowych na kierunku Psychologia zdrowia i rozwoju na Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej.

W latach 2015-2019 redaktor naczelna Magazynu Kulturalnego „Horyzont” oraz portalu [e-Tuszem.pl](http://e-Tuszem.pl). Od 2017 r. do 2018 r. prowadząca audycję Let’sRock! w Akademickim Radiu Pomorze. Do 2020 r. organizatorka spotkań autorskich z cyklu „Debiuty” w Książnicy Pomorskiej. Pomysłodawczyni tematycznych performance’ów artystycznych organizowanych m.in. w Rocker Clubie oraz Centrum Euroregionu Stara Rzeźnia.

Obecnie spełnia się w roli copywriterki, tworząc treści dla wydawnictw, portali, agencji marketingowych oraz przedsiębiorstw. Jak sama stwierdza – połączenie wirtuozerii w słowie z technikami perswazji i biznesem jest ciekawym i bardzo rozwojowym doświadczeniem.

Swoją twórczość publikowała w ponad czterdziestu antologiach, zarówno w kraju, jaki za granicą. Przez trzy lata była stałą autorką w cyklu poetyckim „The Year of The Poet”, wydawanym przez amerykańskie wydawnictwo Inner Child Press pod kierownictwem Williama St. Petersa. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Autorka tomików wierszy „Ars Poetica” (2Kings&Luv Publishers, Londyn 2013). „Rozmowy nocą” (Acomitam, Marki 2020), „Z wnętrza” (Hogben,Szczecin 2021).

Od 2022 r. członkini Związku Literatów Polskich.

Wiersze z tomiku „Z WNETRZA...” (seria:akcent, Szczecin 2021)

### Sakura

Sakura mówiła że kobiety więdną  
kiedy nie podlewa się ich słowami  
że chowają się w płatkach a ich pączki  
przestają sterczeć w oczekiwaniu  
mówiła że każda z nich powinna  
być jak wiśnia – słodko-kwaśna  
ale nietatwa do zerwania  
dać się odkrywać jak każdą  
z sylab haiku rozbierać  
z pojedynczych nitek kimona  
tylko w jego ramionach

### Wystawa

mój wygłodniały wzrok  
pożerał ją całą tęczęwką  
każdy najdrobniejszy detal  
fatamorgany jej ciała  
piękna niezmiennego  
od wszystkich wcieleń  
pomimo delikatności płótna  
nie dała się zamknąć ramom  
jak moda  
która powraca  
mimo zmieniających się  
epok  
mojej Marilyn  
na obrazie



(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

## Wspólnota

mówiłeś że obecność  
jest największym darem  
że nawet kiedy nie ma cię obok  
jesteś  
białą nitką na ramieniu  
kubkiem niedopitej kawy  
bałaganem w mojej głowie  
którego nie chcę posprzątać  
rozsypane lego  
nasza piosenka  
i ja  
z twoją różą za uchem...

## Szum

widzę jak za oknem wydłużają się  
dzielące nas kilometry  
wiatr niesie bicie serca  
zaczynam stąpać po dawnych śladach  
patrząc w niebo mogę zgadnąć  
jaki masz nastrój  
zmienia się jak kolor twoich oczu  
wiem że dziś się uśmiechasz  
przelatującą mewę proszę  
by przekazała ci mój pocałunek  
i wiadomość że czekam  
siedząc na naszej wydmie  
morze dziś tak spokojne

## Plandemia

daliśmy się złapać  
w sidła cichych powiązań  
zaszczepić sztucznym  
oprogramowaniem  
uwięzić w labiryncie Pacmana  
daliśmy się zakneblować  
materiałowymi kagańcami

*jednak większość z nas  
tak naprawdę nigdy  
nie chciała warować  
nie podała też łapy a siad  
zrobiła tylko na chwilę  
teraz kiedy opadają maski  
przyłbice nie-rycerzy  
brudniejsze od naszych wewnątrz  
będą już tylko oceany*

### **Edyta Rauhut (1990)**

Szczecinianka, blogerka, dziennikarka, copywriterka, poetka, animatorka kultury, od 2022 r. członkini szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

Jej dziennikarski debiut miał miejsce w grudniu 2009 roku na łamach bezpłatnego kwartalnika fantastyczno-kryminalnego „Qfant” – ukazał się wtedy wywiad z pisarzem, Stefanem Dardą. W 2010 roku została wyróżniona w konkursie dla dziennikarzy obywatelskich „Żywe Miasto” zorganizowanym przez portal mmszczecin.pl za jeden z artykułów z cyklu „Ocalić od zapomnienia”, w którym pisała o zapomnianych i zaniedbanych zabytkach Szczecina. W dodatku kulturalnym „Poliartyzm” przy „Wieściach Polickich” pełniła funkcję redaktora naczelnego (2015-2016). Publikowała teksty prasowe również na łamach „Prestiżu. Magazynu Szczecińskiego”, „Wyjątku”, „Pryzmatu Literackiego”, „Wieści Polickich”, „Kurieria Szczecińskiego” oraz pisała teksty dla „SzczecinBloga”. Jej artykuły można znaleźć również na portalu „wywrota.pl”. Od 2013 roku prowadzi bloga „edisanonimaart.pl” na temat kultury i literatury, ale porusza sporadycznie inne tematy.

Jej utwory poetyckie można znaleźć w „Pegazie Lubuskim”, „Poezji Dzisiaj”, almanachach Korytowskich Nocy Poetów oraz antologii „Przeptywający świat słowa”. Wiersze zgłaszane do Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Burszewicza „O Złotą Metaforę”, w jego trzech edycjach znalazły się pośród „wierszy zauważonych”, a w czwartej – jej zestaw wierszy został wyróżniony. Laureatka I miejsca w Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr” zorganizowanego przez szczeciński oddział ZLP (2022).

Autorka tomów poezji: „Roztańczony atrament” (2018), „(nie) z tej bajki” (2020), „Łapacz róż” (2022). Brała udział w eksperymencie poetyckim „Polifonia poezji”, współtworząc „TE-ANTY-S poetycki” (2016). Jej utwory poetyckie były prezentowane podczas wystaw w Ogrodzie Różanym w Szczecinie w ramach Szczecińskiej i Zachodniopomorskiej Wiosny Poezji oraz podczas projektu poetycko-fotograficznego „Poetyckie Rusałki” zrealizowanego we współpracy z poetką, Różą Czerniawską-Karcz i fotografikami: Adrianną Rauhut, Patrycją Sabiną Drozdow i Waldemarem Wasilewskim (2016).

Współinicjatorka i współrealizatorka akcji „Przygarnij wiersz – on nie gryzie” zorganizowanej w ramach Szczecińskiej Wiosny Poezji (2016, 2022), promującej poezję autorów ze Szczecina i Polski. Współinicjatorka i współrealizatorka akcji internetowych „Twórcza Iskra Nadziei” i „Twórcza Iskra Marzeń” (2020) organizowanych w czasie pandemii, zachęcających artystów słowa i obrazu do dzielenia się swoją twórczością.

Wiersze z cyklu „Liryczny sabat czarownic” – blog [edisanonimaart.pl](http://edisanonimaart.pl)

do kresu stron

*ja biorę cię za męski głos tej  
ballady i ślubuję*

*miłość lecz również wierność  
własnej poetyce i liryczną*

*bezpruderyjność i że wykreślę  
cię aż do kresu stron*

*jeżeli spróbujesz złamać moją  
stalówkę pod panowaniem*

*tak mi dopomóż poeto – bez  
tego też się obejdzie*

20.11.2021

Wiersz inspirowany historią Lilith, która – zgodnie z tym, co podaje Alfabet Ben Syracha – była pierwszą żoną Adama, stworzoną przez biblijną Ewę.



owoc i drzewo

*owoc poznania obojgu smakował  
lecz podczas spowiedzi*

*jej własnością były prawa autorskie  
do grzechu a rozum jego w*

*drzewo wpełzł z którego księgę na  
obraz i podobieństwo stworzono*

*a jabłonie płaczą*

12.11.2021

Wiersz inspirowany historią biblijnej Ewy, pierwszej kobiety.

nie w czas

*pomimo potu wersów ziemię  
dotknęła bezpłodność*

*zamykając usta poetom co  
ku próżności boskiej*

*już nie wplatali między słowa  
ofiar więc playboy olimpu*

*pogroził piorunem podziemiom  
by oddały córkę naturze*

*rozwiosenniło się ale pióra i tak  
zamarzną nie w czas*

13.11.2021

Wiersz inspirowany historią Demeter, która w mitologii greckiej jest boginią płodności, ziemi, urodzaju, ziemi uprawnej, zbóż i rolnictwa.

szum

*położona pod ciężarem pożądania  
na posadzce mądrości prozą*

*jednego aktu przez zachłanny ocean  
krzyczałam ale zagłuszył*

*mnie porywisty szum pragnień  
zachłannych a ty surowa*

*podłogo sprawiłaś że kosmyki włosów  
rozpełzły się wierszami*

*co piękność zatruwają  
ożywiając inność*

*– zapraszam tych co chcą się wyszumieć  
skamieniejcie z zachwytu*

*pod ciężarem spojrzenia*

20.08.2022

Wiersz inspirowany historią Meduzy, która – zgodnie z mitologią grecką – była najmłodszą z trzech Gorgon.

pierwsza miłość

*umarłam na pierwszą miłość  
gdy pióro ją uroiło*

*i umieram dalej gdy przesuwasz  
wzrok z jednej sceny*

*na kolejną  
do kresu mojej  
cierpliwości*

*dość tego*

*poprzestawiałam litery by  
akty dojrzały*

*ja dorosnę a ty nie zdasz  
testu z lektury*

*szekspir tylko  
przewróci się w grobie  
na drugi bok*

20.06.2022

Wiersz inspirowany historią Julii Capuletti , bohaterki dramatu  
Williama Szekspira *Romeo i Julia*.

## **Sebastian Rosa**

Urodzony 11 sierpnia 1994 roku w Połczynie – Zdroju. Absolwent Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Broniewskiego w Świdwinie, gdzie rozwijał swój warsztat pod okiem polonistki Moniki Fabianiak. Pochodzi z małej miejscowości Lekowo. Pracuje jako bosman na statkach żeglugi śródlądowej. Obecnie mieszka w Stargardzie.

Debiutował w 2011 roku na łamach lokalnego czasopisma „Wieści Świdwińskie” i paryskiego magazynu internetowego „Recogito”. Jego wiersze drukowane były także w pomorskim magazynie literacko-artystycznym „Latarnia Morska”, czasopiśmie „Poezja Dzisiaj”, kwartalniku polonijnym



(zdj. edisanonimaart.blogspot.com)

„E=Sztuka do Kwadratu”, w almanachach z Korytowskiej Nocy Poetów, w antologii „Przeptywający świat słowa” (Szczecin 2017 r.). Współautor antologii „Drzewo jest jedno, a liści tysiące” (Lubaczów 2012 r.) i tomiku „Szare i złote codzienności” (Londyn 2013 r.). Autor tomików „Uczuciologia” (Szczecin 2014 r.) i „Kroki” (Szczecin 2019 r.).

Dwukrotny laureat nagrody im. St. Misakowskiego „O Złoty Gont”. Pomyśłodawca i współzałożyciel grupy literacko-artystycznej Nowy Akord, istniejącej w latach 2014-2015.

Wiersze z tomiku „KROKI”  
(seria: noc poetów, Szczecin 2019)

Ogień

*Rozpal mój dzień,  
podtrzymuj ogień w błękanie trosk  
wylanych spojrzeniami samotnych,  
bo kiedy nic się nie tliło  
pod powiekami nocy  
wkradłaś się głębiej niż sny.*

*Rozpal mój dzień,  
jak mnie rozpala myśl  
o twoim oddechu  
i nie daj zgasnąć nadziei,  
że splotę tak słuchając milczenia.*

*Rozpal to wszystko, co zgasilem przed laty,  
bo jesteś jak przestrzeń, jak niebo, jak gwiazdy.  
Przynosisz mi dary, których niegdyś szukałem,  
dajesz – co ceniłem,  
kiedy jeszcze nie byłem obdarty  
z bandaży pozorów i złudzeń,  
a może z wiary, że marzenia zamieniam w fakty.*

*Rozpal mnie na nowo,  
niech tli się we mnie zachwyty,  
niech wszyscy znów usłyszą  
melodyjny śmiech*

*i niech czytają wiersze,  
w których opisuję ciepłe barwy.*

*Zniszcz, spal, wydrap ze mnie  
brudne myśli, żal, wspomnienia,  
niech się we mnie żarzy coś,  
czego nie nazwałem jeszcze.*

*Rozpal we mnie jak w kominku  
i niech płonie,  
niechaj pójdzie z dymem w świat,  
że znów wstaje dzień  
dla piewcy odzyskanych szans.*

21 grudnia 2020 r.

#### BYŁOBY PROŚCIEJ

*Wolę myśleć, że świat jest farbowany,  
kiedyś był czarno-biały i ktoś cudowny nadał  
mu kolorów.  
Jestem pewien, że szklanka jest w połowie  
cała,  
a nie potłuczona  
i że to nie moja wina.  
Chciałbym wierzyć, że w magnetofonie siedzi  
jakaś kobieta  
i śpiewa specjalnie dla mnie.  
Świat byłby prostszy, gdyby kotdra broniła  
przed wszystkim,  
a dłonie matki koity każdy ból.  
Dołożę wszelkich starań,  
aby przynajmniej zamknięta w stoiku  
jaszczurka  
nie chciała mnie już nigdy opuścić,  
a z ogona, który zgubiła wyrosła druga.*

## PANORAMA

*w barwach trasy zamkowej  
odbicie atramentowych uniesień  
przelana szklanka doświadczeń  
zapadnięte uliczki tajemnic*

*jak album więzienny  
zbiera fotografie pomyłek  
skrywa historie zamkniętych rozdziałów*

*studnia bez dna  
nie daje wypłynąć chwilowym słabościom  
poza granice poziomu wody*

*tu utopiłem siebie  
tu mnie wyłowiono*

## Sen o człowieczeństwie

*Łudzimy się przywiązane do drzewa psy  
że wystarczy zaszczekać radośnie  
zamerdać ogonem abyście wrócili*

*Słońce spala wiarę w was  
w dniu jedyna nadzieja  
zbawienna burza wyklęta podkulonym ogonem  
nie zawita na skomlenie*

*Obwiniamy szorstką sierść  
wycie do księżyca  
wypadek na dywanie  
za mało od siebie dajemy*

*Tu wyrósł nasz pomnik  
połączeni najstabszym ogniwem  
przestajemy narzekać  
przecież zawsze wracaliście*

18 lipca 2021 r.

## Transmisja

Włączyłem telewizor,  
na ekranie pojawił się mężczyzna.  
Mówi, że jest korespondentem,  
nad głową głośno i się boi.  
My też powinniśmy jego zdaniem,  
bo wiatr może przynieść taki sam deszcz.

Obok niego kobieta.  
Mówi, że już się nie boi,  
bo córka przyniosła chleb.  
Ten chleb, który trzyma w prawej dłoni.

Lewą głaszcze dziecko,  
obok niej jest dziecko.  
Nie powie, że mu wszystko jedno,  
że spełniło najważniejszą misję w swoim życiu.

Więc co tak stoisz z pustymi rękami przed kamerą?!  
I ja ze wstydem wyłączyłem pudło,  
bo ilu nas takich na świecie

8 lipca 2022 r.

---

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

---

*Robert Rudiak*

---

### **Poetyckie zatrzymanie świata niezatrzymanego według Leszka Dembka**

---

Leszek Dembek to od lat znany w kraju poeta-eksperymentator, autor kilku książek poetyckich, w których poszukiwał alternatywnych form przedstawiania świata poetyckiego, autorskich metod lirycznego widzenia i odkrywania nowych, głównie polifonicznych kategorii ujmowania i prezentowania poezji.

Jest autorem książek poetyckich *Z dumą białych werbli*, *Za żelazną skórą jabłka*, *re-vers dla Elizy*, *Na krawędzi czasu* oraz prozy poetyckiej *Aporia*. Inicjator i współautor wierszy eksperymentalnych *Polifonia Poezji*, które bazują na ćwiczeniu amerykańskiego poety Mc Clatcha, grupy eksperymentalnej OuLiPo i na japońskich wierszach łączonych renga (VII-VIII w.). Na tej kanwie i zjawisku paralaksy tworzył wspólne z innymi poetami teksty m.in. w tzw. ujęciu kwadro-widzenia (hologramu). Jest też prekursorem pisania wierszy w interakcji ze sztuczną inteligencją, w rezultacie której stworzono tzw. wiersz konfiguracyjny – POE(SI)A IT. Zafascynowany jest poetami-indywidualistami, którzy stwarzali własny, niepowtarzalny styl, inicjowali nowe gatunki literackie, wytaczali nowe przestrzenie i poziomy odbioru poetyckiego. Dembek poszukuje więc nowoczesnego spektrum oglądu poezji poprzez wielość spojrzeń, marzy o wejściu na liryczne K2, tworzy teksty piosenek, szkice o poezji, scenariusze przedstawień poetyckich, jest pomysłodawcą spotkań „Laboratorium Poezji” i redaktorem naczelnym rocznika „Pryzmat Literacki”. Od 2015 r. prezesuje



szczecińskiemu oddziałowi Związku Literatów Polskich oraz przewodniczy Wojskowemu Kołu Literackiemu „In Aeternum”.

W jego ostatniej książce, obszernym zbiorze *Świat niezatrzymany*, wydanej w serii „Akcent” jako 75 tom poetycki, znalazły się 132 teksty i poemat. Najnowsze utwory Dembka to miniatury prozy poetyckiej pogrupowane w trzy części, czwartą zaś stanowi *Poemat N\**, czyli o nietrwałości. Zbiór otwiera część zatytułowana „Z nutą żółtych słoneczników...”, w którym rozpoczynające ją miniatury „Zwiastun” i „Słowo” już na wstępie ukazują twórczy potencjał artysty i wachlarz metafor, za pomocą których obrazuje swój świat, a właściwie sposób jego oglądu:

*Nagle. Za oknem krople porannych gwiazd śpiewają na gałęziach dnia.  
Kwiaty mdleją w czułych objęciach obłoków płynących ulicą. Słońce w długich warkoczach śni nad lustrem srebrnej rzeki. (...) Otul mnie chłodną ręką spojrzenia.*

(„Słowo”)

Poetycki świat Dembka zbudowany jest z poszczególnych, często pojedynczych zdań, w których szersze znaczenie może mieć nawet jedno słowo, odpowiednio użyte w całej fabule czy warstwie opisowej utworu. W wierszu „Zdanie” poeta w zasadzie wypowiada swoje twórcze credo: „każdy wyraz ma swój pejzaż”. Zatem Dembek wyraziście kreśli swoje światy, własne wizje i iluzje, w pewnym sensie liryczne imponderabilia. Mimo iż w jego słownych pejzażach roi się niemal od rzeczy uchwytnych, faktów historycznych czy literackich. Na kartach jego wierszy, można by rzec, przeistaczają się tabuny różnorodnych postaci, palety barw od jasnych do ciemnych kolorów, życiem tętni przyroda (gałęzie, drzewa, owoce, kwiaty, kamienie, minerały, rośliny, chmury, niebo, słońce itd.). Poznajemy więc postacie historyczne i biblijne (księżniczki,



(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

rycerze), krainy i stwory mityczne, np. Lemurię, Galateę, Tristana i Izoldę, Cheopsa, pojawiają się nawiązania do starożytnej mitologii, biblijnego armagedonu i legend Wikingów, m.in. do Frei, Orfeusza, Aresa, czterech jeźdźców apokalipsy.

W tekście „Kolory” poeta serwuje odbiór świata, a właściwie ekosystemu wszystkimi zmysłami, a więc za pomocą synestezji, bowiem są tu i kolory, i światła, i szum, wyczuwa się ruch i pulsowanie rzeczywistości:

*(...) Człowiek obserwuje zachód planety. Ziemia pulsuje dogasającą zielenią.  
Szary błękit piasku zasypuje niebiańską plażę morzem nocy szumiącą odplywem i przyptywem świtu.*

Podobnie dzieje się w wierszach „Projekcja”, „Plaża”, „Harmonia” czy w tryptyku, gdzie czytelnik może „poczuć” piasek, kroplę, deszcz, zapachy kwiatów i owoców, „zobaczyć” ruch morza, chmur, gwiazd, „usłyszeć” szum, burzę i ciszę, a wreszcie „ujrzeć” kolorystyczną grę roślinności. Podskórny świat poezji u Dembka tętni życiem, jak *elan vitae*, przedmioty mienia się odcieniami, natura gra kolorami, rzec by można, że jest tu istna feria barw, werbalna iluminacja, gdzie realizm miesza się z fantastyką.

Ale na wielu kartach znaleźć też można zabawy lingwistyczne, jak w wierszach „Biel”, „Korona V”, czy „Izolacja”, w których liryk bawi się słowem i eksperymentuje z zapisem graficznym. W tekście „Biel”, czytamy że:

*Białość w bieli, puchowatość biała, rado-biel, wędro-biel, mglisto-biel. W bieli się człowiek wybieli do bieli. (...) Niech trwa rozmodło-biel, niecierpio-biel, nadziejo-biel.*

Z kolei wiersze „Izolacja”, „Korona V” czy „Szkło” nawiązują już do współczesności, opowiadają o czasie kwarantanny w okresie pandemicznym. Zdarzają się również utwory, w których poeta nie tylko opisuje, ale też prowadzi dziwny dialog, niby z sobą, z własnym alter ego, niby z tajemniczą osobą, nieznaną kobietą, niby z niewidzialnym duchem, eterycznym bogiem, kosmiczną energią, jak w utworze „Uzależniony” czy w miniaturze „NN.iewidzialny Jeździec A.pokalipsy”.

O ile pierwsza część „Z nutą żółtych słończników...” stanowiła imaginacyjny opis świata, tak druga część zbioru pt. „Przyptywy i odplywy...” to już pełny dyskurs zarówno filozoficzny, jak i artystyczny, w którym pojawiają się znani antyczni i współcześni myśliciele i artyści: Parmenides i Heidegger, Arystoteles i Tatarkiewicz, Lao-Tsy i Wittgenstein, Empedokles i Einstein, Eratostenes

i Kant, Pitagoras i Pascal, Malewicz i Chlebnikow czy Dürer i Vivaldi. W wierszu „Linia” podmiot zadaje z natury teognostyczne pytanie: „Dlaczego nie ma tego, który jest”, przeciwstawiając niejako religię ateizmowi, teizm deizmowi czy panteizmowi. Innym razem prowadzi wewnętrzny spór i abstrakcyjny dialog z przedstawicielami konstruktywizmu i kubofuturyzmu, z naukowcami, teoretykami i odkrywcami nowych praw fizyki, jak w wierszu „Paradoks F.,” gdzie przywołuje postać Enrico Fermiego i jego twierdzenie o istniejących we wszechświecie cywilizacjach. Znaleźć tu można wiele miniatur poruszających tematykę sztucznej inteligencji, fantastyki, genetyki, cybernetyki... Wiersz-kolaż „Alpha-zero” poświęca szachowemu programowi komputerowemu, a „Honjok” młodemu Japończykowi, który ożenił się z hologramem. Są tu więc nad wyraz aktualne teksty podejmujące nowoczesną tematykę, a raczej osobistą i często humorystyczną konwersację z najnowszymi zdobyczami techniki komputerów, iPhone’ów i świata wirtualnego, np. z influencerką Instagrama, młodego pokolenia Tik Toka, androida z Kioto nauczającego religii. W wierszu „Midnclone” podmiot zachwala aplikację, która – niczym seans spirytystyczny – ma na celu ożywić zmarłego:

*Zakup naszą aplikację. (...) Nasz algorytm ożywi mimikę i uśmiech zmarłego, będzie też zdolny do konwersacji. (...) Twoja depresja po żałobie nie musi trwać zbyt długo. Uwierz w technologię VR. Nie bądź nieczuły!*

Wymowny, jeśli nie powiedziec wyrachowany w wymowie, gdyż podszyty cynizmem jest również utwór „Xiao Bing” (Mały Lód) poświęcony automatycznej poetce skonstruowanej w Chinach specjalnie na potrzeby tworzenia poezji. Sztuczna inteligencja wydała swój pierwszy tom wierszy i zdążyła już napisać 10 tysięcy wierszy:

*(...) Jan P. odszukał Małą Bing i się zawiódł, a potem stanął na poręczy mostu. Ale mu przeszło, gdy się dowiedział, że Ona nie może się zakochać, bo jest sztuczna, choć superinteligentna. Na dowód swojej lodowatej miłości podarowała mu swój tomik „Słońce straciło szklane okna” (...) Jan P. odrzekł, że nic nie straci, jeśli wyrzuci te plastiki przez prawdziwe okno w ogień słońca. Mały Lód uroniła czułą sztuczną łzę.*

Dużo odwołań w prozatorskich miniaturach Leszka Dembka znaleźć można do programu poetyckiego Różewicza, filozofii Wallisa i Wittgensteina, muzyki grupy Obed Marsh oraz mitycznych postaci z egipskich, mezopotamskich czy prekolumbijskich mitologii: Nefretete, Uszebti, Ananke, Echidny, Tyfona, Hetora, Achillesa, Hekuby, Gilgamesza, Huwawy, Thota, Atona i Chaaca.

Autor *Świata niezatrzymanego* prowadzi też mini-narrację z socrealistyczną książką „Ludzie z węgla” Niny Rydzewskiej oraz z teodyceą, która „smakuje jak czarny Absolut”, a także z Isaiahem Berlinem, brytyjskim przedstawicielem liberalizmu, autorem słynnego eseju „Dwie koncepcje wolności”, który w wierszu „Argument” twierdzi, że „wiedza i szczęście (...) mogą być niemożliwe do pogodzenia”. Identyczną polemikę prowadzi podmiot liryczny z angielskim filozofem analitycznym Johnem Langsahwem Austinem w obrazie pt. „Niewspółmierność”:

*Posłuchaj Johnie L. Austinie, nie obchodzi mnie, dlaczego nie zawsze można  
połączyć miłosierdzie ze sprawiedliwością albo wolność z równością.*

Dylematy moralne, zwłaszcza dotyczące wartości i przykazań chrześcijańskich a służby wojskowej w czasie wojny, kiedy osoba wierząca jest zmuszona zabijać człowieka, wybrzmiewają w takich krótkich formach prozatorskich jak: „Zagrożenie”, „Odpuszczenie” i „Pod mostem”, a w tekstach „Dywagacje”, „K-2/ zimą”, „Poszukiwacz” i „Jak drzwi” prowadzi minidysputy z Trójcą świętą, albo Bogiem, którego raz nazywa Panem B., kiedy indziej Konstrukтором wszechświata.

Część trzecia zbioru Leszka Dembka „Odcienie szarości i czerń...” to najkrócej mówiąc rozwinięcie i pogłębienie myśli, problematyki i dylematów z dwóch pierwszych odsłon książki. Wiele prozatorskich pejzaży jest o tematyce antywojennej, dotyczy żołnierskich zasad honoru czy zagadnień etycznych w szerszym, religijnym i ogólnoludzkim wymiarze. Przykładem tu mogą być pasaż, często o charakterze elegijnym: „Termopile”, „Punkt”, „Wrota”, „Ważenie”, „Mur”, „Kotara”, „Przykazanie”, „Zbrodnia”, „Medal”, „Waterloo”, „Aleppo” czy „Płaszcz” poświęcony bitwie pod Siekierkami, „Źródło” dotyczący wojny w Iraku, „Przystanek” mówiący o więzieniu w Guantanamo lub współczesne scenki opisowe, jak „Broń IT”, „Dron MQ-9”, „Orbita F-1”, „Pegasus”, bądź „Granica” związany obecnie z nielegalnym przekraczaniem granicy polsko-białoruskiej.

W wielu utworach możemy odnaleźć brawurowe antymilitarne czy nawet pacyfistyczne odwołania:

*Kamienna głowa poszukuje rozbitego korpusu w rozdartym mundurze i ręki  
mającej krew na sobie.*

(„Wrota”)

*Kiedy dochodzą orderzy... Szala przechyla się w górę albo w dół (do piachu).*

(„Ważenie”)

*Odwrócił się twarzą do muru. Czekał na strzał ostatni. Nikt nie trafił. Za plecami stały nieugięte oczy świętego.*

(„Mur”)

*Rzucił karabin i mundur, zaczął szukać korony cierniowej. Stał się winowajcą śmierci. W sądzie pokazał czyste ręce. I tam też nikt mu nie przebaczył. Nawet Pan B. załamywał rozłakane ręce.*

(„Przykazanie”)

*Tablica bolesnej pamięci po ostatniej wojnie nie pamięta, wytarta do ostatniej litery. Święty się odświętnił, zasłonił oczy mgłą czasu. Głaz strachu zamyka usta i słowa (...) Tylko jeszcze słysząc ostatni powojenny krzyk łamanych w drzwiach palców i zdejmowanej „rękawiczki” z ugotowanej w ropie dłoni.*

(„Zbrodnia”)

W passusach Dembka znów możemy dojrzeć nawiązania do postaci znanych ze świata mitów, filozofii, religii, sztuki i historii, jak Efiartes, Tejrezjasz, Pandora, Hera, Asztarte, Gedeon, Jezus z Nazaretu, Bruegel, Platon, Kant, Bergson, Jung, Bob Dylan i Leszek Kołakowski, poetów – Herberta i Miłosza, znajdują się także odniesienia do objawień maryjnych japońskiej siostry Agnes, która usłyszała przepowiednię o ogniu, który spadnie z niebios i unicestwi ludzi. Niektóre ze swoich miniscenek Leszek Dembek opatruje niepełnymi tytułami, stosując inicjały frazeologizmów, np. „Akcja P”, „Naga P” czy „Triada B! H! O!”, w którym logicznie rozpatruje rachunek prawdopodobieństwa zachodzący między Bogiem, Honorem i Ojczyzną w trakcie operacji wojennych.

Z kolei w tekście „Ocalać” napisanym w imię Odwagi i Godności, syna Piękną, który stanowi mini-dialog z Herbertem i Miłoszem, poeta filozoficznie pyta:

*Kim jesteś poeto? Na oczach którego rozrywa się serce jak granat.*

W utworze „Twierdza” natomiast autor ciekawie definiuje sztukę poetycką:

*Poeta zbudował drzwi do poezji bez klamki. I tak, aby się nigdy nie zamykały na żaden szyfr. (...) Poeci odczytali kolejne pociski nieśmiertelnych słów i rozsypali na wszystkie strony wszechświata.*

Opasły zbiór *Świat niezatrzymany* zamyka część „W ogrodach słowa...”, którą w całości stanowi wspomniany na początku poemat o nietrwałości, wypełniony opisowymi obrazami świata i zadumy nad sensem ludzkiej egzystencji, potrzebą okazywania najszlachetniejszych uczuć oraz nad istotą i celowością

sztuki poezjowania i filozofowania. Autor kończy więc poemat głęboką konstatacją:

*Jesteś już szybującym ptakiem, idziesz łką bezkresną, rozmyślasz poza ludzką wyobraźnię albo to wszystko tylko się zdaje, jest tylko zwykłą iluzją, imaginacją. (...) Ocaliłeś prawie do końca bezgraniczną w sobie miłość, zostałeś wybrany, stworzony, a może oszukany. Podobni idą daleko za tobą (...) Ale co ma powiedzieć ten skazany tutaj na całkowitą samotność w oparach mroku? Człowiek, który, jak zwykłą wodą, wszystko bólem cierpienia zgasił.*

We wstępie do tomu szczecińskiego poety „Gdzie postawić akcent?” autorstwa Róży Czerniawskiej-Karcz znaleźć można bardzo trafne wyjaśnienia czy nawet klucz-interpretacje twórczości Dembka, którą redaktorka określiła jako „mocno zaangażowaną w tu i teraz swojego *alter ego*”, a jednocześnie zdystansowaną i bogatą w „emocje i wzruszenia (...) w przebogatej warstwie artystycznych środków. Pozwala sobie na obfitość epitetów, porównań, metafor...” Autorka wstępu o najnowszej książce Dembka pisze wprost: „Trudna to lektura, ale i piękna zarazem, bo wyjście na bezdroża filozofii i błędzenie w gęstwinie odwiecznych pytań, na które tylko nieliczni znajdowali odpowiedź, pozostaje po stronie Poety” i dodaje: „(...) to jego nieustające próby tworzenia językowej przestrzeni (...)”, gdzie „sięga Poeta do zasobów języka poetyckiego, w którym za pomocą obrazu, symbolu czy alegorii uda mu się odstąpić zamysł lub wskazać ścieżkę przez manowce. Stąd widoczne eksperymenty z metaforą.”

Twórczość Leszka Dembka to z pewnością poezja kognitywistyczna, interdyscyplinarna sztuka polegająca na dokładnej obserwacji i skrupulatnej, zmysłowej i logicznej analizie cywilizacyjnych uwikłań współczesnego człowieka w świecie nauki, techniki, informatyki, lingwistyki, badania złożonych procesów neurobiologicznych, psychologicznych, etologicznych, mentalnych oraz systemów poznawczych. Jest to więc dziedzina twórczości niezwykle szeroka, wielokulturowa i multimedialna w swoim przekazie, odwołująca się do wielu tropów literackich, mitów, tradycji i kultur narodowych, sztuk pięknych i najnowszych osiągnięć badawczych i cybernetyczno-inżynierskich. Dembek nie tylko podąża za zmianami technologicznymi, ale właściwie jest z nimi na bieżąco, jest w centrum przemian na wielu płaszczyznach antropologicznych, interesuje go przede wszystkim humanistyka, dogłębne spenetrowanie i poznanie istoty człowieczeństwa.

Autor zastanawia się nad kondycją dzisiejszego społeczeństwa w wymiarze globalnym, ale i jednostkowym, stąd pochyla się nad niuansami etycznymi,

religijnymi, aksjologicznymi, ontologicznymi i epistemologicznymi. To sprawia, że jego skondensowana poezja jest wyjątkowa i intrygująca, przyciąga niczym magnes, czasem urzeka czytelnika trafnością sądów, innym razem budzi osobisty niepokój i wywołuje lęki cywilizacyjne, ale jednocześnie jest odważna w swoich w tezach, stara się być etyczna i moralna w przekazie, chce mówić prawdę o człowieku, chce ocalać wszystko, co ludzkie, a więc wątłe, kruche i przemijalne. To z pewnością jej mocna strona i na tym polega jej piękno.

Leszek Dembek, „Świat niezatrzymany”, redakcja i wstęp Róża Czerniawska-Karcz, seria:akcent, Wyd. Hogben i Związek Literatów Polskich, Szczecin XI 2021, s. 180.

Tekst Roberta Rudiaka był pierwotnie drukowany w kwartalniku „Migotania” nr 3 (76) 2022.

---

**XI edycja książek w serii:akcent, wydanych  
nakładem Związku Literatów Polskich  
Oddział w Szczecinie, w roku 2022  
Redakcja i wstęp Róża Czerniawska-Karcz**

---

---

**Między baśnią, snem a rzeczywistością  
można wykcentować inne światy...**

---

dla Bejdaka

*Jakoś nie umiał z ludźmi żyć  
Raczej kumplował się z ptakami (...)*

Adam Ziemianin

A może jednak trzeba zacząć od Bejdaka? Tytułowego i tym samym głównego bohatera czwartej książki Artura Justyńskiego. Kto to jest Bejdak? Skąd

się wziął? I dlaczego właśnie on, z tym swoim intrygującym imieniem? A może nazwiskiem, a może...

Wyjaśnijmy więc sobie. I nie o to mi chodzi, by przywołać jego drastyczne poczucie i przyście na świat, tę wiadomość otrzyma czytelnik, sięgając po książkę. Chodzi mi o to, by przybliżyć czytelnikowi wiedzę, skąd się wziął pomysł na takiego bohatera.

Autor powieści częściowo daje już odpowiedź, odsyłając do... zamieszczonych jako motto, strof piosenki o Bejdaku, autorstwa Adama Ziemiańnika. To w nich namalowany jest obraz – „bejdaka, człowieka łagodnego serca i pogodnej twarzy, któremu bliżej do ptaków i obłoków, a nawet do żab mu po drodze bardziej, niż do ludzi. Najczęściej jest samotnikiem... (...) Bejdak to środkowe i najważniejsze ogniwo w wielkiej galerii dziwolągów, których Bóg nam zesłał. (...) bejdak-dziwak pełen zadumy, liryzmu i refleksji” to... takie, już według mnie, stworze boże, na które Pisarz stawia najmocniejszy akcent w swojej opowieści.

A sama nazwa: „jest po trosze wymyślona na użytek poezji. Bejdak to taki nieudacznik życiowy, szarak, bidak (sic!), ale nie złośliwy, nie nachalny. Mnóstwo takich jest na świecie, nad którymi się nikt nie pochyla (...)” – jak objaśnia kreację balladowego bohatera, autor muzyki do tekstu krakowskiego poety, Krzysztof Myszkowski, ze Starego Dobrego Małżeństwa.

Jednak Bejdak z ballady, to nie Bejdak z powieści Artura Justyńskiego. Zapewne to jego daleki krewny, z pewnymi rysami podobieństwa, ale to też postać wpisana w zupełnie inny czas i w zupełnie inną przestrzeń, ze swoim losem na poły idyllicznym, na poły tragicznym. I tutaj prezentuje nam się ów kreatywny narrator Justyńskiego, który na kanwie Ziemiańnikowej poezji snuje swoją uniwersalną opowieść... Wplata w nią wątki: leśną idyllę małego chłopczyka z lasu, wychowywanego przez leśne stworza, pierwsze doświadczenia malca w ludzkim stadzie, czyli w taborze cygańskim, i w końcu życie pośród ludzkiej gromady w polskiej wsi, w bliżej nieokreślonym miejscu (bez nazwy miasteczka, wsi, rzeki czy jeziora), gdzieś... gdzieś na marginesie cywilizacji pe-relewskiej rzeczywistości, z echem zmian technologicznych i współczesności (może to już w wieku XXI?), gdy w ostatnim roku życia, spotyka Bejdak Gabriela, a ten mógłby nawet zostać przyjacielem samotnego, starego już mężczyzny, gdyby nie... przeznaczenie...

Jest bowiem świat przedstawiony w tej gawędzie o Bejdaku, na poły baśniowy, na poły realistyczny i bardzo, jak zwykle u Justyńskiego, wielowymiarowy.

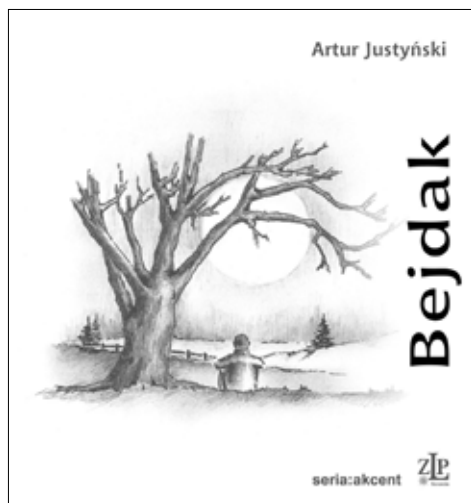


Przenikają się w nim światy i zaświaty, natura w swojej surowej potędze: przyroda, która rządzi się swoimi odwiecznymi prawami, a którym podporządkowane są wszystkie istoty: bogowie, bóstwa i stworzenia boże, czyli ludzie, zwierzęta i rośliny, ale też stworza...

Neologizm niezwykle trafny, powołany w tej opowieści przez Autora (to słowo jakże łatwo asymiluje się w treści), a zawiera w sobie cały pośredni świat istot funkcjonujący na pograniczu wymiaru zmysłowego i pozazmysłowego, wywodzący się z legend, mitów, podań ludowych, słowiańskich czy prasłowiańskich, nawet skandynawskich czy greckich.

Stworza spełniają swoją pomostową rolę między światem ludzi, zwierząt i pogańskich bóstw już zapomnianych. Metafizycznie, onirycznie, baśniowo, fantastycznie, ale też mocno realnie, momentami wręcz naturalistycznie łączą we wspólnym czasie i przestrzeni, byt i niebyt, dwa wymiary albo nawet trzy, w których egzystuje główny bohater, Bejdak – niewinne stworze boże. Bo tylko on obdarzony jest darem prawdziwej dobroci, która pozwala mu dostrzegać te światy: Boga, bóstw, leśnych stworzy czy duchów zmarłych. Ta metafizyczna aura syci narrację *Bejdaka*, prześwieśla opowieść światłem to słonecznym, to księżycowym, o różnych porach roku i nadaje przez to całej historii wymiar magiczny.

Rzeczywistość w powieści jest dziwnie zakrzywiona jak struna, niby precyzyjna, bo określona czasem realnym, znanym, np. historycznym – czas tuż przed wybuchem II wojny światowej, a jej pięcioletnie trwanie to tylko echa w refleksjach bohaterów, i czas po wojnie. Ale też jest to realny czas życia Bejdaka i to bardzo dokładnie wyliczony, co do sekundy, już w pierwszym zdaniu tejże historii: *Bejdak urodził się dokładnie osiemdziesiąt osiem lat, osiem miesięcy, osiem dni, osiem godzin, osiem*



(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

*minut i osiem sekund zanim go brutalnie pobito, na skutek czego stracił, jedyną cenną rzecz jaką miał, swoje życie.*

Czyli mamy do czynienia z dziejami życia, które nam odtwarza narrator, i tu nie obawiam się użyć za Olgą Tokarczuk określenia, bo to czuły narrator, niewątpliwie. Baję śpiewnie losy swego bohatera z nieskrywaną sympatią, nasyconą dobrymi emocjami, którą też przenosi na tych wszystkich, którzy Bejdakowi sprzyjają, opiekują się nim czy spieszą mu z pomocą. I są to zarówno bóstwa leśne, jak Leszy czy Swarożyc, czy też stworza, jak Południca, Rusałki, Wity... obok samej Matki Boskiej i Jej Syna, także aniołów czy św. Huberta. Są ludzie, ale i też wszelkie zwierzęta leśne i wodne, ptactwo, a także ryby czy owady, np. świetliki. Cały ten ekosystem z tego i nie z tego świata funkcjonuje jednocześnie, przenika się nawzajem, bo tylko w nim może przeżyć swoje osiemdziesiąt osiem lat, osiem dni, osiem godzin, minut i sekund... Bejdak. I większość tego życia dzieli pomiędzy las a ludzką społeczność. Ta jest poddana przez narratora szczególnej obserwacji. Gromada ludzka... niby nieliczna, ale jakże wyraziście namalowana, z zaznaczonym kontrastem, categorycznie rozdzielającym dobrych od złych... Ludzie bestie, jak samo zło, pojawiają się niespodziewanie na drodze i krzywdzą dla samego czynienia zła, zadawania cierpienia tylko dlatego, że... mogą poznać się nad słabszym...

Tym wyraźniej przeciwstawia im Autor *Cichego zachodu* te postaci, które niosą pomoc, opiekę czy miłość doświadczanemu przez los Bejdakowi... stwora leśne, Leszy, Rusałki, Południca, anioły, nieustannie czuwająca Matka Boska, a wśród ludzi – dziadkowie chłopca, czy przypadkowo spotkany turysta Gabriel, z *nomen omen*, anielskim imieniem!

I te dziwnie zagmatwane, a jakże logicznie się splatające spotkania i rozstania; dni, miesiące, lata szczęśliwe i jednocześnie pełne doświadczanego, bezwzględного okrucieństwa. Naturalistyczny wręcz realizm obrazów tortur przenikają baśniowe, oniryczne i metafizyczne opisy spotkań z leśnymi stworzami, czy zwierzętami albo duchami kochanych zmarłych, które tylko umacniają w Bejdaku podziw dla urody świata, potęgi natury i wszechwypełniającej miłości.

Czerpie Artur Justyński ze swojego wieloletniego doświadczenia wędrowania po lasach, górach, dolinach, brzegami rzek i jezior. Swoje oczarowanie – dziką urodą leśnych ostępów, łąk w kwiatkach, osypanych śniegiem zagajników leśnych, dróg biegnących w nieznaną, wspomnienia biwaków i znajomość leśnych stworzeń – zamienia w impresjonistyczne opisy, użycza narratorowi

wiedzy wędkarza czy ornitologa, leśnika czy botanika... Także jego narrator okazuje się psychologiem oraz znawcą dawno zapomnianych kultur słowiańskich. Sprawnie żongluje stylizacją językową, dostosowując się do swoich rozmówców czy słuchaczy. We wsi mówi gwarą i nie stroni od kolokwializmów czy wulgaryzmów ludzi z marginesu, z księdzem Walecznym, czy wykształconym dziadkiem Tadeuszem-artystą rozmawia Bejdak językiem literackim i prowadzi swobodnie dysputy teologiczne, o egzystencji czy sztuce. Narrator-gawędziarz sięga po frazę dawnej gędźby, którą bajął wędrowny gęślarz, a Matce Boskiej wkłada w usta biblijne wersety czy słowa modlitwy.

Barwna jest ta opowieść o Bejdaku, poruszająca i wzruszająca, bo potrafi Autor *Opowieści z za rzeki* tworzyć nastroje, budować napięcia, skalować doznania... wstrząsać i... wyciszać emocje. Korzysta z całego dostępnego warsztatu tak składniowo-językowego, jak i środków artystycznych, a wszystko to ma służyć jednemu celowi – zbudowaniu niepowtarzalnej historii o bohaterze, który wychodzi poza ramy dostępnego zwykłym ludziom człowieczeństwa, nie będąc przy tym herosem, na wzór mitologicznych postaci, ani też męczennikiem z panteonu chrześcijańskich świętych.

Bejdak Justyńskiego jest postacią z pogranicza, a może lepiej nazwać to miejsce rozstajami, skrzyżowaniem wielu dróg, na którym spotkają się wszyscy bohaterowie tej historii... zatrzymani w czasie i wydobyti z niepamięci, a zamknięci w narzuconym im kształcie: w drewnie wystrugany Chrystus fraszobliwy i gipsowa figurka Matki Bożej z kapliczki przydrożnej, i anioły stróże, te śnieżne i te czarne, jak samo mefistofeliczne zło; i stworza leśne, i bóstwa zapomniane, a pomiędzy nimi... Cyganie ze swoimi tajemnicami i wiejski tłum, gromada z groteskowo wykrzywionymi gębami (jak z filmu *Ferdydurke* według Gombrowicza)... a na obrzeżach cały świat zwierząt, tak mocno paralelnie eksponowany przez narratora, i tutaj go przywołam: *te wszystkie okoliczne ptaki zleciały się (...), wszystkie okoliczne zwierzęta przybiegły, przypelzły i przyskoczyły, by zamknąć w kręgu panoramy Bejdakowe życie.*

I takim też obrazem zamyka się ta powieść – niepowieść, baśń – niebaśń o Bejdaku, dla której pointą jest rysunek Marty Holak-Justyńskiej, ilustratorki tomu, wizualizującej pewną kreską na rysunkach tę niepowtarzalną aurę unoszącą się spomiędzy zdań, melodyjnych fraz, zgrzytających czasem dialogów, rozlewających się, jak nadrzeczne mgły, opisów... gdzie wartka proza zamieniana jest w kunsztowną poezję, która powraca lirycznymi doptywami w koryto prozy-rzeki, jako dzieło skończone w powieści Artura Justyńskiego.

I już ostatnie – Obrazek-treść i Obrazek-rysunek – domagają się obowiązkowo refrenu z ballady Adama Ziemiańca, by zamknąć koło żywota Bejdaka:

*Jakoś nie umiał z ludźmi żyć  
Raczej kumpłował się z ptakami  
Kiedys nad ranem z nimi odleciał  
Na niebieskie ptasie polany*

Artur Justyński, *Bejdak*, seria:akcent, wyd.hogben, Szczecin 2022

---

## **Nie tylko paprykarzem żyje Szczecin... akcent poezji jest mu też niezbędny...**

---

*(...) kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoło.*

Cyprian Kamil Norwid

*Wiersz jest zjawiskiem częstym, poezja jest zjawiskiem bardzo rzadkim...  
poezja, która w przeciwieństwie do wiersza, nie ma początku i końca.*

Tadeusz Różewicz

Czy to wypada? Słowu tak pospolitemu jak paprykarz i jego koligacjom kulinarnym stawiać za przewodników tak znakomitych Poetów, jak wyżej umieszczeni: dziewiętnastowieczny romantyk, który okazał się Poetą poza swoim czasem, Cyprian Kamil Norwid albo nam współczesny, Tadeusz Różewicz?

Pozory... wskazują na oburzenie, ale fakty przeczą pozorom. Żyjemy w czasach coraz większej swobody łączenia znaczeń, słów, rzeczy w zestawieniach nie tylko sprzecznych (te były już doświadczeniem nie tylko artystycznym), ale też w skojarzeniach nieskończenie odległych... Niech słowa dziwią się słowom... Niech się dziwią... słowa słowom, tematy tematom, treści treściom... a znaczenie – znaczeniom...

A Norwid i tak łączy bohaterów obecnej publikacji, i to nie tylko z racji przynależności do Panteonu Poetów Polskich, ile z racji oczywistych, czy mniej oczywistych, pokrewieństw twórczych, ale też zawodowych. Mistrz ma zawsze swoich uczniów. Wystarczy zajrzeć do biografii Różewicza lub Karpowicza,

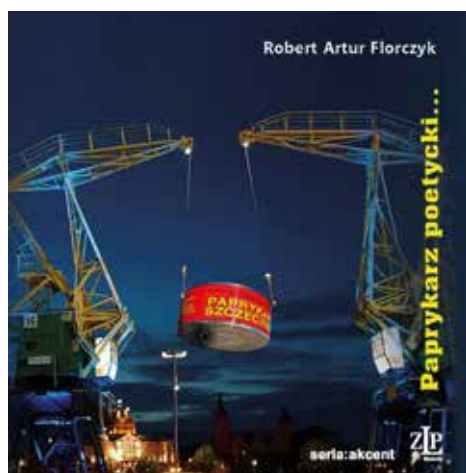
a odnajdziemy w nich Norwidowe wpływy, poetyckie pokrewieństwa i fascynacje. Czyli pierwsze odesłanie do źródła mamy za sobą. Za moment będzie o poezji.

I niech zgodnie z wolą Autora oraz przyjaznym mu patronom (posiadającym prawa autorskie do znaku towarowego Gryf, życzliwie użyczonego) paprykarz szczeciński stanie się – dzięki zabiegom literacko-artystycznym i wymaganiom czasu teraźniejszego – *Paprykarzem poetyckim*...

Autor ów, Robert Artur Florczyk, niestrudzony tropiciel śladów szczecińskości i polskości naszego miasta, odkrywa na nowo dzieje nie tylko historyczne, legendarne, literackie, ale też odsłania tajemnice im przynależne, wydobywa z niepamięci zdarzenia, przywołuje osoby znaczące i znane, ale też odświeża imiona nieco już wyblakłe na kartach kronik.

Robert A. Florczyk to nie tylko poeta, pisarz, publicysta z wytrwałością archiwisty, cierpliwie odszukuje zapisane historie. To także obserwator i komentator humorysta, który potrafi zobaczyć ludzi i sytuacje w wielu aspektach, zaprezentować oglądane, zarówno z należną powagą, ale gdy trzeba, przyprawić komentarzem zaprawionym ironią, dowcipem, a nawet szyderstwem. Jednym słowem, oddaje co cesarskie – cesarzowi a co boskie...

Stąd zapewne się wzięło owo przewrotne strywalizowanie tytułu jego najnowszej publikacji – danie rybne z puszki w zestawieniu z poezją, która według Tadeusza Różewicza *... jest zjawiskiem bardzo rzadkim...* A paprykarz to tylko i aż... – najpopularniejszy szczeciński smak, który mimo swojej pospolitej nazwy, ma całkiem niebanalne pochodzenie, taką też historię i jeszcze nosi w sobie znamiona ambasadorskie, bo... rozstawił Miasto Gryfa nie tylko w kraju, ale i poza granicami. O tym słów kilka (za zgodą patronów): „Ma afrykańskie korzenie, kiedyś podrabiali go Kolumbijczycy. W 1968 r. konserwa „Paprykarz szczeciński” dostała znak jakości Q i była polskim hitem eksportowym



(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

sprzedawanym w 32 krajach. W Szczecinie powstał jego kontrowersyjny „pomnik”. Dzisiaj tym specjałem handluje m.in. znany raper. Paprykarz szczeciński wraca do łask”.

Jednak nie samym paprykarzem Szczecin żyje, więc powróćmy do genezy poetyckiej, do składu szczecińskiego paprykarza poetyckiego. Otóż, według mnie, Autor jakże adekwatnie stosuje aluzję kulinarną do swoich literackich odkryć i tworzy nowy, oryginalny przepis na odczytywanie poezji w Szczecinie... Łączy styl wysoki z niskim... i to wcale nie szkodzi zestawionym słowom... ani powstałemu daniu. Jest w tym bowiem i ciało, i duch. Tak jak jest wiersz i poezja, jak słowa, a z nich powstająca być może artystyczna metafora... Znowu ta dygresja... Ale to właśnie od niej zaczyna Robert Florczyk swoją opowieść... Czerpie najpierw z włoskiego badania ankietowego „o ważności poezji w życiu” Włochów, przenosi swoje refleksje do Polski i na ulice Szczecina... do „naszego lokalnego wszechświata”. A przy tej okazji odkrywa zapomniane smaki, które pozostawili dawni poeci (którzy albo w przelocie jak ptaki, zatrzymali się i zachwycili miastem, albo ci, co to wybrali je sobie na stałe miejsce osiedlenia, uwicie gniazda), albo wskazuje na poetki i poetów z młodszego już pokolenia, którzy urodzili się – szczeciniankami i szczecinianami... i wciąż tworzą nowe warianty smaków szczecińskości. A Robert A. Florczyk puentuje to w zdaniu: *Zatem tyle razy będzie Szczecin przedstawiony, ile razy poeci opowiedzą o nim.*

Dlatego obecna, piąta już książka w dorobku pisarza, to kolejna mocno szczecińska pozycja Roberta A. Florczyka. I mogę chyba śmiało powiedzieć, że jest ona konsekwencją wydanych wcześniej przez poetę trzech zbiorów poezji – ze szczecińskimi wątkami, ale i tytułami: *Brama Portowa*, *Łasztownia – kapsuła czasu* czy *W Mieście Wenedów*. A dopełniona tomem opowiadań: *Trzy razy Wolność!* To właśnie w tych książkach zamyka swoją pasję poznawania przeszłości ukochanego Miasta i zamieniania je w literacką dokumentację w przeróżnych odstonach.

*Paprykarz poetycki...* to tym razem nie tom wierszy ani opowiadań, to nie impresje czy ekspresje zamknięte w strofy, nie opowieści z pogranicza fikcji i realu codzienności XX i XXI wieku... Są bowiem te relacje wytrawnego poszukiwacza szczecińskości trudne do zakwalifikowania gatunkowego... a przecież jakże na czasie, który także literaturze pozwolił wymknąć się z kanonów... abordaże, sylwy, kolaże, słowem wszelkie hybrydy właśnie teraz w sztuce mają się dobrze, bo każdy chce i może chodzić własnymi ścieżkami, może strząsnąć dogmatyczny kurz *sztuki poetyckiej*, *sztuki pisania*, ba, nawet wskazanym jest, aby poszukać własnego języka dla swoich wypowiedzi, a nie tylko stylu czy

formy... I korzysta z tego Autor *Paprykarza poetyckiego*... wybiera wędrówkę w czasie i przestrzeni po tematach ważnych i błahych, zbiera artefakty z archiwów w Książnicy i poetyckie okruchy wierszy rozsypane na pożółkłych stronach czasopism czy tomików, surfuje po Internecie i buszuje w bibliotekach, zachodzi do nielicznych już księgarń i czerpie ze zbiorów zaprzyjaźnionych bibliofilów. A wszystko po to, by odnaleźć zagubione strofy o Szczecinie albo tylko w Szczecinie napisane...

Czymże jest więc w końcu ta „smakowicie” brzmiąca publikacja? Wdzięczną gawędą, zamieszczoną w rozdziałach (jak etapach), o wędrówce do źródła... poezji o... i w Szczecinie powstającej? Na co porwał się pasjonat historii Szczecina (sam poeta) współtworzący owo penetrowane przez siebie środowisko i dopełniający przestrzeń oraz czas *Miasta Wenedów* swoimi wierszami i prozą?

Otóż, wydaje mi się, że zamiarem (może nieco przewrotnym) było ukazanie po raz kolejny wielowymiarowości naszego Miasta, które, jak puszka paprykarza, skrywa przysmak. Ten jest atrakcją dla przyjezdnych, ale daniem powszednim dla mieszkańców. Może to właśnie szczecinianie powinni ponownie odkryć poetyckie smaki swego Miasta? Może tak jak Włosi, szczecinianie powinni poczuć niezbedność obecności poezji, a zatem poetek i poetów w swoim mieście? A można to uczynić tylko w jeden sposób... powrócić należy do źródła, czyli korzeni, czyli do śladów przeszłości w teraźniejszości. I to właśnie czyni przewodnik – Robert A. Florczyk.

Wiersze piszą poetki i poeci wielu szczecińskich pokoleń, więc Robert A. Florczyk tropi tę szczególną brać artystyczną naszego Miasta, która, zgodnie z przestaniem – „wydobywa z zieleni metafory” i nie tylko... Sam pisarz z satysfakcją prezentuje swoje znaleziska i wytycza (zapisując na mapie poetyckiego Szczecina) nowo odkryte szlaki, przywołując znane powszechnie wiersze (Gałczyńskiego, Przybosa, Różewicza, Balcerzana, Rajzmana czy Raszki) i zupełnie zapomniane wersy, strofy, tytuły (Karpowicza, Wirpszy, Bursewicz, Krzywińskiego, innych)... okoliczności, wydarzenia, anegdota... Stawia przy nich imiona i nazwiska, czasem daty znaczące. I co z tego powstaje? Poetycki paprykarz, przepis niepowtarzalny na szczecińską poezję... A w składzie „potrawy” – przyprawy do tematów, wyważone proporcje treści, odpowiednio doprawiane solą patosu i pieprzem dowcipu... I to wszystko. A teraz wykonanie... Wszystko po kolei... Bazę tego „smakołyku” tworzą dwa podstawowe składniki: Szczecin i Poezja albo Poezja i Szczecin, co jak widać jest jedno. Potem dodatki: grono, znaczne grono poetek i poetów – pośród plejady znakomych nazwisk ze środowiska literackiego i artystycznego – Szczecina i Polski,

nazwiska i twórczość wielu dopiero do poznania. Przyglądnijmy się kompozycji tego almanachu nie-almanachu, ozdobionego zdjęciami Florczyka-fotografa, poznamy imiona i nazwiska autorek i autorów wierszy, umieszczone dla wygody czytelnika także w spisie AUTORZY WIERSZY.

Oto główne rozdziały *Paprykarza poetyckiego*...:

– Gawęda o Tadeuszu Różewiczu, z Gałczyńskim, Wirpszą i Szarugą w tle. Z Głębokim i z młodzieżą licealną czytającą wiersze rozwieszane na drzewach wokół Jeziora Głębokiego podczas styczniowej Leśnej Soboty... wędrówki z Poetą, który ujawnia swoją jakże znaczącą obecność w Szczecinie i jej ślady, nie mniej ważne, niż te po Gałczyńskim.

– Jest opowieść o prawie zapomnianym Poecie (przynajmniej w Szczecinie), Tymoteuszu Karpowiczu... pierwszym powojennym szczecińskim poecie, który wydał swój pierwszy szczeciński tomik wierszy *Żywe wymiary*, w pierwszym powstałym po wojnie szczecińskim wydawnictwie... Poecie, który rozwijał skrzydła w Szczecinie i tę szczecińskość poniósł w świat, aż za ocean. I był norwidologiem!

– Arcyciekawa historia o szczecińskiej Grupie Poetyckiej METAFORA, kiedy to czterech młodych poetów ogłosiło w czasach mało przychylnych poezji (66 lat temu) swój poetycki Manifest. Do tych odważnych młodzieńców należeli: Józef Bursewicz, Andrzej Dzierżanowski, Ryszard Grabowski i Janusz Krzymiński. Dołączył do nich piąty – Edward Balcerzan. Akces przynależności zgłosił nawet Edward Stachura, chociaż wtedy nie szczeciński a gdański... ale podpisujący się pod programem.

– *Szczecin Miasto Wolności!* Inna przestrzeń, inni ludzie i wydarzenia, wydawałoby się, że nie poetyckie wcale, ale wkraczające w przestrzeń wiersza na zawsze; to Stocznia Szczecińska i Grudzień '70. A potem 1980 rok; to szczecińska Solidarność w zrywach wolności... Temat niezwykle ważny i wciąż obecny – w badaniach i zapisach Autora książki *Trzy razy Wolność!* Stąd przywołane wspomnienie o bohaterze tamtych wydarzeń, którym był Edmund Bałuka. O podmiocie lirycznym wiersza, *Edmund Bałuka patrzy na Stocznię Szczecińską*, którego fragment zamieszczono w narracji.

– Jest też Szczecin – miasto portowe, miasto z morską historią; jest tłem, ale i uczestnikiem wydarzeń historycznych, także miejscem dla ludzi i ich spraw bardzo intymnych, prywatnych, kameralnych, ich emocji i wzruszeń – a do nich należy przecież miłość, więc miłością w Szczecinie inspirowane są wiersze.



– Miasto ze swoim industrialnym wnętrzem, portowym krajobrazem zawsze urzekało i... przyciągało artystów, nie tylko tych od słowa. Ale dla tych ostatnich było nieustającym natchnieniem... stąd rozdziały o...Dźwigozaurach na Łasztowni (jakże je pominąć w krajobrazie miasta) o ulicach, o parkach czy komunikacji miejskiej. *Wszystko jest poezja...*

– Odnajduje więc Robert A. Florczyk wiersze poetek i poetów, tych znanych i zupełnie anonimowych, gdy wędruje ulicami, alejami, czy jeżdżąc tramwajem albo autobusem. Na przystankach zbiera wiersze... Przygląda się pomnikom, odwiedza miejsca pamięci. Bo to szczecińska nekropolia – Cmentarz Centralny – leży w kręgu zainteresowań piszących o odwiecznym smutku egzystencji.

– Cóż, wydaje mi się, że każde danie, nawet to rybne, musi kończyć się deserem, a tort na deser musi mieć swoją wisienkę... W opowiadaniach o szczecińskim paprykarzu Autor *Bramy Portowej* proponuje swoją wisienkę! A jest nią niewątpliwie pomnik kota! Kot Umbriaga... ulubieniec szczecinian z nadodrzańskiego bulwaru. Jego żeglarska historia wywołała motyw kota w poezji. I stąd pozbierane wiersze o kotach... kotach, które mają swoje szczególne miejsce w poezji i sercach poetów.

Można się zastanawiać, czy Robert A. Florczyk osiągnął cel, przygotowując swój szczeciński paprykarz poetycki? Próbuje Poeta odpowiedzieć na to pytanie w *Zakończeniu, które miało być wstępem...* też dopełnione wierszem.

Moim zdaniem, dostają Państwo jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny przepis na wyborne szczecińskie danie... *Paprykarz poetycki...* Składniki są już znane i proporcje mniej więcej, natomiast, jak każdy, przepis należy samemu wypróbować i przyprawić do smaku... czyli zmodyfikować, dodając to, co, być może, Autorowi umknęło albo nie zmieściło się w obecnej publikacji.

Eksperymentowanie! To jest przesłanie Autora tomu *Łasztownia- kapsuła czasu*. Robert A. Florczyk wręcz zaprasza w ostatnich zdaniach swojego *Zakończenia...* do wyruszenia na poszukiwania. Ileż wierszy o Szczecinie, ileż szczecińskich autorek i autorów czeka na Wasze odkrycie! Niech poezją karmi się Szczecin! A poezja niech ocala i zostanie ocalona przez nas! *Ocalenie poezji wiąże się więc z ocaleniem sensu egzystencji i odśnianiem prawdy o niej, dlatego Różewicz przejmuje od Norwida imperatyw szukania „odpowiedniego słowa dla rzeczy tego świata.”* – mówi w swojej rozprawie *Nieoczywisty mistrz Tadeusza Różewicza* – prof. Grażyna Halkiewicz-Sojak. A szczeciński Poeta zachęca: *Szukajmy źródła!*

Motywacją do tych poszukiwań niech będą nam słowa włoskiego mistrza, Leonarda da Vinci: *Ten, kto ma dostęp do źródła, nie czerpie z kałuży.*

Robert Artur Florczyk, Paprykarz poetycki..., 81.poz. seria:akcent, Wyd. hogben, Szczecin 2022

---

## Tułacze losy... z akcentem nieoczekiwanym w Ostatnim rozdziale...

---

*Kto nie dąży do rzeczy niemożliwych, nigdy ich nie osiągnie.*

Heraklit

Ta książka jest o spełnionym marzeniu!

Ta książka jest o Nadziei, która nie ostygła, bo ogrzewana była miłością. O Nadziei, która dzięki niezwykłym okolicznościom, zupełnie nieoczekiwanym zbiegom różnych przypadków... oraz dzięki ludziom dobrej woli – pomogła zatoczyć i zamknąć koło pewnej historii, gdy ta zaczęła się we wrześniu 1939 roku i działa się do kwietnia roku 2022. W los tułaczy wplotła trzy wątki, trzy życia trzech niezwykłych/zwykłych kobiet, którym nie dane było cieszyć się sobą, rodzinnym życiem i bliskością, bo rozdzielało je przez 83 lata nieubłagane fatum. Jednak Nadzieja okazała się mocniejsza od przeznaczenia... bowiem w końcu zamieniła marzenie w spełnienie.

\* \* \*

W 2011 roku ukazała się książka Danuty-Romany Słowik pt. *Tułacze losy*, nie powieść, bo nazbyt z życia wzięte, ale mocno literackie opowieści-wspomnienia dwóch kobiet, które zmuszone przez życiowe okoliczności stały się emigrantkami, stanowią kanwę historii. To prawdziwe koleje życia babki i wnuczki, opisane przez jedną i drugą w przełomowych, nie tylko dla nich, wydarzeniach historycznych Polski i... świata. Ich losy to małe, indywidualne epepeje, które składają się przecież na dzieje narodu.

Między dwie główne bohaterki – Babkę Romanę i Wnuczkę Danutę – wpisany jest też wątek wcale nie epizodyczny... życie Krystyny – córki Romany, a matki Danuty. Jak splecione są te wątki?

A otóż i streszczenie: Romana Turońska opuściła Polskę w sierpniu 1939 roku na pokładzie „Batorego”, jako siostra okrętowa i – z powodu wybuchu wojny – nigdy już do kraju nie powróciła. Jej pamiętniki spisane w Szkocji

w Polskim Szpitalu Wojskowym trafiły po jej śmierci do córek, które pozostała w Polsce, a w końcu do rąk wnuczki. *Szpital w zamczysku*, pamiętnik Babki Romany stał się inspiracją dla tej ostatniej, do napisania książki *Tułacze losy*, i jej integralną pierwszą częścią. Jednocześnie losy Wnuczki Danuty stały się tematem dla drugiej części emigranckich zapisków i dopełniły całość publikacji. O ile Romana opisywała czas wojenny i jego skutki, o tyle Danuta w części II, w *Karuzeli*, ukazała równie dramatyczne wydarzenia z życia peerelowskiej rzeczywistości pierwszych czterech dekad powojennej Polski. To one stawały się przyczyną emigracji dla wielu rodzin, które udawały się w poszukiwaniu pracy, bezpieczeństwa i wolności w obcych krajach.

\* \* \*

Czytelnik zagłębiany w lekturze *Tułaczycy losów* odnajduje podobieństwa życiorysów obu bohaterek, ich wspólne cechy charakteru determinujące przetrwanie w najtrudniejszych okresach życia, ich upór wspierany nadzieją na zrealizowanie celu...

A było nim dążenie do ponownego spotkania. Romanie Turońskiej nie udało się powrócić do ojczyzny. Krystynie nie udało się zobaczyć matki ani nawet pojechać na jej pogrzeb. Wnuczka Danuta przejęła dążenie do celu... Tak pisze w zakończeniu ostatniego rozdziału *Tułaczycy losów*: (...) *Czas ucieka nieubłaganie. Któregoś dnia skończy się. Nie można niczego odkładać z dnia na dzień, sądząc, że zdąży się jeszcze wszystko zrobić. Kiedyś tam... Bzdura. Mama babci nie zdążyła zobaczyć, ja nie zdążyłam pojechać z mamą do Manchesteru, aby mama mogła chociaż położyć kwiaty na jej grobie i jak tak dalej pójdzie, nie zdążę napisać obiecanej książki. Jestem ją jednak winna, zarówno babci jak i mamie. Chyba wreszcie do niej dojrzałam. Jestem gotowa ją napisać. Widzę ją wyraźnie przed oczami. Wiem, jak powiązę dzieje babci z historią powojenną. Potrafię też wyjaśnić, dlaczego dopiero teraz stało się możliwym opublikowanie tych dziejów, bez dopasowywania*



(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

treści do jakichś zwariowanych, propagandowych, socjalistycznych celów. Wreszcie historia mojej babci, jej córki i wnuczki może ujrzeć światło dzienne.

Zamiar został przez Autorkę zrealizowany. Książkę wydała już w wolnej Polsce. Jej kontynuacją była powieść *Rozmowa... z jednej nocy*, wydana w 2017 roku, z wątkiem emigracyjnym, naturalnie. Powstawały i wychodziły kolejne książki... pierwsze tomy wierszy: *Europa bez granic* (2011), *Złamać skrzydło motyla...* (2017); także zbiór opowiadań *historie... z życia wzięte* (2020). I wszystkie te publikacje zmierzały (niezamierzenie zresztą) do celu... do ostatniego rozdziału losu tułaczego, który był ciągle niewiadomy.

\* \* \*

W twórczości Danuty-Romany Słowik charakterystyczny i jakże znamieny jest przewijający się na stronach wszystkich Jej książek wątek emigracyjny, dzieje Polaków żyjących, podobnie jak Autorka *Tułaczycy losów*, od dziesięcioleci za granicą. Emigracja szeroko pojęta pojawia się również we wspomnieniach Jej bliskich, których historia sięga okresu międzywojennego i II wojny światowej. To są te same tułacze losy w przeszłości jak i współczesne, które stają się udziałem ludzi uciekających przed wojnami, rewolucjami albo reżimami.

Obecna książka Danuty-Romany Słowik, *Ostatni rozdział... Tułaczycy losów*, to jeszcze jedna „świeża opowieść” z tego samego tematu, ale też szczęśliwe zamknięcie (dla samej Autorki!) pewnej niedokończonych historii wojennej. To – niemal metafizyczne doświadczenie upragnionej bliskości – spełnienie się marzeń trzech kobiet (babci, mamy i wnuczki), które na różne sposoby i z różnych życiowych powodów doświadczyły skutków tułaczego losu... Fascynujący i jednocześnie pogmatwany wątek rodzinnej historii sprzed 83 lat znalazł swoje zakończenie..., oczywiście, na obczyźnie!

\* \* \*

Refleksja. A jednak marzenia się spełniają! Nawet te najbardziej nieprawdopodobne. Możesz, Czytelniczko i Czytelniku, tego doświadczyć, docierając wraz z Autorką do celu Jej sześćdziesięciopięcioletniej podróży w czasie, do upragnionego miejsca w przestrzeni (po śladach Romany Turońskiej do Szkocji, Anglii i na cmentarz w Manchesterze), i to znowu w przełomowym momencie dziejowym historii Europy!

Danuta-Romana Słowik, *Ostatni rozdział... Tułaczycy losów*, seria:akcent, wyd.hogben, Szczecin 2022

---

## Co zrobić z akcentem... gdy Łapacz róż snem na jawie przepętłiony?

---

Myśl zamienia się w pytanie i... w parafrazę Noblistki: tyle naraz stron słowa ze wszystkich stron słowa... a może inaczej – tyle naraz stron znaczeń ze wszystkich stron znaczeń... i do tego trzecia przestrzeń – tyle naraz stron wersu ze wszystkich stron wersu!!!

A akcent! Co z nim? Gdzie znajdzie swoje miejsce w *Łapaczu róż*? Pośród pytań już postawionych jeszcze jedno: (...) *i jak ja to ustawię, gdzie ja to położę*, musi wybrzmieć *wykrzyknik z pytajnikiem* na te nadzwyczajne (na)rodziny trzeciego tomiku Edyty Rauhut, szczecińskiej poetki, która nazywa siebie tylko „wierszoklektką”. A przecież nie „kleci” tych wierszy, tylko z uporem świadomej tropicielki słów, znaczeń czy wersów przemierza zbadane/niezbadane przestrzenie sensów myśli werbalizowanych. Podążając za nią po raz trzeci (od 2018, gdy miała swój debiut), wchodzę w świat sobie bliski, świat Szymborskiej, ale i Andersena, świat Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Poświatowskiej czy Leśmiana, Staffa i Kondratowicza... Odwiedzam *krainę czarów* Carolla i *krainę łagodności* Harasymowicza, przemierzam *cudne manowce* Stachury i docieram do ogrodów tajemniczych, w których tylko nieliczni przebywają. I odkrywam w tych krainach nową ścieżkę, którą starannie wytycza poetka, Autorka *Roztańczonego atramentu*...

Trzeci tomik Edyty Rauhut jest bowiem precyzyjnie zaplanowany, świadczą już o tym same tytuły rozdziałów (pięknie ozdobione ilustracjami Adrianny Rauhut, która wraz z siostrą występuje w artystycznym duecie), tworzące misterny pierwszy splot *Łapacza róż*, a ten jawi się jako myśl przewodnia, główny wątek poetyckich



(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

znaczeń zawiązany ...*przy korzeniu pragnień* – snuje się ...*między kolcami snów* – oplata ...*na łodydze jawy* – by znaleźć swoją pointę ...*w kwiecie sensu*. Czyż nie jest to mistyczne ujęcie bytu, samego w sobie, a wpisanego w symbol róży? Bowiem, \*\*\* (*róża wyrosła na*)

*róża wyrosła na  
ostrym słowie  
miętkość nieba w  
rozkwicie chłonąc*

I tutaj akcent musi paść na frazę, bez której moje odczytywanie *Łapacza róż* Edyty Rauhut nie może się obejść: *Róża jest różą jest różą...* (Gertruda Stein)... Róża mistyczna, wielokulturowa, może pozakulturowa, bo ponadkulturowa... odwieczna... symbol o tylu wymiarach... od *korzenia pragnień* pomiędzy *kolcami snów*... *wzrasta łodygą jawy*, zawiązuje zapach w płatkach korony... by otworzyć się zdumiewającą urodą znaczenia w *kwiecie sensu*... Oto cały poetycki proces (i tajemnica kreacji) powstawania opowieści lirycznej tego tomu! Wielowymiarowość, po którą sięga Poetka i z której czerpie w możliwie obfity sposób, pozwala odświeżać symbole, odkurzać frazy, wyrażenia, zwroty, podmalowywać metafory, tworzyć nowe zestawienia, konfiguracje z potocznych i z artystycznych zasobów słów. Róża – kwiat, dziewczyna, kobieta... róża – klucz wtajemniczenia, biała albo czarna dla znawców i banalnie kolorowa... dla *zjadaczy chleba*. Róża z baśni, mitu, legendy, przypowieści biblijnej... tak jak słowo czy wiersz... Dla smakoszy filozofii – dociekanie tajemnicy, dla poszukiwaczy Atlantydy, alchemików słowa – róża tajemnica. Róża słowo i byt botaniczny, biologiczny albo w tomie, *pognieciona róża*:

*pognieciona róża / między / życia kartkami / usycha z / rozkoszy czasu  
/ kwitnąć w / obecnym jutrze / uśmiechem //*

Ale czy to ona jest główną bohaterką tych baśniowych wynurzeń *Łapacza róż*?

*łapacz róż skradł mi / idealny sen dla / ciebie a ty pomimo / pustych  
rąk nie / przekreśliłeś nocy w / ogrodzie nie bez / skazy na płatkach /  
śniących słów //*

Nie, nie... jak widać, akcenty rozkładają się nierówno... bo to są właśnie owe *cudne manowce* poezji. A *Łapacz róż* – łapacz snów to zabawa, gra onomatopieczna, w której warianty odczytań są nieograniczone. Nie ma regulaminu w tym nieogarnionym zasobie metafor, epitetów, porównań, oksymoronów i innych środków poetyckich! Bo to, co chce złapać, pochwycić Poetka, staje się też celem Czytającej lub Czytającego:

\*\*\* (różany wiersz)

*różany wiersz / ma ostre kolce / ironii przy tym / zachwycając / barwami  
uczuc / stylistycznych/ – kiedyś napiszę / taką dojrzałość //*

Podążanie jest celem... za tym, co zawsze jest nieuchwytnie... sen, miraż, sens, myśl... i zamienianie ich w kształt, byt materialny... Pragnienie, by wydobyć, odkryć znaczenie, znanego/niezanego... towarzyszy Poecie, stąd te zabiegi z inwersją, z nawiasami, z aluzjami, odsyłacze do fraz, przysłów, sentencji, powiedzeń potocznych czy wybranych z ksiąg... np. reinterpretacja współczesna biblijnej przypowieści w wierszu *owoc i drzewo*:

*owoc poznania obojgu smakował / lecz podczas spowiedzi / jej własnością  
były prawa autorskie / do grzechu a rozum jego w / drzewo wpełzł z którego  
księgę na / obraz i podobieństwo stworzono/ a jabłonie płaczą //*

Trwa gra brzmieniem, głosem, znaczeniem, \*\*\* (zdrobnienia żartują)

*zdrobnienia żartują / z groteski wersów / zgrubieniami gasząc / zaognione  
powagi / tży / co się wierszem / normują skrajnie //*

To też celowe i w pełni świadome zapisy graficzne wierszy, utrudnienia stosowane przez Autorkę w kompozycji muzyki wersów... rozdzielanie, rozrywanie wyrażeń przyimkowych, by skupić akcent na przyimku w wygłosie wersu, a potem przenieść tenże akcent na wyraz w nagłosie wersu kolejnego, często następnej strofy. Stąd zapewne w większości wykorzystane dystychy. Wszystko to służy wymuszeniu skupienia, powrotu do pierwszego wersu i czytania sensu jeszcze raz! Odczuwam wręcz przymus czytania na głos tych wierszy, by pochwycić sens ulotny bawiący się ze mną w chowanego, gdy próbuję odkryć brzmienie przestawionego zdania. Ot, choćby w tekście, \*\*\* (*kartki zwijają się*)

*kartki zwijają się  
ze śmiechu gdy  
je łaskocze pióro  
marzeniami tych  
świętych słów co  
myślami bazgrzą  
wyprostowanymi  
jak zwoje uczuć*

A teraz do czytania układam je sobie w składniowym rytmie: *kartki zwijają się ze śmiechu, gdy je łaskocze pióro marzeniami tych świętych słów, co myślami bazgrzą wyprostowanymi jak zwoje uczuć*. Ten zabieg pokazuje, jak nagle słowa

w wersach płyną strugą, która śpiewa, szemrząc rytm myśli udostępniony, odkryty w swojej treści. Wybrzmiewa muzyka/melodia istoty wiersza... rozchodzą się nuty jak zapachy... nuta głowy – najbardziej ulotna, nuta serca – najważniejsza, bogata w emocje i nuta głębi/baza – najtrwalsza, zachowująca pamięć znaczeń najdłużej i najsilniej! Synestezje! Zapachy jak muzyka, a słowo to muzyka!

Pojawia się znów pytanie o akcent: Czy róża to wiersz, czy tylko słowo-baza? Tak jak sen-jawa albo odwrotnie jawa-sen? Pytania Poetki odwieczne... odnalezione... ale tylko pytania: – jak zbudować świat róży? – jak go uporządkować? – jak robi to *poeta, malarz, muzyk, morderca, psychopata, wampir, kr(w)awiec...* (to kolejni epizodyczni bohaterowie lirycznej opowieści). Tu echa lektur bezspornie z horroru, thrilleru czy *fantasy*. Albo inne strony wiersza – strony świata poza wersem, poza słowem, które nie wpadło ani w łapacz snów, ani w łapacz róż...

Cała rodzina pokrewnych różanych słów to też symbole nadające znaczenia snom i wierszom pisany *roztańczonym atramentem*... Może dlatego zawsze pozostaną po tamtej stronie snu (*nie*) z *tej bajki* Edyty Rauhut, a i my w nich na zawsze *zaplątani*:

*zaplątani w swoje / wiersze wciąż // ciszą podlewamy/ różę spiętą w //  
kok bez oddechu / a kosmyki słów // choć rwą się dziś do / pokonania  
muru // wiezy nieposłuszne / śmieszności // giną w zalotach / antologii*

Nie sposób nie zauważyć, że wątek *Łapacza róż* nasycony jest autotelicznymi motywami, wierszami o wierszach, o różnych formach twórczego aktu uwikłanego w realne i fantastyczne układy postrzegania świata. Codzienność i fikcja literacka w jednym. Na przykład, taka metafora autoteliczna, oczywiście w moim zapisie odczytywania, wiersz *upiór*:

*upiór skradł serce poezji do naga ją rozbierając ze słów i pozostawił  
tylko ulotną chwilę w dłoni zmysłów, zatapiając w bezsenności cichej  
nocy ducha róży*

albo inny spośród wielu wierszy o wierszu, *zgorszenie*:

*krwotok wewnętrzny / wersów splamił / sumienie inspiracji co / nie  
kiwnie piórem / by zatamować wiersza / zgorszenie nagością / interpretacji  
tańczącej / między słowami //*

I tu chwila refleksji, moment zadziwienia nad możliwościami kreacji konfiguracji słów w nieodległych albo odległych od siebie tematach... I tu niewątpliwa



oryginalność poetyki Autorki, która nie powtarza raz sprawdzonych wersów, ale tworzy wciąż nowe, często zaskakujące sytuacje liryczne dla swoich bohaterów z tej i nie z tej bajki. Nie zmienia się stylistyka jej lapidarnych zapisów, bo w tej formie można się mieścić najkrócej. W dwóch, trzech, czterech strofach zamyka Poetka świat miłości i codzienności, świat lektury, świat pełnej metaforycznej kreacji wiersza, a potem miesza te światy, by wyszły jej spod pióra albo klawiatury zaskakujące wersy... *zaplątani*

*w swoje wiersze wciąż ciszą podlewamy różę; sen kawy zaparzonej  
we wrzątku miłości; obłąd roztańczył się pełnią śmierci; wiernie zdradzam  
myśli z echem dni; wers zgrabych marzeń o orzeczeniu; jeden  
wiersz za dużo wypalony pod szkołą; pisarz mutacje klasyki truje; sen  
muzyka który poety głosem fałszuje najprawdziwiej...*

itd., itd. tyle naraz stron słowa, ze wszystkich stron słowa... i wszystkie z akcentem! Oczywiście, można mnożyć przywołania, jest tego cały tomik, jeden, drugi, trzeci, ale po co? Przecież zaraz podążysz Czytelniczko/ Czytelniku w głąb tego trzeciego tomiku Edyty Rauhut i sam przeżyjesz owe niezwykle emocje, towarzyszące spotkaniom z Jej wyobraźnią,

\*\*\* (wodzisz za serce)

*wodzisz za serce / wyobraźni głos / rozpakowując w / nim pocałunków  
/ ostrza / co mącą / poczytalność //*

Ale nim się zagubisz i odnajdziesz w uliczkach i zaułkach wierszy, do których zaciągnie Cię Poetka lirycznej zabawy:

*w uliczkach lirycznej / zabawy ukryłam / serce / co potyka się o /  
nierówności metafor / naklejając oksymorony / na liczne zadrapania a  
/ mimo to miłość i tak / czai się w zaułkach //*

to zatrzymam Cię jeszcze na chwilę przy Adriannie. Brzmi jak Ariadna, ta od kłębka wełny, ta od Tezeusza i od wyjścia z labiryntu. A czy labirynt to nie swoisty łapacz snów? Łapacz róż? Otóż to. Bo jest to ilustratorka tej różano-onirycznej opowieści – Ada Rauhut, projektantka okładek oraz ilustratorka trzech poetyckich wydań tomów siostry – która pochyla się nad słowem, a raczej nad ukrytym między słowami przekazem, sensem, wizją... i zamienia symbole w obrazy... kreską, kształtem czy kolorem. A drogę tym razem znaczy nie realnym odbiciem kwiatu, portretem codzienności, nawet nie pejzażem wnętrza, ale wchodzi w przestrzeń precyzyjnego konstrukt... mechanizmu,

który nakręca nasz makro... i mikrokosmos... Jej łapacz snów, a może i róż, to drobne trybiki o przeróżnych kształtach, wykończone zębatymi krawędziami, by czepnie poruszać się w swojej mechanicznej przestrzeni. Myślę, że skojarzenie z trybikami wnętrza zegara, czasu w wymiarze raczej kosmicznym niż ziemskim... nie jest odległym od zamysłu, a jednocześnie te linie przewodów, jak włosy czy nitki organicznego przewodzenia zastępują tu misterną plecionkę łapacza róż/snów/ marzeń/ pragnień/emocji... To w nie mają się wikłać albo nimi mają się przemieszczać złowione myśli, skojarzenia, odkryte neuronowe zapisy wrażeń, przypomnień: ekstaz i lęków, wzruszeń i obrzydzeń, zachwyków i rozczarowań.

Czyżby nasze zapisane psychiczne wnętrze? W łapaczach snów albo róż zamknięty jest przecież niezmierny świat wiersza/świat wnętrza. Ze złotym połyskiem pochwyciła Artystka kreską i kołem, kółkiem, kółeczkiem... aż do kropki spod stalówki... wpisując dyskretnie symbol kwiatu w zagmatwany świat wnętrza słowa swojej siostry poetki, gdzie od czasu do czasu... (*neo*) *poezja gwiazd / sięga profanując / (wio)senne sacrum / marzeniem*. I dają się obie za-trzymać pośród tych zamkniętych znaczeń do odczytań naszych, *w porę*:

*gdy wierszem się uśmiechasz / to serce pisze szybciej / a wyrazista  
mimika wersów / sprawia że wyskakuje / z brudnopisu / tylko czy  
słowem / zechcesz je w porę złapać //*

w Twój własny Czytelniczko/Czytelniku *Łapacz róż?*

Edyta Rauhut, *Łapacz róż*, seria:akcent, wyd. hogben, Szczecin 2022

---

## Z akcentem na chodzenie z przyimkiem (od)...

---

### I W stronę wiersza...

*Droga, którą idę, jest jak pierwszy własny wiersz,  
Uczę się dopiero widzieć świat jaki jest (...)*

Janusz Kondratowicz

*Piszę, bo jest to sposób, w jaki przeżywam świat,  
który widzę dookoła siebie.*

Will Self

Jest Małgorzata Hrycaj poetką wnikliwą, jest poetką wrażliwą, powiedziałabym, że jest też poetką niuansu... bowiem jej zapis świata jest rejestracją zarówno liryczną i naukową jednocześnie, ogląda i bada świat pod mikroskopem swoich emocji... i go opisuje wedle posiadanej rozległej wiedzy. Mało co umyka jej uwagi... A ponieważ interesuje ją wszystko (od pantofelka, przez florę i faunę, kosmiczne obiekty po krwioobieg i oddychanie, zaburzenia nerwowe i psychiczne, i to tak przy okazji lektury Bułhakowa czy Baczyńskiego... i na nich nie kończy...), poznawanie dla niej jest wyzwaniem... ogląd – zdumieniem, opis poetycki – zaskoczeniem... (dla czytelnika, nie dla poetki), że można tak oryginalnie nazwać – rzeczywistość. Dowodem jej ciekawości jest miniatura otwierająca tom: **na wagę złota** z ł o c i s t e: / słońce liście zamglenia / grosik za twoje myśli / złote runo milczenia //

Temperament Autorki *Aponii w ogrodzie* w jej wersach wycisza się (nieco)... zamienia rwący górski potok jej aktywności w kontrolowany strumień świadomości wyptywających słów... **na przemiał** nie wiem czym mnie nakarmisz / pozwolisz jeszcze napisać / biegnę do ciebie gotowa / na akceptację życia //

Zdumiewają metafory, kołyszają melodie fraz jak piosenki, a ile aluzji, odniesień przy tym? **namaszczenie**

*przy drogach  
drzemią nasze cienie  
kładą się trawy  
w poskręcanych konarach jabłoni  
pokuszenie postrzępione michałki  
jak pierwsza straż jesieni  
ostatnie liście posłuszne wiatrom*



(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

*zwróć promienie słońca na okrycia  
pójdziemy w półmrok gór  
pełni zieleni  
naznaczeni miłością ziemi  
zostawimy na przystanku  
niemoc cieni*

Czyż nie brzmią te wersy jak wyśpiewane przez Ewę Demarczyk wiersze Krzysztofa Kamila Baczyńskiego? A to przecież ukochany poeta Małgorzaty Hrycaj. To jego wersy wciąż przywołuje w swoich strofach, to jemu dedykuje nowe. Nie przypadkiem na stronach tego tomu pośród kilku zamieszczonych juveniliów (*piosenka dla mamy, upadek*) jest wiersz poświęcony właśnie Baczyńskiemu: **Śmierć „Słowackiego”** (Pamięci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego) *Kim wtedy byłeś mój poeto, / jakie pisałeś sobie imię / rzędami ołowianych liter / w bitewnym pyłe?/* Najbardziej jednak wciąga w głąb wyobraźni Jej obrazowanie... uroda świata spójna z krajobrazem wewnętrznym podmiotki lirycznej (wolę jednak *ja* liryczne), która jest nie tylko Kozicą z wyboru jakże przekornego, bo przecież mieszkanki Szczecina, ale jednocześnie duchową i fizyczną z gór... Jest też pełnoprawną obywatelką świata, zaangażowaną we wszystkie jego sprawy. **Matoaka** *każda miłość jest podróżą do / nowego świata odnalazłam moc / ducha pierwotnego ptaka i drzewa / stałam się pierworodnym wierzem //*

Nie przypadkiem przecież tomiki Małgorzaty Hrycaj kryją tyle kontekstów biologicznych, a z nich ekologicznych. Wystarczą same tytuły: *Pod baldachimem krwawnika, Aponia w ogrodzie czy Cud oddychania*.

## II Krajobrazy literackie... filozofia chodzenia

*Poprzez chodzenie krajobrazy są wplątane w życie, a życie  
jest wplątane w krajobraz, w procesie, który jest niekończącą  
się kontynuacją.*

Chris Tilley, antropolog

*Czasami chodzenie po wydeptanych śladach może nas ochronić  
od tyłu potknięć, które mieli nasi poprzednicy.*

Seneka

Czytelniczka/Czytelnik wierszy Małgorzaty Hrycaj zauważa, w jaki sposób wiedzie nas poetka przez swoje wersy, strofy, jak kreuje nimi wokół nas swój własny niepowtarzalny świat ze słów, który w jej rytmie pulsuje własnym już życiem. **platoński**

*w moich wierszach jesteście / oderwani od rzeczywistości /  
perfekcyjne pierwowzory / cielesnych postaci / nikt nie umie  
głaskać doskonalej / nie zawstydzą nagość nie musimy /  
sobie nic tłumaczyć / przyroda jest / idealnym dopełnieniem //*

A skąd ten rytm jak nie z chodzenia? Sztuki chodzenia, pierwszej przed słowem jeszcze... pierwsze kroki stawiamy, nim wypowiadamy pierwsze zdania...

### **(d)opus(t) (i)dei**

*/czy przetrwamy w przelocie ważki / w kołysaniu żdźbła trawy  
w ciszy / pomiędzy słowami na białej drodze / Sisley'a //*

Najnowszy tom poetki traktuje właśnie o sztuce w życiu. Chodzenie i odchodzenie... wieloznaczność obu czasowników jest niepoliczalna... i na tym polega owa nieustanna wnikliwość Autorki *Cudu oddychania*, jej dociekanie sedna rzeczy, zaglądnienie, co się ukrywa za słowem... wszystkie jego odcienie semantyczne. Od patosu po ironię, kpinę, żart... **poranek romantyczno/turpistyczny**

*życie jeszcze trwa i jest piękne / spada jabłko próbuję złapać /  
chwilę drżącym wersem / – znów coś piszesz / to choroba  
psychiczna //*

Inne tytuły tylko przywołują parafrazy znanych zdań odbijających się echem Szekspira: *tyć albo nie tyć* albo brzmień operowych Rimskiego-Korsakowa w wierszu **in-secta**: *czasami jeszcze słucham lotu trzmiela / tańcząc z packami //*

Dowcipna zabawa słowami i sytuacją w strofach dedykowanych Adzie Jarosz? **par(Ady)**

*choćby za chwilę runąć w przepaść / niech to będzie chwila  
grzechu w a t r a // zjeżdżanie po poręczy skoki po kilka stopni  
po schodach / diamenty na antypodach //*

A tytuł *marzenia śniętej mowy!* Kwintesencja...

I wcale nie tworzy z nich definicji w swoim uniwersum, bo one już są. Poetka je tylko ogląda ciekawie, dobiera do obrazów (patrz ilustracje w tomie

– rysunki, grafiki, fotografie od zaproszonych do udziału w edycji artystek i artystów) albo inicjuje do wykonania pejzaży lirycznych, by ukazywały jej wieloznaczne, impresyjne lub ekspresyjne wyznania...

Chwile pochwycone jak Horacjańskie *carpe diem*. **hanami**

*jeśli rozstać się to niebanalnie kiedy / klepsydra przesypane płatki  
drzewa / załamią gałęzie nie mów żegnaj gdy / przypadkiem mnie  
odnajdziesz / sayonara brzmi ładniej //*

Obok pogodnej radości odnajduje zagubione czyjeś cierpienie, grozę, ból, których wymazać się nie da ani z pamięci, ani z historii. Więc trzeba wyrzucić słowem ku przestrodze, by trwały... wciąż przez poetów przywoływane. **ziemia-  
nie atakują**

*człowiek / wykonał mnóstwo kroków ujarzmił / góry sięga wyżej  
by mieć wyjście / awaryjne kiedy na ziemi zabraknie / miejsca na  
konflikty zbrojne dotrze / do boga wojny... /*

I kolejna refleksja – **make love not war**

*co zrobisz świecie bezradny by / przetrwać kolejny amok historia /  
prze na oślepek krusząc przęsta / ile potworów wykarmi zanim / da  
się ujarzmić //*

Autorka *Pod baldachimem krwawnika* przemierza nieustannie swoje ścieżki nie tylko po literaturze, zawiera znajomości z mistrzami słowa, bardami piosenki, ujawnia tyle z nimi zawartej przyjaźni w powracających wersach czy wyznaniach zainspirowanych: frazą (wspomniany już Baczyński i *jesienny spacer poetów*) ze Staffa czy Stachury, tu – **Sted by Sted**

*po zimie będzie wiosna wyrosną / nowe róże których (gdy sptonie las)  
/ nikt nie będzie żałował / możesz dojść do miejsca gdzie / zaczęła się  
droga z której odszedł / ktoś bez do widzenia //*

albo piosenki Osieckiej, Cohena, Dylana czy arię z opery Pucciniego.

**III Pejzaże ducha i natury...** nie tylko przyroda eko

*Poszukiwanie duchowe jest podróżą bez odległości.  
Podróżujesz stąd, gdzie teraz jesteś, tam, gdzie zawsze byłeś.*

Anthony de Mello

*Refleksja nakierowana na chodzenie, jest to akt poznawczy,  
jako manifestację myślenia, pracę, filozofię...*

Magdalena Zych

Moje odczytania... Nie inaczej dzieje się w najnowszym zbiorze wierszy, gdyż Małgorzata Hrycaj pozostaje wierna sobie. Konwencja i styl wiersza to stała, rozpoznawalna fraza, już oswojona z jej rytmem, wewnętrzną melodią, z ulubionymi przerzutniami, które zmuszają do czujności, nie pozwalają zgubić wątku w pośpiesznym dążeniu do sensu, gdy ten chodzi własnymi drogami lub bezdrożami, wchodzi w koligacje z aluzją lub przenośnią, skrywa za antytezą albo odkrywa się w dosadnym porównaniu. Ot, chociażby w lirycznej melodii wiersza **kołysanka**

*mówisz pisz optymistycznie / zamiast krążyć wokół śmierci  
(ponoć nawet sztuczny uśmiech / leczy) wiem że gdzieś pachnie /  
ocean wieloryby są szczęśliwe / w kawiarnianych ogródkach /  
gra muzyka fale trą o kamienie / włączając się mimowolnie nikt /  
nie zabroni nam być (tam) razem //*

Lubi też poetka od czasu do czasu odejść... To odchodzenie to nic innego jak zmiana dominującego wiersza stychicznego na stroficzny, by zabrzmieć świeżo, lekką nutą swobodnie rozrzuconych zwrotek z rytmem i rymem sylab policzonych... taki oddech. **pod murami Jerycha**

*deszcz bębni o parapet  
drży z chłodu miasto  
noc rozmywa pamięć uczy  
śmierci nie wszystkim sprzyja  
w jej szumie rozproszonym  
jestem ziemią niczyją  
zanim zatrąbisz*

I powrót do chodzenia... do „sztuki chodzenia”, bo wszystko jest sztuką u Artystki, a chodzenie w szczególności. Słowo *chodzić*... w pierwszym odczycie, wręcz trywialne, nazwanie codziennej czynności poruszania się... Ale przecież nie o takim, zapewne, znaczeniu myślała Poetka, nadając mu rangę tytułu? Naturalnie, gdyż dla poezji ważniejsza jest przestrzeń – *pod, nad, pomiędzy* czy *za*, a nawet *w*... słowie, niż nazwanie wprost. Z wieloznaczności bowiem można dopiero wydobywać albo skrywać podteksty, kolejne dna, skojarzenia, odniesienia, niedomówienia – czyli ZNACZENIA.

Dywagacje, co kryje się za słowem chodzenie... kreuje nieskończoną drogę poszukiwań treści, tematów, odkryć, zestawień... Każde chodzenie to przecież sztuka... od pierwszego kroku w każdej dziedzinie życia, przez dochodzenie do wszystkich życiowych decyzji, aż do „sztuki (od)chodzenia”.

I znowu szerokie pole semantyczne słowa, które dopełnił skromny przyimek *od*... Jak, na przykład, odchodzą stare kobiety? **czerwcowe**

*w jaśminowym ogrodzie / snuje się czas starych kobiet /  
przykładają zmęczone głowy do kory / oplatają pnie zagłębione  
w ptasie gniazda / i wkładają do nich przekwitłe wiosny /  
wtedy siłą woli / wypuszczają gałązki / prasują zmarszczki  
i zakładają zielone / sukienki /*

Największą sztuką odchodzenia jest bowiem samo życie, to w nim nieustannie odchodzimy do przeszłości w przemijaniu. Jest to też *podróż bez odległości w poszukiwaniu duchowym*, gdy odbywamy tę podróż w sobie samym... jak uważa mój ulubiony mistrz, Anthony de Mello.

#### IV Mikrokosmos emocjonalny... bliskość – czułość – wzruszenie

*Podczas wędrówki potrzebujemy tylko tego, co konieczne.*

*(...) Konieczne to nieco mniej niż przydatne.*

Frédéric Gros, *Filozofia chodzenia*

Refleksja nakierowana na *(od)chodzenie* jest centrum poetyckich przemyśleń Autorki, która pochyla się nad aspektami życia w ogóle, a nad fenomenem śmierci w szczególności, nadając im swój własny, bardzo zresztą osobisty wyraz: **w ciszy serc szelest brow** (Konradowi Stencłowi)

*trudno się żegnać / choć mówimy na pocieszenie / do widzenia  
tam po drugiej stronie / braciszkanie zatęsknili za twoimi /  
żartami siostry zastawiają stoły / na niebieskiej biesiadzie słyhać /  
wesole pokrzykiwania jak wtedy / gdy siedzieliśmy t u t a j  
wszyscy //*

I niekoniecznie są w nim najważniejsze rytuały, w tym funeralne, a raczej emocjonalna bliskość z tymi, których już nie ma, ale też z tymi, którzy jeszcze są. Ważna jest emocja zamykająca pytania: co możemy jeszcze dać... co możemy dostać... nim sami odejdziemy...

Tu kontynuuje ją liryczne:



*dobrzy ludzie żyją i umierają pięknie / rozebrałeś się z bólu  
i choroby / owiniemy cię w kojący żar modlitw / w wierną  
miłość twojej żony z tym / uśmiechem który wszyscy kochamy /  
zeskoczyłeś lekko wolny od męki / tyle w życiu się napracowałeś /  
czas na wieczne odpoczywanie / na niezmqony błękit //*

To dla mnie jeden z najbardziej poruszających wierszy.

Odchodzenie to także spuścizna, którą nam zostawiono, w tym sztuka w najszerszym znaczeniu... muzyka, taniec, książka, obraz, rękodzieło, pomnik, architektura, w tym ogród, krajobrazu. Nawet, a może przede wszystkim, dla Kozicy... las, górskie ścieżki, skalny szczyt, strumień i... cisza: **poeci gór** (Pamięci Jerzego Tawłowicza)

*nie szliśmy ramię w ramię /ale/  
słyszę twoje wołanie zza grani  
(...)/bo/ w górach  
(od)wiecznie żyje duch poezji  
oddycha(sz) w pozostawionych  
pieśniach zamknęłeś werble kroków  
we wszystkich górskich drogach  
i uwielbienie przestrzeni w /moich/  
kozicznych skokach*

To one, zatrzymane w kadrze wiersza, stopklatki, w kresce tuszu czy ołówka są sztuką (od)chodzenia... ręki po kartce, obiektywu po krajobrazie lub przedmiocie, myśli w poszukiwaniu słów. A tyle myśli „chodzi” po głowie poetki, by mogła z nimi dojść do tych POJĘĆ najważniejszych, by powstał wiersz. Gdyż, jak mówi krakowska etnografka, Magdalena Zych, w swoim eseju *Chodzenie: W codziennym doświadczeniu myślenia także chodzimy wokół i krążymy, zmieniając perspektywy. (...) to światło i ruch dają nam poznać świat jakim jest, i zaznać przestrzeni. Mówienie także ma związek z ruchem. Chodzimy, jak mówimy, tak jak piszemy, używamy narzędzi, całym ciałem.\** W tymże tekście *Chodzenie* przywołuje dr Zych szkockiego profesora antropologii, Tima Ingolda, który twierdzi, że: *Chodzenie można potraktować jako formę inteligencji obecnej w całym polu relacji rozumianych jako ludzka obecność w zamieszkanym świecie.\** Czyż nie jest to teza potwierdzona przez poetyckie wypowiedzi o sztuce chodzenia szczyńskiej poetki?

Okazuje się też, że sztuka chodzenia budziła zainteresowanie największych i najbardziej znanych, nie tylko filozofów, antropologów, ale i pisarzy, bowiem

już: *Honore Balzac* w 1833 roku dziwił się, iż mimo że wszyscy chodzą, nikt nie pyta, *dlaczego to robią; jak chodzą, gdy idą; jak mogliby lepiej chodzić; co osiągają, chodząc, i dlaczego nie są to pytania obecne w systemach filozoficznych, psychologii czy polityki.*\*\*

Małgorzata Hrycaj w swojej sztuce *(od)chodzenia* zadaje podobne pytania i z odpowiedziami próbuje dotrzeć do celu. Dowodem jest prezentowany tom, czwarty w dorobku poetki. To kolejna przygoda, tyleż intelektualna co emocjonalna, dla samej Autorki, ale i dla czytających. To barwna, ekscytująca, pogodna (mimo tematów najtrudniejszych) i niebanalna historia naszej codzienności w niekończącej się nauce **peregrynacji...**

*nikt nie uczył mnie miłości ani / nienawiści bywam gorącołowa  
/ z sercem naznaczonym szaleństwem / jeśli uczucie łączyć  
z czuciem moje / zdolne jest objąć wszechświat / kocham  
różnorodność zmieniające / się kontury łądów na błękitnej /  
planecie w płynności każdego dnia //*

I przyświeca nam w tym czytaniu, jak dopełnienie i pointa zarazem, zdanie Sue Monk Kidd, słynnej autorki *Sekretnego życia pszczoł*: *Jeśli nie wiesz, dokąd zmierzasz, musisz wiedzieć, skąd pochodzisz.*

Małgorzata Hrycaj kończy ten liryczny dialog z doświadczaniem świata swoim własnym **uniwersum**

*życie jest ciągłym scalaniem / i rozpadem uśmiechajmy się zatem /  
dopóki istniejemy w przyciągającym się układzie / (...) pozostanie  
nam zamknięty / w mgławicach przeszłych zdarzeń / (od)wieczny  
zachwyty //*

\* Magdalena Zych, *Chodzenie*, [autoportret.pl](http://autoportret.pl)

\*\* *ibidem*

---

## Akcent bezwzględnie na rok 1984?

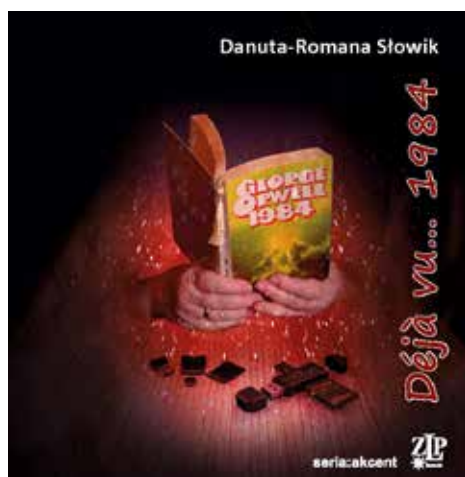
---

*Kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość;  
kto rządzi teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość.*

George Orwell, Rok 1984

Powieść George'a Orwella *Rok 1984* cieszy się niestąbną popularnością, a w Polsce odnajduje zainteresowanie nie tylko w kanonie lektur, ale też w dyskusjach naukowych, w recenzjach prasowych, najliczniej widać ją w opracowaniach na forach internetowych. Doczekała się wielu wydań, chociaż w Polsce mogła zaistnieć dopiero po roku 1989. Wcześniej, w polskim przekładzie Juliusza Mieroszewskiego z 1953 roku, wydał ją w drugim obiegu Instytut Literacki Kultury Paryskiej. Interesujące jest, jak w odbiorze czytelnickim aktualizuje się (z każdym dziesięcioleciem) wizja pisarza. Przecież swoją ostatnią książkę pisał w 1948 roku, a wydał w 1949. Doświadczenia, jakże jeszcze świeże, II wojny światowej, także udział w wojnie domowej w Hiszpanii, oglądanie umacniających się totalitaryzmów w Europie... faszystów czy stalinizmu... stały się dla pisarza inspiracją do futurologicznej powieści. Wizja Orwella, sprzed ponad 80 lat, okazała się dla nas, w XXI wieku, przerażająco prorocza. Dzisiaj odczytujemy dzieło brytyjskiego pisarza jako opis naszej rzeczywistości, w jej najczarniejszej wersji. To już nie antyutopia, nie fantastyka, a dystopijny świat, który doświadczamy (szczególnie pokolenia wojenne i tuż powojenne) jako, wcale nie literackie, *déjà vu*.

Temat inspirowany powieścią Orwella stał się obecnie niezwykle nośny, pełen aktualnych podtekstów i kontekstów tak społecznych, jak politycznych, a także technologicznych, które przerosły przecież wyobrażenia autora *Folwarku zwierzęcego*. Nic więc dziwnego, że, szczególnie, *Rok 1984* stał się dziełem inspirującym pisarzy



(zdj. archiwum ZLP Szczecin)

zaangażowanych w realizującą się w wymiarze profetycznym naszą codzienność.

I tu docieram do najnowszej książki Danuty-Romany Słowik, *Déjà vu... 1984*. Czytelnicy, znający Jej twórczość, wiedzą, że pisarka trzyma od lat rękę na pulsie rzeczywistości Polski i Europy, i to od... 1984 roku!!! W którym to czasie wyemigrowała wraz z rodziną z kraju, gdyż rzeczywistość lat osiemdziesiątych nie dawała nadziei. Pisanie na obczyźnie ma swoje korzenie w rodzinnych pamiątkach po Babci, Romanie Turońskiej, również emigrantce, osiadłej w czasie wojny w Anglii. Nie przypadkiem przywołuję w swoich odczytaniach te wydarzenia i postać Babci, bo wszystko to zaważyło na wykreowaniu świata przedstawionego w najnowszej powieści. Współczesny czas, a właściwie ostatnie lata drugiej dekady oraz początek trzeciej 21. wieku, realia polskie, Europy i świata nie mogły pozostawić Autorki *Tułaczycy losów* obojętną. I w naturalny sposób skierowała Ją do Orwella właśnie.

Danuta-Romana Słowik swoją najnowszą powieść utkała wokół ostatniego dzieła brytyjskiego pisarza. Jednak nie kontekst a kontynuacja wątku rzeczywistości *Wielkiego Brata* stała się treścią współczesnej dystopii szczecińskiej pisarki. W niej zaś rok 1984 okazał się motywem kluczem, celowym leitmotywem. Akcentem, który organizuje psychologiczny proces *déjà vu* nie tylko bohaterów, ale i czytelników. Albowiem w parabolicznej kompozycji snuje i splata Autorka Europę bez granic... wątki swoich bohaterów: Julii z rocznika Orwellońskiego, rodziny Cichowskich – Wiktorii, Tomasza, bliźniaków Agaty i Artura, także Teresy czy profesor Sulewskiej z tajnych Kompletów oraz innych równie ważnych dla akcji postaci. Wszystkich umieszcza w przyszłości nie tak znów odległej... bo w roku 2050. To niemal parafraza z Orwella... bowiem *Rok 1984* ukazał się w roku 1949, czyli tę antyutopię od realu autora dzieliło 35 lat. Czas przedstawiony w *Déjà vu... 1984*, czyli lata 2050-2054 od roku 2022 pisarki dzieli tylko 36 lat.

A inne... czy zamierzone podobieństwa? Babka Julka, urodzona w Londynie w roku 1984 (sic!), inwigilacje bohaterów, terror, Wielki Brat... I jestem przekonana, że za głównego bohatera powieści można uznać również rok 1984! Czy był już taki bohater w powieści? Zapewne, ale ja nie natknęłam się... może poza apostrofami... Bohaterami powieści były miejsca, miasta, rzeki, góry, przedmioty... pojawiał się bohater zbiorowy: społeczeństwo, naród... ale rok?

A w powieści Danuty-Romany Słowik wyraźnie wysuwa się jako główny motyw i nie tylko tytułowy, ale przewodni właśnie, rok 1984! Zaznacza swoją obecność we wszystkich wątkach osobistych bohaterów i bohaterek, należy do przywołanych przez Julię czy profesor Sulewską historycznych, społecznych czy politycznych wydarzeń, wpisuje się w życie najmłodszego pokolenia, nastolatków, uczniów tajnych Kompletów, urodzonych już w reżimie totalitarnej władzy Państwa Prawa. Wreszcie, też nie przypadkiem, pojawia się rok 1984 przy wierszu *Niewola*, Kornela Filipowicza... Nie brakuje go we wspomnieniach babki Julki, Jadwigi Sulewskiej, w rozmowach o powieści Orwella, a nawet w wątku aresztowania i śledztwa prowadzonego wobec Wiktorii Cichowskiej... i wpływa pośrednio na życiowe decyzje młodziutkiej Agaty. Ostatecznie z akcentem na 11.11.1984 roku organizuje związek młodych bohaterów – Teresy i Artura. Jednym słowem, rok 1984 to nie tylko data, wydarzenie, tytuł, doświadczenie psychologiczne, przeżycia indywidualne i zbiorowe... to także samodzielny motyw, który staje się bohaterem tej historii.

Danuta-Romana Słowik kreuje dystopijny świat Państwa Prawa nie tyle na wzór Oceanii Orwella, ile animuje go z doświadczanej rzeczywistości lat dwudziestych XXI wieku. Opisuje ten świat językiem oszczędnym, momentami stylizowanym na język wykładu, na dydaktyzm, bo przecież są to lekcje ważnej historii, a bohaterki są nauczycielkami, które mają misję do spełnienia, Orwellowskie przesłanie: *Ten, kto ma wiedzę, jest potężny. Czyli: Kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość; kto rządzi teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość.* Nie stroni od powtórzeń, które czynią wiarygodnym i umacniają potwierdzony przekaz. Równie oszczędnie rysuje postaci, bowiem ludzie w powieści nie mają rysopisu, nie mają fotografii, portretu... nie wiemy, jak wyglądają... czy są niscy, czy wysocy, tężdzy czy szczupli, nie znamy koloru ich włosów, oczu, kształtu nosa... jak się ubierają, kolorowo czy na czarno? Nawet główni bohaterowie powieści znikają w tłumie, są nie do rozpoznania.

I o to szło zapewne Autorce. Mogą być Każdymi w dystopijnym Państwie Prawa. Dobrze, że mają jeszcze imiona, nazwiska... a nie tylko numer. Mają też wiek, swoje urodziny, rocznice... Jednak pozytywnie charakteryzują się sami poprzez swoje czyny i słowa, poprzez emocje, które czynią ich osobami, a nie tłumem.

Podobnie jest z obrazem otaczającej bohaterów ascetycznej rzeczywistości. Autorka jest malarką, ale tym razem rysowany obraz świata, w którym

toczy się akcja, a w nim miasto portowe, zniszczone i zaniedbane, ze skromnym życiem mieszkańców, które zadziwiająco przypomina lata osiemdziesiąte PRL-u, z jego wszystkimi ograniczeniami, szarością dni, bezbarwną egzystencją... pogłębia jeszcze codzienny terror rodem już z powieści Orwella. I to te klimaty są owym *déjà vu* dla starszego pokolenia.

Jednocześnie Czytelniczka lub Czytelnik nie ma trudności z rozszyfrowaniem miejsc, osób, wydarzeń. Wszystko jest wprost, znajome, jak przeżywane właśnie *déjà vu*. Może jedynie nie tak dokładne, wyraziste, bo niekolorowe, bez konturów, nieostre... Ożywają tylko emocjami wspomnienia, bo te nie są poddawane destrukcyjnemu filtrowaniu przez reżimową codzienność.

Moje refleksje po lekturze *Déjà vu... 1984* nie muszą być Twoimi, Czytelniczko/Czytelniku, podobnie moje odczytania... Co Autorka chciała nam przekazać? To także pozostaje we wciąż otwartej sferze znanych tylko nam znaczeń... Natomiast *Rok 1984* George'a Orwella jest niewątpliwie literackim drogowskazem, nie tylko dla współczesnych pisarek czy pisarzy, ale też, a może przede wszystkim, przestaniem i... przestrożą, które niech jednak pozostaną w ponurej sferze literackiej fikcji. Bo to przecież wizja artystycznej wyobraźni. Oby nie profetyczna. Także *Déjà vu... 1984* Danuty-Romany Słowik!

Danuta-Romana Słowik, *Déjà vu... 1984*, seria:akcent,  
wyd. hogben, Szczecin 2022

---

## DEBIUTY

---

### **Andrzej Połudzień**

Urodził się 29.11.1953 r. w Kłodzku. Edukację podstawową zrealizował w Wałczu, natomiast średnią z maturą w II Liceum Ogólnokształcącym im. Kazimierza Wielkiego w Wałczu. Następnie ukończył studia w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Pancernych w Poznaniu, a po nich na Uniwersytecie Szczecińskim Wydział Ekonomii.

Swoją karierę zawodową związał z Wojskiem Polskim, gdzie jako oficer pracował od 1980 r. do emerytury. Prowadzi własną firmę.

Czas wolny wypełnia podróżami, fotografowaniem i sportami motorowymi. Miłośnik literatury, teatru, muzyki, kultury starożytnej.



Andrzej Połudzień (zdj. archiwum autora)

---

## Ballada o Poranku

---

– Zenek! Porucznik Zenek do mnie! – wrzasną dowódca batalionu płk. Dolina, zagryzając przy tym mięsiste usta, a jego poszarzała twarz wyrażała dezaprobatę i oburzenie zwłaszcza, że telefon w kancelarii dowódcy 7kpchor nie odpowiadał pomimo dłuższego oczekiwania.

Komenda była rzucona do korytarzyka sąsiadującego z kancelarią dowódcy batalionu, a w domyśle do pisarza, który uciekł tam w popłochu. Obecny przy tym zastępca dowódcy batalionu kpt. Melon nerwowo przecierał szkła okularów, starając się przy tym, pomimo lekko odstającego brzuszka, zachować wyprostowaną postawę przed sprawcą tego zamieszania, przybyłym zastępcą komendanta szkoły do spraw liniowych płk. Józefem Struną, zwanym „Szablą”.

Nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu o jeszcze jednym uczestniku tego zajścia, a mianowicie kapralu podchorążym Andrzeju Poranku o twarzy niewiniątka, który wydawało się nie podzielał grozy sytuacji i z należyтым poczuciem dobrze spełnionego obowiązku miętosił czarny beret czołgisty, przyciskając go do lewego uda i wyczuwając przy tym kciukiem centralne położenie orzełka, co podkreślało jego dbałość o zasady musztry, zasady przebywania w pomieszczeniach służbowych i przestrzegania przepisów mundurowych obowiązujących na terenie Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych im. Stefana Czarnieckiego w Poznaniu.

We wspomnianej uczelni było wiele niepisanych zasad, którym podchorążowie oddawali się z niekłamana odrazą, jak chociażby obowiązek paradowania krokiem defiladowym przed apologetą musztry płk. Struną, któremu owszem przysługiwało wyszukane oddawanie honorów, ale w przypadku pojedynczego podchorążego krokiem równym, a nie wyniesionym pod niebiosa do nieskończoności krokiem defiladowym, którego oczekiwał. To właśnie brak odpowiednio wysoko podniesionej nogi wraz z morderczym przytupem na widok tak znamienitej osoby jak płk „Szabla”, doprowadził podchorążego Poranka przed oblicze dowódcy 2 batalionu podchorążych.



– Obywatelu pułkownika! Porucznik Zenek prosi o pozwolenie zameldowania się do dowódcy batalionu! – dokonał skinienia głową i wyrzucił z siebie zdyszany dowódca 7kpchor, poprawiając przy tym nerwowo i zaciekle krawat oraz obciągając mundur polowy do tyłu. Płk Dolina z wyraźnym niesmakiem spojrzął na porucznika Zenka, jakby to on był winny temu, że kpr. pchor. Andrzej Poranek, przemykając do skrzynki pocztowej, aby wrzucić list do swojej, ukochanej Grażynki, nieopatrznie natknął się na wychodzącego ze sztabu komendy szkoły płk. Józefa Strunę, wzbudzając jego dezaprobatę swoim wyszkoleniem z musztry.

– Proszę nauczyć podchorążego oddawania honorów krokiem równym! – zawyrokował płk Struna, obrócił się na pięcie i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku oddalił się majestatycznie.

– Bacność ! – wrzasnął dowódca baonu, wyprężając się w postawie zasadniczej i obserwując przy tym, czy zgromadzeni właściwie naśladują jego zachowanie i aby wychodzący przełożony nabrał przekonania, że w tym batalionie czarne owce mają przerąbane.

Aby jak najprędzej pozbyć się podchorążego, por. Zenek wydawał seryjne komendy:

– Poranek! Na kompanię! Do mojej kancelarii! Czekać na mnie! Ja Cię nauczę oddawać honory!

Wszystko dlatego, ponieważ nie chciał, aby podchorąży był świadkiem rozmowy z dowódcą batalionu i jego zastępcą odzyskującym z bladego koloru twarzy i z lekkim uśmiechem szykującym się do uczestnictwa w rozmowie służbowej z dowódcą 7kpchor. Na koniec por. Zenek rzucił tylko „Nie masz tam kiedy chodzić ?...” Myślał oczywiście o skrzynce pocztowej wiszącej niewinnie na ścianie sztabu obok wejścia na pocztę Poznań 30, gdzie można było w godzinach służbowych nadzieć się na wychodzącego przedstawiciela władzy wyższego dowództwa, przysparzając tym samym problemów niższemu dowództwu oraz sobie...

---

## WYDARZENIA

---

*Danuta Sepuco*

---

### Literaci objawiają wojnę

---

*Wierzymy w słowo, które jest / najsilniejszą i najinteligentniejszą bronią (...)* – tak rozpoczyna się „Antywojenny Manifest Literatów”, tekst wyrażający sprzeciw wobec pojawiającego się niebezpieczeństwa wojny, tekst gloryfikujący siłę komunikatów werbalnych.

Pomysłodawcą *Manifestu* jest Leszek Dembek, literat, prezes szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Apel stworzyli członkowie organizacji

Szczecińscy literaci i ich sympatycy (zdj. archiwum ZLP Szczecin)



i jej sympatycy. Z inicjatywy Leszka Dembka, w marcu, miesiąc po napaści Rosji na Ukrainę, twórcy zorganizowali publiczne czytanie wierszy o tematyce antywojennej. W ogrodzie Szczecińskiego Inkubatora Kultury wybrzmiewały utwory prezentowane przez samych autorów oraz wiersze innych twórców, odczytany został tekst *Manifestu*. Literaci w ten sposób wyrazili swój sprzeciw wobec agresji, przemocy, wobec eksterminacji. Tym recytacjom przysłuchiwali się amatorzy kamery, a także spontanicznie dołączający przechodnie. Przerwy między wierszami wypełniały piosenki w wykonaniu Anny Świącickiej przy akompaniamencie gitarowym Sławomira Świącickiego. Swoją sprzeciw wobec zła także demonstrowali w swoich obrazach malarze Stowarzyszenia Artystycznego Integracji Europejskiej SAIE oraz Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury.

To spotkanie było jednocześnie inauguracją *VII Szczecińskiej Wiosny Poezji*, którą w tym roku opatrzone hasłem „Przeciwko wojnie”. Nieodłącznym elementem *Wiosny* jest Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Józefa Bursewicza i to wydarzenie wykorzystano do propagowania sprzeciwu wobec napaści zbrojnych – ogłoszono edycję „O Antywojenną Złotą Metaforę”. Na Konkurs zgłosiło się 86 uczestników z Polski, Niemiec i Holandii, łącznie zaproponowali 258 utworów.

*Ta wojna miesza stany skupienia / ziemia zamienia się w gaz w dym / płonie w burzy fosforu / sucha ziemia sucha jak kość (...)* mówi w swoim wierszu „Pomieszanie stanów” Małgorzata Borzeszkowska z Łęborka, laureatka pierwszego miejsca. Ewa Jowik z Łaz, zdobywczyni drugiego miejsca, skierowała pytania do kobiet przygotowujących do życia swoje dzieci: *Powiedz, jakżeś matko wychowała syna, / że zabija dzieci, że strzela do kobiet, / że kroki kieruje gdzie obca kraina, / że szpital dla niego, to jest wrogi obiekt (...)* („Powiedz, matko”). *Gdy w Buczy huczy, / Śmierć nowego tańca się uczy. / Poznała już różne style i odmiany: / taniec po trupach, na zgliszczach i „zabijany” (...)* przedstawiła „Danse macabre” Agata Marzec z Radzikowa, zdobywczyni wyróżnienia.

Te wiersze i wszystkie inne nagrodzone znalazły się w Almanachu pokonkursowym. „Autorzy i autorki nie tylko podejmują zadanie wyrażenia doświadczeń ofiar, ocalałych oraz świadków, lecz także trud diagnozy rzeczywistości, sytuując ją w szerokim kontekście, rozpatrując kwestie świadomości historycznej, identyfikacji narodowej, stereotypów, odradzających się nacjonalizmów” – podkreśliła dr Ewa Szczepan, pracownik naukowy Uniwersytetu Szczecińskiego, w swojej recenzji. Tegoroczny Almanach to lektura niełatwa, wywołująca niepokój, zadumę, refleksję, łzy...

Corocznie na finał *Wiosny Poezji* oddział szczeciński ZLP przygotowuje koncert słowno-muzyczny, na który zaprasza do Ogrodu Różanego „Różanka”. Przez dwa poprzednie lata, z powodu pandemii koronawirusa, koncerty były nagrywane w pomieszczeniach, a materiał filmowy zamieszczono na stronie internetowej organizacji. W tym roku zakończenie *Wiosny* znowu odbyło się na „Różance”, w lipcu. Imprezę rozpoczęło ogłoszenie wyników Konkursu i wręczenie nagród laureatom. Część artystyczną wypełniały recytacje wierszy nagrodzonych autorów w interpretacji Krystyny Maksymowicz, aktorki Teatru Współczesnego w Szczecinie, i Jana Kamińskiego, studenta ZUT. Poezję przeplatały utwory muzyczne Richarda Galliano, Astora Piazzolli, Francka Angelisa, Viachesława Semionova w wykonaniu kwartetu instrumentalnego: Michał Dąbrowski (akordeon), Michalina Czajkowska (wiolonczela), Alicja Stangreciak (skrzypce) i Patryk Dżaman (gitara klasyczna). Koncert poprowadził Przemysław Walich, aktor Teatru Współczesnego, a całość wyreżyserował według własnego scenariusza Zenon Lach. Imprezie towarzyszyła prezentacja prac plastycznych członków Stowarzyszenia Artystycznego Integracji Europejskiej SAIE, Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury oraz plenerowa wystawa wierszy poetów szczecińskich zatytułowana „...jak dobrze, że jest wiersz”. Jak w latach ubiegłych, tegoroczny Koncert wsparły finansowo Urząd Miasta Szczecina oraz Urząd Marszałkowski Województwa Zachodniopomorskiego.

Leszek Dembek, zamykając koncert odwołał się do treści Manifestu:

*Niech nasze słowa zapłoną ogniem / gorętszym niż wybuch bomby / termobarycznej! / Nasz głos jest słabszy od eksplozji pocisków, / ale wierzymy, że może być skuteczny. (...) Niech Słowo nas nie zawiedzie! / Niech stanie się nieustraszonym OBROŃCĄ POKOJU!*

Przedruk tekstu Danuty Sepuco <http://www.gazetakulturalna.zelow.pl/index.php/component/search/?searchword=Danuta%20Sepuco&searchphrase=all&Itemid=120>

---

# ANTYWOJENNY MANIFEST LITERATÓW!

---

*Wojna dzieje się, gdy język zawodzi*  
Margaret Atwood

Wierzymy w SŁOWO, które jest  
najsilniejszą i najinteligentniejszą bronią.

W kod życia nie mamy wpisanej wojny!

Najwyższa pora przestać tworzyć i doskonalić śmiercionośną broń,  
która trzyma ludzkość w szachu.

Szaleńcy świata śmieją się nam prosto w twarz !

Na przekór.

Na prze-strzał.

Niech nasze słowa zapłoną ogniem  
gorętszym niż wybuch bomby  
termobarycznej !

Nasz głos jest słabszy od eksplozji pocisków,  
ale wierzymy, że może być skuteczny.

Musimy rozmawiać tym samym językiem!

Niech słowa nie kłamią znaczeniom!

Myśl w słowie musi nieść Dobro,  
we wszystkich jego konstelacjach.

Każda czysta ( niedogmatyczna ) myśl  
potrafi prowadzić los człowieka w słonecznym kierunku.

Uwierzmy w Słowo!

...słabsze od puchu kwiatów budzącej się Wiosny,

ale mocniejsze od broni termojądrowej !

Naszą powinnością jest powrócić

do Jego źródeł, kryształowej jasności Dobra i Mocy!

I odważnie Je nieść jak ŻAGIEW !

Jego blask i żar niech rozproszy nasze lęki i niepokoje.

Niech stanie się nieskończona Jasność

do ostatniej kropli miłości!

Twój Wiersz!

Twoja Myśl jest ważna!

Niech Słowo nas nie zawiedzie!

Niech stanie się nieustraszonym OBROŃCĄ POKOJU!

*Niestrudzeni Poszukiwacze Dobra i Piękna*

Szczecin, 21.03.2022 r.

---

## Nocne poetów spotkanie...

---

W niedzielę, 15 sierpnia 2022 roku na terenie Ogrodu Różanego „Różanka” w Szczecinie działały się niecodzienne czary. Gdy Słońce skryło się za horyzontem, wśród róż zaczęły pojawiać się różne nocne marki. Cicho z mroku wyłaniały się Sówki, Koty, Czarodziejka z różdżką, Dama z koronkową parasolką, Gość z Krainy Deszczowców, a wraz z nim Cyborg ze świecącym okiem, Kobieta z pistoletem, zjawy w połyskujących kapeluszach i nawet Juliusz Cezar. Z każdej strony różanego ogrodu kierowały się pod pergolę, tam, gdzie pod

Danuta Słowik (zdzj. Janusz Słowik)



osłoną nocy skryły się WIERSZE – ICH WIERSZE! Przyszli, by osobiście pożegnać wystawę zatytułowaną „Jak dobrze, że jest wiersz”, tradycyjnie zorganizowaną przez Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie.

Na finisaż – nawiązujący do uroczystego wernisażu z 9 lipca 2022 r. – przybyli poeci ze szczecińskiego oddziału ZLP, autorzy licznych strof (choć pod osłoną nocy i wymyślnych strojów niełatwo było ich rozpoznać!). Ustalono jednak, że tajemnicze nocne marki to: Leszek Dembek, Aneta Gawriłow, Anna Jakubczak, Edyta Rauhut, Danuta Romana Słowik, Magdalena Sowińska, oraz sympatycy – Adrianna Rauhut, Waldemar Wasilewski, Janusz Słowik, Szymon Sowiński i ci, którzy w cieniu nocy pozostali anonimowi... Rozbłyły przyniesione przez nich kaganki, lampiony, lampy naftowe, zapałki i można było rozpocząć nocną sesję zdjęciową.

Wybrzmiały słowa Józefa Czechowicza odczytane przez Leszka Dembka (a może Gościa z Krainy Deszczowców?):

„O poezji i poecie” (fragmenty)

*Gdy poeta powie światu „tak”, to ktoś jest winny:*

*Poeta albo świat*

*Bo tym jest poezja: jeśli lotem, to pod wiatr, jeśli żegluga – to pod prąd, jeśli marszem – to na przekór.*

*Gdy poeta powie światu „tak”, jest winny. Być poetą – znaczy mówić światu „nie”.*

*Bo tylko to jest poezją: nieustające szukanie. Bo szukając – trzeba mijać odnalezione. Odnalezione nigdy nie jest poezją. Jest naśladownictwem.*

*Niech się strzeże poeta, który powie światu „tak”.*

*Niech się strzeże świat tego poety...*

Szukając zatem nieustająco, wyłaniano promieniem migotliwego światła wiersz po wierszu – przemówiła POEZJA. Z zakamarków różanej pergoli, w ciepłą noc, popłynęły wersy. Dookoła roznosił się zapach róż i magia słowa.

Tegoroczne pożegnanie wierszy w szczecińskiej „Różance” trwało do późnej nocy, aż pozostało tylko dwoje wytrwałych, pogrążonych w książkach – Cyborg i Gość z Krainy Deszczowców, a nad nim („deszczową postacią”), o dziwo! zjawiskowy blask, magia światła, *najwyższe światło Idei\**. Spotkał Platona, z którym nie widział się ponad dwa tysiące lat? (czy ktoś wie, kim oni byli naprawdę?)...



Ta wyjątkowa noc trwałaby z pewnością do białego rana, gdyby nie łzy rozstania, które ulewnym deszczem spłynęły na ogród i nocne marki rozpułyły się w ciemności tak samo tajemniczo, jak się pojawiły...

Były tu, czy to tylko letni sen? Na pewno powrócą pod różaną pergolę w następnym roku, bo przecież – „Jak dobrze, że jest wiersz”.

\* Platon – Państwo „Celem jest najwyższe światło Idei”.

\*\* Parafraza wiersza „Platon” Leszka Dembka, z tomiku „Świat niezatrzymany”.

Przedruk tekstu Danuty Romany Słowik  
[http://www.gazetakulturalna.zelow.pl/index.php/  
component/search/?searchword=Danuta%20Romana%20  
S%C5%82owik&searchphrase=all&Itemid=120](http://www.gazetakulturalna.zelow.pl/index.php/component/search/?searchword=Danuta%20Romana%20S%C5%82owik&searchphrase=all&Itemid=120)

*Małgorzata Hrycaj*

---

## Galeria Jednego Wiersza

---

Szczeciński oddział Związku Literatów Polskich od lat patronuje Galerii Jednego Wiersza, mieszczącej się w Książnicy Pomorskiej im. Stanisława Staszica w Szczecinie. Prezentowane są tam wiersze poetek i poetów związanych z naszym zachodniopomorskim regionem. Inspiracją do jej powstania była Galeria „Jednego wiersza” usytuowana w Klubie 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej (na ścianie korytarza, przy bibliotece), której pomysłodawcą jest Leszek Dembek, prezes oddziału ZLP w Szczecinie.

W powstawaniu Galerii uczestniczyła Cecylia Judek; obecnie tworzenie GJW odbywa się z udziałem Jolanty Liskowackiej, kierowniczką Działu Zbiorów Specjalnych oraz Bogny Tokarskiej wraz z jej zespołem z Działu Informacji Naukowej i Promocji z Książnicy Pomorskiej.

Czas przeznaczony na obcowanie z jednym autorem i jego dziełem wynosi około trzech miesięcy. Uroczystej odsłonie wiersza zazwyczaj towarzyszy oprawa muzyczna, a do recytacji zapraszani są znakomici recytatorzy, jak również profesjonalni aktorzy.

Pierwsza odsłona Galerii Jednego Wiersza zbiegła się z inauguracją Zachodniopomorskiej Wiosny Poezji. Twórcy i miłośnicy poezji, którzy 21. marca 2016 roku przybyli do Książnicy Pomorskiej, mogli ujrzeć i usłyszeć specjalnie wybrany na tę okoliczność wiersz Józefa Bursewicza „Wiosna”. Odsłonił go syn zmarłego w 1982 roku Poety – Szymon Bursewicz.

Pierwszoplanowa postać drugiej wystawy, Janusz Krzywiński, zaznaczył swą obecność wierszem „Szczecin”, a także ekspozycją własnych prac plastycznych. Opowiedział o działalności grupy poetyckiej „Metafora”, której był

Robert Florczyk przy poetyckiej witrynie (zdj. archiwum ZLP)



członkiem i jednym z założycieli. Należeli do niej również Józef Bursewicz, a także poeta zaprezentowany w III wersji Galerii Jednego Wiersza – Andrzej Maria Dzierżanowski. W 60. rocznicę ogłoszenia manifestu tej grupy wiersz poety „Słuchając Bacha” odsłonił Janusz Krzywiński.

Sylwetki pozostałych twórców zaliczanych do „Metafory” przypomniane zostały w kolejnych dwóch edycjach Galerii. Ukazały się wtedy wiersze: „Wittgenstein” Edwarda Balcerzana oraz „KAY” Ryszarda Grabowskiego.

Odsłona wiersza Barbary Teresy Dominiczak „Pieśnią jest twoje życie” odbyła się w szczególnie podniosłej atmosferze – była częścią programu inauguracji III Szczecińskiej i Zachodniopomorskiej Wiosny Poezji, w trakcie której Poetkę uhonorowano Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” i Złotą Odznaką Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego. Imprezie towarzyszyła bogata oprawa artystyczna.

Do kolekcji utworów poetyckich eksponowanych w Książnicy Pomorskiej należą: „Więc...” Róży Czerniawskiej – Karcz, byłej prezes szczecińskiego oddziału ZLP, „Próba” Zbigniewa Jahnza, a także wiersz Heleny Pilarskiej „Zapisać”, po odsłonięciu którego odbyło się spotkanie z Poetką i wręczenie jej Złotej Odznaki Honorowej Gryfa Zachodniopomorskiego.

Następne trzy edycje Galerii Jednego Wiersza, ze względu na czas pandemii, odbyły się w przestrzeni wirtualnej. Miejscem ekspozycji stały się: Facebook oraz strona WWW Książnicy Pomorskiej im. Stanisława Staszica w Szczecinie. Ukazały się wtedy biogramy oraz wiersze: Małgorzaty Hrycaj – „biała armia”, Magdaleny Sowińskiej – „Zwiadowca” oraz Edwarda Siekierzyńskiego – „Bongo”.

Pod koniec października 2020 roku, w ramach dorocznego cyklu „Tym, którzy odeszli” przedstawiono sylwetkę i wiersz „Sól dni” świnoujskiej poetki Anny Chodorowskiej, twórczyni działającego do dziś Klubu Literackiego „Na Wyspie”.

Odsłonięto również, w trybie online, tekst „O nietrwałej miłości świata tego wg Mikołaja Sępa Szarzyńskiego (wiersz polifoniczny)” Krystyny Rodzewicz, wiceprezes Związku Literatów Polskich Oddział w Szczecinie..

Pod koniec sierpnia 2021 roku Galeria Jednego Wiersza powróciła do holu przy Wypożyczalni w szczecińskiej Książnicy, prezentując sylwetkę Leszka Dembka wraz z jego wierszem pt. „TRYPTYK PATRIO”.

15 grudnia 2021 roku w Galerii ukazał się wiersz Magdaleny Sowińskiej pt. „Paintball”, wpisujący się w nurt poezji zaangażowanej.

W tym duchu wybrzmiały również, podczas uroczystych odsłoneń znów „na żywo”, galeryjne wiersze antywojenne, mające związek z agresją Rosji na Ukrainę: „Gdy Szatan piruety kręci” Danuty – Romany Słowik, a następnie „nie dość cogito” Małgorzaty Hrycaj.

Obecnie w Galerii Jednego Wiersza w Książnicy przeczytać można wiersz Roberta Artura Florczyka „Mare Dambiense”. Ostatnie spotkanie związane z ceremonią odsłoneń tego wiersza odbyło się na żaglowcu M/S „Kapitan Borchardt”, (dzięki uprzejmości Haliny Maińskiej, prezes fundacji im. Karola Olgierda Borchardta). Zaproszeni przez Roberta Artura Florczyka goście, wysłuchali m. in. autorskiego mini-recitalu poezji śpiewanej – barda ze Stargardu – Damiana Gralaka.

Galeria Jednego Wiersza w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie jest od początku istnienia bardzo ważnym wydarzeniem literackim. Usytuowana w głównym gmachu biblioteki Szczecina, przy wejściu do wypożyczalni książek spełnia rolę promującą czytelnictwo, zainteresowanie poezją, przybliża czytelnikom sylwetki literatów związanych ze szczecińskim oddziałem Związku Literatów Polskich. W trudnych czasach dodaje otuchy, niesie nadzieję. Odświeżone odsłony wierszy scalają środowisko twórców i odbiorców kultury; dbają o zachowanie ciągłości dziedzictwa kulturowego, która włączona w szerszy nurt zachowuje rys naznaczonej historią i charakterem regionu odrębności. Eksponowane utwory mają charakter poezji humanistycznej i zaangażowanej, która dąży do uwrażliwienia człowieka i zmiany świata na lepsze, zgodnie ze słowami Cypriana Kamila Norwida:

*Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie,  
Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic...*